

STEINBECK

ZAGUBIONY AUTOBUS



Prószyński i S-ka

STEINBECK

ZAGUBIONY AUTOBUS

Przełożył Andrzej Nowicki

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE WAYWARD BUS

Copyright © John Steinbeck, 1947
All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Paul Bucknall/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Katarzyna Rudzka

Redakcja
Michał Załuska

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-427-2

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla Gwyn

*Proszę was, dajcie posłuchanie
Z uwagą y uszanowaniem
Temu, co głosi misteryja.
Oto wezwanie Everymana,
W nim żywot y śmierć ukazana
Na znak, że człek jak wiatr przemija.*

EVERYMAN, PRZEŁOŻYŁ WŁODZIMIERZ LEWIK

ROZDZIAŁ 1

Na wielkiej autostradzie przecinającej Kalifornię z północy na południe, w odległości czterdziestu dwóch mil od San Ysidro znajduje się skrzyżowanie dróg zwane od przeszło osiemdziesięciu lat Rebel Corners. W tym miejscu odchodzi boczna kręta droga, długa na czterdzieści dwie mile, która łączy się z inną autostradą, prowadzącą również z północy na południe: z San Francisco do Los Angeles i – oczywiście – do Hollywood. Kto chce dostać się z głębi lądu na wybrzeże w tej części stanu, musi jechać tą właśnie boczną drogą, która zaczyna się przy Rebel Corners, wije się przez wzgórza, pustkowia, pola uprawne i góry – aż dochodzi w samym środku miasta San Juan de la Cruz do autostrady wiodącej na wybrzeże.

Nazwa Rebel Corners – Rozdroże Buntowników – pochodzi z 1862 roku. Mówią, że stała tam kiedyś kuźnia należąca do rodziny niejakich Blankenów. Zarówno oni sami, jak i mężowie ich córek, byli to ubodzy, ciemni, dumni i gwałtowni przybysze z Kentucky. Nie posiadali niczego – ani mebli, ani żadnej własności – oprócz przesądów i ciasnych politycznych idei, które przywieźli ze sobą ze Wschodu. Sami nie mieli niewolników, ale gotowi byli utracić wolność w walce o swobodny handel niewolnikami. Gdy wybuchła wojna domowa, Blankenowie zastanawiali się, czy nie wrócić poprzez niezmierzone obszary Zachodu do Kentucky, aby wziąć udział w walce w szeregach Konfederacji. Ale byłaby to zbyt długa i daleka droga, którą już raz przebyli. Więc zamiast tego swoje sto sześćdziesiąt akrów i kuźnię znajdującą się w samym środku Kalifornii, która w większości była za Północą, oddzielili od Unii i przyłączyli do

Konfederacji. Podobno kopali rowy ochronne wokół swej ziemi i przysposabiali w kuźni strzelby, aby bronić swej reduty buntu przed znienawidzonymi Jankesami. Ale owi Jankesi – przeważnie Meksykanie, Niemcy, Irlandczycy i Chińczycy – bynajmniej nie zamierzali atakować Blankenów; raczej byli z nich dumni. Toteż nigdy nie powodziło im się tak dobrze, jak wówczas: wróg dostarczał im drób i jaja, i kielbasy wieprzowe w czasie świniobicia – bo powszechnie uważano, że należy szanować i nagradzać odwagę, niezależnie od powodów, z których ta odwaga wynikała.

Po wojnie Blankenowie stali się leniwi, kłótlivi, pełni nienawiści i żalu – jak każdy pokonany naród. Wojna się skończyła i ludzie przestali być z nich dumni, przestali przyprowadzać konie do podkucia i przynosić pługi do naprawy. W końcu tego, czego nie mogły dokonać zbrojną przemocą wojska Unii, dokonał Pierwszy Narodowy Bank w San Ysidro, odmawiając im kredytu.

Teraz, po przeszło osiemdziesięciu latach, wiadomo o nich tyle tylko, że byli zarozumiali i opryskliwi. Z biegiem lat ziemia, która do nich należała, przechodziła z rąk do rąk, aż w końcu stała się częścią imperium jakiegoś prasowego potentata. Kuźnia spaliła się, odbudowano ją, ale znowu był pożar – a to, co z niej zostało, przerobiono na garaż, przed którym stanęły pompy benzynowe, potem dobudowano jeszcze sklep, restaurację i stację obsługi. Gdy Juan Chicoy i jego żona kupili to wszystko razem i dostali koncesję na prowadzenie linii autobusowej między Rebel Corners a San Juan de la Cruz, miejsce to stało się jeszcze w dodatku stacją autobusową. Buntowniczy Blankenowie przez swą dumę i małostkową opryskliwość, które często wypływają z ciemnoty i rozleniwienia, znikli zupełnie z powierzchni ziemi i nikt już nawet nie pamięta, jak wyglądali. Ale Rebel Corners jest szeroko znane, a Juan Chicoy i jego żona – ogólnie lubiani. Z tyłu, za pompami z benzyną, założyli mały bar z bufetem i wysokimi okrągłymi stołkami przymocowanymi do podłogi. Były tam też trzy stoliki

dla tych, którzy chcieliby jadać wygodniej. Ale rzadko ktoś przy nich siadał, bo utarło się, że gdy pani Chicoy podawała do stołu, należało jej dawać napiwek, co nie było konieczne przy bufecie. Za kontuarem stały wysokie półki, a na nich słodkie rogaliki, pączki, zupy w puszkach, pomarańcze i banany, pudełka płatków owsianych, ryżowych i orzechowych oraz inne storturowane nasiona. Również za bufetem był ruszt i zmywak do naczyń, i wielkie metalowe syfony z piwem i wodą sodową, i pojemniki z lodami. Na samym bufecie – między pudłem z papierowymi serwetkami i szafą grającą – pieprz, sól i keczup, i ciastka pod przezroczystym plastikowym nakryciem. Ściany obwieszono, gdzie się dało, kalendarzami i plakatami, a na nich – rozpromienione nieprawdopodobne dziewczyny ze sterczącymi, jakby nadmuchanymi piersiami, a za to niemal bez bioder; blondynki, brunetki i rude – ale zawsze z tym niebywale wypiętym biustem. Gdyby jakiś przybysz z innej planety nagle się tu znalazł, mógłby sądzić, że to właśnie piersi służą do rozmnażania gatunku ludzkiego – tyle uwagi i starania poświęcili im artyści, którzy te plakaty wykonywali, i z takim zainteresowaniem patrzyli goście na ten właśnie szczegół.

Alice Chicoy, to znaczy pani Chicoy, żona Juana, która pracowała między tymi błyszczącymi urodą dziewczętami, sama miała obwisłe piersi i szerokie biodra i stąpała niezgrabnie, opierając cały ciężar ciała na piętach. Ale nie była zazdrosna o te dziewczyny z okładek kalendarzy i afiszy reklamujących coca-colę. Nigdy nie widziała takich dziewczyn i nie wierzyła, żeby ktokolwiek je widział. Smażyła jajka i kiełbaski, grzała zupę z puszek, nalewała beczkowe piwo do kufli, nakładała lody – a gdy zbliżał się wieczór, piekły ją dotkliwie stopy i stawała się zła i podrażniona. Upływał dzień i mały płaski kosmyk włosów, wilgotny i skręcony jak sznurek, coraz częściej opadał jej na twarz. Początkowo odgarniała go ręką, a potem już tylko dmuchała, aby jej oczu nie zasłaniał.

Obok restauracji stał przebudowany ze starej kuźni garaż, którego sklepienie sufit czarny był jeszcze od dymu z paleniska, i tu rządził Juan Chicoy, jeśli nie prowadził właśnie autobusu na trasie między Rebel Corners i San Juan de la Cruz. Przystojny i postawny był Juan Chicoy, trochę Meksykanin, a trochę Irlandczyk, dojrzały, pięćdziesięcioletni może mężczyzna o czystych czarnych oczach, gęstych włosach i smagłej, urodziwej twarzy. Pani Chicoy była w nim wciąż zwierzęco zakochana i bała się o niego, bo był mężczyzną, a tych na świecie nie ma wielu, dobrze o tym wiedziała. Nie, nie ma ich wielu na świecie, o czym każda się prędzej czy później przekona.

W garażu Juan Chicoy wulkanizował dętki i opony, odpowietrzał przewody hamulcowe, czyścił gaźniki z twardego jak diament pyłu, zakładał nowe przepony do pomp benzynowych i robił to wszystko, o czym nawet posiadający zmysł do mechaniki właściciele samochodów nie mają zielonego pojęcia.

Roboty te wykonywał rano i wieczorem, a resztę dnia od dziesiątej trzydzieści do czwartej spędzał za kierownicą autobusu. Woził nim do San Juan de la Cruz pasażerów pozostawionych przy Rebel Corners przez wielkie autobusy linii Greyhound – i przywoził z San Juan de la Cruz do Rebel Corners ludzi, których zabierały potem autobusy Greyhounda – na północ o czwartej pięćdziesiąt sześć, a na południe o piątej siedemnaście.

Kiedy Juan Chicoy prowadził autobus, prace w garażu wykonywali wciąż zmieniający się, nad wiek wyrośnięci chłopcy lub niezupełnie jeszcze dojrzałe młodzieńcy – coś w rodzaju praktykantów. Żaden z nich nie zagrzał długo miejsca. Niebaczni klienci powierzający im czyszczenie zatkanych gaźników byli nieświadomi, do czego owi praktykanci są zdolni i co wyczyniają z tymi gaźnikami. Juan Chicoy był świetnym mechanikiem, ale jego pomocnikami bywali zwykle zadzierzyści młodzieńcy, którzy spędzali cały swój wolny czas w restauracyjce, kłócąc się leniwie z Alice i wrzucając kawałki metalu zamiast monet do szafy grającej. Zawsze

czekali na jakąś nadarzającą się okazję – pewnego dnia znikali, kierując się na południe do Los Angeles i – jakżeby inaczej – do Hollywood, gdzie w końcu zjadą się wszystkie niedorostki z całego świata.

Z tyłu za garażem stały dwa małe okratowane budyneczki, jeden z napisem „Panowie”, a drugi – „Panie”. Do każdego z nich wiodła osobna ścieżka, jedna okalająca garaż z prawej, druga z lewej strony.

Wielkie dęby rosnące wokół garażu i restauracji stanowiły wyraźny, widoczny wśród uprawnych pól z odległości wielu mil znak, że tu właśnie znajduje się Rebel Corners. Wyniosłe i pełne gracji, o czarnych pniach i konarach, jasnozielone latem, czarne i zamyślane zimą – były te drzewa jakby sygnałem stojącym wśród długiej, płaskiej doliny. Nikt nie wie, czy zasadzili je Blankenowie czy po prostu przy tych drzewach się pobudowali. To ostatnie przypuszczenie wydaje się bardziej prawdopodobne; po pierwsze dlatego, że Blankenowie nigdy by nie zasiali niczego, czego by nie mogli zjeść, a po drugie – drzewa te mają więcej niż osiemdziesiąt pięć lat. Kto wie, może mają ze dwieście; ale z drugiej strony możliwe, że korzeniami dosięgły jakiegoś podziemnego strumienia i dlatego wyrosły szybko i bujnie wśród tej półpustynnej okolicy.

Latem te wielkie drzewa osłaniały stację benzynową i często podróżni zatrzymywali samochody, aby posilić się w ich cieniu i schłodzić przegrzane silniki. Sama stacja sprawiała bardzo miłe wrażenie. Jaskrawo pomalowana na zielono i czerwono, wokół restauracji rośło geranium – czerwone kwiaty i zielone liście gęste jak żywopłot. Biały żwir wokół pomp z benzyną codziennie grabiony i spryskiwany wodą. W restauracji i w garażu systematyczność i porządek. W restauracji zupy w puszkach, pudełka z płatkami owsianymi, nawet grejpfruty ustawiono na półkach w małe piramidy po cztery na spodzie, potem trzy, potem dwa i w końcu jeden balansujący na szczycie. Tak samo ustawione były kanistry z olejem w garażu. Całe Rebel Corners było utrzymane bardzo czysto i schludnie. Okna restauracji zaopatrzone w siatki przeciw muchom, a wahadłowe

drzwi za zasłoną zatrzaśkiwały się natychmiast za każdym, kto wchodził do restauracji lub z niej wychodził. Bo Alice Chicoy nienawidziła much. W świecie, w którym niełatwo było jej żyć i który niełatwo było jej pojąć, muchy stanowiły ten ostateczny i najbardziej dokuczliwy ciężar, jaki musiała znosić. Nienawidziła much okrutną nienawiścią i gwałtowna śmierć każdej z nich od uderzenia packą lub powolne konanie na kleistej powierzchni lepu napawało ją zadowoleniem.

Tak jak przez garaż Juana przewijali się kolejno najrozmaitsi praktykanci pomagający mu w pracy – tak i Alice przyjmowała kolejno dziewczęta, które miały jej pomagać. Dziewczęta te, niezdarne, romantyczne i brzydkie – ładne zwykle już po kilku dniach znikwały z jakimś klientem – nie przeciążały się pracą. Mokrymi szmatami rozmazywały dookoła brud, marzyły nad magazynami filmowymi, wzdychały, słuchając szafy grającej – a Norma, ostatnia z nich, niedawno przyjęta do służby, miała zaczerwienione oczy i pisywała długie płomienne listy do Clarka Gable’a. Alice Chicoy każdą z nich posądzała o wpuszczanie much do środka; Norma nieraz dobrze za to oberwała.

Porządek zajęć w Rebel Corners był każdego ranka taki sam. Z pierwszym brzaskiem dnia, a zimą nawet wcześniej, zapalało się światło w restauracji i Alice napełniała parą wielki ekspres (niby srebrny posąg bożka, który w jakimś przyszłym archeologicznym okresie będzie może wystawiony w muzeum jako przedmiot czci i wiary poprzednich pokoleń, które z niewiadomych przyczyn znikły całkowicie z powierzchni ziemi). W restauracji było już ciepło i przyjemnie, gdy pierwsi znużeni kierowcy ciężarówek zatrzymywali swe wozy, żeby wstąpić na śniadanie. Potem zjawiali się agenci handlowi zdążający do miast Południa w nocy, żeby mieć przed sobą cały dzień na załatwianie interesów. Agenci zawsze uważają, gdzie zatrzymują się ciężarówki, bo wiadomo, że kierowcy ciężarówek są wielkimi znawcami przydrożnych lokali i doskonale wiedzą, gdzie można dostać dobrą kawę i coś do jedzenia. A gdy słońce było już

wysoko na niebie, pierwsi turyści jadący własnymi samochodami wstępowali na śniadanie i żeby wypytać się o dalszą drogę.

Normy nie obchodzili turyści przybywający z północy, ale interesowała się specjalnie tymi, którzy jechali z południa albo skrótem z San Juan de la Cruz, bo mogło się zdarzyć, że ktoś z nich był w Hollywood. W ciągu ostatnich czterech miesięcy Norma poznała osobiście piętnaście osób przybywających z Hollywood, w tym pięć związanych z filmem i dwie, co widziały żywego Clarka Gable'a na własne oczy. Natchniona spotkaniem tych dwóch osób, napisała dwunastostronicowy list do aktora, zaczynający się od słów: „Szanowny Panie”, a kończący – „Kochająca Cię Przyjaciółka”. Często drżała na myśl, że pan Gable mógłby wykrzyć, kto ten list napisał.

Norma była wierną dziewczyną. Niech tam inne, ptasie mózdzki, latają za tą tanioczą – różnymi Sinatrami, Van Johnsonami czy Sonny Tuftsami! Nawet w czasie wojny, gdy nie było zupełnie filmów z Clarkiem Gable'em, Norma pozostała mu wierna i podsycała swoje marzenia kolorową fotografią przedstawiającą pana Gable'a w kombinezonie lotniczym z dwoma pasami półcalowych naboju przewieszonymi przez ramiona.

Odnosiła się z pogardą do Sonny Tuftsa. Lubiła starszych panów o interesujących twarzach. Czasem, gdy mokrą ścierką wycierała bufet, jej rozszerzone marzeniami źrenice koncentrowały się na drzwiach wejściowych, blade oczy zataczały koło i na moment zamykały się. I już wiadomo, że w najtajniejszych zakątkach jej marzeń Clark Gable właśnie wszedł do restauracji, zachłysnął się z zachwytu, gdy ją ujrzał, i stanął w drzwiach jak wryty, lekko rozchylając usta, podczas gdy w oczach zamigotał mu błysk zrozumienia, że oto ma przed sobą tę jedną jedyną, dla siebie stworzoną kobietę. A muchy bezkarnie krążą wokół niego, wlatując i wylatując z restauracji.

Jej marzenia nigdy nie poszły dalej. Była na to zbyt nieśmiała. A poza tym nie wiedziała, jak się robi takie rzeczy. Jej całe doświadczenie miłosne

ograniczało się do serii walk wręcz, stoczonych na tylnych siedzeniach samochodów, kiedy głównym jej celem było nie dać się rozebrać. Jak dotychczas wyszła z tych walk zwycięsko. Czuła, że pan Gable nie tylko sam takich rzeczy nie robił, ale że bardzo by mu się nie podobało, gdyby kiedyś o nich usłyszał.

Norma nosiła sukienki z sieci Krajowe Sklepy Dolarowe, lecz miała też oczywiście suknię wieczorową z atłasu. Ale gdy umie się patrzeć, można dostrzec piękno, gdyby było nawet ubrane w zwykłą sukienkę. Miała też srebrną meksykańską agrafę, w kształcie azteckiego bożka, którą zapisała jej w testamencie ciotka. Ciotkę tę Norma pielęgnowała przez siedem miesięcy jej choroby; tak naprawdę to chciała odziedziczyć po niej pelerynę fokową i barokowy pierścionek z perłami i turkusem – ale to otrzymał ktoś inny z rodziny. Norma miała też niewielki naszyjnik bursztynowy – prezent od matki. Nigdy nie nosiła meksykańskiej zapinki i naszyjnika bursztynowego jednocześnie. Prócz tego posiadała jeszcze dwa klejnoty, a to, że je miała, było czystym szaleństwem i Norma wiedziała, że to czyste szaleństwo. Głęboko w walizce chowała pozłocaną obrączkę ślubną i pierścionek z ogromnym kryształem brazylijskim – wszystko to razem kosztowało pięć dolarów. Zakładała te klejnoty tylko wtedy, kiedy szła do łóżka. Rano zdejmowała je i kryła głęboko w walizce. Nikt na świecie nie wiedział, że je posiada. Zасыiała, dotykając swoich pierścieni założonych na serdeczny palec lewej ręki.

Urządzenia sypialne były w Corners bardzo proste. Do restauracji przytykała część mieszkalna. Drzwi znajdujące się tam, gdzie kończył się bufet, wiodły bezpośrednio do pokoju Chicoyów, który był ich sypialnią i zarazem salonikiem. Stało w nim podwójne łóżko nakryte afgańską kapą, szafkowe radio, dwa napęczniałe włosiem fotele i kanapka z oparciem – te trzy ostatnie meble stanowiły tak zwany komplet – i jeszcze była tam metalowa lampa z zielonym żyłkowanym kloszem ze szkła. Za pokojem Chicoyów znajdował się pokój Normy; Alice uważała, że młode

dziewczyny trzeba mieć na oku i nie powinno im się pozwalać na żadne dzikie wybryki. Jeśli Norma chciała pójść do łazienki, musiała przechodzić przez sypialnię Chicoyów – albo wysliznąć się przez okno, co też zwykle robiła. Pokój mechanika praktykanta znajdował się z drugiej strony pokoju Chicoyów, ale posiadał wejście z zewnątrz i jego kolejni mieszkańcy korzystali z pokrytego dzikim winem budynekczku z napisem „Panowie”, który znajdował się za garażem.

Wszystko to razem stanowiło przyjemną i zwartą grupę budynków – użytecznych, a zarazem miłych dla oka. Rebel Corners za czasów Blankenów było nędznym, brudnym i podejrzanym miejscem – a Chicoyowie tu właśnie zakwitli. Mieli pieniądze w banku, zabezpieczenie na przyszłość i szczęście.

Tę wysepkę przykrytą wielkimi drzewami widać było z odległości wielu mil. Nie trzeba było patrzeć na drogowskaz, żeby trafić do Rebel Corners albo znaleźć drogę do San Juan de la Cruz. Pola zbóż rozciągały się płasko rozległą doliną na wschód – aż pod stoki wzgórz i wysokich gór, na zachodzie podchodziły do baniastych pagórków, gdzie wybujałe dęby rozsiadły się w czarnych plamach cienia.

Latem żółty upał skrzył się i palił, i błyszczał na rozpiekłych pagórkach, a chłód wielkich drzew wyrosłych ponad Rebel Corners był niezwykle pożądany i wart zapamiętania. Zimą, kiedy padały ciężkie deszcze, restauracja w Rebel Corners dawała ciepłe, pachnące kawą i gorącym ciastem schronienie. Gdy wiosna była w pełni, gdy trawa zieleniła się na polach i u podnóża pagórków, gdy maki i łubiny czyniły ziemię wspaniale niebieską i złotą, gdy wielkie drzewa budziły się w żółtozielonym kolorze młodych liści – wtedy nigdzie na świecie nie znalazłbyś piękniejszego miejsca. Nie była to piękność, której się nie spostrzega, bo już się do niej przywykło. Każdego ranka chwytiała na nowo za gardło. Słodki zapach łubinów i trawy przyspieszał oddech i dyszałeś niemal pożądliwie.

O tej właśnie porze kwitnienia i rozrostu Juan Chicoy, mimo że było jeszcze przed świtem, szedł do swego autobusu niosąc elektryczną latarnię. Za nim włókł się Prysycz, jego zaspany pomocnik.

Okna restauracji były ciemne. I nawet nie szarzało nad wschodnimi wzgórzami. Było na tyle nocy, że sowy dalej krzyczały nad polami. Juan Chicoy podszedł do autobusu stojącego przed garażem. Prysycz, ciągle nierozbudzony, stał, trzymając ręce w kieszeniach, i miał dreszcze – nie tyle z zimna, ile dlatego, że był bardzo śpiący.

Lekki wietrzyk przywiał zapach łąbinu od pól i zapach pulchniejącej, zapamiętałe rodzącej ziemi.

ROZDZIAŁ 2

Płaski reflektor latarki skierowany był w dół i ostre światło padało na nogi, stopy, opony i pnie drzew tuż przy ziemi. Snop światła kołysał się i migotał; mała żarówka elektryczna oślepiła niebieskobiałą jasnością. Juan Chicoy zatrzymał się przed garażem, wyjął pęk kluczy z kieszeni kombinezonu, znalazł klucz od kłódki i otworzył szerokie wrota. Zapalił lampę garażową i zgasił latarkę. Wziął ze stołu warsztatowego prążkowaną czapkę, jaką zwykle noszą mechanicy. Miał na sobie zgrabny kombinezon z wielkimi mosiężnymi guzikami na przodzie, sznurowany na bokach, na wierzchu czarną skórzaną kurtkę z wełnianymi ściągaczami przy rękawach i szyi. Buty solidne, z okrągłymi nosami, na podszewkach tak grubych, że wydawały się spuchnięte. Stara blizna na policzku tuż koło dużego nosa wyglądała w świetle padającym z góry jak smużka cienia. Przebiegł palcami po swych gęstych czarnych włosach i zgarnął je, by zmieścić pod czapką. Ręce miał krótkie i silne, szerokie dłonie z kwadratowymi grubymi palcami, paznokcie spłaszczone, poryte i pokrzywione, gdyż często przy robocie kaleczył je i rozbijał narzędziami. Stracił kiedyś kawałek trzeciego palca lewej ręki i dzikie mięso tworzyło w tym miejscu grzybowatą narośl pokrytą błyszczącą skórą, wyglądało to, jakby ten krótszy, przycięty palec starał się rosnąć dalej i nie mógł. Na nim właśnie nosił grubą złotą obrączkę, jakby uważał, że palec ten na nic nie przyda się już przy robocie i służyć może jedynie do ozdoby. Ołówek, linijka i manometr sterczały z kieszeni jego kombinezonu.

Juan był zwykle gładko ogolony, ale że nie golił się od wczoraj, w bruzdach na podbródku i na szyi szarzał zarost, siwawy jak sierść starego airdale'a. Odbijało to od reszty jego bardzo ciemnej brody. Miał czarne oczy, dowcipne i lekko zezujące – tak jak zezują oczy mężczyzny, kiedy pali i coś robi, nie mogąc wyjąć papierosa z ust. A usta Juana były pełne i dobre, wypoczęte usta – dolna warga nieco wysunięta, ale nie gniewnie, lecz w sposób znamionujący poczucie humoru i własnej wartości; górna warga dobrze zarysowana – jedynie po lewej stronie bielą na różowym tle naskórka głęboka blizna. Ta warga musiała być kiedyś porządnie rozcięta i teraz cienka biała pręga ściągała ją i fałdowała, tworząc dwa małe gruzły. Juan nie miał bardzo dużych uszu, ale sterczały mu z głowy jak dwie muszle, jakby właśnie nastawił je dłońmi, żeby lepiej słyszeć. Miało się wrażenie, że Juan zawsze czegoś uważnie słucha i że jego zezujące oczy wiecznie się śmieją z tego, co słyszy, a połowa ust nie zgadza się z tym. Miał ruchy zdecydowane, nawet wtedy, kiedy robił coś, czego nie trzeba robić w sposób zdecydowany. Chód taki, że zdawał się zawsze zmierzać do jakiegoś z góry wytkniętego punktu. Jego ręce poruszały się szybko i precyzyjnie, nigdy nie bawiły się bezcelowo pudełkiem od zapalek, nigdy nie pocierały paznokciem o paznokieć. Zęby miał długie, spod niektórych prześwitywało złoto, co przydawało jego uśmiechowi nieco okrucieństwa.

Z gwoździ wbitych w ścianę nad warsztatem zdejmował narzędzia i kładł je w długą płaską skrzynkę – klucze kalibrowe i kombinerki, śrubokręty, młotek i przecinak. Obok niego stał Prysycz, wciąż jeszcze ciężki od snu, oparty łokciem o nasiąkły smarami blat warsztatu. Prysycz nosił poszarpany sweter w kolorach jakiegoś klubu motocyklowego i zrobioną z główki starego kapelusza czapkę, której brzeg wycięty był w ząbki. Był to smukły siedemnastoletni chłopak, wąski w biodrach, o wątłych ramionach, długim chytrym nosie i oczach, które rankiem były blade, a z biegiem dnia stawały się zielonobrazowe. Miał złoty meszek na policzkach, a policzki pożłobione, powyżerane i ropiejące od krost i wrzodów. Między bliznami

tworzyły się nowe krosty, purpurowe i czerwone – niektóre nabrzmiewały, niektóre schły i ginęły. Skóra błyszczała maścią sprzedawaną jako niezawodny środek na krosty, a która nie nadawała się do niczego.

Pryszcz nosił obcisłe dżinsy, zawinięte u dołu w dziesięciocalowy mankiet. Trzymał je na chudych biodrach szeroki, pięknie wykonany pas spięty grubą, grawerowaną, srebrną klamrą ozdobioną czterema turkusami. Pryszcz starał się trzymać ręce opuszczone w dół, ale mimo woli wciąż dotykał palcami swych krostowatych policzków, uświadamiał sobie, co robi, i znowu opuszczał ręce. Pisał do wszystkich firm, które ogłaszały środki na krosty, był u wielu doktorów, którzy wiedzieli, że nie da się tego wyleczyć i że jego krosty znikną po paru latach. Ale dawali mu recepty na rozmaite zbawcze płyny i maści, a jeden z nich kazał mu nawet stosować specjalną dietę i jeść tylko świeże jarzyny.

Oczy Pryszcza były podłużne i skośne jak oczy sennego wilka, a teraz wczesnym rankiem zaropiałe, jak zalepione. Pryszcz był niebywałym śpiochem. Zostawiony sam sobie, przespałby całe życie. Na jego systemie nerwowym gwałtownie odbijały się wszystkie zmagania i walki okresu dojrzewania. Był stale podniecony, a jeśli to podniecenie nie znajdowało ujścia, przeradzało się w melancholijny i płaczliwy sentymentalizm lub w silną i taną religijność. Jego zmysły i uczucia były jak jego twarz – zawsze podrażnione, zawsze ropiejące i jakby odarte ze skóry. Miewał okresy gwałtownej czystości moralnej, kiedy biadał nad swoim zepsuciem – potem zwykle ogarniało go melancholijne lenistwo, aż zmożony i ostatecznie przygnębiony zapadał w sen. Działo to na niego jak narkoza i później długo jeszcze czuł się czczy i otumaniony.

Tego ranka nałożył na bosc nogi biało-brązowe skórzane półbuty. Widać było smugi brudu na kostkach pod podwiniętymi nogawkami dżinsów. W okresach depresji Pryszcz popadał w całkowitą abnegację: nie mył się i prawie nic nie jadł. I nie dla ozdoby włożył tę ząbkowaną główkę filcowego kapelusza, lecz po to, żeby utrzymać pod nią swe długie

jasnobrązowe włosy i uchronić je od smarów, gdy pracował, leżąc pod samochodem. Teraz stał spokojnie i głupawo przyglądał się, jak Juan Chicoy układa narzędzia w skrzynce. Jego umysł z trudem brnął przez wełniaste chmury snu – gęste, mroczne i przyprawiające o mdłości.

– Włącz robocze światło na długi sznur! Co jest, Pyszcze? Zbudź się wreszcie! – odezwał się Juan.

Pyszcze otrząsnął się jak pies.

– Jakoś nie mogę – powiedział.

– Daj tu lampę i przynieś moją deskę. Bierzymy się do roboty.

Pyszcze podniósł lampę, zatoczył się, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg, i zaczął odwijać ciężki gumowy kabel. Włączył wtyczkę do gniazdka przy drzwiach i ręczna lampa jasno zapłonęła. Juan podniósł skrzynkę z narzędziami, wyszedł na dwór i spojrzał na zaciemnione niebo. Coś się w powietrzu zmieniło. Słaby wietrzyk poruszał młode liście dębów i wślizgiwał się między geranium. Był to wilgotny, niepewny, gdzie wiać, wietrzyk. Juan wahał wiatr, tak jak się wacha kwiaty.

– O Boże! – westchnął – jeśli ma padać, to już tego będzie za dużo.

Na wschodzie zarysy szczytów górskich ukazywały się już na tle brzasku. Pyszcze wyszedł z garażu, niosąc zapaloną lampę i rozwijając za sobą kabel po ziemi. Elektryczne światło wydobyło z ciemności kontury wielkich drzew i odbijało się na żółtozielonych listkach. Pyszcze postawił lampę przy autobusie i wrócił do garażu po długą deskę na rolkach, na której się leży i którą można dowolnie przesuwając, pracując pod podwoziem. Rzucił deskę na ziemię koło autobusu.

– Znosi się na deszcz – powiedział. – O tej porze w Kalifornii prawie zawsze pada.

– Nie miałbym nic przeciwko temu – powiedział Juan – ale to uszkodzone koło zębate i ci czekający pasażerowie... i jak ziemia rozmięknie od deszczu...

– Lepiej będzie rosło – powiedział Pyszcze.

Juan rozejrzał się dokoła. Jego oczy błysnęły rozbawione.

– Lepiej – rzekł. – Na pewno lepiej.

Pryszcz zbity z tropu spojrział w bok.

Przenośna lampa oświetlała autobus, który wyglądał dziwacznie i niezdarnie. Tył autobusu, wysoko podlewany, spoczywał na dwóch mocnych kobyłkach. Tylony most był wymontowany.

Był to stary autobus wyposażony w czterocylindrowy silnik benzynowy ze specjalną patentowaną skrzynią biegów dającą pięć przełożeń do przodu i dwa do tyłu. Na wydętych bokach autobusu pełno było wgnieceń, załamania i pęknięć, widocznych pod grubą warstwą aluminiowej farby. Wskazywało to na jego długą, pełną przygód karierę. Stary autobus odmalowany domowym sposobem robi wrażenie bardziej starego i zniszczonego, niż gdyby dano mu spokój i pozwolono powoli i zaszczepnie niszczyć.

Wnętrze też było odnawiane. Siedzenia, kiedyś zrobione z plecionej trzciny, były teraz wyściełane i pokryte czerwoną ceratą i choć robotę tę dobrze wykonano – znać było rękę niefachowca. Czuć było w autobusie kwaśną woń ceraty i wyraźnie wydzielający się zapach oleju i benzyny. Był to stary, bardzo stary autobus, odbył wiele podróży i różne przeszedł koleje. Dębowe deski podłogi były porządnie poślizgane i wyslizgane nogami niezliczonych pasażerów. Okna się nie otwierały, bo cała karoseria była lekko skrzywiona. Juan na lato wyjmował wszystkie okna, a na zimę wstawiał je z powrotem.

Siedzenie szofera było zdarte aż do sprężyn, które powyłaziły na wierzch. Leżała na nim perkalowa poduszka w kwiaty, która spełniała podwójne zadanie – zasłaniała sprężyny i służyła wygodzie kierowcy. Na przedniej szybie zawieszony był mały dziecinny bucik – to na szczęście, bo Bóg zawsze ma w opiece niepewnie stąpającą nóżkę dziecka; wisiała tam też mała boksyrska rękawica – to na znak mocy silnika i siły zaciśniętej na kierownicy dłoni, na znak mocy człowieka za kierownicą, który musi być pewny, zdecydowany i odpowiedzialny. Wisiała także na przedniej szybie

mała, zrobiona z plastiku pulchna laleczka z fryzurą przystrojoną jaskrawoczerwonymi i zielonymi strusimi piórami, ubrana w wyzywający sarong. To dla zadowolenia oczu, uszu, nosa i wszelkich zmysłów. Kiedy autobus był w ruchu, wszystkie te wiszące przedmiociki podskakiwały, okręcały się i kołysały przed oczami kierowcy.

W miejscu gdzie dzielona przednia szyba tworzy kąt rozwarty, przytwierdzona była do tablicy rozdzielczej mała metalowa Madonna z Guadalupe, barwnie kolorowana błyszczącymi farbami. Złote promienie rozchodziły się od jej głowy, suknię miała niebieską, stopami opierała się o księżyc w nowiu, który z kolei podtrzymywały cherubiny. To było coś, co łączyło Juana Chicoya z wiecznością. Miało to niewiele wspólnego z religią jako kościelnymi dogmatami, a wiele wspólnego z religią jako wspomnieniami i uczuciami. Ta smagła Panienska była jego matką i przyćmionym wspomnieniem domu, gdzie matka mówiąca źle po hiszpańsku wyhołubiła go i odchowała. Matka Juana czciła Najświętszą Pannę z Guadalupe jako swoją osobistą boginię. Wygnała z serca świętego Patryka, świętą Brygidę i dziesięć tysięcy innych świętych i bladych dziewic Północy, a przyjęła do niego tę jedną, smagłą – która miała w żyłach prawdziwą krew i bliska była zwykłym ludziom.

Jego matka czciła swoją Świętą Dziewicę, której dzień obchodzi się uroczyście odpalaniem fajerwerków. Dla ojca Juana, rodowitego Meksykanina, były to oczywiście sprawy obojętne. Fajerwerki to normalny sposób uroczystego obchodzenia wszelkich świąt. Nikomu nie przychodziło do głowy, że może być inaczej. Wzlatująca w górę świszcząca tubka jest, rzecz prosta, duszą idącą do nieba, a głośny wybuch i błysk tam gdzieś w górze oznaczał, że dostała się już do sali tronowej. Juan Chicoy, choć nie był w ścisłym znaczeniu wierzący ani praktykujący, jednak nie czułby się całkiem pewnie, gdyby miał prowadzić swój autobus bez opieki Madonny. Jego religia była bardzo praktyczna.

Pod wizerunkiem Matki Boskiej znajdował się przerobiony schowek na rękawiczki, a w nim rewolwer Smith and Wesson kaliber 45, kłębek bandaży, butelka jodiny, tubka lawendowych soli trzeźwiących i nieotwarta półlitrowa butelka whisky. Juan ufał, że mając takie wyposażenie, śmiało może stawić czoło każdej sytuacji.

Na przednim zderzaku widniał kiedyś napis *el Gran Poder de Jesus* – wielka siła Jezusa. Ale to wymalował poprzedni właściciel autobusu. Obecnie na tylnym i przednim zderzaku widniał napis *Sweetheart* – ukochana. I autobus znany był jako Sweetheart wszystkim, którzy o nim wiedzieli. Teraz unieruchomiony, tylne koła zdjęte, wpół wisiał w powietrzu oparty na dwóch drewnianych kobyłkach.

Juan Chicoy trzymał w ręku nową tulejkę i tryby i dopasowywał je, obracając w ręku.

– Przysuń światło bliżej – powiedział do Prysacza i pełnym obrotem dłoni nasunął nową tulejkę i tryby na wałek główny.

– Pamiętam, jak raz założyłem nowy tryb ze starą tulejką. Od razu wyleciał.

– Wyrobiony tryb wyje – powiedział Prysacz. – I to tak, jakby miał zaraz skoczyć na człowieka przez podłogę. W jaki sposób ten trzasnął?

Juan trzymał tryby pod światło, obracał je powoli, obserwując, czy dobrze się zazębiają.

– Nie wiem – powiedział. – Jest całe mnóstwo rzeczy w silnikach i w metalu, o których nic się nie wie. Weź takiego Forda. On zrobi sto samochodów, a wśród nich dwa albo trzy zawsze będą do niczego. Nie, żeby tam taka czy inna część była zła. Cały samochód do powietrza. Resory i silnik, i pompa wodna, i chłodnica, i gaźnik. Będzie się rozpadał po trochu i nikt nie wie dlaczego. A weźmiesz inny samochód prosto z taśmy i myślałbyś, że taki sam jak reszta. A nic podobnego. Ma coś, czego inne nie mają. Jest mocniejszy, jest jak gość z biglem. Żeby z nim wyprawić nie wiadomo co, i tak nic mu nie będzie.

– Miałem raz taki! – powiedział Prysycz. – Model A. Sprzedałem. Zakład, że ciągle jest na chodzie. Miałem go trzy lata, nigdy mnie grosza nie kosztował.

Juan położył na stopniach autobusu tulejkę i tryby i podniósł z ziemi starą tulejkę. Namacał palcami miejsce, gdzie ząb się wykruszył.

– Metal to dziwna rzecz – powiedział. – Czasem jest jakby zmęczony. Wiesz, w Meksyku, skąd pochodzę, każdy ma normalnie dwa lub trzy noże rzeźnicze. Zwykle używa jednego, a inne wbija w ziemię i tak trzyma. Powiadają, że ostrze przez to odpoczywa. Nie wiem, czy tak rzeczywiście jest, ale wiem na pewno, że te noże zawsze są ostre jak brzytwy. Załóżmy ten tryb na wałek. Odsuń światło.

Juan położył deskę za autobusem, położył się na niej na wznak i wrolował pod autobus.

– Trzymaj światło bardziej na lewo. Nie, wyżej. Tak. Teraz pchnij do mnie narzędzia.

Ręce Juana pracowały szybko i sprawnie; kropelka oleju spadła mu na policzek. Starł ją wierzchem dłoni.

– Paskudna robota – powiedział.

Prysycz zajrzał pod autobus.

– Może powiesić lampę na tej śrubie? – zapytał.

– Nie warto. Zaraz ją trzeba będzie przesunąć – powiedział Juan.

– Myślę, że pan go na dziś wyszykuje – rzekł Prysycz. – Nie chce mi się znowu spać na krześle. Chciałbym spędzić noc we własnym łóżku.

Juan zaśmiał się.

– Widziałeś, jacy oni byli wściekli, że musieli wracać, jak ten tryb się złamał? Myślałby kto, że umyślnie. Zupełnie oszaleli. Zrobili Alice piekło o paszteciki. Jak ludzie gdzieś jadą, nie cierpią, gdy coś się nie układa.

– Dostali nasze łóżka – wtrącił Prysycz. – O co robią tyle szumu? To pan, ja, Alice i Norma spaliśmy na krzesłach, nie oni. Ci Pritchardowie to najgorsi ze wszystkich. Nie Mildred, ale rodzice. Wydaje im się, że ich ktoś

nabrał. Stary Pritchard ciągle w kółko powtarza, że jest prezesem czegoś tam i że ktoś tam za to odpowie. Powiada, że to skandal. A przecież on i jego żona dostali wasze łóżka. A gdzie spała Mildred? – Oczy Pryszcza nagle zabłysły.

– Na kozetce, zdaje się – powiedział Juan. – A może z matką i z ojcem. Ten facet z firmy magicznej dostał pokój Normy.

– Podoba mi się ten gość – powiedział Pryszcz. – Nie gadał za wiele. Powiedział, że akurat dopiero co się urządził. Nie mówił, co w tej firmie robi. Za to te Pritchardy! Ale Mildred nie. Pan wie, gdzie oni jadą? Do Meksyku, na wycieczkę. Mildred uczy się na uniwersytecie hiszpańskiego. Będzie im wszystko tłumaczyć.

Juan wprowadził klin na miejsce i popchnął go delikatnie i z czuciem.

Wysunął się spod autobusu.

– Złożmy teraz do kupy cały tył – powiedział.

Niebo nad górami stawało się coraz jaśniejsze. Bezbarwny, czarnoszary świt zmieniał kolor przedmiotów; wszystko, co było białe i niebieskie, stawało się srebrne i czerwone, kolor zielony zmieniał się w czarny. Młode liście dębów były teraz czarno-białe. Kontury gór rysowały się coraz wyraźniej. Po niebie toczyły się ciężkie, obwisłe, ciastowate chmury, których wschodnie krawędzie zaczynały lekko różowieć.

Nagle w oknach restauracji zabłysło elektryczne światło. Przedtem niewidoczne, gęsto rosnące wokół budynku geranium zaczęło teraz istnieć. Juan spojrział w tamtą stronę.

– Alice wstała – powiedział. – Niedługo kawa będzie gotowa. Dalej, zamontujmy teraz tylny most na miejsce.

Sprawnie pracowali razem. Każdy z nich rozumiał, co ma być zrobione. Każdy wykonywał swoją część. Teraz Pryszcz też leżał na ziemi i dociskał nakrętki. Wspólna, zgrana robota wyzwoliła w nim ciepłe, dobre uczucia.

Z napiętej w wysiłku ręki Juana wyśliznął się klucz, zdzierając mu skórę i wyrywając kawałek mięsa z palca. Gęsta czarna krew pociekła z umazanej

smarem dłoni. Włożył palec do ust i ssał, wargi miał brudne od smaru i krwi.

– Bardzo? – zapytał Prysycz.

– Nie. To na szczęście. Przy robocie nie obejdzie się bez krwi. Mój ojciec zawsze to mówił. – Znowu possał palec i upływ krwi osłabł.

Ciepła różowość poranka zaczęła przebijać się przez ciemność, światło elektryczne zaczęło jakby przygasać.

– Ciekaw jestem, czy dużo przyjedzie dziś Greyhoundem – powiedział Prysycz obojętnie. I nagle mocna zdecydowana myśl zrodziła się z ciepłego uczucia, jakie poczuł dla Juana Chicoya. Mocna i ostra, niemal bolesna. – Panie Chicoy... – zaczął niepewnie, jego głos był łaszący się i tchórzliwy, i nagabujący.

Juan przestał zakręcać śrubę i czekał na prośbę o podwyżkę albo o zwolnienie na jeden dzień czy coś takiego. To na pewno będzie prośba. Brzmiała już w głosie Prysicza; dla Juana nowy kłopot. Kłopoty zawsze tak się zaczynają.

Prysycz milczał. Nie mógł wydobyć słowa.

– Czego chcesz? – zapytał Juan.

– Panie Chicoy, czy moglibyśmy tak zrobić... chciałem powiedzieć, czy mógłby pan to zrobić, żeby mnie pan nie nazywał Prysycz?

Juan dociągnął nakrętkę i spojrzał na niego. Obaj leżeli na plecach z twarzami zwróconymi ku sobie. Juan wyraźnie widział ślady po wrzodach i nowe wykluwające się krosty, i jedną z nich nabrzmiałą, żółciejącą, która niedługo pęknie. I jak patrzył, oczy mu łagodniały. Zrozumiał. Nagle pojął i zdziwił się, że nie wiedział przedtem.

– Jak się nazywasz? – zapytał szorstko.

– Ed – powiedział Prysycz. – Ed Carson, daleki krewny Kita Carsona¹. Nim mnie w szkole przezwali Prysycz, wołali na mnie Kit.

Głos miał sztucznie spokojny, oddychał ciężko, powietrze świszcząło w nozdrzach.

Juan popatrzył w drugą stronę.

– Zrobione – powiedział. – Podstawmy teraz pod spód lewary. – Wyciągnął się spod autobusu. – Wlejmy dyferencjałówkę do skrzyni biegów.

Pryszcz szybko poszedł do garażu i wrócił, pchając dystrybutor olejowy na kółkach. Za sobą ciągnął gumowy przewód sprężonego powietrza. Odkręcił kurek, dał się słyszeć syk, sprężone powietrze wchodziło do dystrybutora. Potem włożył ze szczękiem przewód olejowy do otworu wlewowego skrzyni biegów. Po jakimś czasie kilka kropel gęstego oleju wypłynęło na wierzch. Pryszcz odjął olejarkę i zamknął zatyczką otwór w skrzyni biegów.

– Kit – powiedział Juan – wytrzymaj ręce i pójdź, zobacz, czy Alice ma już kawę dla nas, dobrze?

Pryszcz odszedł w stronę restauracji. Przy wejściu do budynku rosły wielkie dęby rzucając plamę prawie czarnego cienia. Przystanął tam na chwilę, wstrzymując oddech. Drżał cały, jak z zimna.

1 Kit Carson – Christopher Carson (1809–1868), bohater Dzikiego Zachodu, bożyszcze młodzieży amerykańskiej, bohater wielu filmów, powieści, programów radiowych i telewizyjnych (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 3

Kiedy skrawek słońca ukazał się nad górami na wschodzie, Juan wstał z ziemi i otrzepał kurz z nogawek i siedzenia kombinezonu. Słońce uderzało błyskami w okna restauracji i układało się ciepło na trawie przed garażem. Rozjaśniło maki rosnące na płaskich polach i rozległe kępy niebieskich łubinów.

Juan podszedł do szoferki autobusu. Sięgnął w głąb, przekręcił kluczyk zapłonowy i nacisnął starter rozpląszczoną dłonią. Starter zajęczał tępo i nagle silnik chwycił i zaryczał – Juan odpuścił gaz. Nacisnął ręką sprzęgło, włączył bieg i zwolnił sprzęgło.

Tylne koła obracały się wolno w powietrzu. Juan przysłuchiwał się skrzyni biegów, starając się sprawdzić, czy wszystkie części zostały dobrze złożone.

Pryszcz mył ręce w płaskiej miednicy z benzyną. Słońce ogrzało zeszłoroczny brązowy liść, wdmuchany przez wiatr do garażu, który leżał teraz w kącie framugi drzwi. Po chwili mała zaspana muszka wypełzła niezdarnie spod liścia i stanęła w pełnym słońcu. Jeszcze była odrętwiała z nocnego chłodu. W jej skrzydełkach załamywało się światło kolorami tęczy. Mucha przetarła skrzydełka nóżkami, potem jedną potarła o drugą, wreszcie przednimi nóżkami potarła trąbkę. Skośne promienie słońca padające spod wielkich nabrzmiąłych chmur rozgrzały jej krew. Wzbiła się nagle w powietrze, dwa razy zakołowała, przeleciała pod dębami, uderzyła o drzwi restauracji, upadła na ziemię nóżkami do góry i chwilę leżała tak,

bzycząc gwałtownie. I znów stanęła na nóżkach, znowu wleciała i usadowiła się na drzwiach do restauracji, czekając na ich otwarcie.

Alice Chicoy, wymęczona po nocy spędzonej na krześle, uchyliła drzwi i wyjrzała w stronę autobusu. Drzwi otworzyły się tylko troszeczkę, ale mucha zdążyła wlecieć do środka. Alice spostrzegła ją i plasnęła ścierką, którą trzymała w ręce. Oszalała z przerażenia mucha zakołowała, bzycząc, i usiadła pod krawędzią bufetu. Alice chwilę jeszcze popatrzyła na tylne koła autobusu obracające się coraz wolniej w powietrzu, potem podeszła do bufetu i odkręciła kurek, napuszczając parę do ekspresu. W szklanej rurce ukazał się blady i przezroczysty jeszcze płyn. Alice zaczęła wycierać ścierką bufet i robiąc to, zauważyła, że jedno z ciast kokosowych leżących pod plastikowym nakryciem jest naruszone. Wzięła ze srebrnej tacy nóż, podniosła plastik i odcięła kawałek ciasta wyrównując brzeg, a okruchy włożyła do ust. Ale nim przykryła ciasto z powrotem, mucha zdążyła się pod nie wsunąć, tak że nie było jej widać. Zaczęła chciwie gryźć słodką masę kokosową. Miała teraz do swojej wyłącznie dyspozycji całą ogromną górę ciasta i była bardzo szczęśliwa.

Wszedł Prysycz woniejący benzyną i smarami i usiadł na wysokim okrągłym stołku.

– No, zrobiliśmy już to – powiedział.

– Ty i kto jeszcze? – spytała ironicznie Alice.

– Pan Chicoy naturalnie, całą fachową robotę. Chciałbym kubek kawy i ciasto kokosowe.

– Zdążyłeś wziąć sobie kawałek, zanim wstałam – powiedziała Alice, odgarniając włosy spadające jej na twarz. – Nie da się ukryć – dodała.

– Proszę mi to wliczyć do rachunku – powiedział Prysycz. – Płacę tu przecież za utrzymanie. Co, może nie?

– Dlaczego jesz same słodczyce? – powiedziała Alice. – Cały dzień nic tylko cukierki i ciastka. Prawie wszystko, co zarabiasz, idzie na to. Założę

się, że od tego masz te krosty. Mógłbyś choć na jakiś czas dać sobie spokój ze słodyczami.

Pryszcz speszony opuścił wzrok na swoje ręce. Za paznokciami, gdzie benzyna nie dotarła, miał czarne obwódki.

– W słodyczach są kalorie – powiedział. – Ktoś, kto pracuje fizycznie, potrzebuje kalorii. Na przykład o trzeciej po południu, kiedy człowiek jest porządnie zmęczony, musi jeść to, co jest bogate w kalorie. Żeby odzyskać energię.

– Energię trzeba mieć w portkach przede wszystkim – zauważyła Alice. – Ty tak potrzebujesz energii jak ja... – i urwała. Alice była wulgarna, ale nigdy nie mówiła ordynarnych słów; doprowadzała tylko rozmowę do punktu, gdzie wydawały się nieuniknione, wisiały w powietrzu. Odkręciła kurek ekspresu – kawa trysnęła do pękatego kubka o płaskim dnie – chlapanęła trochę mleka do kawy i szurnęła kubkiem przez blat bufetu.

Pryszcz przyglądał się mglistym wzrokiem dziewczynie z afisza Coca-Coli, która prowokująco kołysała się nad muzycznym automatem, wsypał do kubka cztery łyżeczki cukru i zaczął mieszać i mieszać kawę sterczącą pionowo z kubka łyżeczką.

– Chciałbym ciasta – powtórzył cierpliwie.

– Te ciasta cię wykończą. Powinieneś wziąć na wstrzymanie. Wydmą ci brzuch jak balon.

Pryszcz spojrział na kształtny tyłek Alice i szybko odwrócił wzrok. Alice wzięła zza bufetu nóż i zgarnęła nim ciasto na talerzyk, który podsunęła Pryszczowi. Do ciasta przylepiła się mucha. Pryszcz pił kawę łyżeczką.

– Oni jeszcze nie wstają? – zapytał.

– Nie, ale słyszałam, jak się już ruszali. Ktoś z nich zużył całą gorącą wodę. Nie starczyło mi do restauracji.

– To na pewno Mildred – powiedział Pryszcz.

– Hę?

– Ta dziewczyna. Może się kąpała.

Alice spojrzała na niego uważnie.

– Zachowaj sobie lepiej te kalorie i nie myśl o tym, co nie trzeba – powiedziała ostro.

– Ja nic takiego nie powiedziałem. Oho! Mucha w cieście.

Alice zeszywniała.

– Wczoraj miałeś muchę w zupie. Pewnie nosisz zdechłe muchy w kieszeniach.

– Nie, jeszcze rusza nóżkami.

Alice podeszła bliżej.

– Zabij ją! – krzyknęła. – Zgnieć! Chcesz ją puścić? – Złapała widelec, zgmiotła nim ciasto razem z muchą i wszystko to wrzuciła do śmietniczki.

– A co z moim ciastem? – zapytał Pryszcz.

– Dostaniesz drugi kawałek. Nie wiem, dlaczego zawsze masz w jedzeniu muchy. Nikt inny, tylko ty.

– Może to szczęście – powiedział cicho Pryszcz.

– Hę?

– Powiedziałem, że...

– Słyszałam, coś powiedział! – Stała się niespokojna i nerwowa. – Ty lepiej uważaj, co mówisz, bo możesz wylecieć na zbity pysk. Nie obchodzi mnie, czy jesteś mechanik, czy nie. Dla mnie jesteś po prostu zgniłek, pryszczaty zgniłek, i już!

Pryszcz skurczył się, zmalął. Broda opadła mu na pierś; niżej i jeszcze niżej – w miarę jak jej złość rosła. Nie wiedział, że na nim właśnie skrupia się jej żal i jej złość z wielu, wielu przyczyn.

– Nic takiego przecież nie powiedziałem. Nie można sobie nawet pożartować?

Poirytowanie Alice doszło do punktu, w którym mogła albo szybko opanować się i uspokoić, albo dać folgę ostrej, histerycznej wściekłości, która narastała w niej, zalewała piersi i ścisnęła za gardło. W jednej sekundzie uświadomiła sobie całą sytuację. Sprawy stały źle. Autobus musi

dziś jechać. Juan nic nie wypoczął. Ludzie, którzy spali w ich łóżkach, mogliby usłyszeć jej histeryczny krzyk i płacz. Przylecieliby zobaczyć, co się stało, i Juan mógłby ją uderzyć. Raz to zrobił. Nie za mocno, ale dokładnie i precyzyjnie. Zdawało jej się wtedy, że omal jej nie zabił. I ten blady strach, który zawsze był w niej: Juan mógł ją opuścić. Opuszczał już inne kobiety. Nie wiedziała, ile ich było, bo nigdy jej o tym nie mówił – ale taki świetny mężczyzna na pewno miał inne kobiety i odchodził od nich. Wszystko to sobie uświadomiła w ułamku sekundy. Postanowiła więc nie dostawać ataku wściekłości. Stłumiła zalewającą ją histerię. Z kamiennym spokojem uniosła plastik, położyła na talerzyku kawał ciasta i postawiła przed Pryszzem.

– Wszyscy są dziś zdenerwowani! – powiedziała.

Pryszz przestał oglądać paznokcie i podniósł na nią wzrok. Zobaczył zmarszczki znamionujące wiek, które jakby ukradkiem biegły po szyi, zobaczył grubość powiek. Było mu jej żal. Sądził, sam pozbawiony urody, że młodość jest jedynym wartym posiadania dobrem na świecie i że stracić ją znaczyło tyle, co umrzeć. Odniósł już dziś rano jedno wielkie zwycięstwo i teraz – kiedy dostrzegł słabość i wahanie Alice – chciał je powtórzyć.

– Pan Chicoy powiedział, że nie będzie mnie już więcej nazywał Pryszz – rzekł.

– Dlaczego?

– Bo prosiłem go o to. Mam na imię Edward. W szkole nazywali mnie Kit, bo nazywam się Carson, tak jak Kit Carson.

– Czy Juan nazywa cię Kit?

– Nno tak...

Alice niezupełnie zrozumiała, co to wszystko ma znaczyć. W sypialni za jej plecami zaczął się już ruch, ktoś chodził po pokoju i słychać było rozmowę prowadzoną ściszymi głosami. W momencie gdy uświadomiła

sobie obecność tamtych, Pyszczył stał jej się bliższy, bo nie był tak zupełnie obcy.

– Zobaczmy, jak z tym będzie – powiedziała.

Słońce padało przez frontowe okna i drzwi na przeciwległą ścianę, kładąc na niej pięć jasnych plam, oświetlając paczki rodzynek i piramidy pomarańczy za bufetem. Po chwili jasne kwadraty słonecznych plam ściemniały i znikły. Gdzieś zakotłował grzmot i spadł nagły, niespodziewany deszcz, bijąc w dach. Pyszczył podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Deszcz padał płatami, zasłaniając krajobraz, a jego krople odpryskiwały od betonowej szosy. Mokre światło dnia nabrało koloru stali. Zobaczył Juana, który schronił się do autobusu. Tylne koła wciąż jeszcze obracały się wolno. Nagle Juan wyskoczył i popędził do restauracji. Pyszczył otworzył szeroko drzwi i Juan wpadł do środka. Ale choć biegł szybko i krótko, jego kombinezon był czarny od deszczu, z mokrych butów tryskała na podłogę woda.

– Boże Wszechmogący – powiedział. – Toż to prawdziwe oberwanie chmury.

Szara, połyskująca metalicznie ściana wody przysłoniła wzgórze. Główki łubinów ugięły się pod ciężarem deszczu. Strącone płatki maków leżały na ziemi niby złote monety. Woda nie wsiąkała w przemokłą już ziemię. Potworzyły się małe strumyki, które spływały do miejsc położonych niżej. Po dachu restauracji w Rebel Corners huczała ulewa.

Juan Chicoy usiadł przy jednym ze stołów koło okna, pił kawę z gęstą śmietanką, żuł pączek i przyglądał się ulewie. Weszła Norma i zabrała się do zmywania talerzy w błyszczącym zmywaku z nierdzewnej stali za bufetem.

– Przynieś mi jeszcze kubek kawy – powiedział Juan.

Norma wyszła ospale zza bufetu. Kubek był zbyt pełny. Ze spodka ściekała strużka kawy. Juan wziął papierową serwetkę i złożył ją we

czworo, żeby podłożyć pod mokry kubek.

– Nie wypoczęłaś porządnie, prawda? – zapytał.

Norma była zmęczona, jej suknia pomięta. Teraz właśnie można było zauważyć, że będzie wyglądała staro, na długo zanim się zestarzeje. Miała plamistą, popękaną skórę, bruzdy na rękach. Wiele, wiele rzeczy się na to złożyło.

– W ogóle nie spałam – odparła. – Próbowałam na podłodze, ale nie mogłam zasnąć.

– Postaram się, żeby to się więcej nie powtórzyło – powiedział Juan. – Powinienem był zdobyć jakiś inny samochód, który by ich zabrał do San Ysidro.

– Dawać im nasze łóżka! – powiedziała Alice z sarkazmem. – Skąd ci to strzeliło do głowy? Myślisz, że gdziekolwiek indziej sami gospodarze ustąpiliby im swych łóżek? Nie potrzebują dziś pracować. Mogli równie dobrze przesiedzieć całą noc.

– Wszystko zwalasz naturalnie na mnie – powiedział Juan.

– Ciebie nie obchodzi, że twoja żona śpi na krześle – powiedziała Alice. – Dajesz jej łóżko, komu chcesz i kiedy ci się podoba.

Alice znów poczuła wzbierającą w niej złość, i to ją przeraziło. Nie chciała wybuchnąć. Wiedziała, że to wszystko zepsuje, i bała się, ale co robić, gdy wszystko się w człowieku gotuje i burzy.

Fala ulewy przebiegła przez dach jak zmieciona wielką miotłą, zostawiając za sobą ciszę – i poszła dalej; prawie natychmiast zaczął padać gęsty, równy deszcz. Znowu wzmogło się kapanie i bulgot wody w rynnach na dachu i w rurach spustowych.

Juan patrzył w podłogę, zastanawiając się nad czymś, uśmiechnął się lekko i uśmiech ten naprężył wargę, przez którą biegła biała kreska blizny. To była jeszcze jedna rzecz, której obawiała się Alice. Doprowadził ją do takiego stanu i teraz będzie ją obserwować? Zdawała sobie z tego sprawę. Dla Alice wszystkie stosunki, wszystkie sytuacje życiowe ograniczały się

do ścisłych stosunków i sytuacji istniejących między nią a kimś drugim; wówczas ona tylko i ta druga osoba istnieli, stawali się wielcy i ważni, i nikt już inny nie istniał na świecie. Nie uznawała żadnego cieniowania uczuć. Gdy mówiła z Juanem – istniało tylko ich dwoje, gdy przyczepiała się o coś do Normy, znikła reszta świata, pozostawiając tylko Normę i ją wśród szarego, zasnutego chmurami kosmosu.

A Juan umiał każdą rzecz wyodrębnić i dostrzegał związki i zależności zachodzące między różnymi sprawami. Sprawami rozmaitej wagi i miary. Umiał dostrzegać i osądzać, rozważać i cieszyć się. Cieszyć się ludźmi. Alice umiała tylko kochać, lubić, nie lubić i nienawidzić. Nie widziała i nie czuła półtonów.

Zebrała rozsypujące się włosy. Raz na miesiąc myła je płynem gwarantującym nadanie włosom tajemniczego i uwodzicielskiego połysku – na co łapią się mężczyźni i na zawsze już pozostają w niewoli. Oczy Juana były odległe i rozbawione. To właśnie było dla Alice straszne. Zdała sobie sprawę, że widzi ją nie jako jedną jedyną rozgniewaną kobietę na świecie, ale jako jedną z tysięcy rozgniewanych kobiet, że dlatego należy przyjrzeć się jej dokładnie i – tak właśnie – nawet zabawić się trochę jej kosztem. Przejmowało ją to zimnym, samotnym strachem. Juan przesłonił jej świat, poza nim nic dla niej nie istniało, a wiedziała, że Juanowi nie przesłaniała sobą niczego. Dokładnie i wyraźnie dostrzegał nie tylko to, co zdarzało się wokół niej, ale umiał patrzeć i widzieć poprzez nią i mimo niej – tak jakby jej wcale nie było. Raz ją tylko uderzył – ale dotąd pamiętała odczute wtedy przerażenie; a przeraziła się nie dlatego, że ją uderzył (bywała bita już przedtem i nie wzbudzało to w niej nienawiści, tylko podniecało i dawało rozkosz) – ale Juan uderzył ją jak pluskwę. Niedbale, jakby niewiele go to obchodziło. Nie był nawet zły, tylko trochę poirytowany. Uderzył po prostu w jakiś hałaśliwy przedmiot, żeby ucichł. Alice chciała wtedy tylko zwrócić i utrzymać na sobie jego uwagę i zrobiła to w jeden z niewielu sposobów,

jakie znała. Teraz spróbowała tego samego i poznała po zmianie, jaka zasła w jego oczach, że już jej się wyslizgiwał.

– Staram się, jak mogę, żeby nasz dom był miły i przyjemny, żeby nam było w nim dobrze, żeby był dywan na podłodze i ładne kryte pluszem meble; a ty dajesz to wszystko obcym. – Jej głos stawał się niepewny. – Dopuszczasz do tego, że twoja żona musi spędzać noc, siedząc na krześle!

Juan powoli podniósł wzrok.

– Norma – powiedział – przynieś mi jeszcze jeden kubek kawy. Dużo śmietanki, dobrze?

Alice zebrała się w sobie, aby powstrzymać ogarniającą ją wściekłość. Juan powoli zwrócił na nią wzrok. Jego ciemne oczy były gorące i rozbawione, zwężyły się – patrzył na nią i wiedziała, że ją dostrzega.

– Nic ci się takiego nie stało – powiedział. – Lepiej ci będzie w łóżku dziś w nocy.

Złapała oddech, oblała ją gorąca fala. Nagromadzona złość przetopiała się w gwałtowne pożądanie. Mimowolnie uśmiechnęła się do niego i oblizwała wargi.

– Ty draniu – powiedziała bardzo cicho. I głęboko odetchnęła, aż przeszedł ją dreszcz. – Zrobić ci jajka? – zapytała.

– Taa. Wrzuć dwa do wody, gotuj ze cztery minuty.

– Przecież wiem, jakie lubisz – powiedziała. – Z bekonem?

– Nie. Tost i parę pączków.

Alice weszła za bufet.

– Chciałabym, żeby już wynieśli się z pokoju – powiedziała. – Nie mogę się dostać do mojej własnej łazienki.

– Już się tam kręcą – rzekł Juan. – Niedługo powinni wyjść.

Rzeczywiście z pokoju dochodził odgłos kroków i krzątania. Słysząc było otwieranie drzwi i kobiecy ostry głos:

– Powinien pan zapukać!

I głos męski:

– Bardzo panią przepraszam. Ale jedyne inne wyjście jest przez okno.

Inny męski głos, w którym brzmiała pewność siebie, powiedział:

– Zawsze lepiej zapukać, drogi panie. Zranił pan sobie nogę?

– Tak.

Drzwi wiodące z sypialni do restauracji otworzyły się i wszedł jeden z gości. Był to niski mężczyzna ubrany w dwurzędowy garnitur i jasnobrązową koszulę, jaką zwykle noszą podróżujący agenci handlowi; nazywają je „koszulami tysiąca mil”, bo nie znać na nich brudu. Dla tych samych przyczyn jego garnitur był nieokreślonego beżowego koloru. Nosił do tego włóczkowy ciemnozielony krawat. Miał ostre rysy młodego psa i jasne, pytające psie oczy. Starannie przystrzyżony mały wąsik wyglądał jak gąsienica, która właśnie przepelzała mu w poprzek twarzy i zatrzymała się nad górną wargą. Kiedy mówił, wydawało się, że ta gąsienica wygina właśnie grzbiet. Miał białe równe zęby z wyjątkiem dwóch górnych, w których błyszczało złoto. Wyglądał czysto i porządnie, jakby właśnie starannie wyczyścił ubranie twardą szczotką do włosów, koszulę miał nieco znoszoną i znać było, że kołnierzyk zwykle bywał prany w umywalce i że się go potem suszyło i prasowało, rozciągając na blacie hotelowej toaletki i przyklepując dłonią na płask. W jego zachowaniu była jakaś nieśmiała pewność siebie, której brak było rysom twarzy; sprawiało to wrażenie, jakby stale miał się na baczności, jakby wypracował sobie specjalny sposób zachowania stanowiący obronę przeciw ewentualnym zniewagom.

– Dzień dobry wszystkim – powiedział. – Właśnie zastanawiałem się, gdzieście spali. Na pewno przesiedzieliście całą noc.

– Tak, przesiedzieliśmy – powiedziała cierpko Alice.

– Nie szkodzi – odezwał się Juan. – Za to pójdziemy dziś wcześniej spać.

– Autobus w porządku? Myśli pan, że można będzie jechać w ten deszcz?

– O, na pewno – powiedział Juan.

Niski mężczyzna podszedł, kulejąc, do jednego ze stolików i usiadł z cierpiącym wyrazem twarzy. Norma podeszła do niego, przynosząc

zawinięte w papierową serwetkę łyżkę, nóż i widelec oraz szklanekę wody.

– Jajka? – zapytała.

– Sadzone, żeby się żółtka nie rozlały, kruchy bekon i tost na maśle. Na maśle – wiesz, jak się to robi? Nic trudniejszego jak zrobić dobry tost na maśle. Bierze się tost, smaruje grubo masłem, bardzo grubo; masło ma się tak stopić, żeby nie było widać ani kawałeczka żółtego. Zrób tak, zarobisz dobry napiwek.

Uniósł stopę obutą w dziurkowany, stębnowany półbut, spojrzął na nią i jęknął z bólu.

– Zwichnął pan nogę? – spytał Juan.

Drzwi od sypialni znowu się otworzyły i wszedł mężczyzna średniego wzrostu. Wyglądał jak prezydent Truman – jak wyglądają wszyscy wiceprezesi spółek akcyjnych oraz wszyscy przysięgli księgowi. Miał kwadratowe okulary, szare, porządne ubranie, twarz w takim samym jak ubranie szarym odcieniu. Był biznesmenem, ubrany był jak biznesmen i wyglądał jak biznesmen. W klapie nosił odznakę loży masońskiej, tak maleńką, że z odległości czterech stóp nie można było poznać, co to takiego. Ostatni guzik od kamizelki miał odpięty. Ten ostatni guzik nie był po to, żeby go zapinać. Solidna złota dewizka od zegarka przecinała w poprzek kamizelkę. Wszedł i powiedział:

– Pani Pritchard będzie jadła jajecznicę, rzadką (jeśli jajka są świeże), jednego tosta i marmoladę. Panna Pritchard prosi tylko o sok z pomarańczy i kawę. Ja będę jadł naleśniki ze śmietaną, jajka sadzone, ale żeby żółtka się nie rozlewało, suchy tost i kawę po bostońsku, to jest pół na pół z mlekiem. Wszystko to proszę podać na tacy do pokoju.

Alice spojrzała na niego ze wściekłością.

– Przyjdźcie tutaj – rzekła. – My nie podajemy śniadań do pokoju.

Pan Pritchard spojrzął na nią zimno.

– Zatrzymaliśmy się tu z musu – powiedział. – Straciłem przez to jeden dzień urlopu. Nie moja wina, że autobus się zepsuł. Mogłaby pani chociaż

podać nam śniadanie do pokoju. Moja żona nie czuje się dobrze. Nie jestem przyzwyczajony siedzieć przy jedzeniu na takich stołkach jak te, moja żona również.

Alice pochyliła głowę jak zła, niewydojona krowa.

– Słuchaj pan – powiedziała. – Ja chcę pójść do klozetu i chciałabym wreszcie obmyć twarz. Odcieśliście mnie od łazienki.

Pan Pritchard dotknął nerwowo okularów.

– O, rozumiem – powiedział.

Zwrócił twarz w stronę Juana i światło odbiło się od jego szkielec, jakby to były dwa lusterka, za którymi nie ma oczu. Wyciągnął dewizkę, na końcu której był mały złoty pilniczek, i zaczął nim czyścić starannie paznokcie. Popatrzył dokoła i przeszedł go leciutki dreszcz niepewności. Pan Pritchard był biznesmenem, prezesem niewielkiej spółki akcyjnej. Nigdy nie był sam. Jego interesów pilnowała grupa ludzi, którzy jednakowo myśleli, jednakowo pracowali i nawet wyglądali jednakowo. Obiady jadł w towarzystwie ludzi takich jak on, którzy wspólnie łączyli się w organizacje klubowe po to, żeby żaden obcy wpływ czy obca idea nie mogły ich dosięgnąć. Jego potrzeby religijne zaspokajał kościół i loża masońska, a obie te instytucje były również chronione od wpływów z zewnątrz i dostęp do nich był trudny. Raz na tydzień grał w pokera z ludźmi tak bardzo do siebie podobnymi pod każdym względem, że gra miała zawsze ten sam przebieg, co biorących w niej udział utwierdzało w mniemaniu, że są znakomitymi pokerzystami. Gdziekolwiek się udawał, cokolwiek robił, nie był jednym, osobnym człowiekiem, ale częścią stowarzyszenia, częścią klubu, loży, Kościoła albo partii politycznej. Nikt nigdy nie krytykował jego poglądów czy ideałów, bo zawsze przebywał z ludźmi, którzy mieli poglądy i ideały takie jak on. Czytał gazetę redagowaną przez grupę społeczną, do której należał – dla grupy społecznej, do której należał. Do jego domu docierały jedynie książki aprobowane przez komitet, który odrzucał te, co mogłyby go drażnić.

Nienawidził obcych krajów i obcokrajowców, bo trudno było znaleźć wśród nich kogoś, kto byłby taki jak on. Nie chciał odstawać od swego środowiska. Chciałby wspiąć się na jego szczyt i być przez nie podziwiany, ale nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby swe środowisko opuścić. Na specjalnie urządzanych kolacjach „tylko dla panów”, w czasie których nagie dziewczyny tańczyły na stołach i siadały na wielkich kielichach wina, pan Pritchard ryczał ze śmiechu i pił wino – ale pięciuset innych panów Pritchardów było tam razem z nim.

Ale teraz, gdy Alice złożyła swoje niedelikatne oświadczenie na temat klozetu, spojrzął wokół siebie i przekonał się, że jest sam. Nie było tam żadnego innego pana Pritcharda. Przez sekundę wzrok jego zatrzymał się na niskim człowieku w ubraniu agenta handlowego, ale było w nim coś obcego. Wprawdzie nosił jakąś odznakę w klapie – białe gwiazdy na niebieskim emaliowanym tle – ale nie była to odznaka żadnego z klubów, jakie pan Pritchard znał. Odkrył, że nienawidzi tych wszystkich ludzi, że nienawidzi swoich wakacji. Chciał wrócić do sypialni i zamknąć za sobą drzwi, ale oto stała przed nim ta tęga kobieta, która chciała pójść do klozetu. Pan Pritchard coraz szybciej czyścił paznokcie złotym pilniczkiem przyczepionym do dewizki.

Gdzieś w głębi, kiedyś przedtem, pan Pritchard był jednak zupełnie inny niż teraz. Raz nawet głosował na Eugene’a Debsa², ale to było już dawno temu. Ludzie z jego środowiska pilnowali i obserwowali się nawzajem – dlatego musiał stać się takim, jaki był. Każde odchylenie od uznanego kodeksu postępowania było skrzętnie zauważane i dyskutowane. Człowiek, który się różnił, nie był człowiekiem odpowiedzialnym, a jeśli się przy tym upierał – nikt z nim nie robił więcej interesów. Kolor ochronny był tu rzeczywiście ochronny. Pan Pritchard nie prowadził bynajmniej podwójnej gry. Zrezygnował ze swojej wolności i zapomniał, co to takiego. Myślał teraz o niej jako o szaleństwie młodości. Fakt, że głosował kiedyś na Eugene’a Debsa, uważał za wybryk podobny do tego, że raz – kiedy miał

dwadzieścia lat – poszedł do domu publicznego. Obie te rzeczy były z rzędu tych, jakie zwykle robią dorastający chłopcy. Czasem nawet podczas obiadów w klubie wspominał, że głosował kiedyś na Debsa; robił to, by udowodnić, że dawniej był pełnym życia i swady młodzieńcem i że tego rodzaju rzeczy są częścią procesu dojrzewania i przechodzą bez śladu jak wysypka u dziecka. Ale chociaż sam sobie to całkowicie wybaczył i chociaż z tego, że głosował kiedyś na Debsa, śmiał się teraz jak z dobrego żartu – to jednak bardzo go martwiło postępowanie córki Mildred.

Zadawała się na uniwersytecie z niebezpiecznymi kolegami, których profesorowie, a także niektórzy inni ludzie uważali za czerwonych. Przed samą wojną pikietowała w porcie statek handlowy, który miał odejść do Japonii z ładunkiem żelaza, a przedtem jeszcze brała udział w zbiórce pieniędzy na pomoc medyczną dla walczących w Hiszpanii, których sam pan Pritchard nazywał czerwonymi. Nie dyskutował tych spraw z Mildred. Ona nie chciała z nim o tym mówić. Pan Pritchard był głęboko przekonany, że jeśli całe otoczenie Mildred odniesie się do tych spraw spokojnie i obojętnie – przejdzie jej to wszystko. Mąż i dziecko – oto najlepsze lekarstwo na polityczne niepokoje Mildred. Odnalazłaby wówczas – mawiał – swoje najlepsze wartości.

Pan Pritchard zachował jedynie niejasne wspomnienie ze swej wizyty w domu publicznym. Miał wtedy dwadzieścia lat i był pijany – a potem dokuczało mu czcze uczucie smutku i żalu, że coś sprofanował. Pamiętał te dwa następne tygodnie, kiedy w przerażeniu czekał na symptomy choroby wenerycznej. Postanowił nawet upozorować wypadek i zabić się, gdyby się zaraził.

Teraz się zdenerwował. Był na urlopie, którego właściwie nie chciał brać. Znajdował się w drodze do Meksyku, który mimo tego, co mówiły plakaty, uważał za kraj nie tylko brudny, ale i niebezpiecznie radykalny. Upaństwowili kopalnie ropy – innymi słowy ukradli własność prywatną. I w czym to się miało różnić od Rosji? Rosja w pojęciu pana Pritcharda

zajęła miejsce średniowiecznego diabła, dlatego że stamtąd się brało całe zło i groza, i podstęp. Był zdenerwowany od samego rana, bo nie mógł spać w nocy. Lubił tylko swoje własne łóżko. Potrzebował przynajmniej tygodnia, żeby się do nowego przyzwyczaić, a teraz przez całe trzy tygodnie będzie musiał ciągle, prawie co noc, zmieniać łóżka – i Bóg wie, co może w nich znaleźć. Był zmęczony i czuł chropowatość naskórka. Woda była tu zbyt twarda i wiedział, że w ciągu trzech dni dostanie liszajów na podbródku.

Wyjął chusteczkę z kieszonki, zdjął okulary i zaczął je przecierać.

– Powiem to żonie i córce – rzekł. – Nie zdawaliśmy sobie sprawy, żeśmy tak państwa deranżowali.

Normie spodobało się to słowo i powtórzyła je szeptem:

– Deranżować... Nie chciałabym pana deranżować, panie Gable, ale sądzę, że powinnam panu powiedzieć...

Pan Pritchard wrócił do sypialni. Słysząc było, jak wyjaśniał całą sytuację, i słysząc było pytające głosy kobiet.

Niski człowiek wstał z krzesła i kulejąc, podszedł do bufetu. Postękiwał przy tym cicho i boleśnie. Wziął z bufetu cukiernicę, wrócił z nią do stolika i krzywiąc się z bólu, siadł na krześle.

– Podałabym panu – powiedziała przejęta tym Norma.

Uśmiechnął się do niej.

– Nie chciałem sprawiać kłopotu – wyjaśnił szarmancko.

– To by mnie wcale nie deranżowało – powiedziała Norma.

Juan gwałtownie postawił kubek z kawą na stole.

– Poproszę kawałek ciasta kokosowego – odezwał się Prysycz.

Alice, jakby nieobecna, położyła ciasto na talerzyku, podsunęła Prysyczowi i zanotowała coś w bloczku rachunkowym.

– Zdaje się, że tutaj firma nigdy nic nie stawia – powiedział Prysycz.

– Zdaje się, że firma tu często stawia i nawet o tym nie wie – odcięła się Alice.

– Wygląda, jakby się pan porządnie zranił w stopę – rzekł Juan do niskiego człowieka.

– Zmiażdżenie. Palec zmiażdżony. Tu. Pokażę panu.

Pan Pritchard znów wszedł do restauracji i zajął miejsce przy ostatnim wolnym stoliku.

Niski człowiek rozsznurował but, zdjął go i ściągnął skarpetkę. Stopę miał zabandażowaną od kostki po końce palców, cały bandaż był poplamiony i nasiąkły jaskrawoczerwoną krwią.

– Niech pan tego nie pokazuje – rzekła szybko Alice, której robiło się słabo na widok krwi.

– Powiniennem i tak zmienić bandaż – powiedział niski człowiek, odwinął gazę i odsłonił zranioną stopę. Wielki palec i dwa następne były straszliwie zmiażdżone, paznokcie aż poczerniały od krwi, a końce palców rozkrwawione i poszarpane do żywego mięsa.

Juan wstał. Pryszcz podszedł bliżej. Nawet Norma się poruszyła.

– Boże, ależ to poharatane – powiedział Juan. – Niech pan da, przyniosę wodę, trzeba przemyć. Powiniennem pan zdezynfekować. Może wyniknąć gangrena. Jeszcze pan straci stopę.

Pryszcz gwizdnął przenikliwie na znak zainteresowania i podziwu dla jakości rany. Mały człowiek patrzył w twarz Juana, a oczy jego błyszczały z zachwyty i zadowolenia.

– Pan myśli, że to kiepsko wygląda? – zapytał.

– Cholernie kiepsko – powiedział Juan.

– Sądzi pan, że powiniennem wezwać doktora?

– Ja bym wezwał na pana miejscu.

Niski człowiek zachichotał ze szczęścia.

– To mi wystarczy, to wszystko, co chciałem usłyszeć – powiedział.

Dotknął palcami podbicia stopy i cały jej wierzch podniósł się i zsunął – skóra, krew i zmiażdżone palce – a spod spodu ukazała się jego własna

stopa, cała i zdrowa z nietkniętymi palcami. Odchylił w tył głowę i zaśmiał się uradowany.

– Dobrze, co? Plastik. Nowy produkt.

Pan Pritchard podszedł bliżej i patrzył z wyrazem niesmaku na twarzy.

– To się nazywa Mały Cud ze Sztucznie Zmiażdżoną Stopą – powiedział niski człowiek. Wyciągnął z kieszeni marynarki płaskie pudełko i wręczył je Juanowi.

– Pan był taki dobry dla mnie, chciałbym to panu ofiarować. Z pozdrowieniami od Ernesta Hortona, przedstawiciela firmy Małe Cudy Kieszonkowe. – Jego głos nie mógł nadażyć za zalewającym go entuzjazmem. – Wyrabiamy trzy rodzaje: z jednym, dwoma lub trzema zmiażdżonymi palcami. W pudełku, które panu ofiarowałem, znajdzie pan model trzypalcowy, ten sam, który państwu zademonstrowałem. Dodajemy gratis bandaż i flaszeczkę sztucznej krwi. Sposób użycia wewnątrz pudełka. Używając Sztucznie Zmiażdżonej Stopy po raz pierwszy, należy model zmiękczyć przez zanurzenie w gorącej wodzie, po czym przyłożyć do nogi. Nabierze wówczas kształtu naszej własnej stopy i będzie nie do odróżnienia. Znakomity figiel towarzyski, cała beczka śmiechu!

Pan Pritchard przysunął się bliżej. Gdzieś w głębi duszy ujrzał siebie, jak zdejmuje skarpetki na zebraniu zarządu spółki. Mógłby to wykonać zaraz po powrocie z Meksyku, a przedtem jeszcze opowiedzieć jakąś zmyśloną historyjkę o bandytach.

– Po czemu to sprzedajecie? – zapytał.

– Półtora dolara, ale ja się nie zajmuję sprzedażą detaliczną – powiedział Ernest Horton. – Hurtownicy biorą tego tyle, że ledwo mogę nastarczyć. Sprzedałem prawie pięćset tuzinów w dwa tygodnie.

– Nie?! – powiedział pan Pritchard, otwierając szeroko oczy z podziwu.

– Mogę pokazać książkę zamówień, jeśli pan nie wierzy. To się najlepiej sprzedaje ze wszystkich nowości tego rodzaju. Małe Cudy Kieszonkowe robią na tym majątek.

– Jaka jest szczytowa produkcja? – dopytywał się pan Pritchard.

– Nie chciałbym panu mówić, chyba że pan sam jest z tej branży. Etyka biznesu... sam pan rozumie.

Pan Pritchard skinął z uznaniem głową.

– Tak. Chciałbym wypróbować jedną sztukę. Po cenie detalicznej – powiedział.

– Dostarczę panu, zaraz jak zjem śniadanie. Czy mój tost na maśle już gotów? – zwrócił się do Normy.

– Robi się – powiedziała Norma, czując się winna. Weszła za bufet i włączyła elektryczny toster.

– Widzi pan, to tak dobrze idzie, bo oparte jest na psychologii – stwierdził triumfująco Ernest Horton. – Mieliśmy całymi latami na składzie obcięte palce od rąk i szły bardzo powoli. Ale to – to jest psychologia, to jest oparte na zasadach psychologicznych, na psychologii zdejmowania buta i skarpetki. Dobrze zarobił facet, co to wymyślił.

– Pan też chyba ma coś z tego – powiedział pan Pritchard z zachwytem. Czuł się teraz znacznie lepiej.

– Nie mogę narzekać – rzekł Ernest Horton. – Mam jeszcze ze sobą w walizce z wzorami parę innych nowości, które mogłyby pana interesować. Wyłącznie do sprzedaży hurtowej, ale mogę panu zademonstrować. Niektóre bardzo śmieszne.

– Mógłbym dostać pół tuzina tych zmiażdżonych stóp? – zapytał pan Pritchard.

– Same trzypalcowe modele?

Pan Pritchard zastanowił się. Chciał je kupić na podarunki dla przyjaciół, ale bał się konkurencji. Taki Charlie Johnson lepiej by popisywał się tą sztuczką niż pan Pritchard. Charlie był urodzonym komikiem.

– Powiedzmy, że wziąłbym jeden model trzypalcowy, trzy dwupalcowe i dwa jednopalcowe – rzekł. – Myślę, że to by mi starczyło.

Nateżenie wciąż trwającego deszczu ciągle się zmieniało. To padał ogromnymi porywistymi strugami, to cichł i ustawał, przemieniając się w rzadki kroplisty deszczyk. Juan pił kawę, siedząc przy stole. Niedojedzony pączek leżał na talerzyku.

– Myślę, że chyba zelżeje. Chciałbym jeszcze raz sprawdzić tylny most, nim ruszymy.

– Czy mogę jeszcze ciasta? – zapytał Prysycz.

– Nie, nie możesz – powiedziała Alice. – Muszę mieć trochę dla gości.

– Ja też jestem gość, może nie?

– Nie wiem, czy przyślą nam coś z San Ysidro. Muszę mieć trochę tego pod ręką.

Na samym końcu bufetu stała taca z cukierkami. Małe torebki cukierków były na niej ułożone w piramidę. Prysycz wstał ze stołka i podszedł do tacy. Patrzył na cukierki, zastanawiając się, co wybrać. W końcu wyciągnął trzy torebki i wpakował do kieszeni.

– Jedna Maleńka Ruth, jedno Gniazdko Miłości i jedna Kokosowa Narzeczona – rzucił w stronę Alice.

– Kokosowe Narzeczone są po dziesiątaku. Nadziewane orzechami – powiedziała Alice.

– Wiem – rzekł Prysycz.

Alice wzięła do ręki bloczek.

– Już przekroczyłeś swoje pobory – powiedziała.

[2](#) Eugene Debs – socjalistyczny kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych w latach 1900, 1904, 1908, 1912, 1920 (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 4

Jak tylko Norma zobaczyła Pritchardów opuszczających sypialnię, szybko powiedziała:

– Muszę się uczesać i trochę umyć – i rzuciła się do drzwi. Alice już była za nią.

– Ja pierwsza do łazienki – powiedziała chłodno.

Norma przeszła przez sypialnię Chicoyów do swego pokoiku. Zamknęła drzwi i zasunęła zasuwkę, żeby czuć się swobodniej. Jej małe żelazne łóżko było niezasłane. Wielka waliza z próbkami towarów należąca do Ernesta Hortona stała pod ścianą.

Był to niewielki, bardzo wąski pokój. Prócz łóżka znajdowała się w nim umywalka z miską i dzbankiem, nad nią przybita gwoździkami do ściany różowa makatka, na makatce wyobrażone były dwie armaty ze skrzyżowanymi lufami i pęk czerwonych róż, a pod spodem wydrukowany wiersz pod tytułem *Modlitwa żołnierza do matki*.

O tobie myślę, matko, wśród boju i wystrzałów.

Wiem, że się za mnie modlisz, by nic mi się nie stało,

Więc gdy się wojna skończy i kiedy padnie wróg,

Powrócę zdrów i cały na twego domu próg.

Norma szybko spojrzała w mroczne od deszczu okno, po czym włożyła rękę za dekolt sukienki i odpięła agrafkę, na której wisiał mały kluczyk. Zdjęła go z niej. Spod toaletki wyciągnęła swoją walizkę i otworzyła.

Na wierzchu leżał błyszczący portret Clarka Gable'a oprawiony w srebrną ramę i podpisany: *Najlepsze życzenia przesyła Clark Gable*. Kupiła ten portret, ramę i autograf w sklepie galanteryjnym w San Ysidro.

Szybko sięgnęła na dno walizki. Namacała palcami małe kwadratowe pudełeczko na pierścionki. Wyciągnęła je i otworzyła gwałtownym szarpnięciem, spojrzała na pierścionki, zamknęła pudełeczko i z powrotem włożyła na dno walizki. Walizkę zamknęła na kluczyk, wepchnęła pod toaletkę, a kluczyk przypięła znowu za dekoltem. Otworzyła szufladę toaletki, wyjęła z niej szczotkę i grzebień, podeszła do okna. Na ścianie obok kretonowej zasłony w czerwone i zielone kwiaty wisiało oprawione w ramę lustro. Stała przed nim i zaczęła się przyglądać sobie.

Ołowiane światło idące od okna padło na jej twarz. Otworzyła szeroko oczy, natężyła wzrok i uśmiechnęła się radośnie, odsłaniając wszystkie zęby. Wspięła się nieco na palce, skinęła ręką ogromnemu tłumowi i znowu się uśmiechnęła. Przejechała grzebieniem po cienkich włosach i szarpnęła, gdy jego zęby zahaczyły o skręcone końce loczków. Wzięła z toaletki ołówek do brwi i jego niezbyt zaostrozonym końcem przeciągnęła łukiem po swych jasnych brwiach, kreśląc nad oczami wygięcie, które nadało jej twarzy wyraz zdziwienia. Potem zaczęła szczotkować włosy – dziesięć pociągnięć po jednej stronie twarzy, dziesięć po drugiej. W rytm szczotkowania zwalniała i natężała mięśnie jednej, a potem drugiej nogi, żeby poprawić kształt łydek. Był to sposób zalecany przez pewną gwiazdę filmową, która mimo że nigdy nic podobnego nie robiła, miała piękne nogi.

Znów rzuciła szybkie spojrzenie na okno, za którym ściemniało się coraz bardziej. To byłoby straszne, gdyby ktoś podpatrzył ten jej groteskowy taniec. Norma żyła własnym ukrytym życiem, zanurzona w nim niby góra lodowa w wodzie: tylko bardzo małą część Normy widać było na powierzchni. A ta jej większa, lepsza i piękniejsza część ukryta była gdzieś w głębi, za jej oczami – szczelnie zamknięta, zalakowana, bacznie chroniona.

Klamka poruszyła się, ktoś napierał na drzwi. Norma stała sztywna i nieruchoma. Jedną ręką wykonała nagły ruch, sięgnęła do brwi i zaczęła je zapamiętałe trzeć, aż rozmasowała ołówek w ciemne smugi na czole. Ktoś pukał do drzwi jej sypialni. Było to pukanie lekkie i uprzejme. Położyła szczotkę na toalecie, wygładziła sukienkę, podeszła do drzwi. Odciągnęła zasuwkę i uchyliła je nieco. Patrzyła na nią twarz Ernesta Hortona.

– Pewnie zawadza tu moja waliza z próbkami. Chciałbym ją stąd zabrać – powiedział.

Norma dalej trzymała drzwi ledwo uchylone.

– Wszyscy byliście tutaj tacy uprzejmi i w ogóle – ciągnął dalej. – Nie chciałbym sprawiać niepotrzebnego kłopotu.

Norma odprężała się pomału, wciąż jeszcze łapiąc oddech. Otworzyła drzwi, cofnęła się o krok. Ernest wszedł do pokoju i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Podeszedł do łóżka.

– Powinienem zaścielić... – powiedział i zaczął naciągać prześcieradło i koc i wygładzać fałdy.

– Nie, ja to zrobię – powiedziała Norma.

– Nawet nie czekałaś na napiwek, który ci obiecałem – rzekł Ernest. – Pamiętaj, masz go u mnie. – Zgrabnie zasłał łóżko, jakby to stale robił.

– Nic by nie szkodziło, gdybym sama zasłała – powiedziała Norma.

– Już zrobione – rzekł. Podeszedł do swojej walizki. – Czy mógłbym otworzyć ją tutaj? – zapytał. – Chcę coś wyjąć.

– Ależ proszę – powiedziała Norma. Jej oczy były pełne zaciekawienia.

Postawił walizkę na łóżku, nacisnął zamki i odchylił wieko. W środku były same wspaniałości. Tekturowe tubki i chusteczki, które zmieniają kolor. Eksplodujące cygara i bomby, co wybuchają, roznosząc nieprzyjemny zapach. Trąbki, terkotki i papierowe czapeczki, chorągiewki i różne guziki śmiesznych kształtów. I jedwabne makatki jak ta, która wisiała na ścianie. Ernest wyjął sześć płaskich pudełek Sztucznie Zmiażdżonych Stóp. Norma przysunęła się bliżej, przyglądając się

wszystkiemu, co było w tej cudownej walizie. Nagle jej oczy spoczęły na fotografiach gwiazd filmowych. Ale nie były to normalne fotografie, jakie dotychczas widywała. Były nalepione na grube plastikowe płytki i wciśnięte w nie na około ćwierć cala. A co najdziwniejsze, nie wyglądały płasko. Twarze gwiazd filmowych były krągłe i wypukłe – dzięki jakiemś trikowi z załamywaniem się światła. Wydawały się trójwymiarowe. Były to spore oprawne portreciki wielkości około ośmiu na dziesięć cali.

Na wierzchu leżał James Stewart uśmiechnięty i jak żywy, a spod niego wysuwał się ktoś inny i choć dojrzała tylko włosy i kawałek czoła – wiedziała, do kogo te włosy i czoło należą. Jej wargi się rozchyliły, oczy nabrały blasku. Ręka wolno sięgnęła do walizki i odsunęła Jamesa Stewarta. I oto wyłonił się on, Clark Gable, krągły i wypukły. Wysunięta broda, poważny i skupiony, oczy natężone i myślące. Nigdy nie widziała podobnego portretu. Westchnęła głęboko, oddech jej stał się szybki; próbowała się opanować, żeby nie było słychać tego oddechu. Wzięła portret do ręki i patrzyła w jego oczy – a jej własne stały się wielkie i jak zahipnotyzowane.

Ernest przyglądał się jej bacznie i spostrzegł to zainteresowanie.

– Robi wrażenie, co? – powiedział. – To nowy wynalazek. Przypatrz się; wypukłe, zupełnie jak rzeźba.

Norma potakiwała milcząco.

– Przepowiadam – rzekł Ernest – daję głowę, że ten artykuł wyprze zupełnie z rynku wszystkie inne rodzaje portretów gwiazd. Odporny na wilgoć, odporny na kwasy, wiecznotrwały i nie blaknie. Materiał specjalnie odlewany. Spajane na gorąco razem z ramą. Trwałość gwarantowana.

Norma nie spuszczała oczu z portretu. Ernest sięgnął, chcąc go zabrać, palce Normy zacisnęły się na ramce portretu jak pazury.

– Ile? – Jej głos był gardłowy, chropowaty, warkliwy.

– To jest tylko wzór – powiedział Ernest. – Taka próbka, żeby pokazać hurtownikom. Nie na sprzedaż. To trzeba zamówić.

– Ile? – Jej palce aż pobieleły, z takim natężeniem uchwyciła ramkę portretu. Ernest spojrzał na nią uważnie. Zobaczył jej twarz nieruchomą i napiętą, naciągnięte mięśnie szczęk i nozdrza drżące wstrzymywanym oddechem.

– One idą po dwa dolary w detalu. Ale ja winien ci jestem napiwek. Może byś wolała to niż pieniądze?

Głos Normy był szorstki:

– Tak.

– Więc możesz sobie wziąć.

Powoli bladość zeszła z jej palców. Oczy zabłyśły światłem triumfu. Oblizwała wargi.

– Dziękuję. O, dziękuję panu!

Przycisnęła portret do twarzy. Plastikowa powierzchnia nie była zimna i nieustępliwa jak szkło, lecz ciepła i miękka w dotknięciu.

– Chyba sobie jakoś poradzę z jednym tylko wzorem – powiedział Ernest.
– Widzisz, jadę teraz na Południe. Nie będzie mnie sześć tygodni w centrali. Chciałbym posiedzieć ze dwa tygodnie w Los Angeles. Tam dobrze idą wszelkie nowości.

Norma zaniósła portret do toaletki, wyciągnęła szufladę, wsunęła go pod złożoną garderobę i zamknęła szufladę z powrotem.

– Pewnie pan będzie w Hollywood – powiedziała.

– O, na pewno. To nawet lepsze miejsce na mój towar niż Los Angeles. Chcę też sobie zrobić coś w rodzaju wakacji. Mam tam mnóstwo przyjaciół. Odpocznę trochę, rozejrzę się, co się dzieje i jak idą interesy. Wszystko za jednym zamachem. Bez straty czasu. Mam tam przyjaciela z wojska, pracuje w studio filmowym. Zawsze się trochę razem włączymy po lokalach. Ostatni raz zabawialiśmy się w Melrose Grotto. To na Melrose, zaraz przy studiach RKO. Co to była za zabawa! Nawet nie mogę ci powtórzyć, cośmy tam wyrabiali, wierz mi, nigdy w życiu tak się nie ubawiłem!

Norma słuchała czujna i napięta jak młody seter wężący karalucha.

– Pański przyjaciel pracuje w studio? – zapytała od niechcienia. – W którym?

– Metro-Goldwyn-Mayer – powiedział Ernest. Wkładał z powrotem swoje wzory do walizy i nie patrzył na nią. Nie słyszał też jej świszczącego oddechu ani sztucznego, napiętego tonu w jej głosie.

– Pan zna ludzi z filmu?

– Taa. Willie daje mi przepustkę do studia. Czasem chodzę przyglądać się, jak kręcą. Willie jest stolarzem. Pracował tam przed wojną i teraz wrócił na stare miejsce. Wojowaliśmy razem. Bardzo fajny facet. Jedyne do zabawy! Nikt nie zna tylu dziewczynek, co on, i nikt nie ma tylu ich numerów telefonów zapisanych. Cała duża, gruba księga pełna numerów telefonicznych. Sam nie pamięta nawet połowy tych dziewczynek, których numery tam są.

Zapalał się do tematu. Siadł na krzeselku pod ścianą. Zachichotał.

– Willie miał w czasie wojny pierwszy przydział do Santa Ana. Nie znałem go jeszcze wtedy. Oficerowie dowiedzieli się o jego księdze z numerami telefonów, zabierali go do Hollywood i podstawiali im dziewczynki. A potem zawsze miał przepustkę, kiedy tylko chciał. Dobrze mu się działo, póki go nie przenieśli.

W oczach słuchającej Normy błysnęła odraza. Palce mięły brzeżek fartuszka. Kiedy się odezwała, jej głos był na przemian cienki i gruby.

– Czyby to pana zbyt nie deranżowało, gdybym poprosiła o wyświadczenie mi pewnej przysługi?

– Ależ skąd! – rzekł Ernest. – A o co chodzi?

– Gdybym dała panu list i jak pan spotka przypadkiem... gdyby pan spotkał tych ludzi z Metro-Goldwyn-Mayer i gdyby tak zdarzyło się, że zobaczyłby pan pana Gable'a... to czy mógłby mu pan wręczyć list?

– A kto to jest pan Gable?

– Pan Clark Gable – rzekła z powagą Norma.

– A, ten. Ty go znasz?

– Tak – powiedziała Norma lodowato. – Jestem... jego kuzynką.

– Aaa, rozumiem. Tak, na pewno mogę to zrobić. Ale może się zdarzyć, że nie będę w Hollywood. Dlaczego nie posłać pocztą?

Oczy Normy zwęziły się.

– Jemu nie dają listów – rzekła tajemniczo. – Tam siedzi taka panna, niby to sekretarka, która pali wszystkie listy, jakie do niego przychodzą.

– Nie może być! – powiedział Ernest. – Dlaczego?

Norma zamilkła na chwilę, żeby rozważyć tę kwestię.

– Oni po prostu nie chcą, żeby on je czytał.

– Nawet listy od jego własnych krewnych?

– Nawet od kuzynki – powiedziała Norma.

– Czy on ci to sam mówił?

– Tak. – Oczy miała szeroko otwarte i puste. – Tak. Naturalnie, ja tam niedługo pojedę sama – powiedziała. – Miałam już rozmaite oferty i raz już nawet o mało co nie pojechałam, i wtedy mój kuzyn, to jest pan Gable, tak powiedział. „Nie, nie jedź, musisz wpierw nabrać doświadczenia, jesteś jeszcze młoda, nie ma się co spieszyć”. Więc siedzę tu i nabieram doświadczenia. Można się mnóstwo nauczyć o ludziach, jak się pracuje w restauracji. Ja bez przerwy, ciągle studiuje rozmaite ludzkie charaktery.

Ernest popatrzył na nią sceptycznie. Nieraz słyszał rozmaite opowieści o kelnerkach, które stały się gwiazdami w ciągu jednej nocy, ale Norma nie miała ani tak wypukłych piersi, jak na to potrzeba, ani tak kształtnych nóg. Miała nogi jak patyki. Ale słyszał też o kilku gwiazdach filmowych, które bez charakteryzacji były tak brzydkie, że ktoś, kto widział je tylko na ekranie, nie poznawał ich w prywatnym życiu. Czytał gdzieś o tym. A Norma, jeśli nawet nie wyglądała na gwiazdę, no to cóż, mogli ją trochę wypchać, gdzie potrzeba; a jeśli do tego jej kuzynem był Clark Gable, to dlaczego nie, to przecież najlepsza protekcja, jaka może być. Wszystkie trudności dałoby się przełamać.

– No, dobrze. Chociaż tym razem nie zamierzałem prosić Williego o przepustkę, bo byłem już tyle razy w studio – powiedział. – Ale dobrze, jeśli sobie życzysz, pójdę tam, znajdę go i oddam mu twój list. Jak myślisz, dlaczego oni wyrzucają jego listy?

– Bo chcą, żeby się dla nich na śmierć zapracował, a potem wyrzucą go na śmietnik jak stary pantofel – powiedziała gwałtownie Norma.

Wzruszenie zalewało ją – fala za falą. Wpadła w ekstazę, a jednocześnie rósł w niej paniczny strach. Norma była z natury prawdomówna. Nigdy nie mówiła takich kłamstw jak teraz. Podjęła niebezpieczną grę – i zdawała sobie z tego sprawę. Ernest mógł znać się na tym, mógł zadać jedno niebezpieczne pytanie, które by wszystko zniweczyło i pchnęło ją w otchłań – ale mimo to nie umiała się powstrzymać.

– To wielki człowiek – powiedziała. – Wielki dżentelmen. Nienawidzi ról, które każą mu grać, bo on wcale nie jest taki zły. Nawet nie jest taki jak Rhett Butler... nie cierpiał tej roli, bo on nie jest podły i nie chce grać podłych ludzi.

Ernest zniżył wzrok i obserwował Normę spod przymrużonych powiek. Zaczynał rozumieć. Zaczynał pojmować, na czym to wszystko polega. Norma wyglądała teraz ładniej niż kiedykolwiek. Z jej twarzy biła godność i odwaga, i wielka, szczerza miłość. Ernest mógł zrobić tylko dwie rzeczy – albo ją wyśmiać, albo grać razem z nią. Gdyby jeszcze ktoś był w pokoju – na przykład jakiś inny mężczyzna – to Ernest pewnie by ją wyśmiał, żeby się samemu zabezpieczyć przed szyderstwem, byłoby mu wstyd i musiałby śmiać się z niej coraz bardziej, żeby zagłuszyć to, z czego zdawał sobie sprawę; że coś potężnego, czystego i przytłaczającego płonie w tej dziewczynie. To była ta rzecz, dla której ci, co świeżo przyjęli wiarę, leżeli całe noce na kamiennej podłodze przed ołtarzami bóstw.

– Dam mu list – powiedział. – Powiem, że od kuzynki.

Nagły przestрах błysnął w jej twarzy.

– Nie – powiedziała. – Chciałabym sprawić mu niespodziankę. Proszę mu tylko powiedzieć, że to od przyjaciela. Nic więcej.

– Jak myślisz, kiedy pojedziesz tam pracować? – zapytał Ernest.

– Pan Gable mówi, że powinnam jeszcze z rok poczekać. Mówi, że jestem młoda i że muszę nabrać doświadczenia, obserwując ludzi. Czasem już mnie to trochę męczy. Czasem już chciałabym tam być, w moim własnym domu... tam są ciężkie grube zasłony na oknach i taka długa wygodna kanapa... i tam siadujemy razem ze wszystkimi moimi przyjaciółkami... Bette Davis, Ingrid Bergman, Joan Fontaine... Bo ja się nie zadaję z tymi innymi, co to się ciągle rozwodzą i tak dalej. Siadamy sobie razem i rozmawiamy o poważnych sprawach, i cały czas uczymy się czegoś nowego, bo ciągle trzeba iść naprzód, jeśli rzeczywiście chce się być wielką artystką. Ale jest mnóstwo takich aktorów, którzy źle traktują swych wielbicieli – nie chcą dawać autografów ani nic – ale my takie nie jesteśmy. Nie mamy z takimi nic wspólnego. Czasem nawet zapraszamy jakąś dziewczynę prosto z ulicy na herbatę i rozmawiamy z nią, jakby była jedną z nas, bo wiemy dobrze, że wszystko, co mamy, zawdzięczamy wierności naszych wielbicieli.

Drżała wewnątrz z przerażenia, ale nie mogła się powstrzymać. Wypłynęła zbyt daleko, na zbyt niebezpieczne wody – i lada chwila mogła utonąć.

– Ja się nie zorientowałem z początku – powiedział Ernest – że ty już grałaś w filmach. Czy jesteś już gwiazdą?

– Tak – przyznała Norma. – Ale tutaj nazywam się inaczej niż w Hollywood.

– A pod jakim nazwiskiem grasz w filmach?

– Nie mogę powiedzieć – rzekła Norma. – Pan jest jedynym człowiekiem tutaj, który wie o mnie całą prawdę. Nie zdradzi mnie pan?

– Na pewno nie – powiedział Ernest. – Daj mi list. Ja już dopilnuję, żeby go dostał.

– Pan dopilnuje, żeby kto dostał co? – powiedziała Alice, stając w drzwiach. – Co wy tu robicie sami we dwoje w sypialni? – Jej wzrok błędniał podejrzliwie, szukając dokoła dowodów, prześliznął się po walizce leżącej na łóżku, zatrzymał chwilę na poduszce, przypatrzył uważnie narzucie i przeniósł na Normę. I znów oczy jej ruszyły w dalszą wędrówkę przez stopy i nogi Normy, chwilę zwolniły na spódnicy, zawahały się na biodrach, aż w końcu przywarły do jej spłonionej twarzy.

Norma stała zmieszana i przerażona, krew nabiegła jej do policzków. Alice oparła ręce na biodrach.

– Ja właśnie zabierałem walizkę i Norma prosiła, żebym wziął ze sobą list do jej kuzyna w Los Angeles – powiedział Ernest, chcąc załagodzić sytuację.

– Ona nie ma kuzyna w Los Angeles.

– Ależ ma – powiedział gniewnie Ernest. – Ja go znam.

– Słuchaj pan! – krzyknęła Alice. – Ja tu nie potrzebuję, żeby mi byle tandeciarz podszczypywał moje pracownice!

– Nikt jej nie dotknął – rzekł Ernest. – Nikt jej nawet nie ruszył.

– Nie? To co pan robi w jej sypialni? Spójrz pan na nią, na jej twarz!

Wrząca w Alice histeria zaczynała kipieć. Głos jej stał się ciężki, chrapliwy i spazmatyczny. Włosy opadły na twarz, oczy zwilgotniały, wargi stały się okrutne i napięte jak u boksera, który wykańcza przeciwnika.

– Nie potrzebuję tego! Myśli pan, że chcę, żeby mi tu słabła? Żeby mi się wszędzie bękarty pętały? A my daliśmy wam nasze łóżka i nasze pokoje!

– Mówię pani, że nic się nie stało! – krzyczał Ernest. Był absolutnie bezradny wobec tego ataku szału. Wszelkie zaprzeczenia brzmiały w jego własnych uszach jak przyznanie się do winy. Nie pojmował, dlaczego to robiła, i uczucie krzywdy przyprawiało go o ból brzucha. Wzbierała w nim wściekłość.

Usta Normy były otwarte, zarażał ją mikrob hysterii. Wraz z oddechem wydobywał się z niej chrapliwy jęk. Ręce tłukły o siebie, jakby chciały się

nawzajem zniszczyć.

Alice podeszła do Normy. Jej prawa pięść była zaciśnięta, nie wyglądała jak pięść kobiety: palce ciasno zagięte, kciuki jak przyrosłe, napięte kostki. Jej słowa były ciężkie i oślizłe.

– Wynoś się! Precz stąd! Wynocha na deszcz!

Alice napierała na Normę, Norma cofała się i okrzyk przerażenia wyrwał się z jej ust.

Tuż za drzwiami rozległy się szybkie kroki i Juan rzekł ostro:

– Alice!

Zatrzymała się. Jej otwarte usta obwisły, w oczach błysnęło przerażenie. Juan powoli wszedł do pokoju. Dłonie zahaczył kciukami o kieszenie kombinezonu. Podeszedł do niej lekko niby kot. Złoty pierścionek na amputowanym palcu błyszczał blado w ołowianym świetle idącym od okna. Wściekłość Alice przeszła w przerażenie. Kurczyła się i cofała przed nim wzdłuż łóżka – aż natrafiła na ścianę i stanęła.

– Nie bij! – szepnęła. – Proszę, tylko nie bij.

Juan podeszedł do niej blisko i jego prawa ręka wolno podniosła się do jej ramienia, chwytając je tuż nad łokciem. Patrzył na nią – nie poprzez nią, nie mimo niej. Potrząsnął nią lekko, wyprowadził z pokoju i zamknął drzwi.

Ernest i Norma patrzyli na zamknięte drzwi, niemal nie oddychając. Juan poprowadził Alice do sypialni, położył na łóżku i delikatnie obrócił. Alice opadła na łóżko bezwolnie, jak kaleka, na wznak, nie spuszczać oszalałego wzroku z Juana. Wziął poduszkę i podłożył jej pod kark. Lewą ręką, tą z obrączką na przyciętym palcu, lekko dotknął jej policzka.

– Poczujesz się lepiej za chwilę – powiedział.

Skrzyżowała na twarzy ramiona, a jej szloch był zduszony, szorstki i suchy.

ROZDZIAŁ 5

Bernice Pritchard, pan Pritchard i ich córka Mildred siedzieli w restauracji przy stoliku na prawo od wejścia, tworząc małą skupioną grupkę. Siedzieli blisko siebie, bliżej niż normalnie. Dwoje starszych wyczuwało, że znaleźli się jakby pod obstrzałem. Mildred czuła, że powinna ich strzec i chronić. Dziwiła się często, w jaki sposób jej rodzice w ogóle przetrwali na tym złym i okrutnym świecie. Uważała ich za naiwne, bezbronne dzieci i w odniesieniu do swej matki miała w pewnym stopniu rację. Ale Mildred nie brała pod uwagę tego, że dzieci są niezniszczalne i mocne właśnie dlatego, że im się stale ustępuje. A w Bernice było coś niezniszczalnego. Była raczej przystojna. Miała prosty nos, którego kształt uformowało noszone od bardzo dawna pince-nez; górna chrząstkowata część jej nosa ścieniała pod naciskiem szkielec i tam, gdzie ich oprawa dotykała skóry, widniały dwie czerwone plamki. Była krótkowidzem o fiołkowych oczach, co przydawało jej słodkiego, jakby do siebie skierowanego spojrzenia. Bardzo kobieca i czyściutka, ubierała się troszeczkę staromodnie. Czasem nosiła żabociki i staroświeckie broszki. Jej bluzki zawsze zdobiła jakaś koronka czy haft, a kołnierze i mankiety zawsze były nienagannie czyste i zaprasowane. Używała wody lawendowej, jej skóra i ubranie zawsze pachniały lawendą i innym jeszcze – niemal niewyczuwalnym – jej własnym zapachem. Miała zgrabne, cienkie w kostce nogi i kształtne stopy, które stroiła w bardzo drogie pantofle, sznurowane, z gienzowej skóry, lekko wygięte na podbiciu. Usta miała znużone i dziecinne, miękkie i bez charakteru. Mówiła bardzo niewiele, ale w swoim środowisku uchodziła za

dobrą i rozsądną; za dobrą – bo o innych ludziach mówiła tylko przyjemne rzeczy, a za rozsądną – bo nie wyrażała swojego zdania o niczym z wyjątkiem perfum i jedzenia. Przyjmowała opinie i przekonania innych ze spokojnym uśmiechem, jakby wybaczała im, że w ogóle mają jakieś opinie i przekonania. A w rzeczywistości nie słuchała, co inni mówią.

Czasem zdarzało się, że Mildred wygłaszała swoje polityczno-ekonomiczne teorie, i wtedy wszystkowiedzący i wybaczący uśmiech matki doprowadzał ją do łez wściekłości. Po długim dopiero czasie przekonała się, że jej matka słucha wyłącznie wtedy, gdy ktoś mówi o ludziach lub miejscach, o rzeczach konkretnych. Bernice nigdy nie zapominała żadnego szczegółu dotyczącego zakupów albo kolorów, albo cen. Pamiętała doskonale, ile zapłaciła za czarne zamszowe rękawiczki siedem lat temu. Przepadała za rękawiczkami i pierścionkami – pierścionkami wszelkiego rodzaju. Miała ich ogromną kolekcję, a zawsze nakładała wraz z innymi swój mały zaręczynowy pierścionek z brylancikiem i złotą ślubną obrączkę. Te dwa pierścionki zdejmowała wtedy tylko, gdy miała się kąpać. Zanurzała je w wodzie z amoniakiem, którą nalewała do umywalki i w której moczyła też grzebień i szczotkę. Amoniak dobrze czyści pierścionki i dodaje blasku brylantom.

Jej pożycie małżeńskie było dosyć przyjemne; bardzo lubiła swego męża. Zdawało jej się, że zna jego słabostki, jego zamysły i pragnienia. Była jednak nieco upośledzona, bo z jakichś organicznych przyczyn nie doznawała nigdy pełnego seksualnego zadowolenia w pożyciu małżeńskim; cierpiała również na nadkwasotę, przez co nie mogła zajść w ciążę bez uprzedniego sztucznego zneutralizowania kwasów w organizmie. Obie te przypadłości uważała za stan normalny, a za nienormalne i w złym guście – że ktoś tych przypadłości nie ma. O kobietach pobudliwych mówiła jako o kobietach „tego rodzaju” i współczuła im jak narkomanom czy alkoholikom.

Z początku ulegała pożądliwości swego męża, potem stopniowo przez słaby, ale stały opór stępiła ją i opanowała, aż w końcu zdławiła; męzowskie porywy w jej kierunku stawały się rzadsze i rzadsze – i sam uwierzył, że osiągnął już wiek, w którym te sprawy nie mają znaczenia.

Była na swój sposób bardzo mocną kobietą. Prowadziła dobrze zorganizowany, czysty i wygodny dom, przygotowywała posiłki pożywne, lecz pozbawione smaku. Nie dodawała do nich żadnych przypraw, gdyż dawno temu nauczono ją, że ostre przyprawy wzbudzają męską pożądliwość. Wszyscy troje – pan Pritchard, Mildred i ona sama – nigdy nie tyli, zapewne z powodu jałowości jedzenia. Nie pobudzało apetytu.

Przyjaciółki Bernice uważały ją za najśodsza, najbardziej altruistyczną istotę, jaką znały, i często mówiły o niej jak o świętej. Bernice zwykle też mówiła, że jest niezasłużenie szczęśliwa, gdyż posiada najlepsze, najwierniejsze na świecie przyjaciółki.

Kochała kwiaty – hodowała je i ścinała. W jej domu zawsze stały wielkie wazony pełne kwiatów i jej przyjaciółki twierdziły, że czują się tam jak w kwaciarni, bo Bernice tak pięknie umiała układać bukiety.

Nie zażywała lekarstw i często cierpiała w milczeniu na obstrukcję. Ale nigdy nie była naprawdę ciężko chora. Łamanie w kościach, klucie w boku czy ucisk, jaki czasem odczuwała w okolicy serca, napępniały ją przekonaniem, że niedługo umrze – ale przed nikim się z tym nie zdradzała. Pewna była, że umrze przy porodzie Mildred, i przedtem uporządkowała dokładnie wszystkie swoje sprawy, by oszczędzić niepotrzebnych kłopotów panu Pritchardowi. Napisała nawet list, który miał być otwarty po jej śmierci; radziła mu ożenić się drugi raz, aby dziecko nie było pozbawione macierzyńskiej opieki. Później zniszczyła ten list.

Jej ciało i umysł były leniwe i ospałe; gdzieś w głębi siebie walczyła z męczącą zawiścią, zazdroszcząc tym, którzy, jak jej się zdawało, żyli szczęśliwie, podczas gdy jej życie było szare i bezbarwne. Niewiele rozumiała i dlatego zawsze w życiu trzymała się utartych prawideł:

wykształcenie jest potrzebne; samokontrola jest konieczna; wszystko należy robić we właściwym czasie i na właściwym miejscu; podróże kształcą. Właśnie ten ostatni aksjomat przekonał ją ostatecznie do spędzenia wakacji w Meksyku.

Sama nie wiedziała, jak do tego doszło. Był to długi, powolny proces, na który złożyły się luźne uwagi, rozmaite sugestie i przypadkowe spostrzeżenia – tysiące drobiazgów, aż w końcu wszystko to razem przeważyło. Tak naprawdę, to nie chciała jechać do Meksyku. Chciała jedynie być w Meksyku po to, by wrócić stamtąd do swoich przyjaciółek. Jej mąż w ogóle nie chciał tam jechać. Robił to jedynie dla swej rodziny i po to, żeby, jak się spodziewał, taka podróż rozwinęła go kulturalnie. Mildred chciała jechać do Meksyku, ale bez rodziców. Pragnęła spotykać nowych i dziwnych ludzi i przez te spotkania stać się sama nową i dziwną. Czuła, że ma w sobie wielkie nieodkryte źródła uczucia – i pewnie je miała. Prawie każdy je ma.

Choć Bernice Pritchard uważała, że nie jest przesądna, była wyczulona na każdy dobry lub zły omen. Przeraziło ją, że na samym początku podróży do Meksyku ich autobus się zepsuł, i przewidywała, że pociągnie to za sobą szereg wydarzeń, które stopniowo odbiorą urok całej wycieczce. Uważała na wszystko, co mogłoby zakłócić spokój pana Pritcharda. Ostatniej nocy nie mogła zasnąć; długo leżała w podwójnym łóżku Chicoyów, wsłuchując się w przerywany ciężkimi westchnieniami oddech męża. Wreszcie odezwała się:

– Kiedy wrócimy, będziemy to uważali za wspaniałe przeżycie. Już jakbym słyszała ciebie opowiadającego o naszych przygodach. Będziemy się z tego śmiali.

– O, i mnie się tak wydaje – odparł pan Pritchard.

Mieli do siebie nawzajem głęboką sympatię; stosunki między nimi ułożyły się niemal jak między bratem a siostrą. Pan Pritchard sądził, że organiczne przypadłości żony są czymś, co cechuje wielkie damy. Była mu

zawsze wierna i nigdy nie miał z nią kłopotów. Podświadomie zdawał sobie sprawę z jej seksualnych ograniczeń, ale uważał, że tak właśnie być powinno. To, że był nerwowy, że miewał złe sny i że czasem czuł w okolicach brzucha dręczący i dolegliwy ból, składał na karb tego, że pił zbyt dużo kawy i miał za mało ruchu. Lubił włosy swojej żony, bo były ładne, zawsze wymyte i faliste. Lubił jej czyściutkie bluzki i suknie. Lubił słuchać, jak ją chwalono za to, że tak dobrze prowadzi dom i tak pięknie hoduje kwiaty. To była żona, z której można było być dumnym. Wychowała mu udaną córkę – piękną i zdrową dziewczynę. Bo Mildred była piękną dziewczyną; wysoka – dwa cale wyższa od ojca, pięć od matki. Odziedziczyła po matce fiołkowe oczy krótkowidza. Gdy chciała zobaczyć coś wyraźnie, zakładała okulary. Była dobrze zbudowana, miała mocne nogi, silne i smukłe w kostce, pośladki i uda proste, twarde i gładkie – dzięki temu, że uprawiała sport. Była dobrą tenisistką, a w uniwersyteckiej drużynie koszykówki była środkową. Miała duże jędrne piersi, szerokie u nasady. Nie odziedziczyła po matce jej fizjologicznych zahamowań, przeżyła już dwie przygody miłosne, które przyniosły jej wielkie zadowolenie. Zostało po nich ciche pragnienie, żeby z kimś związać się na stałe.

Mildred miała mocny, wysunięty podbródek ojca – ale usta pełne i miękkie, i lękliwe. Nosila grube szkła w czarnej oprawie, co nadawało jej wygląd studentki. Ci, którzy mało ją znali, byli zwykle zaskoczeni, gdy spotykali ją na tańcach bez okularów. A tańczyła dobrze, może trochę zbyt precyzyjnie, pewnie dlatego, że uprawiała lekkoatletykę, wyćwiczyła taneczne ruchy zbyt starannie i brakło jej swobody. Zarówno w tańcu, jak i w życiu odznaczała się lekką skłonnością do przewodzenia, ale mocny i zdecydowany partner mógł to łatwo przełamać.

Nie znaczy to, aby Mildred nie miała mocnych przekonań – ale szły one w rozmaitych kierunkach. Poświęcała się różnym sprawom i były to zwykle sprawy słuszne. Zupełnie nie rozumiała swego ojca, którego zachowanie

często ją zaskakiwało. Gdy starała się wytłumaczyć mu coś, co było rozsądne, mądre i logiczne, często odkrywała z przerażeniem jego głuchą tępotę na wszystko i absolutny brak zdolności myślenia. A potem, kiedyś, mógł nagle powiedzieć czy zrobić coś tak rozsądnego i przemyślanego, że diametralnie zmieniała swoją opinię o nim. Kiedy go już, z pewną przesadą, zasufladkowała jako karykaturę typowego biznesmena, zachłannego, zniewolonego chęcią zysku i okrutnego – jakimś swoim postępkem czy gestem całkowicie rujnował jej ustalone zdanie i okazywał się pełnym dobroci i wyrozumiałości człowiekiem.

Mildred nie знаła zupełnie osobistego, uczuciowego życia ojca – on też nic o jej wewnętrznym życiu nie wiedział. Była przekonana, że mężczyźni w średnim wieku są w ogóle pozbawieni uczuć i emocji. Miała dwadzieścia jeden lat i wyobrażała sobie, że gdy dożyje się pięćdziesiątki, wysychają w człowieku wszystkie soki, znika cała moc, bo przecież ani mężczyźni, ani kobiety w tym wieku nie są pociągający. Zakochany mężczyzna czy zakochana kobieta mający pięćdziesiąt lat – w jej oczach byłoby to coś bardzo gorszącego.

Mildred i jej ojciec tylko nie rozumieli się nawzajem – ale między Mildred i jej matką istniała głęboka przepaść. Dojrzała kobieta, pozbawiona jakichkolwiek mocniejszych pragnień i pożądań, które chciałaby zaspokoić, nigdy nie mogła stać się bliska niedojrzałej dziewczynie, która je miała. Mildred usiłowała kiedyś podzielić się z matką swymi potężnymi, ekstatycznymi przeżyciami, szukała w niej oparcia i siły, a natknęła się na pustkę, tępotę i brak zrozumienia: odepchnęło ją to od matki i zamknęła się w sobie. Długo potem nie zwierzała się nikomu z niczego i zdawało jej się, że jest jakimś wypaczonym wyjątkiem – a wszystkie inne kobiety są takie jak jej matka. W końcu pewna młoda muskularna kobieta, instruktorka hokeja na lodzie, siatkówki i łucznictwa, zdobyła zaufanie Mildred – całe jej zaufanie – a potem chciała pójść z nią do łóżka. Spowodowało to uraz,

który minął dopiero wtedy, gdy student politechniki, który miał gęste włosy i miękki głos, rzeczywiście poszedł z nią do łóżka.

Teraz już Mildred nie zwierzała się nikomu, nie szukała niczyjej rady, myślała po swojemu i czekała momentu, kiedy małżeństwo, przypadek lub śmierć rodziców uwolni ją od ich opieki. Ale kochała ich i na pewno sama by się przeraziła, gdyby zdała sobie sprawę, że pragnie, aby umarli.

Nigdy nie było prawdziwie bliskich stosunków między trojgiem tych ludzi, choć na pozór stanowili kochającą się rodzinę. Byli sobie nawzajem najukochańsi, najdrożsi, najśłodsi – ale między Juanem i Alice Chicoy wytworzyła się więź mocna, nieosiągalna dla pana i pani Pritchard. Mildred miała teraz bliskich, bardzo bliskich przyjaciół, którzy zaspokajali całkowicie jej pragnienia i potrzeby, a o których istnieniu jej rodzice nawet nie wiedzieli. Byli tacy, jacy byli. I tak musiało zostać. Ojciec Mildred uważał, że młode dziewczęta, które nago tańczyły na klubowych zabawach dla panów, są zepsute i zdeprawowane – ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że on sam, który się im przyglądał, bierze jakikolwiek udział w ich deprawacji.

Ulegając namowom żony, próbował kilkakrotnie ostrzec Mildred przed mężczyznami, powiedzieć jej, jak się ma bronić przed ich natarczywością. Dawał jej do zrozumienia, choć sam w to nie wierzył, że zna świat i jego zepsucie – a całe jego doświadczenie pod tym względem, prócz tego, co słyszał, ograniczało się do jednej wizyty w domu publicznym, klubowych zabaw dla panów i jałowej, bezwzajemnej uległości żony.

Tego ranka Mildred miała na sobie sweter, fałdowaną spódnicę i miękkie mokasyny. Wszyscy troje siedzieli skupieni przy małym stoliku w restauracji. Płaszcz trzy czwarte z czarnych lisów pani Pritchard wisiał na wieszaku tuż koło pana Pritcharda. Bo pan Pritchard strzegł tego płaszcza, podawał go żonie i zdejmował z niej, dbał, żeby był zawsze równo i starannie powieszony, a nie rzucony gdzieś niedbale. Rozczesywał palcami jego futro, gdy tylko zauważył, że było w jakimś miejscu

zwichrzone. Kochał ten płaszcz, upajał się faktem, że był bardzo drogi, lubił przyglądać się żonie, kiedy miała go na sobie, lubił słuchać, jak inne kobiety go podziwiały. Czarne lisy są futrem rzadkim, a płaszcz z czarnych lisów to coś, co warto posiadać, coś, co ma swoją cenę. Dlatego pan Pritchard uważał, że z tym płaszczem należy obchodzić się w sposób właściwy. Zawsze pierwszy przypominał o konieczności oddania go na lato do składu futer na przechowanie. On również sugerował, że nie należy zabierać go na wycieczkę do Meksyku, po pierwsze dlatego, że Meksyk jest krajem tropikalnym, a po drugie – ze względu na bandytów, którzy mogliby ewentualnie płaszcz zrabować. Lecz pani Pritchard utrzymywała, że trzeba go zabrać, bo mieli również udać się do Los Angeles i Hollywood i ponieważ słyszała, że w Mexico City noce bywają chłodne. Pan Pritchard łatwo dał się przekonać; dla niego, jak i dla jego żony, ten płaszcz z czarnych lisów był zewnętrznym wyrazem ich pozycji w społeczeństwie. Określał ich jako ludzi, którym powodzi się dobrze, którzy są konserwatywni i mają zdrowe zasady. Zawsze i wszędzie lepiej są traktowani ludzie, którzy mają futra i porządne walizki.

Płaszcz z czarnych lisów wisiał koło pana Pritcharda, a on machinalnie gładził go palcami, oddzielając dłuższe włosy od gęstego podszycia. Chwilę przedtem doszedł do nich poprzez drzwi sypialni chrapliwy krzyk Alice – i zwierzęca wulgarność jej napaści na Normę wstrząsnęła nimi głęboko. Przysunęli się do siebie tak blisko, jak tylko mogli. Mildred zapaliła papierosa, unikając wzroku matki. Pierwszy raz zapaliła w obecności matki w sześć miesięcy po ukończeniu dwudziestu jeden lat. Po pierwszej awanturze nigdy już więcej nie mówiono na temat jej palenia, ale zawsze, kiedy Mildred paliła, pani Pritchard wyrazem twarzy wyrażała swój protest.

Deszcz ustał i tylko ściekające z białych dębów krople padały na dach. Ziemia była rozmiękła, zmiażdżona ulewą, nasiąkła wodą. Zboża, przedtem już ciężkie i nabrzmiące wiosenną wilgocią, leżały teraz nieruchomymi, zmęczonymi falami, powalone deszczem na ziemię. Woda bulgotała na

polach, pospiesznie spływając do niżej położonych miejsc. Rowy przy autostradzie były przepełnione, woda w paru miejscach zalała drogę. Zewsząd dochodziło nerwowe szemranie strumyczków. Żółte maki stały nagie, odarte z płatków. Łubiny podobnie jak zboża leżały na ziemi, zbyt ciężkie, zbyt opite, by unieść głowy.

Niebo zaczynało się oczyszczać. Spoza zszarpanych chmur wyłaniały się plamy pięknego czystego nieba, po którym prześlizgiwały się jedwabiste obłoczki. Tam wysoko wiał porywisty wiatr, rozwłócząc, mącąc i splatając chmury – ale na ziemi było spokojnie, pachniało trawą, obnażonymi korzeniami roślin i robakami ryjącymi w ziemi.

Z całego terenu Rebel Corners woda spływała płytkimi strumykami do głębokiego rowu przy autostradzie. Autobus stał wymyty i lśniąco aluminiową farbą, woda wciąż jeszcze skapywała po jego bokach, a przednia szyba była pocętkowana kropelkami deszczu. W restauracji zrobiło się trochę za gorąco.

Pryszcz krzątał się przy bufecie, starając się obsłużyć gości; nigdy by mu to przedtem nie przyszło do głowy. Gdziekolwiek pracował, nienawidził pracy i pracodawcy. Ale zdarzenia dzisiejszego poranka zapadły mu głęboko w serce. Wciąż jeszcze brzmiał mu w uszach głos Juana: „Kit, wytrzymaj ręce i zobacz, czy Alice ma już dla nas kawę”. To było najprzyjemniejsze zdanie, jakie słyszał w życiu. Chciał coś dla Juana zrobić. Wyciskał sok z pomarańczy i podawał kawę Pritchardom, a jednocześnie smażył jajka i pilnował, żeby tosty się nie przypaliły.

– Wszyscy zjemy jajecznicę – zaproponował pan Pritchard. – To ułatwi sprawę. Dla mnie proszę po prostu rozbić jajka na patelni i smażyć, aż będą gęste i suche.

– OK – powiedział Pryszcz. Lecz patelnia była zbyt rozpalona, jajka zaskwierczały i przykleiły się do niej, w powietrzu uniósł się zapach mokrego kurzego pierza, jaki zwykle wydziela się przy zbyt szybkim smażeniu jaj.

Mildred założyła nogę na nogę. Spódnica zadarła jej się nad kolanem, tak że noga odsłoniła się na całej długości – po przeciwnej stronie niż stał Prysycz. Zaprzagnął w jakiś sposób znaleźć się tam, z tamtej strony, żeby móc zobaczyć, co było do zobaczenia. Jego ruchliwe wąskie oczy strzelały spojrzeniami. Chciał ujrzeć jak najwięcej, ale bał się, że Mildred go na tym przychwyci. Szybko ułożył w głowie plan. Jeśli Mildred nie zmieni pozycji, to jak będzie niósł jajka do stolika, przewiesi sobie przez ramię serwetkę. Potem postawi talerze na stoliku, przejdzie na drugą stronę, odejdzie z dziesięć stóp i upuści niby przypadkiem serwetkę na ziemię. Pochyli się, żeby ją podnieść, spojrzy przez ramię do tyłu i wtedy właśnie będzie miał okazję obejrzenia całej nogi Mildred.

Miał już serwetkę przygotowaną i bełtał jajka, spiesząc się, żeby tylko zdążyć, zanim Mildred zmieni pozycję. Zamieszał jajka łyżką. Przywarły do patelni i musiał z wierzchu zbierać jajecznicę, żeby to, co przypalone, zostało na dnie. Mildred rzuciła okiem w stronę Prysicza i złapała szybki błysk jego oczu. Spojrzała w dół, spostrzegła, że spódnica jej się zadarła, i poprawiła ją. Prysycz widział to wszystko, choć w jej stronę nie patrzył. Wiedział, że go przyłapała, i krew nabiegła mu do policzków.

Czarny dym wzbił się nad patelnią, a niebieski dym nad maszynką do tostów. Juan wszedł cicho i pociągnął nosem.

– Mocny Boże – powiedział – coś ty narobił, Kit?

– Chciałem pomóc – odparł niepewnie Prysycz.

Juan uśmiechnął się.

– Tak, dziękuję ci, ale lepiej jednak daj sobie spokój ze smaženiem jajek.

Podszedł do gazowej kuchenki, zdjął patelnię z przypalonymi jajkami, włożył to wszystko do zmywaka i odkręcił kran. Patelnia zasyczała i zaskwierczała, potem ucichła, jakby się tylko skarżąc.

– Kit, idź do autobusu i spróbuj zapuścić silnik, tylko ostrożnie ze ssaniem, żebyś nie zalał świec. Jeśli od razu nie zaskoczy, zdejm kopułkę i przeczyść styki. Jak silnik zapali, daj mu wolne obroty przez parę minut,

potem załącz bieg, dodaj gazu i niech się koła kręcą. Ale uważaj, żeby wóz się nie zsunął z kobyłek. Niech silnik pracuje równo.

Pryszcz wytarł ręce.

– Czy sprawdzić przedtem poziom oleju?

– Tak, zobacz. Sam już wiesz dobrze, co trzeba robić. Po nocy olej był bardzo gęsty.

– Mógł opaść – rzekł Pryszcz. Zapomniał już zupełnie o nogach Mildred. Promieniał ze szczęścia, bo Juan go pochwalił.

– Kit, nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał nasz autobus ukraść, ale uważaj na niego.

Pryszcz zaśmiał się schlebiająco z żartu szefa i wyszedł z restauracji. Juan spojrział zza bufetu.

– Moja żona nie czuje się dobrze – powiedział. – Co byście chcieli? Więcej kawy?

– Tak – odezwał się pan Pritchard. – Ten chłopiec próbował smażyć jajka, ale je przypalił. Moja żona lubi jajka niezbyt wysmażone...

– Jeżeli świeże – wtrąciła pani Pritchard.

– Jeżeli świeże – powtórzył pan Pritchard. – A dla mnie proszę dobrze wysmażone.

– Jajka są świeże – rzekł Juan. – Prosto z lodu.

– O, ja nie chcę mrożonych jaj – powiedziała pani Pritchard.

– Mamy tylko takie. Nie będę przecież kłamał.

– To ja chyba zjem pączka – zdecydowała pani Pritchard.

– Ja tak samo – rzekł pan Pritchard.

Juan jawnie i z uznaniem przyglądał się nogom Mildred. Spojrzała na niego. Powoli odwracał wzrok, a jego czarne oczy były pełne podziwu i tak otwarcie zachwycone, że Mildred lekko się zarumieniła. Poczowała ciepło gdzieś w głębi brzucha. Przeszedł ją szybki, elektryczny wstrząs.

– Och... – Spojrzała w inną stronę. – Poproszę jeszcze kawy. I chyba też zjem pączka.

– Zostały tylko dwa pączki – powiedział Juan. – Dam wam dwa pączki i naleśnik z serem. Bijcie się między sobą, kto co zje.

Silnik autobusu zapalił gwałtownie i z hałasem, przez chwilę pracował nieregularnie, słychać było wybuchy, a potem przestał się dławić i przeszedł w jednostajny pomruk.

– Brzmi dobrze – powiedział Juan.

Ernest Horton wszedł cicho, jakby skrycie, przez drzwi wiodące do sypialni i zamknął je za sobą bezgłośnie. Podeszedł do pana Pritcharda i położył przed nim na stole sześć płaskich paczuszek.

– Oto są – powiedział. – Wszystkie sześć.

Pan Pritchard wyciągnął portfel.

– Ma pan resztę z dwudziestu? – zapytał.

– Nie, nie mam.

– Może mi pan zmienić dwudziestkę? – zwrócił się pan Pritchard do Juana.

Juan nacisnął guzik automatycznej kasy i wyciągnął szufladkę z banknotami.

– Mam tylko dwie dziesiątki – powiedział.

– W porządku – rzekł Ernest Horton. – Mam przeszło dolara drobnymi. Należy mi się pięć dolarów. – Wziął jeden z papierków dziesięciodolarowych i dał panu Pritchardowi dolara reszty.

– Co to takiego? – zapytała pani Pritchard. Wzięła jedną z paczuszek do ręki, ale pan Pritchard ją wyrwał.

– Nie ruszaj – powiedział tajemniczo.

– Ale co to jest?

– To nie twoja sprawa – powiedział pan Pritchard żartobliwie. – Niedługo się dowiesz.

– Niespodzianka?

– Tak! A małe dziewczynki niech się lepiej nie wtrącają do nie swoich spraw!

Pan Pritchard nazywał swoją żonę „małą dziewczynką”, kiedy był w nastroju żartobliwym, a ona automatycznie dostosowywała się do jego tonu.

– A kiedy małe dziewczynki dostaną ładne prezenciki?

– Niedługo już się dowiedzą – powiedział pan Pritchard, wsadzając paczuszki do bocznej kieszeni marynarki. Pragnął przy najbliższej okazji wejść, kulejąc, do pokoju. Wymyślił nowy wariant tego żartu. Będzie udawał, że noga go boli tak bardzo, że nie jest w stanie sam zdjąć buta i skarpetki. Poprosi żonę, żeby mu zdjęła. Cóż to będzie za zabawa śledzić wyraz jej twarzy! Chyba zemdleje z przerażenia, gdy zobaczy jego zmiądzoną stopę.

– Co to jest, Elliott? – znów zapytała nieco rozkapryszonym głosem.

– Wkrótce się przekonasz, bądź tylko cierpliwa, mała dziewczynko.

– Wie pan co? – zwrócił się do Ernesta. – Przyszedł mi do głowy nowy pomysł. Powiem panu później.

– Ano tak – rzekł Ernest. – Dlatego właśnie kręci się świat. Ma się nowy pomysł i jest się załatwionym na całe życie. To nie musi być coś nadzwyczajnego. Po prostu dobry pomysł, chwyt, jak to mówią w Hollywood. Tak bywa z filmem: bierzesz kicz, robisz mały retuszyk, nie za wiele, tylko to, co konieczne, i już coś z tego masz.

– To brzmi rozsądnie – rzekł pan Pritchard. – Tak, szanowny panie, to brzmi bardzo rozsądnie.

– Czasem bywa rozmaicie z tymi nowymi pomysłami – powiedział Ernest. Siadł na stołku przy bufecie i skrzyżował nogi. – Często pozornie dobry pomysł okazuje się zły. Sam raz zrobiłem coś w rodzaju wynalazku i zdawało mi się, że będę mógł sobie potem spokojnie żyć – i nic, tylko liczyć pieniądze. Ale pomyliłem się. Pan wie, jest mnóstwo takich gości jak ja, co ciągle podróżują i mieszkają na walizkach. Może się zdarzyć, że w czasie tych podróży trzeba brać udział w jakichś uroczystych zebraniach albo że trzeba się z kimś umówić w eleganckim lokalu, i tu właśnie

zaczynają się kłopoty. Bo na takie okazje należy wkładać smoking. A smoking zabiera masę miejsca w walizce, choć używa się go raz czy dwa w czasie całej podróży. Więc wpadłem na taki pomysł: przypuśćmy, powiedziałem sobie, że ma się porządne, ciemne reprezentacyjne ubranie – ciemnogrnatowe, czarne albo z oksfordu – i przypuśćmy, że zrobi się takie małe jedwabne nakładki na klapy i wąskie, przyczepiane do spodni lampasy. Po południu nosi się eleganckie ciemne ubranie, a potem na wieczór zakłada się jedwabne klapy, do spodni przyczepia lampasy i ma się smoking. Zaprojektowałem nawet specjalny futerał do tego.

– Co pan mówi! – wykrzyknął pan Pritchard. – Toż to doskonały pomysł! Ileż miejsca zajmuje w walizce mój smok! Sto razy bym wolał wziąć ze sobą coś takiego. Gdyby pan tę rzecz opatentował i przeprowadził kampanię reklamową na wielką, narodową skalę i gdyby jeszcze jakiś gwiazdor filmowy to zareklamował, wówczas...

Ernest złapał go za rękę.

– Tak i ja sobie wyobrażałem – powiedział. – I pomyliłem się, tak jak pan się myli. Opracowałem wszystko, narysowałem projekty z objaśnieniami, jak to się będzie zakładać i jak mają wyglądać pętelki do przytwierdzania lampasów; miałem przyjaciela specjalistę, komiwojażera wielkiej firmy ubraniowej – Ernest zaśmiał się w tym miejscu – i on szybko wybił mi to z głowy. „Będziesz miał zaraz na karku wszystkich krawców i wszystkich fabrykantów ubrań – powiedział mi – oni sprzedają w całym kraju smokingi po pięćdziesiąt do stu pięćdziesięciu dolarów, a ty nagle zjawiasz się z pomysłem za dziesięć dolarów, który zabiera im sprzed nosa cały dochód. Oni by cię od razu wygryźli, zniszczyli i wygnali z kraju.

Pan Pritchard pokiwał poważnie głową.

– Tak. Wiem, o co idzie. Muszą bronić siebie i swoich akcjonariuszy.

– To, co powiedział mój przyjaciel, nie brzmiało zachęcająco – ciągnął dalej Ernest. – Wyobrażałem sobie, że ktoś podróżujący samolotem, gdzie obowiązuje ograniczenie wagi bagażu... wyobrażałem sobie, że taki

człowiek ma prawo oszczędzać miejsca w walizce. Bo jeśli chodzi o wagę, to byłoby tak, jakby dwa ubrania ważyły tyle, co jedno. Potem myślałem, że może firmy sprzedające biżuterię zainteresują się tym. Komplet spinek do koszuli i mankietów razem z jedwabnymi nakładkami na klapy i lampasami do spodni – wszystko razem w estetycznym opakowaniu. Jeszcze tego nie ruszyłem, jeszcze się nie informowałem w tej sprawie. Może są jakieś szanse.

– Pan i ja powinniśmy dłużej ze sobą porozmawiać – rzekł pan Pritchard.

– Czy pan to opatentował?

– Nie. Nie chciało mi się wydawać pieniędzy, zanim ktoś się zainteresuje.

– Może pan ma i rację – powiedział pan Pritchard. – Urzędy patentowe i wszystko razem kosztuje trochę pieniędzy. Być może ma pan rację. – Zmienił nagle temat. – Kiedy ruszamy? – zapytał Juana.

– Greyhound przychodzi tu koło dziesiątej. Zostawia pocztę i pasażerów. Powinniśmy ruszyć o dziesiątej trzydzieści. Zgodnie z rozkładem. Czy chcecie jeszcze czegoś? Więcej kawy?

– Więcej kawy – powiedział pan Pritchard.

Juan podał kawę i spojrzał przez okno na autobus, którego koła wciąż obracały się w powietrzu. Pan Pritchard zerknął na zegarek.

– Mamy jeszcze godzinę czasu – powiedział.

Wysoki, przygarbiony starszy człowiek przeszedł na zewnątrz, wzdłuż budynku. Był to też pasażer autobusu, nocował w łóżku Pyszcza. Otworzył drzwi do restauracji, wszedł i usiadł na stołku przy bufecie. Z powodu artretyzmu miał sztywną szyję i głowę stale pochyloną do przodu, koniec nosa zwrócony ku ziemi. Chyba przekroczył już sześćdziesiątkę. Brwi zwisały mu na oczy – jak długowłosemu gryfonowi. Górna warga była pobrużdżona, wygięta w łuk nad zębami, przypominała ryjek tapira – mięsisty i chwytny. Żółtawozłote oczy nadawały mu wyraz okrucieństwa.

– Nie podoba mi się to wszystko – powiedział bez żadnych wstępów. – Nie podobało mi się to wczoraj, kiedy autobus się zepsuł, a jeszcze mniej

podoba mi się dziś.

– Już skrzynia biegów jest w porządku – rzekł Juan. – Wszystko działa dobrze.

– Chyba zrezygnuję z dalszej podróży i wrócę do San Ysidro Greyhoundem – powiedział starszy człowiek.

– Proszę bardzo, jak pan chce.

– Mam dziwne uczucie. Nie podoba mi się to wszystko – ciągnął tamten.

– Coś mnie ostrzega. Już parę razy w życiu miewałem takie wewnętrzne ostrzeżenie. Raz nie posłuchałem i źle się to skończyło.

– Autobus jest w porządku – powiedział Juan, podnosząc nieco głos w zniecierpliwieniu.

– Nie mówię o autobusie. Ja się urodziłem w tym kraju i spędziłem tu całe życie. Wszędzie teraz ziemia nasiąka wodą. Rzeka San Ysidro przybiera. Pan wie, jak San Ysidro szybko przybiera. Zwłaszcza pod Pico Blanco, gdzie spływa do Lone Pine Canyon i gdzie jest ta wielka pętla. Cała woda z okolicy, każda kropla idzie do San Ysidro. Na pewno już w tej chwili rzeka porządnie wzbiera.

Pani Pritchard zaczęła się niepokoić.

– Czy sądzi pan, że grozi niebezpieczeństwo?

– Ależ kochanie! – powiedział pan Pritchard.

– Mam dziwne uczucie – odezwał się znowu starszy człowiek. – Dawna droga szła wokół tej pętli rzeki i w żadnym miejscu jej nie przecinała. Trzydzieści lat temu niejaki pan Trask postarał się zostać inspektorem drogowym w tym okręgu. Stara droga nie była dla niego dosyć dobra! Zbudował dwa mosty na pętli – a co przez to zyskał? Dwanaście mil. To wszystko. Kosztowało to nasz okręg dwadzieścia siedem tysięcy dolarów! Pan Trask był oszustem.

Obrócił swój sztywny kark i zaczął się badawczo przyglądać Pritchardom.

– Oszust. Właśnie miał stanąć przed sądem za coś tam jeszcze innego – i umarł. Trzy lata temu. Umarł, będąc bogatym człowiekiem. Jego dwóch

synów studiuje na Uniwersytecie Kalifornijskim – za pieniądze podatników.
– Przystał mówić i jego górna warga zaczęła poruszać się i przesuwać po długich żółtych zębach. – Te mosty nie wytrzymają żadnego większego naporu, puszczą. Beton nie jest dostatecznie mocny. Nie jadę dalej, wracam do San Ysidro – rzekł po chwili.

– Przedwczoraj rzeka była w porządku – powiedział Juan. – Było w niej ledwo, ledwo wody.

– Pan nie wie, co to jest San Ysidro! Może wezbrać w kilka godzin. Już ją widywałem szeroką na pół mili. Pływały w niej zdechłe krowy i całe kurniki. Nie, teraz znów czuję ten wewnętrzny niepokój. Nie jadę i już. A nie jestem przesądny!

– Przypuszcza pan, że autobus nie będzie mógł przejechać przez most?

– Ja nie przypuszczam, ja wiem na pewno: Trask był oszustem. Zostawił spadek wartości trzydziestu sześciu i pół tysiąca dolarów. Jego synowie wydają teraz te pieniądze.

Juan wyszedł z bufetu i podszedł do telefonu.

– Halo! – powiedział. – Proszę stację obsługi Breeda na drodze do San Juan. Nie, nie znam numeru. – Poczekał chwilę, potem mówił dalej: – Hallo, tu mówi Chicoy z Corners. Jak tam rzeka? O, taak? A most w porządku? Dziękuję. OK. Niedługo się zobaczymy. – Odwiesił słuchawkę. – Rzeka wezbrała – wyjaśnił. – Powiadają, że most jest w porządku.

– Rzeka przybiera pewnie teraz dobrą stopę na godzinę, bo cała woda z Pine Canyon spływa do niej. Most może być zerwany, zanim pan do niego dojedzie.

Juan spojrzał na niego zniecierpliwiony.

– Co pan właściwie chce ode mnie? – zapytał. – Żeby nie jechał?

– Niech pan robi, co się panu podoba. Ja w każdym razie nie jadę. Nie chcę znowu wyjść na durnia; nie będę robił tego rodzaju głupstw. Już raz miałem to samo przeczucie, co teraz, nie zwracałem na to uwagi i zламаłem

obie nogi. O nie, szanowny panie; jak wczoraj autobus się zepsuł, już czułem, co się święci!

– W porządku. Może pan się uważać za skreślonego z listy pasażerów – powiedział Juan.

– Dobrze; już nie powiem wam słowa więcej o Trasku. Powiedziałem tylko to, co było. Sami możecie wyciągać wnioski. Trzydzieści sześć i pół tysiąca dolarów!

– Przypuśćmy, że most jest zerwany. To co wtedy? – zapytał Ernest Horton.

– Nie będziemy mogli przez niego przejechać – powiedział Juan.

– I co? Zawrócimy z powrotem?

– Pewnie – rzekł Juan. – Albo zawrócimy, albo przeskoczmy rzekę.

Stary przygarbiony człowiek spojrzał dokoła z uśmiechem triumfu.

– Widzicie? – powiedział. – Wróćcie tutaj, ale autobusu do San Ysidro już nie będzie. A jak długo będziecie tu czekać? Miesiąc? Póki nie zbudują nowego mostu? A wiecie, kto jest nowym inspektorem drogowym w tym okręgu? Chłopak prosto z uczelni. Wie wszystko z książek, żadnej praktyki. O, tak, on wie, jak narysować most, ale czy potrafi go zbudować? Ano, zobaczymy!

Juan nagle się roześmiał.

– To świetne – powiedział. – Stary most jeszcze stoi, a pan martwi się o ten nowy, co go jeszcze nie ma.

Starszy człowiek przekrzywił na bok swój bolący kark.

– Znów pan zaczyna, co? – zapytał.

Przez sekundę w czarnych oczach Juana zamigotało ciemnoczerwone światło.

– Tak – powiedział. – Niech się pan nie martwi, odeślę pana Greyhoundem. Nie zabrałbym pana dziś do San Ysidro.

– Nie ma pan prawa wyrzucać mnie z autobusu. Pan musi obsługiwać publiczność.

– OK – rzekł Juan znużonym głosem. – Czasem sam się sobie dziwię, że trzymam ten autobus. Może już wkrótce dam sobie z tym wszystkim spokój. Tylko zawracanie głowy. Pan ma jakieś tam przecucia? Brednie!

Bernice Pritchard bardzo uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

– Nie wierzę w żadne przecucia – odezwała się. – Ale słyszeliśmy, że podobno w Meksyku jesienią są suche, a za to deszcze padają latem.

– Mamo – odezwała się Mildred. – Pan Chicoy dobrze zna Meksyk. Urodził się tam.

– Ach, tak? Więc może pan mi powie, czy teraz jest tam sucho, czy nie?

– W niektórych miejscach jest sucho – powiedział Juan. – Zapewne w tych, do których państwo jadą. W innych nigdy nie bywa sucho.

Pan Pritchard odchrząknął.

– My jedziemy do Mexico City i do Puebli, a potem do Cuernavaca i Tasco, i być może zrobimy wycieczkę do Acapulco, żeby zobaczyć wulkan, jak nam się uda.

– O, tam będzie sucho – powiedział Juan.

– Zna pan te miejscowości? – dopytywał się pan Pritchard.

– Pewnie!

– Jak tam jest z hotelami? – pytał dalej pan Pritchard. – Sam pan wie, jakie są te biura podróży; według nich zawsze wszystko jest wspaniałe. Ale czy rzeczywiście są tam porządne hotele?

– Wspaniałe – rzekł, śmiejąc się, Juan. – Doskonale. Co rano podają śniadanie do łóżka.

– Ja naprawdę nie chciałem wam sprawiać kłopotu – powiedział pan Pritchard.

– Ależ wszystko w porządku. – Juan oparł łokcie na bufecie i zaczął mówić przyciszonym głosem: – Czasem mam tego już trochę dosyć. Prowadzę ten przekłety autobus tam i z powrotem, tam i z powrotem. Czasem mam ochotę pojechać nim prosto na te wzgórza. Czytałem raz o jakimś kapitanie promu w Nowym Jorku, który pewnego dnia wyszedł

nim prosto w morze – i wszelki słuch o nim zaginął. Może zatonął – a może żyje sobie gdzieś na jakiejś wysepce. Ja go rozumiem.

Wielki czerwony ciągnik z przyczepką przejechał autostradą, zwalniając, gdy mijał Rebel Corners. Kierowca spojrział w okna restauracji. Juan szybko zamachał ręką. Kierowca włączył drugi bieg, przyspieszył i pojechał dalej.

– Myślałem, że tu zajedzie – powiedział pan Pritchard.

– On lubi ciastka z malinami – rzekł Juan. – Zawsze zatrzymuje się, jak są. Właśnie dałem mu znak, że nie ma.

Mildred patrzyła zafascynowana na Juana. Ten ciemny mężczyzna o dziwnych gorących oczach miał w sobie coś, co ją głęboko poruszyło. Pociągał ją. Chciała wzbudzić w nim zainteresowanie – jego specjalne zainteresowanie dla niej. Odrzuciła w tył ramiona, jej piersi wzniosły się i nabrzmiały.

– Dlaczego wyjechał pan z Meksyku? – zapytała. Zdjęła okulary, żeby widział ją bez nich, jak będzie odpowiadał. Oparła się o stolik i dotykając wskazującym palcem kącika lewego oka, odciągnęła w tył skórę i powiekę. Zmieniała w ten sposób ogniskową oka i lepiej mogła widzieć jego twarz. Oczy jej stawały się przy tym marzące i podłużne – a oczy miała piękne.

– Nie wiem, dlaczego wyjechałem – zwrócił się do niej Juan. Wydawało się, że obejmuje ją i pieści swym gorącym wzrokiem. I Mildred poczuła gdzieś w głębi brzucha słabość i słodycz. Muszę z tym natychmiast skończyć – pomyślała. – To szaleństwo. Mignęło jej w myślach erotyczne wspomnienie.

– Ludzie tam muszą ciężko pracować, jeżeli nie są bogaci. Muszą zbyt ciężko pracować po to, by zarobić za mało pieniędzy. Myślę, że chyba dlatego wyjechałem.

– Pan bardzo dobrze mówi po angielsku – odezwała się Bernice Pritchard.

– Co w tym dziwnego? Moja matka była Irlandką. Uczyłem się jednocześnie dwu języków.

– Ale pan jest obywatelem meksykańskim? – zapytał pan Pritchard.
– Chyba tak – powiedział Juan. – Nigdy nic nie robiłem w tej sprawie.
– Zawsze lepiej mieć dokumenty w porządku – rzekł pan Pritchard.
– Po co?
– Zawsze lepiej.
– Dla rządu bez różnicy. I tak ściągają ze mnie podatki i mogą mnie wziąć do wojska.

– A jednak byłoby lepiej – powtórzył pan Pritchard.

Oczy Juana igrały z ciałem Mildred, muskały jej piersi, prześlizgiwały się po biodrach. Spostrzegł, że westchnawszy lekko, wygięła plecy – i gdzieś głęboko zadrgał w nim impuls nienawiści. Nie bardzo silny, bo nie było jej wiele w Juanie, ale miał w sobie indiańską krew i z mrocznej przeszłości brała się ta nienawiść do *ojos claros* – jasnookich, do rasy blondynów. Była to nienawiść i wstręt. Ludzie o jasnych oczach zabierali im przez całe stulecia najlepszą ziemię, najlepsze konie, najlepsze kobiety. Wstrząsnęło nim jak od porażenia piorunem, zalało go przyjemne ciepło satysfakcji, że oto, gdyby tylko zechciał, mógłby wziąć sobie tę dziewczynę. Zgnieść ją i zniweczyć. Mógłby stłamsić ją, zgwałcić moralnie i fizycznie, a potem odrzucić. Zalała go fala okrucieństwa i nie próbował jej powstrzymać. Głos jego stał się głębszy i cieplejszy. Mówił wprost do fiołkowych oczu Mildred.

– Choć nie mieszkam w moim kraju, mam dla niego wiele miłości w sercu. – Wewnętrznie śmiał się z tych słów. Ale Mildred się nie śmiała. Pochyliła się nieco do przodu, odciągając w tył kąciaki obu oczu, żeby lepiej widzieć jego twarz. – Wiele rzeczy pamiętam – mówił Juan. – W moim rodzinnym mieście na głównym placu zbierali się publiczni pisarze listów, którzy załatwiali wszystkie sprawy tym, co nie umieli czytać i pisać. To byli bardzo uczciwi ludzie. Musieli być uczciwi. Gdyby nie byli, ludzie ze wsi zaraz by się o tym dowiedzieli. Oni dużo wiedzą, ci prości ludzie z gór. Pamiętam, jak raz, pewnego ranka (jeszcze byłem małym chłopcem),

siedziałem sobie na ławce na tym placu. Właśnie w mieście odbywała się fiesta ku czci jakiegoś świętego. Kościół był pełen kwiatów, na placu stały stragany ze słodyczami i mała karuzela, i diabelski młyn. Całą noc ludzie puszczali rakiety, które dotrzeć miały do świętego. A w parku jakiś Indianin zbliżył się do pisarza listów i tak powiedział: „Chcę, żebyś mi napisał list do człowieka, u którego pracuję. Ja ci powiem, co ja chcę mu powiedzieć, a ty wyrazisz to w pięknej i właściwej formie, aby czasem nie pomyślał, że nie jestem uprzejmy”. „Czy to ma być długi list?” – zapytał pisarz listów. „Nie wiem” – odparł Indianin. „Zapłacisz mi jednego peseta” – powiedział pisarz listów. Indianin zapłacił i rzekł: „Chcę, żebyś napisał człowiekowi, u którego pracuję, że nie mogę wrócić do pracy na moim polu, bo ujrzałem prawdziwe piękno i dlatego muszę tu zostać. Napisz mu, że go przepraszam i że nie chcę sprawiać mu bólu, ani jemu, ani moim przyjaciołom, ale ja nie mogę wracać. Jestem już inny i moi przyjaciele by mnie nie poznali. Byłbym nieszczęśliwy, gdybym znów miał pracować w polu, nigdy nie zaznałbym spokoju. A ponieważ stałem się inny, moi przyjaciele znienawidziliby mnie i odepchnęli. Ujrzałem gwiazdy. Powiedz mu to. I powiedz mu, żeby mój fotel dał mojemu bratu, a moją świnie i dwa prosiaki żeby dał starej kobiecie, co siedziała przy mnie, jak miałem malarię. Moje dzbany niech da mojemu zięciowi i powiedz mu, żeby został z Bogiem i w szczęściu. Powiedz mu to”.

Juan przerwał. Ujrzał rozchylone wargi Mildred i zobaczył, że jego opowiadanie przyjęła jako metaforę siebie samej.

– Co się z nim stało? – zapytała.

– No cóż, zobaczył karuzelę i już nie mógł od niej odejść – mówił dalej Juan. – Co noc sypiał przy karuzeli, wkrótce też wydał wszystkie pieniądze, jakie miał. Zaczął głodować. Wtedy właściciel karuzeli pozwolił mu kręcić korbą, która ją poruszała, i za to dawał mu jeść. Nigdy już nie opuścił karuzeli. Kochał ją. Może jeszcze tam jest.

Juan, opowiadając, stał się obcy. Jego wymowa nabrała cudzoziemskiego akcentu. Mildred westchnęła głęboko.

– Nie mogę tego pojąć – odezwał się pan Pritchard. – Więc on rozdał swoją ziemię i wszystko, co miał, i nigdy nie wrócił do siebie do domu, dlatego że zobaczył karuzelę?

– On nawet nie miał swojej własnej ziemi – powiedział Juan. – Indianie nie są właścicielami swojej ziemi. Ale rozdał wszystko, co posiadał.

Mildred spojrzała przenikliwie na ojca. To był jeden z tych momentów, kiedy odkrywała jego całą, przyprawiającą ją o mdłości głupotę. Dlaczego nie potrafi ujrzeć całego piękna zawartego w tej opowieści? Jej oczy wróciły do Juana, by mu milcząco wyrazić, że ona zrozumiała. Nagle ujrzała w wyrazie jego twarzy coś, czego przedtem nie było. Zdawało się jej, że był to okrutny triumf pełny szyderstwa, ale być może – pomyślała – oczy krótkowidza tak ją zwodzą. Przekłęte oczy, które nie potrafią dobrze widzieć. Ale to, co zdołała dostrzec, wstrząsnęło nią. Rzuciła szybkie spojrzenie na matkę i na ojca, chcąc przekonać się, czy też to zauważyli – ale oni patrzyli na Juana tępym, nierozumiejącym wzrokiem.

Ojciec jej mówił teraz wolno – w sposób, jaki doprowadzał ją do szału.

– Mogę zrozumieć, że jeśli on nigdy przedtem nie widział karuzeli, to jak ją zobaczył, zrobiła na nim ogromne wrażenie, ale przecież człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Każdy człowiek może w przeciągu kilku dni przyzwyczaić się do mieszkania w pałacu, a potem zaraz chce znów czegoś innego.

– To jest po prostu taka przypowieść – rzekła Mildred; w głosie jej było tyle wrogości, że ojciec spojrzał na nią ze zdumieniem.

Mildred niemal czuła palce Juana na swoich udach. Rozbudzone i niezaspokojone pożądanie wyculiło jej ciało. Drżała niecierpliwie, podrażniona czysto seksualnym pragnieniem, i jej złość na ojca była tak wielka, jakby przerwał jej akt miłosny. Włożyła okulary, szybko spojrzała na Juana, potem w bok – jego oczy były nieobecne, patrzył na nich

wszystkich. Przeżywał coś jakby triumf. Śmiał się z niej i z tego, co się zdarzyło, a o czym jej matka i ojciec nie mieli najmniejszego pojęcia. I nagle jej pożądanie stwardniało i zadzierzgnęło się w bolesny gruzel gdzieś w głębi brzucha, poczuła ból i gwałtowną reakcję. Myślała, że zwymiotuje.

– Nieraz już chciałem jechać do Meksyku – odezwał się Ernest Horton. – Muszę kiedyś zaproponować to zarządowi firmy. W Meksyku można robić świetne interesy. Choćby na tych ich fiestach. Tam sprzedają rozmaite nowości, nie?

– Pewnie – powiedział Juan. – Sprzedają tam różańce i święte obrazki, i rozmaite rzeczy w tym rodzaju; i cukierki, i lody.

– Tak, gdyby tam pojechał jakiś gość od nas, spec w tej branży, to dlaczego nie, moglibyśmy tam ten towar taniej dostarczać. Moglibyśmy masowo odlewać różańce z metalu – i byłyby dużo ładniejsze. I te rakiety też moglibyśmy robić. Moja firma dostarcza wszystkiego, co trzeba do urządzania największych uroczystości; wszelkiego rodzaju fajerwerki i tak dalej. To jest pomysł. Napiszę do zarządu list w tej sprawie.

Juan popatrzył na piętrzący się w zmywaku stos brudnych naczyń. Spojrzał przez ramię na drzwi wiodące do sypialni, potem otworzył je i zajrzał do środka. Łóżko było puste. Alice już wstała. Drzwi do łazienki zamknięte. Juan wrócił za bufet i zaczął zmywać naczynia.

Niebo szybko oczyszczało się z chmur i żółte słońce promieniowało na wymytą ziemię. Młode liście wielkich dębów były niemal żółte w tym czystym świetle. Zielone pola wyglądały nieprawdopodobnie młodo.

Juan zaśmiał się krótko. Ukrajał dwa kawałki chleba.

– Chyba pójdę się trochę przejść – powiedział pan Pritchard. – Pójdiesz ze mną, kochanie? – zwrócił się do żony. Spojrzała szybko na drzwi do sypialni.

– Za chwilę – powiedziała.

Zrozumiał, o co jej chodzi.

– Dobrze – rzekł. – Ja trochę wyjdę na dwór.

ROZDZIAŁ 6

Po wyjściu Juana Alice długo leżała na wznak z rękami skrzyżowanymi na twarzy. Jej płacz stopniowo cichł, jak szlochanie dziecka. Z restauracji dochodził szmer rozmów. Ramię, którym zasłaniała sobie twarz, było gorące i mokre od łez. Odczuła ulgę, odczuła dotykalne rozluźnienie napięcia, jakby zdjęto z niej sieć, która przedtem ciasno ją krępowała. Leżała rozleniwiona, wypoczywając, i powoli zaczęła sobie uświadamiać, co zaszło tego ranka. Niczym nie przypominała tej kobiety, która niedawno zrobiła Normie histeryczną awanturę. Jeszcze nie wymyśliła żadnego uzasadnienia dla swego postępowania. Teraz, kiedy o tym myślała, zdała sobie sprawę, że w rzeczywistości nie podejrzewała Normy o to, że oddała się Hortonowi; a gdyby nawet – to i tak niewiele by ją to obeszło. Alice nie lubiła Normy. Nic jej na Normie nie zależało. Żałosne bezbarwne stworzenie.

Gdy Norma zgodziła się do pracy, Alice naturalnie użyła wszystkich swoich pięciu zmysłów, niby lekarz stetoskopu, żeby zbadać, czy obecność Normy zrobiła na Juanie jakieś wrażenie. A gdy nie wykryła żadnej reakcji, gdy przekonała się, że serce nie bije mu w tempie przyspieszonym, że nie wodzi za Normą oczyma ani nie próbuje się do niej zbliżyć – w ogóle przestała się nią interesować. Traktowała ją odtąd jedynie jako automat do podawania kawy i zmywania naczyń. Alice nie bardzo zdawała sobie sprawę z istnienia jakichś przedmiotów czy osób, o ile te przedmioty czy osoby nie dodawały lub nie ujmowały czegoś, co jej było do życia

najbardziej potrzebne. Teraz, kiedy leżała wypoczęta, rozgrzana i spokojna, umysł jej zaczął pracować i ogarnęło ją przerażenie.

Wróciła myślami do porannej sceny. Zaniepokoiła ją łagodność Juana. Powinien był ją uderzyć. Dlaczego tego nie uczynił? Może ona go już nie obchodzi? Zdawkowa miękkość mężczyzny, jak się już o tym dawniej przekonała, często zapowiada jego odejście. Próbowwała przypomnieć sobie, jak wyglądają pani Pritchard i jej córka i czy Juan patrzył na którąś z nich swym gorącym spojrzeniem. Znała go. Gdy coś go nagle zafrapowało, jego oczy rozgrzewały się do czerwoności. Potem wstrząsnęło nią oburzenie, przypomniała sobie, że Juan odstąpił Pritchardom ich małżeńskie łóżko. Właśnie w tej chwili czuje woń lawendy, którą przesiąkła pościel. Poczowała nienawiść i wstręt do tego zapachu.

Nasłuchiwała odgłosów dochodzących spoza drzwi. Juan ich obsługiwał, dawał im jeść. Nie robiłby tego, gdyby coś nie wzbudziło jego zainteresowania. Powiedziałyby po prostu, że ma to wszystko gdzieś – i poszedłby szykować autobus do drogi. W Alice rósł strach i niepokój. Źle postąpiła z Normą. Ale to było łatwe. Wobec takich istot jak Norma nie należy ukrywać własnych słabości. Norma szybko zmięknie i sama się będzie upokarzać. Taka dziewczyna mało doznaje w życiu ludzkiej miłości i nawet jej najłżejszy powiew rozrzewni ją, rozczuli i oszołomi. Alice czuła pogardę do tego rodzaju tęsknot za ludzkim uczuciem. Żadne uczucie nigdy by jej z Normą nie związało. Miała wysokie wyobrażenie o sobie. Wszyscy byli przy niej mali i nieważni. Wszyscy – oczywiście z wyjątkiem Juana. Ale Juan był jakby dalszym ciągiem jej samej. Przede wszystkim należało załatwić szybko sprawę z Normą. Norma była jej potrzebna, żeby zająć się restauracją, bo Alice zamierzała się upić, jak tylko Juan odjedzie autobusem. Kiedy wróci, powie mu, że ząb ją strasznie bolał i piła, by uśmierzyć ból.

Alice nie piła często, ale dziś chciała się upić. A jeśli już się na to zdecydowała, to należało od razu zająć się przygotowaniami do

późniejszego zatarcia śladów. Juan nie cierpiał pijanych kobiet. Rozprostowała ramiona, dotąd skrzyżowane na twarzy. Oczy jej zapadły się pod ich naciskiem. Dopiero po krótkiej chwili odzyskała możliwość widzenia. Zobaczyła słońce, które łagodnie zalewało całą zieloną równinę za oknem sypialni – aż po dalekie wzgórza wznoszące się na zachodzie. Przyjemny pogodny dzień.

Przemogła bezwład ciała, podniosła się i poszła do łazienki. Zmoczyła w wodzie końce grubego włochatego ręcznika i uderzała nimi po pulchnej twarzy, żeby znikły bruzdy, jakie powstały na niej pod naciskiem rąk. Natarła mokrym końcem ręcznika twarz, nos i czoło wzdłuż linii włosów. Ramiączko stanika było zerwane. Odgarnęła suknię i przekonała się, że agrafka, którą było spięte, nie wyleciała, więc z powrotem przypięła nią zerwane ramiączko. Stanik stał się przez to trochę ciasny, postanowiła przyszyć ramiączko, jak Juan pojedzie. Oczywiście nigdy tego nie zrobi. Jak ramiączko jeszcze w paru innych miejscach się zerwie, kupi sobie nowy stanik.

Alice przyczesła włosy i umalowała usta. Jej oczy wciąż jeszcze były czerwone. Napuściła w nie pipetką trochę lekarstwa i potarła palcami powieki, żeby rozprowadzić je po gałkach ocznych. Przeglądała się przez chwilę w lustrze i wyszła z łazienki. Ściągnęła z siebie wymiętą suknię, włożyła świeżą z drukowanego, wzorzystego kretonu.

Szybko podeszła do drzwi pokoju Normy i cicho zapukała. Nie było odpowiedzi. Zapukała znowu. Z wnętrza pokoju doszedł szelest papieru. Norma podeszła do drzwi i otworzyła je. Miała szkliste oczy i wyglądała, jakby się właśnie przebudziła. W rękę trzymała ołówek do brwi.

Gdy zobaczyła Alice, na twarzy jej odbił się przestrah.

– Nie robiłam z tym człowiekiem nic złego – powiedziała pospiesznie.

Alice weszła do pokoju. Na chłodno dobrze wiedziała, jak należy postępować z Normą.

– Wiem, że nic złego z nim nie robiłaś, kochanie – powiedziała. Spuściła oczy, udając zmieszanie. Umiała postępować z młodymi dziewczętami.

– Pani nie powinna mówić tego, co pani powiedziała – rzekła Norma. – Gdyby tak ktoś słyszał! Ja nie jestem tego rodzaju dziewczyną. Staram się pracą zarobić na życie i nie sprawiać kłopotu ani sobie, ani nikomu. – W jej oczach pojawiły się łzy rozżalenia.

– Nie powinnam była tego robić – rzekła Alice – ale czułam się niedobrze. Mam okres. Sama wiesz, co się wtedy czuje. Czasem traci się zmysły po prostu.

Norma przyglądała się jej uważnie. Pierwszy raz spotkała się z miękkością w zachowaniu Alice. Pierwszy raz to Alice zależało na zjednaniu sobie Normy. Alice nie lubiła dziewcząt ani dojrzałych kobiet. Jej stosunki z innymi kobietami cechowało okrucieństwo. Gdy zobaczyła, że oczy Normy wypełniły się współczuciem – zatriumfowała.

– Wiesz, jak to jest – powtórzyła Alice. – Trochę jakby się traciło zmysły.

– Wiem – rzekła Norma. Była wrażliwa i wyczulona na miękkość i ciepło. Bolesnie pragnęła miłości, zbliżenia jakiegś ludzkiej istoty, czyjejs przyjaźni na tym bożym świecie. – Wiem – powiedziała znowu i poczuła się silniejsza i starsza od Alice, i trochę jakby wspaniale wyrozumiała w stosunku do niej – a tego właśnie chciała Alice.

Alice spostrzegła ołówek do brwi w ręku Normy.

– Może przyjdiesz pomóc w restauracji? Pan Chicoy sam obsługuje gości.

– Przyjdę za chwilę – powiedziała Norma.

Alice wyszła, zamknęła drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Chwila ciszy, potem ostry odgłos zatraskiwanej szuflady. Alice odgarnęła ręką włosy do tyłu i cicho podeszła do drzwi wiodących do restauracji. Czuła się już dobrze. Zebrała dużo wiadomości o Normie. Dowiedziała się, co Norma myśli o porannych zdarzeniach. Dowiedziała się, gdzie schowała list. Alice przedtem już próbowała dostać się do walizki Normy, ale walizka była

wtedy zamknięta na kluczyk. Mogła otworzyć ją, odginając palcami wieko, bo walizka Normy była zrobiona z tektury – ale pozostałyby ślady, które by ją zdradziły. Mogła trochę poczekać. Na pewno prędzej czy później Norma zapomni zamknąć walizkę na kluczyk. Alice była przebiegła, ale nie wiedziała, że Normie też nie zbywało na przebiegłości. Nie od dziś miała do czynienia z Alice. Raz, gdy Alice penetrowała szuflady toaletki Normy, badając ich zawartość i czytając listy, które Norma dostała od siostry – nie zauważyła zapalki, niewinnie leżącej na krawędzi szuflady. Norma zawsze ją tam kładła i gdy zapalka spadła lub zmieniła położenie – wiedziała, że ktoś dobierał się do jej rzeczy. Wiedziała, że nie mógł to być Juan ani Prysycz, tylko Alice.

Niemożliwe, żeby Norma mogła zostawić niezamkniętą walizkę. Była rozmarzona, ale niegłupia. W walizce, w pudełku po paście do zębów leżało dwadzieścia siedem dolarów. Kiedy Norma zbierze pięćdziesiąt dolarów, pojedzie do Hollywood, będzie pracować w jakiejś restauracji i czekać na swoją szansę. Tam dostanie pieniądze i jedzenie. Bujała w obłokach, miała niebываłe, daleko idące marzenia, ale umiała dobrze dbać o swoje interesy. Nie była głupia. Prawda, nie zdawała sobie sprawy z nienawiści, jaką Alice czuła do wszystkich kobiet na świecie; nie poznała się na tym, że przeprosiny Alice były tylko zręcznym manewrem; ale zapewne odkryje to wystarczająco wcześnie – jeszcze zdąży się obronić i ocalić. Norma święcie wierzyła, że ze wszystkich ludzi na świecie tylko Clark Gable myśli i postępuje szlachetnie i że zespolił w sobie wszelkie zalety charakteru – ale jednocześnie, w swym powszednim życiu, dobrze poznała pobudki, jakimi kierowali się ludzie, których spotykała i z którymi zdarzyło jej się mieć do czynienia.

Gdy Prysycz przychodził nocą pod jej okno i cicho skrobał w szybę, wiedziała, co robić. Zamykała okno. Bałby się wejść, żeby nie robić hałasu, bo Juan spał w pokoju obok i mógłby go usłyszeć. Norma nie da się nikomu nabrać.

Alice zatrzymała się przed drzwiami do restauracji. Przeciągnęła palcami wzdłuż nosa, otworzyła drzwi i weszła za bufet, jakby się nic w ogóle nie stało.

ROZDZIAŁ 7

Wielki, piękny Greyhound podjechał pod peron odjazdowy stacji autobusowej w San Ysidro. Obsługa zaczęła napełniać zbiorniki benzyną, sprawdzać zapas oleju, stan opon i ciśnienie powietrza w dętkach. Praca szła gładko i spokojnie. Murzyn sprzątający wewnątrz autobusu zamiatał podłogę, czyścił poduszki foteli, zbierał z podłogi opakowania gumy do żucia, niedopałki papierosów i zapalek. Jak zwykle sięgnął ręką za oparcie tylnej ławki zajmującej całą szerokość autobusu, bo często znajdował tam zgubione monety, szczyryki lub inne drobiazgi. Znalezione pieniądze zatrzymywał dla siebie, a wszystko inne odnosił do biura linii. Pasażerowie bardzo się zwykle awanturowali o drobiazgi zostawione w autobusie – nigdy natomiast nie dbali o zgubione monety. Dziś wygrzebał stamtąd dwie dziesięciocentówki, jedną półdolarówkę i portfel, w którym było prawo jazdy, wezwanie do wojska i karta członkowska klubu Lions.

Zajrzał do przegródki z pieniędzmi. Dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe i podpisany czek na pięćset dolarów. Wsunął portfel do kieszeni i dalej czyścił fotele długą miękką szczotką. Robił to teraz bardziej gwałtownie. Z pieniędzmi – prosta sprawa. Mógł je wyjąć, a portfel zostawić tam, gdzie był, żeby go znalazł inny czyściciel, dalej na trasie. Czek też należy zostawić. Czeki są niebezpieczne. Ale te lube pięćdziesiątki – te lube, kochane pięćdziesiątki! Gardło mu się ścisnęło i pozostanie ściśnięte, póki nie wyjmie tych słodkich pięćdziesiątek i nie wsadzi portfela z powrotem za tylną ławkę.

Ale nie mógł tego zrobić, bo ten znikłek, chłopak garażowy, czyścił właśnie z zewnątrz okna autobusu, brudne i zamglone kurzem autostrady. Trzeba było czekać. Gdyby go przyłapano, z miejsca by wyleciał.

W mankencie jego niebieskich bawełnianych spodni było małe rozcięcie. Wykombinował sobie, że zanim autobus odjedzie, uda mu się wsunąć te dwie słodkie pięćdziesiątki w środek mankietu. Potem, jeszcze przed normalnym końcem zajęć, robi mu się niedobrze i zwymiotuje. Mógł to robić na zawołanie. Nie wróci do pracy aż za tydzień. Jeśli poczuje się źle w czasie pracy, a mimo to pozostanie aż do końca dnia i jeżeli potem parę dni opuści – nikt się niczego nie domyśli i nie straci zajęcia. Posłyszał czyjeś kroki na zewnątrz i nieco zeszywniał. Kierowca autobusu, Louie, zajrzał do środka.

– Hej, George – powiedział – czy nie znalazłeś gdzie portfela? Jakiś facet powiada, że zgubił.

George wymamrotał coś niewyraźnie.

– Dobra, potem wrócę i sam poszukam – rzekł Louie.

George obrócił się na kolanach. Zbierał właśnie śmiecie z podłogi.

– Znalazłem – powiedział. – Miałem go oddać, jak tu skończę.

– Taa? – rzekł Louie.

Wziął portfel z rąk George'a i otworzył. Chłopak garażowy zajrzał przez okno. Louie uśmiechnął się współczująco do George'a.

– Pech, George – powiedział. – Podrzucili to, zdaje się, umyślnie, żeby nas złapać. Facet mówił o dwóch pięćdziesiątkach i dwie pięćdziesiątki są.

Wyjął banknoty z portfela w ten sposób, żeby chłopak patrzący zza okna mógł je widzieć.

– Więcej szczęścia następnym razem, George.

– A co, jeśli gość da coś za to? – zapytał George.

– Dostaniesz połowę – rzekł Louie. – Jak da mniej niż dolara, dostaniesz wszystko.

Louie wyszedł z autobusu i udał się do poczekalni. Wręczył portfel kasjerowi siedzącemu za biurkiem.

– George go znalazł. Właśnie miał tu przynieść – powiedział Louie. – To porządny chłop – dodał.

Zdawał sobie sprawę, że właściciel portfela stoi tuż obok niego, więc rzekł do kasjera:

– Gdybym to ja zgubił ten portfel, dałbym George’owi niezły prezencik. Nic tak na człowieka źle nie wpływa, jak brak zaufania. Pamiętam, jak raz pewien facet znalazł tysiąc dolarów i oddał je, i nikt mu za to nawet nie powiedział „dziękuję”. Niedługo potem obrabował bank i zabił paru wartowników. – Louie kłamał lekko i bez wysiłku. – Ilu mamy na południe? – zapytał.

– Masz komplet – powiedział kasjer. – Jedna osoba do Rebel Corners. Tylko nie zapomnij, jak w zeszłym tygodniu, zabrać tam tych ciastek. W życiu nie miałem tyle kłopotu, co wtedy przez te pięćdziesiąt ciastek. Oto pański portfel. Proszę sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Właściciel portfela dał pięć dolarów dla znalazcy. Louie pomyślał, że kiedyś tam odpali z tego dolara George’owi. Wiedział, że George i tak mu nie będzie wierzył, ale do diabła z tym. Grząski grunt – szwindlerska gra. Każdy ma równą szansę.

Louie był duży, tęgawy i starannie ubrany. Przyjaciele z jego grona nazywali go „Czerwona Gęba”. Był szybki, żywy, elegancki. Chciał, by ogólnie wiadano, że grywa na wyścigach. Nazywał wyścigi konne „złodziejskim interesem”, a wszystkie trudne sytuacje w życiu określał jako „do omówienia”. Chciałby być taki jak Bob Hope albo Bing Crosby.

Louie zobaczył George’a, który zaglądał do poczekalni przez drzwi wiodące na peron. Nagle stał się wspaniałomyślny. Podeszedł do George’a i dał mu dolara.

– To jakiś skurwysyn – powiedział. – Masz, bierz tego dolara. Zwraca się facetowi ponad pięćset dolarów, a on daje za to jednego. – George spojrzał

mu w twarz. Tylko jeden brązowy błysk oczu. Wiedział, że to łgarstwo, i wiedział, że nic nie może na to poradzić. Jeśli Louie by się na niego rozzłościł – mogło być źle. A George już bardzo chciał mieć tego dolara. Chciał się napić. Już prawie czuł w sobie działanie trunku. Inaczej by było, gdyby ten zgniłek się nie wmieszał.

– Dziękuję – powiedział.

Chłopak garażowy przechodził właśnie, niosąc kubek i gąbkę.

– To są czyste okna? – spytał George. A Louie go poparł:

– Jak nie chcesz, żeby cię wyleli, to nie odwalaj roboty byle jak. Te okna lepią się od brudu. Umyj je porządnie jeszcze raz.

– Pan mi może rozkazywać... Poczekał na kogoś ważniejszego.

Louie i George wymienili spojrzenia. To był marny chłopak, zgniłek. Jeśli Louie się postara, w ciągu paru dni już go tu nie będzie.

Wielkie Greyhoundy podjeżdżały i odjeżdżały sprzed krytej platformy, ciężkie, obszerne jak domy. Kierowcy wjeżdżali nimi płynnie i pięknie osadzali je na miejscu. Cały dworzec autobusowy przesiąknięty był wonią oleju i wylotów z silników dieslowskich, zapachem słodyczy i pasty do podłóg.

Louie skierował się do wyjścia na peron. Nagle ujrzał dziewczynę, która właśnie wchodziła z ulicy. Sam miód! Jak dla niego – żeby posadzić ją w autobusie na fotelu tuż za sobą. Mógłby ją obserwować w lusterku, wszystkiego się o niej dowiedzieć. Może mieszka gdzieś na trasie? Louie miał wiele przygód, które tak się właśnie zaczęły.

Światło z ulicy było za dziewczyną, tak że Louie nie mógł widzieć jej twarzy – ale był pewien, że jest fajna. Nie wiedział jak – ale wiedział to na pewno. Mogło wejść od razu pięćdziesiąt dziewczyn i światło mogło być za nimi, tak że nie widziałyby ich twarzy – skąd wie, że ta akurat jest fajna? Dobra figura i ładne nogi – to wszystko, co zobaczył. Ale w jakiś nieokreślony sposób czuło się w tej dziewczynie to „coś”, jakby szła od niej delikatna, przesycona erotyzmem mgła zapachu.

Skierowała się do kasy, niosąc walizkę. Nie zbliżył się do niej. Poszedł do toalety. Stał przy umywalce, zanurzył obie ręce w wodzie, potem przygładził nimi włosy. Wyjął z kieszeni grzebyk, zaczesał je, przyklepał na tyle głowy, żeby ułożyły się w coś w rodzaju fryzury zwanej kaczy kuper. Przyczesał też wąsiki, całkiem niepotrzebnie, bo były jeszcze bardzo krótkie. Poprawił na sobie szarą welwetową kurtkę szoferską, spiął ją ciaśniej paskiem, wciągając nieco brzuch. Grzebyk włożył z powrotem do kieszeni i jeszcze raz przejrzał się uważnie. Przesunął dłońmi po włosach, pomacał z tyłu głowy, żeby sprawdzić, czy coś czasem nie odstaje i czy kaczy kuper dobrze przylega. Naprostował swą przepisową czarną muszkę, wyjął z kieszonki koszuła kilka pastylek i włożył je do ust. Wstrząsnął się cały, gdy je przełykał.

Prawą ręką sięgnął do klamki u drzwi, a jednocześnie palcami lewej sprawdził, czy wszystkie guziki rozporka ma zapięte. Ułożył twarz w skomplikowany uśmiezek, mający w połowie oznaczać znajomość świata, a w połowie naiwność – odniósł już niejednen triumf dzięki takiemu właśnie wyrazowi twarzy. Louie wyczytał gdzieś, że jeśli się dziewczynie patrzy prosto w oczy, jednocześnie uśmiechając się przy tym – musi to na niej wywrzeć wrażenie. Należy patrzeć na dziewczynę, jakby była czymś najpiękniejszym na świecie, i tak długo wlepiać w nią wzrok, aż spuści oczy. I jeszcze jedno: jeśli się ludziom patrzy w oczy, należy spoglądać w punkt nasady nosa znajdujący się ściśle w środku, między oczami. Osoba, na którą się patrzy w ten sposób, jest wówczas przeświadczona, że spogląda się wprost w głąb jej oczu – podczas gdy naprawdę wcale tak nie jest. Louie niejednokrotnie przekonał się, że jest to bardzo dobry i skuteczny sposób.

Prawie zawsze w czasie nocnych godzin spędzanych za kierownicą Louie myślał o dziewczynach. Że bierze je siłą, wzbudza w nich miłość, potem rzuca i odchodzi. Nazywał je świnki. – Wezmę sobie świnkę – mawiał – i ty weź sobie świnkę, pójdziemy na miasto.

Już z miną lorda wychodził z toalety, ale musiał się cofnąć; dwóch tragarzy wynosiło z poczekalni skrzynkę, na której było wypisane dużymi białymi literami: DOMOWE CIASTKA MAMY MAHONEY. Przeszli między ławkami, minęli Louie i wyszli na peron.

Dziewczyna siedziała na ławce, obok niej stała walizka. Louie rzucił szybkie spojrzenie na jej nogi; szedł teraz przez poczekalnię, patrząc jej prosto w oczy, nie spuszczać wzroku. Uśmiechnął się tym swoim wystudiowanym uśmiechem i zbliżał się do niej. Dziewczyna spojrzała na niego obojętnie i skierowała wzrok w inną stronę.

Louie był rozczarowany. Dziewczyna wcale nie była zakłopotana, tak jak to powinno być. Po prostu się nim nie interesowała. A to była fajna dziewczyna, efektowna – ładne, kształtne nogi, krągłe pośladki, ani śladu brzucha, pełne piersi, które umiała dobrze pokazać. Blondynka, włosy szorstkie, z trochę przypalonymi koniuszkami od zbyt częstego używania żelazka, ale z ładnym połyskiem, starannie wyszczotkowane, długie, falujące – spodobały się Louie. Miała oczy podcieniowane niebieską szminką, powieki lekko pociągnięte kremem, na rzęsach grubo położony tusz. Nic różu, tylko lekki ślad pomadki, który nadawał jej ustom kształt kwadratowy, jaki mają usta niektórych gwiazd filmowych. Nosiała kostium, obcisłą spódnicę i żakiet z zaokrąglonym kołnierzykiem. Na nogach miała brązowe skórzane półbuty, biało stębnowane. Nie tylko fajna, ale i fajnie ubrana. I to, co nosiła, wyglądało pierwszorzędnie.

Louie, idąc, studiował jej twarz. Wydawało mu się, że ją już przedtem gdzieś widział. Ale mogła też wyglądać jak ktoś, kogo znał, albo mógł ją widzieć w kinie. To się mogło zdarzyć. Miała oczy szeroko rozstawione, prawie nienormalnie szeroko, niebieskie, z małymi brązowymi punkcikami i z silnie zarysowaną linią między źrenicą a wewnętrznym brzegiem tęczęwki. Brwi wyskubane i narysowane ołówkiem w wysoki łuk – wyglądała przez to na lekko zdziwioną. Louie zauważył, że jej obciągnięte rękawiczkami dłonie były spokojne. Nie była niecierpliwa ani nerwowa,

i to go martwiło. Bał się osób opanowanych; czuł przy tym, że już gdzieś ją widział. Miała pełne, krągłe kolana, które zakrywała spódnica.

Louie kręcił się dalej po poczekalni; chciał ukarać tę dziewczynę za to, że odwróciła od niego wzrok. Zaczął więc uporczywie patrzeć na jej nogi. To zwykle miało ten efekt, że każda dziewczyna obciągała spódnicę, nawet jeśli spódnica nie była zadarta za wysoko. Ale na niej nie zrobiło to żadnego wrażenia. Zaniepokoił się. Pewnie zwyczajna dziwka – powiedział do siebie. – Za dwa dolary. I sam się do siebie zaśmiał. Czy dwudolarowa dziwka mogłaby mieć takie pierwszorzędne rzeczy na sobie?

Louie podszedł do kasy biletowej i uśmiechnął się ironicznie do Edgara, sprzedawcy biletów. Edgar uwielbiał Louie. Chciał być taki jak on.

– Gdzie ta świnka jedzie? – zapytał Louie.

– Świnka?

– No, ta kurewka. Blondynka.

– A, ta. – Edgar wymienił z Louie porozumiewawcze męskie spojrzenie. – Na południe – powiedział.

– Moim wozem?

– No.

Louie bębnił palcami po pulpicie kasy. Wyhodował sobie bardzo długi paznokieć u małego palca lewej ręki. Był on tak wypukły, że prawie związał się w rurkę, z opiłowanym wygiętym końcem.

Louie właściwie nie wiedział, dlaczego to zrobił; zauważył, że inni kierowcy autobusów naśladowali go i również hodowali sobie długie paznokcie u małych palców. Louie nadawał styl, bardzo mu się to podobało. Był raz pewien taksówkarz, który przywiązał lisi ogon do zakrętki chłodnicy, i już na drugi dzień na masce każdej taksówki powiewały kawałki futer. Kuśnierze zaczęli wyrabiać sztuczne lisie ogony i żaden student nigdy by nie wsiadł do taksówki nieozdobionej jakimś łopoczącym na wietrze ogonem. Tak, ten taksówkarz mógł być z siebie zadowolony, że to on właśnie zainicjował całą rzecz. Louie hodował swój

paznokciec od pięciu miesięcy, a zauważył już pięciu czy sześciu innych naśladowujących go. Mogło to się przyjąć w całym kraju – Louie byłby tym, od którego wszystko się zaczęło.

Uderzał w ladę kasy tym swoim długim, zwijającym się do środka paznokciem, ale robił to ostrożnie, żeby go nie złamać. Edgar patrzył z zazdrością. Swoją lewą rękę trzymał pod spodem. On też hodował paznokciec, ale jego nie był jeszcze dostatecznie długi i Edgar nie chciał, żeby Louie go widział, zanim bardziej nie wyrośnie. Edgar miał paznokciec dosyć kruche i musiał używać bezbarwnego lakieru, żeby się nie łamały. Raz nawet złamał paznokciec, leżąc w łóżku. Edgar zerknął w stronę dziewczyny.

– Chcesz się zabawić z tą... świnką?

– Nie szkodzi popróbować – rzekł Louie. – To pewnie dziwka.

– Phi! A co złego w dobrej dziwce? – Oczy Edgara zabłysły. Dziewczyna zmieniła pozycję nóg. – Louie – rzekł Edgar, jakby się tłumacząc – zanim zapomnę: dopilnuj lepiej sam, żeby ta skrzynka z ciastkami została dobrze załadowana. Mieliśmy skargę w zeszłym tygodniu. Gdzieś na trasie ktoś upuścił skrzynkę i ciastka malinowe pomieszały się z cytrynowymi, a wszystko razem było umazane wiśniami. Musieliśmy zapłacić odszkodowanie.

– Taka rzecz się nigdy nie zdarzy na moim kursie – powiedział zaczepnie Louie. – One idą do San Juan, nie? To musiało się stać na tej rozwalonej bocznej drodze z Rebel Corners.

– W każdym razie zapłaciliśmy odszkodowanie – powtórzył Edgar. – Sprawdź tam jakoś, czy w porządku załadowali, dobrze?

– Nigdy na moim kursie żadnemu ciastku nic się nie stało – powiedział Louie.

– Wiem, wiem. Ja wiem, że to nie twoja wina. Ale w biurze kazali powiedzieć ci, żebyś sprawdził, jak to jest załadowane.

– Dlaczego nie przyszli wprost do mnie? – dopytywał się Louie. – Dostali skargę, to dlaczego nie przyszli do mnie, zamiast przesyłać polecenia? – Podsycał swój gniew, jak podsyca się ogień. Był po prostu zły na tę blondynkę. Przekłęta dziwka. Spojrzał na wielki zegar wiszący na ścianie. Długa na dwie stopy wskazówka skakała z sekundy na sekundę wokół cyferblatu. W szybie zegara Louie ujrzał odbicie dziewczyny siedzącej z nogą założoną na nogę. Wydawało mu się, że patrzy wprost na tył jego głowy, choć nie mógł być tego całkiem pewny, bo jej odbicie załamywało się na wypukłości zegarowej szyby. Ale jego gniew stopniał.

– Sprawdź te ciastka – rzekł. – Powiedz im, że tym razem malinowe nie pomieszają się z cytrynowymi. Zdaje mi się, że jednak zabawię się z tą świnczką – dodał. Dostrzegł wyraz podziwu w oczach Edgara, gdy wolno odwracał twarz w stronę dziewczyny.

Miał rację. Patrzyła na tył jego głowy, a gdy się do niej odwrócił, patrzyła mu w twarz. W jej spojrzeniu nie było żadnego zainteresowania. Ale ma piękne oczy! – pomyślał. – A niech szlag trafi, fajna dziewczyna! Louie wyczytał w jakimś magazynie, że szeroko rozstawione oczy działają podniecająco, a nie było najmniejszej wątpliwości, że ta dziewczyna bardzo, bardzo mocno działała na mężczyzn. Każdy na nią patrzył, gdy przechodziła. Każdy oglądał się za nią, gdziekolwiek się ukazała. Głowy mężczyzn odwracały się niby głowy widzów na wyścigach za biegnącymi końmi. Było coś w niej – nie sposób, w jaki się poruszała, i nie jej makijaż, choć to też miało swoje znaczenie. Cokolwiek to było, promieniowało z niej i olśniło Louie wtedy, gdy weszła z ulicy do poczekalni, gdy spojrzął na nią pod światło, tak że nie mógł jej dobrze zobaczyć. I teraz, kiedy bez żadnego uśmiechu, bez żadnego zainteresowania patrzyła mu prosto w twarz – doznał tego samego. Gardło mu się ścisnęło, lekki rumieniec wykwitł spod kołnierzyka na twarz. Rozumiał, że za chwilę jej wzrok ześlizgnie się z jego twarzy. Edgar czekał i patrzył – a Edgar wierzył w Louie.

Louie, owszem, czasem kłamał, żeby utrzymać swoją reputację na poziomie; ale istotnie miał swoje sposoby, umiał się zabierać do rzeczy. Tylko że teraz właśnie nie czuł się całkiem swobodnie. Ta „świnka” zyskała nad nim przewagę. Zdjęła go chęć, żeby chlasnąć ją dłonią w policzek na płask. Wciągnął głęboko powietrze, głęboko aż do bólu. Musi coś zrobić, i to natychmiast. Zaraz przejdzie ten właściwy, odpowiedni moment. Ułożył twarz w pewny siebie, zniewalający grymas. Oczy mu się nieco poszerzyły i uśmiechnął się, jakby ją nagle spostrzegł. Podszedł do niej.

Ostrożnie zmienił uśmiech na trochę uniżony. Ciągle jeszcze patrzyła mu w oczy. Chłód jej spojrzenia stawał nieco.

– Powiedziano mi, że szanowna pani jedzie na południe moim autobusem – rzekł. Omal się nie roześmiał, mówiąc „szanowna pani”, ale zwykle to działało. Wywarło wrażenie i na tej dziewczynie. Uśmiechnęła się lekko. – Zaopiekuję się pani walizką – mówił dalej. – Za trzy minuty ruszamy.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna.

Ma niski, zmysłowy głos – pomyślał Louie.

– Pani pozwoli, że wezmę walizkę do autobusu i zajmę dla pani miejsce.

– Ona jest ciężka – rzekła dziewczyna.

– Uradzę – powiedział Louie. – Nie jestem w końcu karzełkiem.

Podniósł walizkę i wyszedł z nią szybko na platformę. Wszedł do autobusu i postawił walizkę przy siedzeniu, które znajdowało się tuż za jego miejscem kierowcy. Będzie mógł obserwować dziewczynę w lusterku i rozmawiać z nią w czasie drogi. Wychodząc z autobusu, zobaczył, jak chłopak garażowy i posługacz ładowali skrzynkę z ciastkami na dach.

– Uważnie z tym! – krzyknął. – Jużście raz, skurwysyny, upuścili ją w zeszłym tygodniu i ja za was musiałem oczami świecić.

– Nigdy niczego nie upuściłem – powiedział chłopak.

– Niech cię diabli wezmą, jak nie – rzekł Louie. – Ty się lepiej pilnuj, szczeniaku! – Wszedł przez wahadłowe drzwi do poczekalni.

– Co go ugryzło? – zapytał posługacz.

– Narwał się na mnie trochę – powiedział chłopak. – George znalazł portfel, i ja to widziałem, i dlatego musieli go zwrócić. Była w nim kupa forsy. Więc obaj są wściekli na mnie, że widziałem. Louie i George chcieli rozbić forszę między siebie i nie mogli, bo widziałem. Musieli oddać.

– Przydałoby mi się trochę – rzekł posługacz.

– Komu nie – rzekł chłopak.

– Żeby tylko złapał stówę, już ja bym wiedział, jak ją spuścić – powiedział posługacz. Obaj jeszcze przez długi czas oddawali się rozmowie na ten temat.

W poczekalni tymczasem robił się ruch. Pasażerowie autobusu idącego na południe zaczęli się zbierać. Edgar był bardzo zajęty w okienku kasy, ale mimo to zerkał od czasu do czasu na dziewczynę.

– Świnka – szepnął pod nosem. Było to dla niego nowe określenie. Będzie go już używał. Rzucił okiem na swój podhodowany paznokiec. Niedługo urośnie taki długi, jak ma Louie. Ale po co się samemu oszukiwać? Nigdy nie będzie umiał tak podrywać dziewczyn jak Louie. Zawsze zostawał na lodzie.

Nastąpił teraz końcowy atak pasażerów na kiosk ze słodyczami i na automaty sprzedające orzeszki i gumę do żucia. Jakiś Chińczyk kupił „Time” i „Newsweek”, starannie zwinął je razem w rolkę i wsadził w kieszeń swego obszernego czarnego płaszcza. Jakaś starsza pani niespokojnie przerzucała magazyny w kiosku z gazetami, nie mając najmniejszego zamiaru nic kupić. Przed okienkiem kasy stali dwaj Hindusi o czarnych, kręconych, błyszczących brodach, w lśniących białością turbanach. Rzucali wokoło dzikie spojrzenia, jakby myśleli, że w ten sposób ktoś zrozumie, co mówią i czego chcą.

Louie stał przy wejściu na platformę i wciąż spoglądał na dziewczynę. Zauważył, że wszyscy mężczyźni znajdujący się w poczekalni robili to samo. Każdy z nich skrycie ją obserwował i nie chciał, żeby go na tym przyłapano. Louie odwrócił się i spojrział przez oszklone drzwi na zewnątrz.

Stwierdził, że chłopak z pomocą posługacza umieścili już bezpiecznie skrzynkę z ciastkami na dachu autobusu i naciągali właśnie płótno namiotowe na znajdujący się tam ładunek. W poczekalni pociemniało, jakby zapadł nagły zmierzch. Widocznie chmura zasłoniła słońce. Potem znowu zrobiło się jasno – zupełnie jakby dzienne światło było sztucznie regulowane. Duży dzwonek wiszący nad drzwiami zaczął dźwięczeć. I pasażerowie znajdujący się w poczekalni ruszyli do wyjścia na platformę.

Edgar ciągle jeszcze starał się zrozumieć, dokąd Hindusi stojący przy okienku chcieli jechać.

– Przeklęte zakute łby – mruczał do siebie. – Dlaczego przed wyjazdem nie nauczą się angielskiego?

Louie wdrapał się na wysokie siedzenie kierowcy otoczone stalową barierką i zerkał na bilety wsiadających pasażerów.

Chińczyk w ciemnym płaszczu podszedł prosto do tylnego siedzenia, zdjął płaszcz, usiadł i położył czasopisma na kolanach. Starsza pani wdrapała się, tracąc oddech, po stopniach do autobusu i opadła na miejsce tuż za Louie.

– Bardzo panią przepraszam – rzekł – ale to miejsce jest zajęte.

– Co to znaczy – zajęte? – powiedziała wojowniczo. – Tu nie ma żadnych rezerwowanych miejsc.

– To miejsce jest zajęte, proszę pani – powtórzył Louie. – Czy pani nie widzi walizki?

Nienawidził starych kobiet. Przerazały go. Od samego ich zapachu dostawał gęsiej skórki. Są okrutne i pozbawione dumy. Z niczym się nie liczą i zawsze mogą zrobić o coś awanturę. Zawsze postawią na swoim. Louie miał babkę, która wszystkich tyranizowała. Była okrutna i bezwzględna, nikt się jej nie śmiał sprzeciwić. Kątem oka zobaczył, że dziewczyna wstępowała już na dolny stopień, czekając, aż stojący przed nią Hindusi wejdą do środka. Nagle ogarnął go gniew.

– Proszę pani – powiedział – ja tu rządzę w tym autobusie. Jest mnóstwo wolnych miejsc. Przesiądzie się pani do tyłu czy nie?

Stara kobieta groźnie spojrzała na niego. Poruszyła zadem, sadowiąc się wygodniej w siedzeniu.

– Pan sobie upatrzył to miejsce dla tej tam dziewczyny, o to chodzi, co? – powiedziała. – Złożę na pana skargę do dyrekcji.

Louie wybuchnął:

– Dobrze, proszę pani. Niech pani zaraz wysiada i składa na mnie skargę w dyrekcji. Oni mają dosyć pasażerów, za to brak im dobrych kierowców. – Widział, że dziewczyna słucha, i był z tego zadowolony.

Stara kobieta zorientowała się, że Louie jest naprawdę zły.

– Złożę na pana skargę – powiedziała.

– W porządku, niech pani składa. Może pani wynosić się z autobusu – mówił Louie głośno – ale nie będzie pani siedzieć na tym miejscu. Ta osoba będzie tu siedzieć. Z polecenia lekarza.

Strzelił na ślepo i stara kobieta dała się na to wziąć.

– Dlaczego pan od razu tak nie powiedział? Ja bym zrozumiała. A mimo wszystko złożę na pana skargę za brak uprzejmości.

– Dobrze, proszę pani – rzekł Louie strudzonym głosem – jestem do tego przyzwyczajony.

Stara kobieta przesiadła się o jedno miejsce do tyłu.

Zaraz rozwiesi uszy i będzie uważała, żeby mnie na czymś przyłapać – pomyślał Louie. – A niech tam. Jest więcej pasażerów niż kierowców.

Dziewczyna stanęła przy nim, trzymając w ręku bilet.

– Pani jedzie tylko do Corners? – zapytał machinalnie Louie.

– Tak. Będę się musiała tam przesiąść – powiedziała dziewczyna. Uśmiechnęła się, słysząc ton rozczarowania w jego głosie.

– Proszę, tu właśnie jest pani miejsce – rzekł.

Obserwował w lusterku, jak siadała, zakładając nogę na nogę, jak obciągała spódnicę i kładła torebkę obok siebie. Wyprostowała ramiona

i poprawiała kołnierzyk kostiumu. Wiedziała, że Louie obserwuje każdy jej ruch. Zawsze tak z nią było. Zdawała sobie sprawę, że różni się czymś od innych dziewczyn, ale niezupełnie wiedziała czym. Było to w pewnym stopniu przyjemne mieć zawsze najlepsze miejsce, nie płacić za obiady, czuć opiekuńczą rękę przy przechodzeniu ulicy. Mężczyźni nie dawali jej spokoju. Zawsze wynikały z tego kłopoty. Musiała się kłócić z nimi albo im przymilać, albo ich obrażać, albo walczyć, żeby jej dali spokój. Wszyscy mężczyźni chcieli od niej tego samego, tak to już było. Uważała, że tak musi być, i miała rację.

Kiedy była młodsza, cierpiała z tego powodu. Miała poczucie winy i niesmaku. A potem przyjęła ten stan rzeczy; opanowała jedynie technikę postępowania. Czasem ulegała, czasem miała z tego ubranie lub pieniądze. Znała chyba wszystkie męskie zagrania. Mogłaby prawdopodobnie przewidzieć z góry, co Louie zrobi lub powie przez następne pół godziny. Dzięki tej umiejętności przewidywania często unikała nieprzyjemnych sytuacji. Starsi mężczyźni chcieli jej pomóc, żeby mogła się czegoś uczyć albo pójść na scenę. Niektórzy młodzi chcieli ją poślubić albo opiekować się nią. A niewielu, bardzo niewielu było takich, którzy szczerze i otwarcie mówili, że chcą po prostu pójść z nią do łóżka.

Z tymi było najłatwiej, bo mogła wtedy powiedzieć „tak” lub „nie”, i sprawa załatwiona. Najbardziej nienawidziła tej ustawicznej walki o nią, walki, której powodem mogły być jej zalety – albo wady. Mężczyźni walczyli o nią zaciekle, gdziekolwiek się zjawiała. Walczyli jak foksteriery; czasem pragnęła zdobyć sobie sympatię innych kobiet, ale kobiety jej nie lubiły. Była na tyle inteligentna, że rozumiała dlaczego, ale nic na to nie mogła poradzić. W rzeczywistości chciała mieć miły domek w jakimś ładnym mieście, dwoje dzieci – własny próg, który dałby jej oparcie. Ubierałaby się ładnie, zapraszała gości na obiad. Miałaby oczywiście męża, ale w jej wyobraźni jego postać rysowała się nie bardzo wyraźnie, bo na reklamach w ilustrowanych magazynach, na których wzorowały się jej sny,

nigdy nie było wizerunku mężczyzny. Zawsze tylko śliczna, elegancka kobieta schodząca ze schodów i goście w pokoju jadalnym, i świece, i stół z czarnego drzewa, i czyste jasne dzieci czekające, by je pocałować na dobranoc. Tego naprawdę chciała. I wiedziała doskonale, że tego właśnie nigdy nie otrzyma.

Miała w sobie dużo smutku. Myślała o spotykanych kobietach. Czy były w łóżku inne niż ona? Wiedziała z własnej obserwacji, że mężczyźni wobec niej zachowywali się odmiennie niż wobec innych kobiet. Jej potrzeby seksualne nie były ani częste, ani stałe, nie wiedziała, jak to było u innych kobiet. Nigdy nie rozmawiały z nią o takich sprawach. Nie lubiły jej. Raz młody doktor, do którego poszła, żeby dał jej coś na uśmierzanie bólów miesięcznych, starał się ją uwieść, a kiedy udało się jej przekonać go, żeby dał jej spokój, powiedział: „To po prostu z pani emanuje i trudno się powstrzymać. Niektóre kobiety takie już są. Dzięki Bogu nie wszystkie, bo mężczyźni chyba by powariowali”.

Próbowała nosić skromne, surowe sukienki – ale nie na wiele to się zdało. Nie mogła utrzymać żadnej posady. Nauczyła się pisać na maszynie, lecz w jakimkolwiek biurze się zjawiała, powstawał zamęt i zamieszanie. Obecnie znalazła zawód. Popłatny i niekłopotliwy. Rozbierała się do naga na męskich zabawach. Specjalna agencja zajmowała się tym. Nie rozumiała tych zabaw, nie pojmowała, jaką w nich przyjemność mężczyźni znajdują – po prostu dostawała pięćdziesiąt dolarów za to, że sama zdejmowała z siebie ubranie, i tak było znacznie lepiej, niż mieć je zdarte siłą w jakimś biurze. Czytała dostatecznie dużo o nadmiernej pobudliwości niektórych kobiet, żeby wiedzieć, że nie jest pobudliwa. Czasem chciałyby być. Niekiedy myślała, że najlepiej by zrobiła, gdyby poszła do domu publicznego, zebrała kupę forsy i żyła sobie potem spokojnie – albo to, albo żeby wyszła za mąż za jakiegoś starszego człowieka, którego mogłaby trzymać w ryzach. To byłoby najłatwiejsze wyjście. Młodzi mężczyźni, którzy ją pociągali, zwykle stawali się nie do zniesienia. Zawsze

podejrzewali, że ich oszukuje. Stawali się z czasem ponurzy i nieufni albo chcieli ją bić, albo wpadali we wściekłość i wyrzucali ją od siebie.

Próbowała pójść na utrzymanie, lecz zawsze tak się kończyło. Ale starszy człowiek z pieniędzmi – to mogło być wyjście. Byłaby dla niego dobra. Staralaby się być wartą jego pieniędzy i jego czasu. Miała tylko dwie prawdziwe przyjaciółki – dziewczyny z domu publicznego. Tylko takie nie były o nią zazdrosne i nie miały o nic pretensji. Jedna wyjechała gdzieś, nie wiadomo gdzie. Za oddziałami wojskowymi, zdaje się. A druga żyła teraz z agentem ogłoszeniowym i nie chciała się z nią widywać.

To była Loraine. Kiedyś miały razem wspólne mieszkanie. Loraine niewiele obchodzili mężczyźni; kobiety też nie. Ale wpadła z tym agentem ogłoszeniowym i prosiła ją, żeby się wyprowadziła. Loraine wytłumaczyła jej wszystko przedtem, nim oświadczyła, że nie może się z nią więcej widywać.

Loraine pracowała w domu publicznym i ten agent ogłoszeniowy zakochał się w niej. Ale Loraine zachorowała na trypra i zanim się zorientowała, zaraziła go. Agent ogłoszeniowy był bardzo nerwowym człowiekiem, wpadł w rozpacz, stracił zajęcie i przyszedł, uskarżając się, do Loraine. Czuli się w jakiś sposób odpowiedzialni za to wszystko, więc wzięła go do siebie i karmiła przez ten czas, jak się obydwójce leczyli. To było jeszcze przed wynalezieniem nowej kuracji, więc oboje przeżyli ciężki okres.

Potem agent ogłoszeniowy wpadł w nałóg zażywania pigułek nasennych. Znajdowała go czasem ledwo żywego, często bywał półprzytomny, zawsze w złym humorze, gdy nie miał swoich pigułek, a brał ich coraz więcej. Dwa razy Loraine musiała wzywać pomoc i pompowano mu żołądek.

Loraine była z gruntu dobrą dziewczyną, ale było jej wtedy ciężko, bo nie mogła pracować w domu publicznym, zanim się nie wyleczyła. Nie chciała też zarazić nikogo, kogo znała – a musiała mieć pieniądze na doktora, na komorne, na jedzenie. Musiała więc pójść na ulicę, a sama jeszcze nie czuła

się dobrze. I wtedy, jakby tego wszystkiego było jeszcze za mało, agent ogłoszeniowy stał się nagle zazdrosny i zabronił jej w ogóle pracować, mimo że sam nic nie zarabiał. Byłoby dobrze – myślała dziewczyna w autobusie – gdyby ta cała sprawa już się rozbiła i gdyby mogła znowu zamieszkać z Loraine. Tworzyły razem dobraną parę. Dobrze się czasem zabawiały – dobrze i spokojnie.

Wracała z Chicago, gdzie odbył się szereg zebrań politycznych, i oszczędziła trochę pieniędzy zarobionych na tych zabawach tylko dla panów. Jechała do Los Angeles autobusami, bo taniej. Chciała teraz mieć trochę spokoju. Dawno już nie słyszała nic o Loraine. W ostatnim liście Loraine ostrzegła ją, że agent ogłoszeniowy czyta jej listy, więc lepiej, żeby nie pisała.

Ostatni pasażerowie wychodzili z poczekalni i wsiadali do autobusu.

Louie założył nogę na nogę. Ta dziewczyna go onieśmiałała.

– Pani jedzie do Los Angeles – powiedział. – Czy pani tam mieszka?

– Czasem.

– Lubię wyobrazać sobie, kim są ludzie, których spotykam – rzekł. – A spotykam ich dużo.

Silnik autobusu cicho posapywał. Stara kobieta spoglądała ze złością na Louie. Mógł ją widzieć w lusterku. Pewnie napisze list do Spółki Autobusowej.

– Niech tam – mruknął Louie do siebie – do diabła z nimi. – Zawsze mógł znaleźć pracę gdzie indziej. A i tak Spółka niewiele zwraca uwagi na listy starszych kobiet. Zerknął jeszcze w lusterko, żeby zobaczyć, co się dzieje dalej w głębi autobusu. Dwaj Hindusi siedzieli z założonymi rękami, Chińczyk rozwinął „Time” i „Newsweek” na kolanach. Porównywał zamieszczone w nich artykuły. Jego głowa kołysała się od jednego magazynu do drugiego i zmarszczka zdziwienia zarysowała się u nasady nosa między brwiami. Dyżurny ruchu kiwnął ręką do Louie.

Louie pociągnął dźwignię zamykając drzwi. Włączył tylny bieg i powoli zsunął autobus po betonowym zjeździe, potem skręcił delikatnie i szeroko, tak że przedni zderzak zaledwie o ułamek cala minął północną ścianę dworca autobusowego. Włączył pierwszy bieg i znów o włos uniknął otarcia się o przeciwległą ścianę. Przy wyjeździe na ulicę zatrzymał autobus i sprawdził, czy ma wolną drogę. Zakręcił, zjeżdżając przy tym na przeciwległą stronę ulicy. Louie był pewnym, nienagannym kierowcą. Autobus jechał główną ulicą San Ysidro, potem przedmieściami aż do otwartej autostrady.

Niebo i słońce były wymyte i czyste. Kolory ostre. W rowach pełno płynącej wody, w niektórych miejscach, gdzie potworzyły się tamy, woda wylewała się na autostradę. Autobus uderzał w kałuże z głośnym świstem i Louie czuł wtedy w rękach szarpnięcia kierownicy. Trawa leżała stłamszona i ubita siłą deszczu, ale już ciepło słońca wracało jej życie, zaczynała się podnosić i prostować.

Louie znów zerknął do lusterka, żeby zobaczyć dziewczynę. Patrzyła na tył jego głowy. Nagle spojrzała w lusterko, prosto w jego twarz, i jej oczy podkreślone ciemnymi liniami, kształtny nos i usta uszminekowane tak, że wydawały się kwadratowe, odbiły się i utrwały w mózgu Louie jak fotografia. Spotkał się ich wzrok i uśmiechnęła się, jakby na znak, że wszystko w porządku.

Gardło mu się ścisnęło, poczuł ciężar w piersiach. Chyba zgłupiałem do reszty – pomyślał. Wiedział, że w gruncie rzeczy jest nieśmiały, choć zawsze starał się w sobie wmówić, że to nieprawda. Teraz właśnie zachowywał się jak zadurzony szesnastoletni chłopiec. Oczy chodziły mu tam i z powrotem, z autostrady do lusterka. Poczuł, że czerwienieje.

– Co jest, do diabła – mruknął do siebie. – Głupieję przez jakąś tam dziwkę. – Zaczął się jej baczniej przyglądać w nadziei, że może znajdzie w niej coś, jakiś błąd, co go uspokoi i uratuje. Zauważył, że ma dwie głębokie blizny biegnące wzdłuż szczęk, ślad porodowych kleszczy.

Od razu poczuł się lepiej. Nie byłaby tak cholernie pewna siebie, gdyby wiedziała, że to zauważył. Jeszcze czterdzieści dwie mile do Rebel Corners. Ta liczba wbiła mu się w mózg. Musi się spieszyć. Jeszcze czterdzieści dwie mile i ona wysiądzie. Nie może stracić ani chwili, jeśli chce coś zdziałać z tą dziewczyną. Głos miał szorstki i gardłowy, kiedy się odezwał.

Wysunęła się z fotela bliżej ku niemu.

– Nie słyszę, co pan mówi – powiedziała.

Louie odkaslnął.

– Mówię, że jest ładnie po deszczu.

– Tak, ładnie.

Usiłował przypomnieć sobie wszystkie swoje wypróbowane chwytły. Wciąż siedziała pochylona ku niemu, chcąc lepiej słyszeć.

– Jak powiedziałem – podjął – staram się zgadnąć, kim są ludzie, których spotygam. Pani jest pewnie w filmie albo na scenie.

– Nie – rzekła dziewczyna. – Pan się myli.

– Nie jest pani z tej branży?

– Nie.

– A czy w ogóle pani gdzieś pracuje?

Zaśmiała się. Wyglądała czarująco, kiedy się śmiała. Lecz Louie zauważył, że jeden z jej górnych zębów na przodzie był krzywy i zachodził na drugi. Przestała się śmiać, zasłoniła ten ząb wargą.

Wie o tym – pomyślał Louie.

Górowała nad nim i wyprzedzała go. Doskonale wiedziała, co Louie za chwilę powie. To się zdarzało już tyle razy przedtem. Będzie się starał dowiedzieć, gdzie mieszka. I jaki ma numer telefonu. A to było proste. Nigdzie nie mieszkała. Jej kufer był u Loraine, w nim trochę książek: *Kapitan Hornblower* i *Życie Beethovena*, jakieś nowele Saroyana w broszurowanych wydaniach i stare suknie wieczorowe do przerobienia. Wiedziała, że temu chłopcu idzie z nią ciężko. Znała dobrze rumieniec wykwitający nad kołnierzykiem mężczyzny i znała tę wymuszoną

gardłowość głosu. Spozrzęła pełne niepewności spojrzenia, jakie rzucał Louie na tył autobusu.

Dwaj Hindusi uśmiechali się do siebie. Chińczyk gapił się w przestrzeń, usiłując pojąć rozbieżności w artykułach na ten sam temat, które przed chwilą przeczytał. Grek siedzący w tyle rozcinał scyzorykiem włoskie cygaro na dwie części; jedną połowę wsadził w usta, drugą, w głębokim zamyśleniu, do kieszonki kamizelki. Stara kobieta pieczołowicie pielęgnowała swój gniew na Louie, doprowadzając się do wściekłości. Kamienny, druzgocący wzrok wbiła w tył jego głowy, broda jej się trzęsła, wargi pobielwały, tak silnie je zaciskała.

Dziewczyna znów wychyliła się z fotela.

– Oszczędzę panu czasu – powiedziała. – Jestem asystentką u dentysty. Pan wie, robię te wszystkie rzeczy w przychodni dentystycznej.

Już nieraz to stosowała. Sama nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że zwykle kończyło to wszelkie dalsze domysły i nikt już jej o nic więcej nie pytał. Ludzie nie lubią mówić o dentystyce.

Louie przeżuwał to, co usłyszał. Autobus dojechał do skrzyżowania dróg. Machinalnie włączył pneumatyczne hamulce i zatrzymał. Hamulce zasyczały, gdy je zwolnił, potem zmieniał kolejno biegi, aż znów osiągnął normalną szybkość podróży.

Czuł, że sprawy stały źle. Ta stara kurwa może w każdej chwili wywołać awanturę. Zostało mu już znacznie mniej niż czterdzieści dwie mile. Jak raz zacznie – wszystko przepadło. Musiał się spieszyć, jak tylko mógł – a to było sprzeczne z jego metodami. Nie powinien odsłaniać kart, jeszcze przynajmniej przez jakieś pół godziny, a ta stara wywłoka zmusza go do pośpiechu.

– Czasem przyjeżdżam do Los Angeles – powiedział. – Gdzie po panią wstąpić? Może moglibyśmy zjeść razem kolację i pójść do teatru?

Nie odniosła się do tego wrogo. Nie było w niej nic wulgarnego, nic z dziwki. Powiedziała po prostu:

– Nie wiem. Ja teraz nie mam mieszkania. Wyjeżdżałam. Muszę jak najprędzej znaleźć mieszkanie.

– Ale pani gdzieś pracuje – rzekł Louie. – Może mógłbym tam wstąpić?

Stara kobieta wierciła się i kręciła w fotelu. Była wściekła, że Louie spędził ją z przedniego miejsca.

– Nie, nie pracuję – rzekła dziewczyna. – Wie pan, straciłam zajęcie. Naturalnie łatwo znajdę pracę, w moim fachu nietrudno.

– Czy to znaczy, że pani mnie chce spławić?

– Nie.

– Więc może pani by do mnie napisała, jak się pani urządzi?

– Może.

– Bo ja chciałbym mieć kogoś w Los Angeles, żeby móc gdzieś razem pójść.

I teraz to nastąpiło; ostry jak brzytwa głos przeciął powietrze:

– Istnieje przepis, że kierowcy nie wolno rozmawiać z pasażerami! Proszę uważać na drogę! – Stara kobieta zwróciła się teraz do wszystkich: – Ten kierowca naraża nasze życie. Wysiadam, jeśli nie będzie prowadził autobusu jak należy.

Louie był w potrzasku. To już było groźne, rzeczywiście mogła mu zaszkodzić. Spojrzał w lusterko i odszukał oczy dziewczyny. Bezgłośnie, poruszając jedynie wargami, powiedział:

– Przeklęta, wyschła stara kurwa!

Dziewczyna uśmiechnęła się i przyłożyła palec do ust. Czuła się jakby wyzwolona, a jednak było jej przykro. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później miałyby z Louie same kłopoty. Ale wiedziała też, że był to przyjemny chłopak i że dawałaby sobie z nim radę, przynajmniej do pewnego czasu. Poznała po jego czerwienieniu się, że gdyby musiała z nim skończyć, odczułby to bardzo głęboko.

Ale było już po wszystkim i Louie to wiedział. Dziewczyna nie chce być wplątana w awanturę, jaka wybuchła. Mógł umówić się z nią jedynie

w czasie jazdy. Wiedział to dobrze. Gdy autobus zatrzymuje się na stacji, pasażerowie wysiadają tak szybko, jak tylko mogą. Wszystko stracone. Przy Rebel Corners zatrzyma się jedynie, by dać jej wysiąść i żeby wyładować tę przeklętą skrzynkę z ciastkami. Przygarbił się nad kierownicą. Dziewczyna skrzyżowała ręce na podołku i już nie spojrzy do lusterka na niego. Co tam, było przecież mnóstwo dziewczyn ładniejszych niż ta. Te blizny po kleszczach były cholernie paskudne. Nie mogła przez to czesać włosów do góry. I – o, Jezu! – obudzić się nagle w łóżku i zobaczyć te blizny! Jest mnóstwo różnych „świnek” na świecie i Louie da sobie radę. Ale w piersiach i aż w brzuchu czuł ciężar smutku. Starał się zwalczyć go i skruszyć, lecz na próżno. Pragnął tej dziewczyny jak jeszcze nigdy żadnej – i w jakiś inny sposób. Miał suche, dławiące uczucie, że coś traci. Nawet nie znał jej imienia i nie będzie go znał. Wyobraził sobie pytający wzrok Edgara, gdy wróci do San Ysidro. Zastanowił się, co mu skłamię.

Po autostradzie szedł wysoki, skrzekliwy śpiew potężnych opon, silnik ciężko wybijał rytm. Wielkie nabrzmiące deszczem, nisko zwisające chmury płynęły po niebie; czarne w środku jak sadze, białe i błyszczące na krawędziach. Jedna z nich wpełzała właśnie na słońce. Louie widział przed sobą na autostradzie jej pędzący naprzeciw autobusowi cień, a w oddali widać już było wyniosłą i zieloną wieżę dębów, które rosły przy restauracji w Rebel Corners. Czuł w sercu gorycz i rozczarowanie.

Juan Chicoy podszedł do zajeżdżającego autobusu.

– Jest co dla mnie? – zapytał, gdy drzwiczki się otworzyły.

– Jeden pasażer i kupa ciastek – rzekł Louie. Wstał ze swego siedzenia, sięgnął ręką i podniósł walizkę dziewczyny. Zsunął się po stopniu, wyciągnął ręce, dziewczyna oparła się na jego ramionach i zeszła na ziemię. Ruszyli razem w kierunku restauracji.

– Do widzenia – powiedziała.

– Do widzenia – rzekł Louie. Przyglądał się, jak wchodziła przez drzwi, jak jej małe pośladki wznosiły się i opadały.

Juan i Pryszcz zdjęli skrzynkę z dachu. Louie wdrapał się z powrotem do autobusu.

– Bywaj – rzekł Juan.

Stara kobieta przesiadła się na przednie miejsce. Louie zamknął dźwignią drzwi. Włączył pierwszy bieg i odjechał. Gdy osiągnął normalną szybkość, gdy opony znów dzwoniły po autostradzie, spojrzął w lusterko. Stara kobieta miała na twarzy wyraz triumfu.

– Tyś to zabiła – szepnął do siebie Louie. – Tyś to zamordowała.

Kobieta podniosła wzrok i uchwyciła jego oczy w lusterku.

Louie rozmyślnie, jedynie ruchami warg wyszeptał:

– Ty przekłeta stara kurwo!

Zobaczył, że usta jej się zacisnęły i pobielwały. Zrozumiała.

Przed nimi śpiewała autostrada.

ROZDZIAŁ 8

Juan i Pyszcza zanieśli skrzynkę Domowych Ciast Mamy Mahoney przed budynek restauracji i postawili na ziemi. Obaj bacznie obserwowali, jak przybyła Greyhoundem blondynka wchodziła przez drzwi. Pyszcza nie odezwał się słowem, tylko wydał z siebie niski bulgocący gwizd. Pot zwilżył mu dłonie. Juan przymrużył oczy i nikłe światełko błysnęło spod opuszczonych rzęs. Oblizął wargi szybko i nerwowo.

– Wiem, co ci już strzeliło do głowy – powiedział Juan. – Chcesz się zwolnić i pobrykać trochę, co?

– O, rany – rzekł tylko Pyszcza. – Fiu, fiuuu...

– Taa – rzekł Juan. Pochylił się nad skrzynką i otworzył jej bok. – Trzymam zakład, Kit...

– Że co?

– Dwa do jednego – ciągnął dalej Juan. – Nagle przyszło ci do głowy, że od dwóch tygodni nie miałeś wolnego dnia, chcesz go wziąć dzisiaj i pojechać ze mną do San Juan. Może by to był nawet niezły pomysł, zwłaszcza gdyby autobus miał znowu nawalić.

Policzki Pyszcza zaczerwieniły się w miejscach wolnych od krost i wrzodów. Podniósł z niepokojem wzrok na Juana, ale spotkał w jego oczach tyle dobrodusznego humoru, że poczuł się pewniej. Niech go szlag trafi – pomyślał – co za wspaniały facet! Nie będę nigdy pracował dla nikogo innego.

– Dobra – rzekł głośno. Czuł, że mówi do prawdziwego mężczyzny. Juan rozumiał, co trzeba. Rozumiał, jak się facet czuje, kiedy obok przechodzi

takie coś, taki miód jak ta. – Dobra – powtórzył tylko.

– Dobra, dobra – przedrzeźniał go Juan. – A kto zajmie się pompami z benzyną i rozwalonymi dętkami?

– A kto robił to przedtem? – spytał Prysycz.

– Nikt – rzekł Juan. – Zwykle wywieszało się na garażu napis: „Nie przyjmujemy żadnych reperacji”. Alice może pompować benzynę. – Szturchnął Prysicza w ramię.

Co za gość! – pomyślał Prysycz. – Co za gość!

Ciastka były umieszczone na wysuwanych tackach z przegródkami. W skrzynce były cztery takie tacki, dwanaście ciastek na każdej – razem czterdzieści osiem.

– Zobaczmy, co tu jest – rzekł Juan. – Masz tu sześć malinowych, cztery z kremem cytrynowym, cztery z rodzynkami i dwa z kremem karmelowym. – Mówiąc to, wyjmował ciastka i układał na wierzchu skrzynki. – Zabieraj je do restauracji, Pry... to jest, Kit.

Prysycz wszedł do środka, niosąc w każdej ręce po jednej tacy. Blondynka siedziała na stołku przy bufecie i piła kawę. Nie mógł widzieć jej twarzy, ale czuł tę elektryczność czy cokolwiek to było, co od niej szło. Położył ciastka na bufecie. Gdy odwracał się, żeby znowu wyjść, tknęła go cisza, jaka panowała w restauracji.

Pan Pritchard, krzywy zgorzknialec i ten młody facet Horton siedzieli w zachwyconym osłupieniu. Gdy blondynka weszła, podnieśli oczy, obrzucili ją spojrzeniem i spuścili wzrok. Mildred i jej matka patrzyły nieruchomo wprost w pudełka płatków owsianych stojące za bufetem. W restauracji nie było Alice, za bufetem stała Norma i wycierała blat ścierką.

– Może zje pani naleśnik? – zapytała Norma.

Prysycz zatrzymał się. Chciał usłyszeć głos blondynki.

– Tak, chyba zjem – powiedziała.

Niski, gardłowy ton – aż nagły spazm ściągnął mu skurczem brzuch. Szybko wybiegł i wziął więcej ciastek.

– Ruszaj się – powiedział Juan. – Będziesz mógł gapić się na nią całą drogę do San Juan, chyba żebyś chciał prowadzić wóz.

Pryszcz szybko zabierał ciastka. Zaniósł już szesnaście. Zostało jeszcze trzydzieści dwa. Juan zamknął skrzynkę, zaciągnął zasuwkę. Pryszcz wyszedł z restauracji i pomógł Juanowi wsadzić skrzynkę do czarnego bagażnika autobusu.

Sweetheart był gotów. Gotów do drogi. Juan odstąpił w tył i przyglądał mu się przez chwilę. Wprawdzie nie Greyhound, ale nie był zły. W oprawie okien nieco rdzy przeżarło się przez aluminiową farbę. Trzeba będzie to zamalować. I nakrętki na koła też potrzebują farby.

– Zbierajmy się – rzekł do Pryszcza. – Zamknij garaż. Na podłodze, pod kranem do węża, leży tablica. Wywieś ją na drzwiach. Zwijaj się... Jeszcze pewnie chcesz się przebrać?

Pryszcz skoczył do garażu. Juan rozprostował ramiona, przeciągnął się i poszedł w stronę restauracji.

Pan Pritchard założył prawą nogę na lewą. Wielki palec jego zwieszanej stopy zaciskał się i odginał krótkimi, konwulsyjnymi ruchami. Gdy blondynka wchodziła do restauracji, obrzucił ją szybkim spojrzeniem – teraz wypełniło go przyjemne podniecenie. Coś go jednak gnębiło. Już gdzieś – zastanawiał się – spotkał tę dziewczynę. Może pracowała w którymś z jego zakładów, może sekretarka, może widział ją w biurze któregoś z przyjaciół? Ale gdzieś już ją spotkał. Pewien był tego. Święcie wierzył, że nigdy nie zapomina twarzy raz spotkanych osób – podczas gdy w rzeczywistości rzadko je pamiętał. Bo nigdy nie patrzył uważnie na niczyją twarz, o ile nie zamierzał robić interesów z tym, do kogo należała. Zastanawiał się teraz, dlaczego razem z wrażeniem, że spotkał już gdzieś tę dziewczynę, łączyło się uczucie popełnionego grzechu. Gdzie mógł ją spotkać?

Pani Pritchard patrzyła ukradkiem na jego kiwającą się stopę. Ernest Horton otwarcie wgapiał się w nogi dziewczyny.

Blondynka spodobała się Normie. Pod jednym względem Norma była jak Loraine: nikogo nie kochała – no, z wyjątkiem jednego – nie miała więc niczego, co by jej można było zabrać, niczego do stracenia. A ta dziewczyna była przyjemna. Mówiła w miły i uprzejmy sposób. I przybyłej też jakoś się Norma spodobała. Czują, że mogłyby się polubić.

Jeszcze przed samym przyjazdem Greyhonda do Rebel Corners Alice kazała Normie stanąć za bufetem i obsługiwać gości, a sama wyszła z restauracji, mówiąc, że zaraz wróci. Potem przyjazd autobusu, zjawienie się blondynki i parzenie kawy pochłonęły Normę całkowicie. I teraz nagle coś ją uderzyło, coś pojęła i aż przeszedł ją chłód, poczuła mdłości. Wiedziała już, co się właśnie dzieje – jakby przy tym była. Wiedziała i zaczęła szybko liczyć i planować, i kombinować w tej głuchej, mdlącej wściekłości, jaka ją ogarnęła. Ten zwitek banknotów w walizce starczyłby, zanim znajdzie pracę. Więc dlaczego nie miałyby z miejsca odejść? I tak kiedyś miała to zrobić. Otworzyła schowek pod bufetem, włożyła tam ciastka, zostawiając na wierzchu po jednym każdego gatunku. Jedno malinowe, jedno z rodzynekami, jedno z kremem cytrynowym i jedno z karmelowym. Ustawiła je rzędem na bufecie i od ich zapachu zrobiło jej się jeszcze bardziej mdło. Ciągle nie była zdecydowana, co robi.

Przez frontowe drzwi wszedł Juan i stanął, patrząc na tył głowy blondynki.

– Czy mógłby pan mnie przez chwilę zastąpić, panie Chicoy? – zapytała Norma.

– Gdzie jest Alice? – rzekł Juan.

– Nie wiem – powiedziała Norma. Jakby ją widziała. Alice ma zły wzrok. Więc podchodzi do okna, podnosi list do światła. Tak naprawdę mało ją obchodzi, co w nim napisane. Jest to zdawkowa, jakby mimowolna ciekawość. Pochyla twarz nad listem, włosy spadają jej na oczy, więc je

zdmuchuje, palcem wodzi po linijkach pisma. Normę przeszedł dreszcz. Widzi siebie, jak chwyta list, palce jej zaginają się do wewnątrz niby szpony. Ich końcami wyczuwa gładkość skóry Alice, za chwilę zatopi paznokcie w jej oczach, w tych wstrętnych, wilgotnych, galaretowatych oczach. Alice upadnie na plecy i Norma kolanami będzie gnieść jej wydęty miękki brzuch, będzie drapać, szarpać jej twarz aż do krwi.

Juan popatrzył na Normę.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał. – Niedobrze ci?

– Tak – rzekła Norma.

– Idź szybko, żebyś tu nie zwymiotowała.

Opierając się o bufet, podeszła do drzwi sypialni i otworzyła je cicho. Drzwi jej pokoju były lekko uchylone. Bezszelestnie przesunęła się przez sypialnię Chicoyów. Była zimna i cała drżąca – zimna jak lód. Bezgłośnie pchnęła uchylone drzwi. Otworzyły się na całą szerokość. I tam to było – Alice stoi przy oknie, trzyma przy oczach jej list do Clarka Gable’a, zdmuchuje włosy, które opadły jej na twarz.

Alice zdmuchnęła włosy, podniosła wzrok i ujrzała stojącą w drzwiach Normę. Jej otwarte usta, zaciekłą twarz.

Norma postąpiła naprzód jeden krok. Wysunęła dolną szczękę i tak mocno ściągnęła usta, że linie warg zatarły się i skryły. Alice bezmyślnie wyciągnęła rękę, w której trzymała list. Norma wzięła go, złożyła starannie i wsunęła za stanik. Potem podeszła do biurka. Wyciągnęła walizkę. Odpięła zza dekoltu kluczyk i otworzyła ją. Zaczęła się pakować. Wyjmowała swoje rzeczy z szuflad biurka i wkładała do walizki, upychając pięścią złożoną odzież. Wyjęła z szafy trzy suknie i palto z kołnierzem z królików; palto położyła na łóżku, suknie zwinęła na ramiączkach i włożyła do walizki.

Alice stała jak wryta. Wodziła tylko wzrokiem za Normą i głowa jej chodziła w przód i w tył, i w bok, w miarę jak Norma poruszała się po pokoju. W duszy Normy brzmiał bezgłośny krzyk triumfu. Miała przewagę.

Przez całe jej życie poszturchiwano ją, rozkazywano jej – teraz była górą i milczała. Dobrze jej było z tym. Nie powiedziała ni słowa i ani słowa nie powie. Wrzuciła do walizki dwie pary pantofli, pewną ręką zamknęła wieko, zatrzasnęła zasuwki i przekręciła kluczyk w zamku.

– Odchodzisz? Teraz? – zapytała Alice.

Norma nie odpowiedziała. Nie zniszczy swego triumfu. Nic jej do tego nie zmusi.

– Nie chciałam zrobić nic złego – rzekła Alice. Norma nie podniosła oczu.
– Lepiej nie piśnij o tym, bo już ja cię urządzę – rzuciła niespokojnie Alice. Norma milczała dalej. Podeszła do łóżka, wzięła swoje czarne palto z kołnierzem z królików, chwyciła w rękę walizkę i wyszła z pokoju. Oddychała ciężko, powietrze świszczało w jej nozdrzach. Weszła do restauracji wprost za bufet, nacisnęła guzik automatycznej kasy, wyjęła z niej dziesięć dolarów: jedną pięciodolarówkę, cztery pojedyncze dolary, jedną półdolarówkę i dwie monety po dwadzieścia pięć centów. Wrzuciła pieniądze do bocznej kieszeni palta. Swe bezwolne usta zacisnęła w wyraz zdecydowania.

– Co tu się dzieje? – zapytał Juan.

– Jadę z panem do San Juan – powiedziała.

– Musisz pomóc Alice – rzekł Juan. – Nie może tu sama zostać.

– Odchodzę stąd – rzekła Norma. Gdy szła wzdłuż bufetu do wyjścia, spostrzegła, że blondynka przygląda się jej uważnie. Dźwigając walizkę, podeszła do autobusu, wdrapała się po stopniach i zajęła miejsce bliżej tyłu. Siedziała bardzo sztywna i wyprostowana.

Juan patrzył na nią, jak wychodziła przez drzwi. Wzruszył ramionami.

– Kto wie, co to wszystko ma znaczyć? – rzucił pytanie w powietrze.

Ernest Horton zmarszczył brwi. Nienawidził Alice Chicoy.

– Kiedy ruszamy? – zapytał.

– Dziesiąta trzydzieści – rzekł Juan. – Teraz jest dziesięć po dziesiątej. Spojrzał na Pritchardów.

– Słuchajcie – powiedział. – Muszę pójść się przebrać. Jeśli ktoś chce jeszcze kawy czy coś, to niech sobie sam bierze. – Wszedł do sypialni. Ściągnął z ramion szelki kombinezonu i spodnie zsunęły się na ziemię wokół jego stóp. Ściągnął przez głowę niebieską koszulę z surowego płótna, skopał z nóg mokasyny i wystąpił z opadłych nogawek, zostawiając buty, skarpetki i kombinezon leżące na kupie na ziemi. Ciało miał twarde i śniade, kolor ten dało mu nie słońce, lecz brązowi przodkowie. Podszedł do drzwi łazienki i kopnął w nie. Alice spuściła wodę i otworzyła drzwi. Myła twarz i do policzków przylepiły się jej mokre kosmyki włosów. Usta miała zmęczone i bezwładne, oczy napuchłe i czerwone.

– Co się dzieje? – zapytał Juan. – Sama sprowadzasz piekło na siebie, co?

– Ząb mnie boli – rzekła Alice. – Nic nie pomaga. Straszny, rwący ból. O, tu.

– Co się stało Normie? – zapytał Juan.

– A niech idzie – rzekła Alice. – Wiedziałam, że kiedyś ją przyłapię.

– Tak, ale co zrobiła?

– Ma trochę za lepkie palce.

– Co zabrała?

– Wiedziałam, że to u niej znajdę. Pamiętasz tę butelkę bellodgii, którą dałeś mi na Gwiazdkę? Znikła od pewnego czasu i znalazłam ją w walizce Normy. Weszła do pokoju właśnie, kiedy ją znalazłam. Zaczęła się ciskać, więc powiedziałam jej, żeby się wyniosła.

Oczy Juana zamgliły się. Wiedział, że to kłamstwo, lecz nie troszczył się o prawdę. Zupełnie go nie obchodziło, o co kobiety walczą między sobą. Wszedł do wanny pod prysznic i zaciągnął zasłonę.

– Rozrabiasz całe rano – powiedział. – Co cię ugryzło?

– Akurat mam okres – powiedziała Alice – a do tego ten ząb.

Juan wiedział, że kłamała, podając mu ten pierwszy powód, i podejrzewał, że ten drugi też nie jest prawdziwy.

– Łyknij sobie trochę whisky, jak pojedziemy – rzekł. – To ci dobrze zrobi na jedno i na drugie.

Alice była zadowolona. Chciała, żeby on jej to poddał.

– Będziesz musiała sama wszystko robić – mówił dalej Juan. – Pyszcz jedzie ze mną.

Ogarnęło ją radosne podniecenie. Zostanie sama, zupełnie sama. Ale nie może dać poznać Juanowi, że to było właśnie to, czego chciała.

– Po co Pyszcz jedzie? – zapytała.

– Chce coś tam załatwić w San Juan. Wiesz, a może wszystko zamknąć w ogóle? Mogłabyś pojechać do San Juan do dentysty.

– Nie – powiedziała Alice. – To nie jest dobry pomysł. Pojadę do San Ysidro jutro lub pojutrze. Nie powinno się zamykać restauracji.

– OK, twój ząb, nie mój – rzekł Juan i puścił wodę. Wystawił głowę spoza zasłony. – Idź tam i zajmij się pasażerami.

Gdy Alice weszła, Ernest Horton siedział już przy blondynce.

– Napijmy się kawy – zaproponował. – Albo może pani woli colę?

– Nie, lepiej kawy. Tyję od coli.

Ernest nie marnował czasu. Już przedtem zapytał ją, jak się nazywa, i powiedziała mu, że Camille Oaks. To oczywiście nie było jej nazwisko. Szybko je wymyśliła, kojarząc ogłoszenie papierosów Camel wiszące na ścianie – przedstawiające inną blondynkę o piersiach jak balony – z dębami³, które widziała przez okno. I stała się Camille Oaks – przynajmniej na czas podróży autobusem.

– Gdzieś niedawno słyszałem to nazwisko – rzekł Edward, podając jej uprzejmie cukierniczkę.

Stopa pana Pritcharda wciąż jeszcze kołysała się w powietrzu wprawiona w ruch krótkimi, niespokojnymi szarpnięciami. Pani Pritchard wciąż jeszcze na nią patrzyła. Wiedziała, że jej mąż jest czymś podrażniony, ale nie znała powodu. Nie miała doświadczenia w tego rodzaju sprawach. Jej przyjaciółki nie należały do kobiet, których obecność mogłaby

spowodować taki ruch stopy pana Pritcharda. A pani Pritchard nic nie wiedziała o życiu, jakie istniało poza kręgiem jej towarzyskich stosunków.

Pan Pritchard rozprostował nogi, wstał i podszedł do bufetu.

– Pan pewnie myślał o tym procesie Oaksów o morderstwo – rzekł do Ernesta. – Pewien jestem, że ta młoda dama ani nikogo nie zamordowała, ani vice versa. – Zaśmiał się. – Poproszę jeszcze kawy, jeśli można – zwrócił się z uprzedzającą grzecznością do Alice.

Mildred, nie odwracając głowy, zerknęła na ojca. Nigdy jeszcze nie słyszała go mówiącego w ten sposób; w jego głosie brzmiała jakaś dotąd nieznaną jej nuta, coś jakby ton uprzejmej wyższości. Przeciągał samogłoski i nadawał temu, co mówił, jakąś sztuczną oficjalność. Wstrząsnęło nią to odkrycie. Zerknęła na dziewczynę i od razu zrozumiała, o co chodzi. Jej ojciec zgrywał się przed Camille Oaks. Odgrywał przed nią jakąś sztukę – z rodzaju „ojcowskich”. Jego córce to się nie podobało.

– Odnoszę wrażenie, że już panią gdzieś spotkałem – powiedział pan Pritchard. – Czy to możliwe? – Mildred sparafrazowała w myślach to zdanie: „Skąd my się znamy, dziewczynko?”.

Camille spojrzała na twarz pana Pritcharda, potem na odznakę w jego klapie. Już wiedziała, gdzie ją spotkał. Starła się nie patrzeć w twarze mężczyzn, gdy na „zabawach dla panów” zdejmowała z siebie wszystko i naga siadała na dzbanie pełnym wina. W ich wilgotnych, podpuchniętych oczach i obwisłych w półuśmiechu ustach było coś, co ją przerażało. Zdawało się jej, że gdyby spojrzała wprost na któregoś z nich – rzuciłby się na nią. Dla niej otaczający ją tłum mężczyzn składał się z niewyraźnych plam różowych twarzy, setek białych kołnierzyków i starannie zawiązanych plastronów. Tylko członkowie klubów dla tych, którzy zarabiali powyżej dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie, zbierali się w smokingach na te okazje.

– Nie pamiętam – powiedziała.

– Była pani kiedy na zachodzie Stanów?

– Pracowałam w Chicago – rzekła Camille.

– Gdzie? – zapytał pan Pritchard. – Jestem prawie pewny, że panią gdzieś spotkałem.

– Pracuję u dentysty – rzekła Camille.

Oczy pana Pritcharda rozjaśniły się za okularami.

– Zakład, że już wiem. Jak jestem w Chicago, chodzę z zębami do doktora Liebholza.

– Nie – powiedziała Camille – nigdy z nim nie pracowałam. Ostatnio moim szefem był doktor T.S. Chesterfield.

Wzięła to też z afisza – trochę nieostrożnie. Miała jedynie nadzieję, że nie zauważy wiszącej tuż nad nim reklamy: *Papierosy Chesterfield dają największe zadowolenie.*

Pan Pritchard rzekł w końcu beztrasko:

– O, na pewno prędzej czy później sobie przypomnę. Nigdy nie zapominam ludzkich twarzy.

Mildred ogarnęło uczucie niesmaku. Pani Pritchard uchwyciła spojrzenie córki i dostrzegła wyraz odrazy w jej oczach. Popatrzyła na męża. Zachowywał się dziwnie.

– Elliott – powiedziała – mógłbyś mi podać trochę kawy?

Pan Pritchard jakby się otrząsnął i wrócił do rzeczywistości.

– O... tak, naturalnie – powiedział. Jego głos stał się znowu normalny.

Drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem i wszedł Prysycz Carson – ale Prysycz odmieniony. Miał silnie napudrowaną twarz, żeby ukryć krosty i wrzody, które w rezultacie stały się przez to ciemnopurpurowe. Sczesane do tyłu włosy były zlepione pomadą. Straszliwie ciasny kołnierzyk koszuli, zielony krawat związany w mały węzełek, pod krawatem złota agrafka, którą spiął brzegi kołnierzyka – wyglądało, że Prysycz się za chwilę udusi. Koszula i krawat wznosiły się i opadały za każdym razem, gdy coś przełykał. Miał na sobie czekoladowe ubranie z włochatego materiału; na spodniach niemal niedostrzegalne odciski sprężyn materaca. Jego stroju

dopełniały biało-brązowe półbuty i wełniane skarpetki w czerwono-zieloną kratę.

Alice spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Widzicie, co to takiego przyszło? – powiedziała.

Pryszcz nienawidził jej w tym momencie. Siadł na stołku opróżnionym przed chwilą przez pana Pritcharda, który podawał właśnie kawę swojej żonie.

– Zjadłbym takie nowe ciastko z malinami – rzekł do Alice. Zerknął nerwowo na Camille i powiedział do niej trochę przyduszonym głosem: – Pani też powinna spróbować choć jedno.

Camille spojrzała na niego i oczy jej stały się ciepłe. Zawsze poznawała, kiedy mężczyzna ma trudności.

– Nie, dziękuję – powiedziała uprzejmie. – Jadłam śniadanie w San Ysidro.

– To na mój rachunek – mówił dalej Pryszcz w zapamiętaniu.

– Nie, naprawdę dziękuję, nie mogłabym już nic przełknąć.

– On za to zawsze może coś przełknąć – odezwała się Alice. – On mógłby jeść ciasto, nawet gdyby mu miało uszami wyłazić. – Gwałtownie obróciła ciasto w rękę i sięgnęła po nóż.

– Proszę podwójny kawałek – rzekł Pryszcz.

– Zdaje się, że przejadłeś całą swoją płacę za ten tydzień – rzekła bezlitośnie Alice.

Pryszcz skurczył się i zmałał. Boże, jak on jej nienawidził! Alice pilnie przyglądała się blondynce. Chwyciła, w czym rzecz. Każdy z mężczyzn znajdujących się w tym pokoju był czujny i napięty, każdy nastroszył wszystkie zmysły na tę dziewczynę. Alice stała się niespokojna. Będzie wiedziała, jak z tym jest, jak tylko przyjdzie Juan. Jeszcze chwilę temu chciała, żeby autobus już był w drodze i żeby mogła wreszcie dorwać się do picia. Ale teraz... teraz była coraz bardziej niespokojna.

– Jak tylko będę miał przy sobie moją walizkę z próbkami – powiedział Ernest Horton – pokażę pani różne sprytne drobiazgi, jakie mam na sprzedaż. Wszystko ostatnie nowości. Pierwsza klasa towar.

– Dawno wyszedł pan z wojska? – zapytała Camille.

– Pięć miesięcy temu – rzekł Ernest.

Spojrzała na klapę jego marynarki, w której tkwił znaczek: białe gwiazdy na niebieskim tle.

– Ładny – stwierdziła. – To duże odznaczenie, prawda?

– Tak mi powiedzieli – rzekł Ernest. – Nie kupuję byle galanterii. – Zaśmiali się oboje.

– Sam Wielki Wódz przypiął to panu?

– Aha!

Pan Pritchard wychylił się do przodu. Gnębiło go, że nie wie, o czym mowa.

– Pani naprawdę powinna spróbować tego ciasta z malinami – rzekł Prysycz.

– Nie mogłabym nic już przełknąć – powiedziała Camille.

– Jak znowu znajdziesz w tym muchę, to całą resztę wpakuję ci w pysk – rzekła Alice do Prysicza.

Camille dobrze znała tego rodzaju symptomy. Ta kobieta będzie jej nienawidziła, już jej prawie nienawidzi. Spojrzała z niepokojem na dwie inne obecne w restauracji. Pani Pritchard nie była groźna. Ale ta dziewczyna, która usiłowała nie używać okularów! Camille miała tylko nadzieję, że nie dojdzie między nimi do spięcia. To musiał być niezły gagatek. Jęknęła tylko w duchu: „O Jezu, moja droga Loraine, przestańmy już tak się szarpać i zamieszkajmy gdzieś spokojnie razem”. Poczula się śmiertelnie znużona i bardzo samotna. Pomyślała, jak to jest być żoną pana Pritcharda. On był czymś w rodzaju tego mężczyzny, o jakiego jej szło. Pewnie nie było tak źle być jego żoną. Pani Pritchard nie wyglądała na to, żeby miała z nim zbyt wiele kłopotu.

Bernice Pritchard błędziła w ciemności. Nie czuła w stosunku do Camille nienawiści. Niejasno zdawała sobie sprawę, że coś się w tym pokoju zmieniło – ale nie wiedziała co.

– Zdaje się, byłby czas zebrać nasze rzeczy – powiedziała łagodnie do Mildred, mimo że ich bagaże dawno już stały złożone razem. Wszedł Juan. Miał na sobie świeże welwetowe spodnie, czystą niebieską koszulę i skórzaną wiatrówkę. Gęste włosy zaczesał w tył, ogolone policzki błyszcząły świeżością.

– Wszyscy już gotowi? – zapytał.

Alice bacznie go obserwowała, jak szedł wzdłuż bufetu. W ogóle nie spojrzał na Camille. Szarpnął nią gwałtowny niepokój. Juan zawsze patrzył na każdą dziewczynę. Jeśli tego nie robił, to coś w tym było. Nie podobało się to Alice.

Van Brunt, stary dżentelmen ze sztywnym karkiem, wszedł do restauracji, przez chwilę trzymał drzwi otwarte.

– Wygląda, jakby miało jeszcze padać – powiedział.

– Jedzie pan na północ następnym Greyhoundem – rzekł krótko Juan.

– Rozmyśliłem się – powiedział Van Brunt. – Pojadę z wami. Chcę zobaczyć ten most. Ale mówię panu, że będzie jeszcze padać.

– Zdawało mi się, że pan nie chciał ze mną jechać.

– Wolno mi zmienić zamiar, może nie? Dlaczego pan nie telefonował jeszcze raz, żeby dowiedzieć się o ten most?

– Mówili, że jest w porządku.

– To było jakiś czas temu – rzekł Van Brunt. – Pan jest obcy w tych stronach. Pan nie zdaje sobie sprawy, jak szybko San Ysidro może wezbrać. Widywałem już, jak przybierała jedną stopę na godzinę. Cała woda ze wzgórz ścieka do rzeki. Niech pan lepiej jeszcze raz zadzwoni.

Juan nie mógł już wytrzymać.

– Słuchaj pan – powiedział. – To ja prowadzę autobus. Robię to już jakiś czas. Może ma pan coś przeciw temu? Jedź pan ze mną na los szczęścia

albo pan nie jedź, ale dajże mi pan prowadzić spokojnie mój autobus.

Van Brunt spojrział zimno na Juana.

– Niezależnie od tego, czy z panem pojedę, czy nie, mogę napisać o tym do Komisji Drogowej. Pan pełni publiczną służbę. Nie powinien pan o tym zapominać.

– Jedziemy – rzekł Juan.

Alice patrzyła na niego ukradkiem, ale on nawet nie spojrział w stronę Camille ani nie ofiarował się, że zanieśie jej walizkę do autobusu. Zły znak. Alice nie była zadowolona. To nie wyglądało na Juana.

Camille chwyciła do ręki walizkę i szybko wymknęła się przez drzwi. Nie chciała siedzieć w autobusie obok żadnego z mężczyzn. Czowała się zmęczona. Szybko obliczyła możliwości. Mildred Pritchard była wolna, tylko że Mildred już jej nie lubiła. Ale ta dziewczyna, która rzuciła pracę, już siedziała w autobusie. Camille podbiegła do autobusu i wdrapała się po stopniach. Ernest Horton i pan Pritchard rzucili się za nią szybko, jak tylko mogli – ale Camille była już w środku. Norma siedziała zupełnie nieruchoma. Oczy miała wrogie, nos czerwony i świecący. Była przerażona tym, co robiła.

– Czy mogłabym usiąść koło ciebie, kochanie? – spytała Camille.

Norma sztywno obróciła głowę i spojrzała na blondynkę.

– Jest mnóstwo wolnych miejsc – rzekła.

– Ale czy mogłabym? Powiem ci później dlaczego.

– Jak pani woli – rzekła wyniośle Norma. Widziała, że ta dziewczyna była bardzo elegancko ubrana. Coś tu się nie zgadzało. Ludzie zwykle nie starali się siadać obok Normy. Musiało w tym coś być. Jakiś tajemniczy powód. Nie na próżno Norma uwielbiała filmy. Z takiej rzeczy jak ta można by nakręcić dziesięć szpul samej rozkoszy. Przesunęła się do okna, robiąc jej miejsce.

– Daleko pani jedzie? – spytała Norma.

– Do Los Angeles.

– O, ja też tam jadę. Pani tam mieszka?

– Tam i nie tam – powiedziała Camille. Zauważyła przez okno, że mężczyźni, którzy przepychając się nawzajem, wybiegli z restauracji, zobaczyli, że już usiadła koło Normy. Wstrzymali rozpęd. Zaniechali wyścigu. Podeszli do tyłu autobusu, aby umieścić walizki w bagażniku.

Juan pozostał w tyle. Zatrzymał się u wyjścia z restauracji. Alice patrzyła na niego spoza zasłony w drzwiach.

– Staraj się przyjść do siebie – mówił Juan. – Cholernie rozrabiałaś całe rano. Doprowadź siebie i wszystko do porządku, zanim wrócę.

Twarz Alice stała się ostra. Już miała coś odpowiedzieć.

– Bo pewnego dnia w ogóle nie wrócę – dokończył Juan.

Straciła oddech.

– Po prostu źle się czuję – jęknęła.

– Więc weź się w kupę i zacznij się czuć dobrze. Nikt nie lubi mieć za długo do czynienia z chorymi. Nikt. Jasne?

Patrzył nie na nią, ale poprzez nią, mimo niej i Alice ogarnął paniczny lęk. Juan odwrócił się i ruszył w stronę autobusu.

Alice oparła się łokciami o framugę drzwi. Wielkie ciche łzy nabiegły jej do oczu.

– Jestem gruba – szepnęła – gruba i stara. Boże, jaka ja jestem stara!

W nosie zrobiło jej się mokro od łez. Siąknęła.

– Ty możesz sobie brać młode dziewczyny, a co ja? – mówiła do siebie. – Nic. Stara szmata! – Cicho szlochała, stojąc za zasłoną.

Pan Pritchard bardzo chciał zająć miejsce tuż za blondynką, żeby móc się jej przyglądać, ale pani Pritchard już się usadowiła z przodu, musiał więc sięść razem z nią. Mildred usiadła sama, za nimi, po drugiej stronie przejścia. Pyszczył wdrapał się do autobusu i zajął właśnie to miejsce, które upatrzył pan Pritchard, a obok Pyszcza siadł Ernest Horton.

Juan stwierdził z niechęcią, że Van Brunt zajął miejsce tuż za siedzeniem kierowcy. Juan był podenerwowany. Niewiele spał tej nocy i od wczesnego

rana trwało w domu coś w rodzaju piekła. Ułożył porządnie walizki w bagażniku z tyłu autobusu, nakrył je brezentem i zatrzasnął klapę. Pokiwał ręką Alice, która stała za oszklonymi drzwiami restauracji oparta o framugę. Poznał po jej postawie, że płacze, co mu się nie podobało. Wymykała mu się z rąk. Zastanowił się, dlaczego jej nie rzuca. Przez czyste lenistwo – pomyślał. Nie chciało mu się przechodzić przez wszystkie emocjonalne zawracania głowy, jakie by to wywołało. Chciał czy nie chciał, musiał się o nią troszczyć, i to zaczynało mu już sprawiać zbyt wiele kłopotu. Musiałby znaleźć sobie od razu jakąś inną kobietę, to wymagałoby znów mnóstwa gadaniny, awantur i tłumaczeń. Łatwo jest znaleźć dziewczynę na przespanie, ale jemu była potrzebna kobieta na stałe, żeby zajmowała się nim. Człowiek się przyzwyczaja. W dodatku Alice jest jedyną poza granicami Meksyku kobietą, która umie gotować groch. Zabawne. Każdy najlichszy Indianin w Meksyku wie, jak należy gotować groch, a tu nikt poza jedną jedyną Alice – żeby puścił tyle akurat soku, ile trzeba, żeby miał właściwy smak i zapach czystego grochu, bez żadnych domieszek. Tu dodają pomidory i czosnek, i chili, i różne inne rzeczy, a groch należy gotować sam dla siebie, groch z grochem, i już. Juan zaśmiał się cicho.

– Dlatego, że umie gotować groch – szepnął do siebie.

Ale był jeszcze jeden powód. Ona go kocha. Naprawdę kocha. Wiedział to. Nie można tego tak sobie zostawić. Bo to już jest cała konstrukcja i ma swoją architekturę, i nie da się odejść od tego, żeby nie wyrwać części samego siebie. Więc jeśli chcesz być cały i zupełny – zostajesz, czy masz ochotę czy nie. Juan nie był człowiekiem, który by umiał sam siebie nabierać.

Był już prawie przy autobusie, gdy nagle zawrócił do drzwi restauracji.

– Uważaj na siebie – powiedział. W oczach miał wiele ciepła. – Pociągnij sobie zdrowo na ten ząb. – Odwrócił się i poszedł do autobusu. Będzie pijana jak bela, kiedy wróci; takie uderzenie dobrze jej zrobi. Jak Alice

będzie nieprzytomna, prześpi się w łóżku Normy. Nie znosił jej zapachu, kiedy była pijana. Kwaśny, gorzki zapach.

Juan spojrział w niebo. Powietrze było spokojne, ale wysoko dął ostry wiatr, pędząc ponad górami całe legiony nowych szeroko rozplaszczonych chmur. Wielkie dęby wciąż jeszcze strząsały z siebie wodę po porannym deszczu, a w kwiatach geranium błyszczały ogromne krople. Natura była cicha, lecz czynna.

Juan, mimo że nie chciał przyznać Van Bruntowi racji, bał się, że niebawem spadnie deszcz. Wdrapał się po stopniach do autobusu i zanim jeszcze zdążył usiąść, zaczepił go Van Brunt.

– Wie pan, skąd idzie ten wiatr? Z południowego zachodu. Wie pan, skąd idą te chmury? Z południowego zachodu. Wie pan, skąd nadchodzi deszcz? – dopytywał się dalej z triumfem. – Z południowego zachodu.

– OK, wszyscy musimy kiedyś umrzeć – rzekł Juan. – Niektórzy z nas gwałtowną śmiercią. Może pana na przykład przejechać traktor. Widział pan kiedy człowieka przejechanego przez traktor?

– Skąd panu to przyszło do głowy? – zapytał Van Brunt.

– Jak ma padać, niech pada – powiedział Juan.

– Ja nie mam traktora – rzekł Van Brunt. – Posiadam cztery pary najlepszych koni w tym stanie. Skąd panu przyszedł do głowy traktor?

Juan nacisnął nogą starter. Dał się słyszeć wysoki, zgrzytliwy i wątki dźwięk, ale silnik zaraz zapalił i pracował dobrze. Szedł równo i prawidłowo. Juan obrócił się w siedzeniu.

– Kit – zawołał – słuchaj uważnie, jak tam działa wszystko na tyle!

– OK – rzekł Prysycz. Był rad, że Juan ma do niego zaufanie.

Juan kiwnął jeszcze ręką do Alice i zamknął dźwignią drzwi autobusu. Nie mógł dojrzeć przez zasłone wiszącą u wejścia do restauracji, co Alice robi. Pewnie zacznie pić dopiero wtedy, gdy autobus zniknie jej z oczu. Miał tylko nadzieję, że nie narobi sobie i jemu nowych kłopotów.

Juan zatoczył koło przed frontem restauracji i skręcił w prawo na drogę pokrytą czarnym asfaltem, wiodącą do San Juan de la Cruz. Była to niezbyt szeroka droga, ale miała dosyć gładką, wypukłą nawierzchnię, z której woda deszczowa spływała na boki. Zarówno cała dolina, jak i wzgórza były teraz poznaczone plamami słońca i ruchomymi cieniami chmur pędzących po niebie. I te cienie, i te słoneczne plamy tworzyły razem ponurą, złowrogą szarość.

Sweetheart podrygiwał i toczył się, utrzymując szybkość w okolicach czterdziestu mil na godzinę. To był dobry autobus. Skrzynia biegów działała teraz bez zarzutu.

– Nigdy nie miałem przekonania do traktorów – odezwał się Van Brunt.

– Ani ja – zgodził się Juan. Nagle, tak z niczego, poczuł się dobrze.

Ale Van Bruntowi to jeszcze nie wystarczało. Juan odniósł większy sukces, niż mógł przypuszczać. Van Brunt zwrócił ku niemu głowę, obracając ją bokiem na swej sztywnej szyi.

– Powiedz pan, czy nie jest pan przypadkiem jakimś wróżbitą albo czymś w tym rodzaju?

– Nie – rzekł Juan.

– Bo ja tam nie wierzę w żadne takie rzeczy – powiedział Van Brunt.

– Ani ja – rzekł Juan.

– Nigdy bym nie trzymał u siebie traktora.

Juan chciał powiedzieć: „Miałem kiedyś brata, którego koń kopnął i zabił”, ale pomyślał tylko: Eee, bzdura. Facet już jest przegrany. Ale czego się tak boi?

3 Oak – dąb po angielsku (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 9

Szosa wiodąca do San Juan de la Cruz miała czarną nawierzchnię. W latach dwudziestych położono w Kalifornii setki mil betonowych dróg i ludzie myśleli wtedy: „O, to będzie trwać wiecznie. Tak długo jak drogi rzymskie albo i dłużej, bo trawa nie przebije się przez beton i go nie skruszy”. Ale stało się inaczej. Podkute gumą ciężarówki, ustawiczny nacisk kół samochodów zwyciężyły beton i po pewnym czasie, jakby życie zeń uszło, zaczął się rozkład. Gdzieś z boku odprysnął kawałek i zrobiła się dziura, gdzieś zarysowało się pęknięcie, zimą lód je rozszerzył i tak szło. Choć beton bronił się, jak mógł, nie umiał przeciwstawić się ciągłym uderzeniom gumy, łamał się i kruszył.

Potem miejscowi robotnicy drogowi zalewali smołą te pęknięcia i dziury, żeby nie dostawała się w nie woda, ale niewiele z tego przyszło, więc w końcu pokryto betonowe drogi mieszaniną żwiru i asfaltu. To jakoś przetrwało, bo ta mieszanina była bardziej elastyczna niż beton i poddawała się naciskowi opon. Twardniała zimą, miękła latem. I stopniowo wszystkie drogi tym pokryto, tak że stały się czarne i błyszczące, a z oddali wyglądały jak srebrne.

Droga do San Juan szła jakiś czas prosto, na równym poziomie z otaczającymi ją polami, które nie były ogrodzone, bo bydło teraz już po nich nie wędrowało. Ziemia stała się zbyt cenna, żeby wypasać na niej bydło. Szerokie pola były więc dla drogi otwarte i podchodziły aż pod sam brzeg rowów biegnących wzdłuż niej. Rosły w nich bujnie i dziko gorczyca i rzepa z małymi purpurowymi kwiatkami. Od strony pól rowy

obramowywał niebieski łubin. Łodygi maków sterczały poskręcane; kwiaty strącił deszcz.

Droga biegła prosto ku małym regłom pod pierwszym łańcuchem gór – gór krągłych, miękkich i seksualnych jak ciało kobiece, pokrytych zieloną trawą, która miała świeżość młodej skóry. Spryskane deszczem wzgórza lśniły pięknie i piękna, i gładka była droga, którą toczył się Sweetheart. Jego wymyte i błyszczące boki odbijały się w wodzie stojącej w rowach. Małeńka rękawica bokserska i bucik dziecinny, zawieszzone na szczęście, kołysały się na frontowej szybie. Najświętsza Panna z Guadalupe wsparta na sierpie księżycy spoglądała życzliwie z tablicy rozdzielczej na pasażerów.

Tyłny most pracował sprawnie, słychać było równy, dziwny jęk wału napędowego. Juan rozparł się wygodnie w siedzeniu. Spodziewał się, że wszystko pójdzie dobrze. Miał przed sobą duże lustro, w którym widział swoich pasażerów, a na zewnątrz inne, podłużne, w którym widział drogę za sobą. Szosa była pusta. Wyprzedziło go zaledwie kilka samochodów, ale nie minął żaden jadący od strony San Juan. Z początku zdziwił się trochę, później dopiero, kiedy zdał sobie z tego sprawę, zaczął się niepokoić. Możliwe, że most jest zerwany. Jeśli tak, trzeba będzie wracać. Będzie musiał zawieźć swoich pasażerów do San Ysidro i tam ich zostawić. Jeśli most jest zerwany, nie będzie żadnego połączenia autobusowego, póki go nie naprawią. Zobaczył w lustrze, że Ernest Horton otworzył walizkę z próbkami i pokazywał Prysyczowi jakiś przedmiot, który wirował, błyszczał i w końcu znikł. Zauważył też, że Norma i blondynka pochyliły do siebie głowy i rozmawiały. Dodał gazu.

Juan nie miał zamiaru zabierać się do tej blondynki. Nie będzie próbował. Nie był młodzikiem, nie zawracał sobie niepotrzebnie głowy i nie cierpiał z powodu czegoś, co leżało poza jego możliwościami. Ale – gdyby się tylko nadarzyła sposobność – nie ma kwestii, co by zrobił. Kiedy ją pierwszy raz zobaczył, poczuł gwałtowny skurcz w dole brzucha.

Norma jak dotąd zachowała wobec niej rezerwę. Była oziębła i nie od razu zaczęła tajać. A Camille potrzebowała Normy jako czegoś w rodzaju ochronnej tarczy. Punktem zaczepienia był wspólny cel ich podróży.

– Nigdy nie byłam w Los Angeles ani w Hollywood – zwierzyła się Norma. Powiedziała to cicho, żeby Ernest nie mógł słyszeć. – Nie wiem, gdzie tam co jest, ani nic.

– A co tam chcesz robić? – zapytała Camille.

– Chcę znaleźć pracę. Jako kelnerka czy coś w tym rodzaju. Chciałabym dostać się do filmu.

Camille zagryzła w uśmiechu usta.

– Najpierw postaraj się o pracę kelnerki. Film to bandycki interes.

– Czy pani jest aktorką? – zapytała Norma. – Bo pani tak wygląda, jakby mogła być.

– Nie – rzekła Camille. – Jestem asystentką dentysty.

– A czy pani mieszka w hotelu, czy ma pani pokój, czy może domek?

– Nie mam teraz mieszkania – rzekła Camille. – Mieszkałam razem z przyjaciółką, ale potem wyjechałam do Chicago, do pracy.

Normie błysnęły oczy.

– Mam trochę odłożonych pieniędzy – powiedziała. – Może mogłybyśmy wynająć razem mieszkanie. Jakbym pracowała w restauracji, to jedzenie nic by nas prawie nie kosztowało, bo mogłabym zawsze coś do domu przynieść. – Zapalała się coraz bardziej. – Cóż, gdybyśmy wspólnie płaciły komorne, toby nie było tak dużo. Będę pewnie dostawać dobre napiwki.

W Camille zrodziło się ciepłe, przychylne uczucie dla tej dziewczyny. Popatrzyła na jej czerwony nos i nieświeżą cerę, na jej małe wyblakłe oczy.

– Zobaczymy, jak to będzie – powiedziała.

Norma przysunęła się do niej bliżej.

– Wiem, że kolor twoich włosów jest prawdziwy – odezwała się, mówiąc jej pierwszy raz „ty”. – Czy mogłabyś mi poradzić, co zrobić z moimi? One mają taki okropny mysi odcień.

Camille zaśmiała się.

– Nie uwierzyłabyś, gdybyś wiedziała, jakie moje włosy są naprawdę – powiedziała. – Siedź przez chwilę spokojnie. – Zaczęła studiować jej twarz, starając się wyobrazić sobie, co krem, puder i tusz do brwi mogłyby z niej zrobić. Starła się zobaczyć, jak by wyglądały włosy Normy, gdyby stały się lśniące i faliste, i jakie by były jej oczy, gdyby je trochę rozszerzyć przez podcieniowanie, i jak by wyglądały jej usta, gdyby zmienić ich linię ołówkiem. Camille nie miała żadnych złudzeń co do kobiecej urody. Loraine wyglądała bez makijażu jak wyciągnięty z wody sznur, a Loraine dobrze sobie w życiu radziła. Byłoby zabawne zająć się tą dziewczyną, przeobrazić ją, zdobyć jej zaufanie. Może byłoby to nawet lepsze niż Loraine?

– Pomyślimy jeszcze nad tym – powiedziała. – Jak tu ładnie! Czasem chciałoby mi się pomieszkać na wsi. – Wyobraziła sobie w skrócie to, co by się nieuchronnie zdarzyło. Podciągnęłaby trochę Normę. Norma mogłaby ładnie wyglądać, gdyby stale dbała o siebie, potem spotkałaby jakiegoś chłopca i naturalnie sprowadziłaby go do domu, żeby się nim pochwalić. Chłopiec zacząłby się przystawiać do Camille i Norma by ją znienawidziła. Tak, tak by to było. Ale – do diabła! – nimby to się stało, mogłoby być jej dobrze i przyjemnie z Normą. Może też udałoby się w czas wszystko przewidzieć i zawsze znikałaby z domu, kiedy Norma miałaby przyprowadzić swego chłopca.

Poczuła dla niej ciepłą, prawdziwą sympatię.

– Możemy się nad tym zastanowić – powiedziała.

Juan zobaczył na drodze zmiądnzonego zająca. Ludzie zwykle lubią przejeżdżać przez takie rzeczy. Juan nie. Poruszył lekko kierownicą i przepuścił ten zniekształcony ochłap między kołami. Utrzymał teraz szybkość czterdziestu pięciu mil na godzinę. Duże autobusy głównych linii często ciągną na sześćdziesiątce, ale Juan nie spieszył się, miał mnóstwo czasu. Droga szła prosto, przynajmniej jeszcze przez jakieś dwie mile,

zanim zacznie błądzić wśród łagodnych wzgórz. Juan zdjął jedną rękę z kierownicy, żeby ją trochę rozprostować.

Mijane słupy telegraficzne chłostały oczy Mildred szybko następującymi po sobie uderzeniami. Założyła okulary. Przyglądała się odbitej w lusterku nad kierownicą twarzy Juana. Ze swego miejsca widziała tylko zarys jego profilu. Zauważyła, że od czasu do czasu podnosił głowę, by zerknąć do lusterka na blondynkę siedzącą z tyłu. Poczowała gorzką złość. Niezupełnie rozumiała, jak mogło się zdarzyć to, co zdarzyło jej się rano. Nikt naturalnie o tym nie wiedział, ale Juan Chicoy mógł się domyślać. Jeszcze wciąż czuła nabrzmiałość i podrażnienie, jakie jej po tym pozostały. Jedno zdanie powtarzała w myśli w kółko i z uporem: „Ona nie jest blondynką, nie jest asystentką dentysty, nie nazywa się Camille Oaks”. Wracało to do niej i wracało. Zaśmiała się krótko gdzieś wewnątrz siebie. Chcę ją zniszczyć – pomyślała. – To jest głupie. Czemu nie powiedzieć sobie od razu otwarcie, że jestem o nią zazdrosna? W porządku: jestem. Czy przez stwierdzenie tego staję się mniej zazdrosna? Nie. Ale ona to sprawiła, że mój ojciec zrobił z siebie idiotę. W porządku. Czy mnie to cokolwiek obchodzi, że mój ojciec jest głupi? Nie, ale tylko wtedy, jak mnie przy nim nie ma. Nie chcę, żeby wiadano, że jestem jego córką – to wszystko. Nie chcę jechać z nim do Meksyku. Wiem z góry, co powie lub zrobi. – Nie czuła się dobrze i ruch autobusu nie pomagał. – Koszykówka – pomyślała – to jest to, czego mi trzeba. Napięła mięśnie ud i przypomniał jej się student politechniki, który miał krótko przycięte włosy. Przypomniała jej się wyraziście przygoda miłosna, jaką z nim miała.

Pan Pritchard siedział zmęczony i znudzony. Zawsze kiedy się nudził, był skłonny do irytacji. Poruszył się niespokojnie.

– To musi być bardzo bogaty kraj – odezwał się do żony. – Czy wiesz, że Kalifornia pokrywa niemal całe zapotrzebowanie Stanów na jarzyny?

Pani Pritchard słyszała już siebie samą, jak opowiada przyjaciółkom po powrocie do domu: „Potem mijaliśmy całe mile pól, na których rosną maki

i łubiny, zupełnie jak ogrody. Jechała z nami autobusem taka dziewczyna, blondynka, i wszyscy mężczyźni strasznie się przed nią popisywali, nawet Elliott. Kpiłam potem przez tydzień z niego”. Postanowiła, że opisze to w liście: „Jestem niemal pewna, że to biedne wymalowane stworzenie jest w gruncie rzeczy miłe i słodkie. Oznajmiła nam, że jest asystentką dentysty, ale myślę, że jest aktoreczką, wiesz, od takich podrzędnych ról. Tyle jest tego w Hollywood. Trzydzieści osiem tysięcy zarejestrowanych. Oni tam mają taką ogromną agencję, co im przydziela pracę. Trzydzieści osiem tysięcy!”. Bezwiednie uniosła głowę. Była głodna i zmęczona. Ciekawe, jaka nas może jeszcze spotkać przygoda – pomyślała.

Pan Pritchard zawsze wiedział, kiedy jego żona zaczyna śnić na jawie. Był dość długo jej mężem, żeby wiedzieć, kiedy nie słucha, jak do niej mówi; zwykle zresztą wtedy mówił do niej dalej. Często klarował i precyzował swoje poglądy polityczne lub sprawy biznesu w ten właśnie sposób, że mówił do niej, wiedząc, że go nie słucha. Miał dobrze wyćwiczoną pamięć, pamiętał zwłaszcza liczby i rozmaite strzępki zasłyszanych informacji. Wiedział, ile ton buraków cukrowych produkowano rocznie w dolinie Salinas. Czytał to gdzieś i zapamiętał, choć ta wiadomość była mu zupełnie niepotrzebna. Uważał, że dobrze jest posiadać tego rodzaju informacje, nigdy nie kwestionował ich wartości czy przydatności. Ale teraz, w tym momencie, nie miał chęci zdobywać tego rodzaju wiadomości. Bił w niego potężny prąd idący od tyłu autobusu. Chciałby odwrócić się i choć popatrzeć na blondynkę. Chciałby siedzieć tak, żeby móc ją stale widzieć. Horton i Pyszczy mieli miejsca tuż za nią. Nie mógłby przecież się naprzeciw niej i gapić się.

– Jak myślisz, ile ona może mieć lat? – zapytała pani Pritchard.

– Ile może mieć lat? Kto? – zapytał z kolei.

– Ta młoda kobieta. Ta młoda blondynka.

– A, ta. Skąd ja mogę wiedzieć? – Powiedział to raczej opryskliwie i żona spojrzała na niego ze zdumieniem, nieco urażona. Zreflektował się

i próbował naprawić błąd. – Małe dziewczynki – powiedział – wiedzą wszystko lepiej o innych małych dziewczynkach. Znasz się na tym lepiej niż ja.

– Dlaczego? Bo ja wiem zresztą? Z tym jej makijażem i umalowanymi włosami trudno powiedzieć. Właśnie się zastanawiałam. Coś między dwadzieścia pięć a trzydzieści?

– Nie umiałbym tego określić – rzekł pan Pritchard. Spojrzał przez okno na zbliżające się wzgórze. Miał wilgotne dłonie, ciągnęło go do tyłu autobusu jak magnes. Chciał się chociaż móc odwrócić.

– Nie umiałbym tego określić – powtórzył. – Mnie bardziej interesuje ten młody człowiek, Horton. Jest młody, ma duży rozmach i dobre pomysły. Spodobał mi się. Wiesz, dla takiego człowieka jak on zawsze znalazłbym miejsce w naszych zakładach. – To był biznes: jego zakłety krąg.

Lecz pani Pritchard też miała swój „zakłety krąg” – niedostępny dla mężczyzn – którym otaczała się, gdy zaczynała mówić o macierzyństwie albo o menstruacji. Biznes był zakętym kręgiem jej męża. Nie miała prawa być blisko niego, kiedy w grę wchodził biznes. Nie znała się na tym i nie interesowało jej to. Była to jego prywatna domena i ona szanowała ten układ rzeczy.

– Wydaje się być przyjemnym młodym człowiekiem, choć jego maniery i język...

– Ależ Bernice! Na litość boską! – wykrzyknął poirytowany pan Pritchard. – Biznes to nie są maniery i język. To jest wyłącznie to, czym się kto umie wykazać, co jest wart. Biznes jest czymś najbardziej demokratycznym na świecie. Liczy się tylko tyle, ile zdołasz dokonać.

Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądają wargi tej dziewczyny. Wierzył, że kobiety o pełnych wargach są namiętne.

– Chciałbym pomówić z tym Hortonem, zanim się rozjedziemy – powiedział.

Bernice odczuwała jego niepokój.

- Dlaczego od razu tego nie zrobisz? – zaproponowała.
- Bo ja wiem? Siedzi tam z tym chłopakiem.
- Na pewno ten chłopiec się przesiądzie, jak go ładnie poprosisz.

Była przekonana, że jak ładnie poprosić, to każdy zawsze wszystko zrobi. I jeśli o nią samą chodziło, miała rację. Zdobywała w ten sposób najbardziej niesłychane rzeczy, świadczenia, usługi. Poprosiła kiedyś chłopca na posyłki, żeby jej zaniósł walizki na stację, bo było za blisko, żeby brać taksówkę, potem ładnie mu podziękowała i dała dziesięciocentówkę.

Zdawała sobie teraz sprawę, że pomaga swemu mężowi zrobić coś, na co ma ochotę. Niezupełnie wiedziała, co to takiego było. Chciała jak najprędzej wrócić do pisania wyimaginowanego listu z podróży: „Elliott tak się wszystkim interesuje. Z każdym przeprowadza długie rozmowy. Wydaje mi się, że to właśnie przynosi mu takie powodzenie w życiu. Wszystko go ciekawi. Jest zawsze bardzo uważający. Jedzie z nami taki przyszczaty chłopiec i Elliott nie chciałby mu przeszkadzać, ale ja mu powiedziałam, żeby go ładnie poprosił. Ludzie lubią, jak się do nich grzecznie zwracać”.

Pan Pritchard znowu czyścił paznokcie złotym pilniczkiem przymocowanym do dewizki zegarka.

Pryszcz wbił wzrok w tył głowy Camille. Jak tylko siadł, stwierdził, że ze swego miejsca nie będzie mógł widzieć jej nóg – nie dojrzy nawet kostek. Czasem skręcała głowę, żeby popatrzeć przez okno, i wtedy widział jej profil, przyciemnione rzęsy odchylone do góry, prosty przypudrowany nos i dziurki od nosa lekko pokryte osadem z dymu tytoniowego i kurzem podróży. Jej górna warga ostrą linią zaginała się do góry i miękko rozchyłała w czerwony mięsisty płatek; nad nią Pryszcz dostrzegł miękki, puszysty meszek. Nie wiadomo dlaczego, to właśnie wzbudziło w nim dręczące pożądanie. Kiedy trzymała głowę prosto, mógł dojrzeć ucho odsłonięte przez rozdzielenie włosów. Widział jego koniuszek i zmarszczenie skóry w miejscu, gdzie przyrasta ono do głowy, i rowek pod

zagiętym brzeżkiem ucha. Camille, jakby zdając sobie sprawę, że Prysycz na nią patrzy, uniosła brodę i potrząsnęła kilka razy głową, z boku na bok, żeby rozdzielone włosy zeszyły się i zasłoniły ucho. Wyjęła z torebki grzebień, bo ruch i wstrząsy autobusu odrzuciły jej włosy do tyłu, odsłaniając głębokie ślady kleszczy u nasady szczęk. Prysycz dopiero teraz zauważył te szpecące blizny. Pochylił głowę w bok, żeby im się dokładniej przyjrzeć. Poczł głęboki, nierozumny smutek, smutek zaprawiony pożądaniem. Oto trzyma jej głowę w ramionach, oto gładzi palcami jej blizny. Przełknął kilka razy ślinę.

Camille mówiła właśnie cicho do Normy:

– A dalej jest tam Wee Kirk in the Heather. To jest chyba najpiękniejszy cmentarz na świecie. Wiesz, wpuszczają tylko za biletami. Lubię przechadzać się po tym cmentarzu. Tam jest tak pięknie i cały czas słyszeć granie organów, i spotyka się groby tych, których widziało się kiedyś na filmach. Zawsze myślę, że chciałabym tam leżeć.

– Nie trzeba mówić o takich rzeczach – rzekła Norma. – To przynosi nieszczęście.

Prysycz niezbyt przytomnie rozmawiał z Ernestem Hortonem o wojsku.

– Powiadają, że w wojsku można się czegoś nauczyć i że się dużo podróżuje. Ja tam nie wiem. Zapisalem się na kurs radarowy. Zaczyna się w przyszłym tygodniu. To taki kurs korespondencyjny. Ale tak naprawdę można się czegoś o radarze nauczyć tylko na kursach w wojsku.

– Nie wiem, czy prowadzą je w czasie pokoju. Były podczas wojny.

– Był pan na froncie?

– Byłem, choć o to nie prosiłem.

– Gdzie pan był?

– A w całym tym piekle.

– Możliwe, że się wyspecjalizuję w jakiejś branży i będę coś sprzedawał, tak jak pan – rzekł Prysycz.

– O, można umrzeć z głodu, póki człowiek sobie nie wyrobi dobrych kontaktów – rzekł Ernest. – Mnie to zabrało pięć lat czasu, a kiedy już miałem kontakty i stosunki, wzięli mnie do wojska. Dopiero teraz zaczynam z powrotem stawać na nogi. To nie jest tak, że się człowiek po prostu zabiera do tego i pracuje. To nawet nie przypomina pracy, ale to jest ciężka praca. Gdybym zaczynał od początku, nauczyłbym się jakiegoś spokojnego fachu, żebym mógł założyć sobie własne ognisko domowe. Przyjemnie mieć żonę i dzieciaki. – Ernest zawsze to mówił. A jak wypił – nawet sam w to wierzył. Wcale nie marzył o rodzinie i własnym domu. Uciekłby od razu. Lubił podróżować, lubił spotykać rozmaitych ludzi. Raz nawet kiedyś ożenił się, ale następnego dnia po ślubie zostawił oburzoną i zrozpaczoną żonę i poszedł sobie; nigdy już jej więcej na oczy nie widział ani do niej nie pisał. Zobaczył tylko raz gdzieś jej fotografię. Złapano ją. Miała pięciu mężów i pobierała przydziały wojskowe za każdego z nich. Niezła babka! Nielichy kurwiszon. Ernest niemal podziwiał ją za to. To było kurwienie się, które przynosiło zyski.

– Dlaczego nie pójdziesz z powrotem do szkoły? – zapytał Prysycz.

– Nie chcę tych wszystkich bujdz. Te uczone chłopaczki to kupa wymoczków. Chcę żyć jak prawdziwy mężczyzna.

Camille pochyliła się blisko do Normy i szeptała jej coś do ucha. Obie dziewczyny trzęsły się ze śmiechu. Autobus zwolnił na zakręcie; wjeżdżali teraz w górzystą okolicę. Droga wrzynała się wykopem między dwa wysokie zbocza pokryte ciemną, wilgotną glebą, z której skapywała woda. Małe, złotem podszyte paprocie przycupnęły do żwirowatej ziemi, na paprociach trzymały się jeszcze krople deszczu. Juan położył z powrotem prawą rękę na kierownicy, chwycił ją mocniej, puszczając swobodnie łokcie. Będzie teraz piętnaście minut krętej górskiej drogi, bez żadnych prostych odcinków. Zerknął w lusterko na blondynkę. Śmiała się właśnie, oczy jej niemal znikły, zakryła usta rozcapierzonymi palcami, jak to robią małe dziewczynki.

Pan Pritchard, który przesuwiał się właśnie do tyłu autobusu, nie zachował należytej ostrożności – autobus wziął zakręt i pan Pritchard został odrzucony w bok. Próbował chwycić oparcie najbliższego fotela, nie trafił ręką i przewrócił się prosto na Camille. Padając, wyciągnął rękę, szukając rozpaczliwie podpory, ale jedynie rozdarł palcami spódnicę Camille, a jego ramię utknęło między jej kolanami. Camille pomogła mu wyplątać się i poprawiła spódnicę. Pan Pritchard gwałtownie poczerwieniał.

– Bardzo panią przepraszam – powiedział.

– Och, nic nie szkodzi.

– Rozdarłem pani spódnicę.

– Da się zacerować.

– Ale muszę zapłacić za naprawę.

– Ja to sama jakoś zrobię. Nie bardzo rozdarła. – Spojrzała na niego, wiedząc, że stara się możliwie przedłużyć całą sprawę. Zaraz zapytała o adres, gdzie ma przesłać pieniądze – pomyślała.

– Elliott, czy ty zamierzasz siąść pani na kolanach? – zawołała pani Pritchard do męża.

Nawet Juan się roześmiał. Wszyscy parsknęli śmiechem. Nagle ludzie w autobusie przestali być sobie obcy. Norma chichotała histerycznie. Całe napięcie porannych zdarzeń rozładowało się.

– Muszę przyznać, że pani się ładnie zachowała – powiedział pan Pritchard. – Ale ja naprawdę nie chciałem siadać pani na kolanach. Chciałem pomówić z tym panem. Chłopcze – zwrócił się do Pryszcza – czy mógłbyś mnie na chwilę puścić na swoje miejsce? Mam kilka spraw do omówienia z panem... nie dosłyszałem pańskiego nazwiska?

– Horton – powiedział Ernest. – Ernest Horton.

Pan Pritchard miał w zapasie całą serię rozmaitych zagrań, których używał w stosunkach z ludźmi. Zawsze doskonale pamiętał nazwiska ludzi bogatych lub wpływowych, ważniejszych niż on sam, i nigdy nie mógł sobie przypomnieć nazwiska kogoś, kto miał gorszą niż on pozycję. Nieraz

się już przekonał, że zmuszając kogoś do głośnego wymienienia nazwiska, zyskuje nad nim przewagę. Bo człowiek powtarzający głośno swoje nazwisko jakby się przez to obnażał i stawał bezbronny.

Camille patrzyła na podartą spódniczkę i mówiła cicho do Normy:

– Zawsze marzyłam o tym, żeby mieszkać gdzieś w górach. Lubię góry, lubię chodzić po górach.

– Tak, to byłoby dobrze, ale najpierw trzeba zdobyć pieniądze i sławę – rzekła zdecydowanie Norma. – Ludzie z filmu, jak już zdobędą powodzenie i wszystko, to potem mogą sobie chodzić na ryby i na polowanie, palić fajki i nosić piękne stroje. – Obecność Camille sprawiała, że Norma czuła się jakby wyzwolona. Nigdy w życiu nie była tak swobodna i przyjemnie podniecona. Mogła mówić, co chciała. Zaśmiała się cicho. – Przyjemniej jest nosić stare zniszczone rzeczy wtedy, kiedy szafy są pełne nowych, ładnych i czystych. Ja mam tylko stare rzeczy i już mi to za skórę zalażło. – Zerknęła na Camille, żeby przekonać się, jak na to zareaguje.

Camille pokiwała głową.

– Co się tam będziemy bujać: masz rację – powiedziała.

Silne i pełne wzajemnego zrozumienia uczucie zrodziło się między tymi dwiema dziewczynami. Pan Pritchard starał się podsłuchać ich rozmowę, ale na próżno.

Przydrożne rowy były pełne wody spływającej do doliny. Ciężkie chmury zbierały się do nowego ataku.

– Nadchodzi deszcz – rzekł z satysfakcją Van Brunt.

Juan chrząknął.

– Mojego szwagra koń kopnął i zabił na miejscu – rzucił od niechcenia.

– Musiał zrobić jakieś głupstwo – rzekł Van Brunt. – Jak koń kopie człowieka, to zawsze winien jest człowiek.

– W każdym razie zabił go – rzekł Juan i popadł w zadumę.

Autobus zbliżał się już do szczytu wzniesienia. Zakosy drogi były coraz częstsze.

– Bardzo mnie zainteresowała nasza poranna rozmowa, panie Horton. Lubię rozmawiać z kimś, kto ma rozmach, zdaje sobie sprawę z tego, czego chce, i do tego dąży. Zawsze szukam tego rodzaju ludzi dla naszej spółki.

– Dziękuję panu – rzekł Ernest.

– Teraz zwłaszcza mamy kłopoty z tymi zwalnianymi z wojska – mówił dalej pan Pritchard. – Wartościowi ludzie, pan rozumie. I sam uważam, że powinno się dla nich zrobić jak można najwięcej. Ale oni wyszli z kursu. Zaśniedzieli. W biznesie trzeba zawsze, w każdej chwili być gotowym, iść naprzód. Człowiek, który umie się utrzymać w kursie, jest dwa razy tyle wart niż ktoś, kto, że tak powiem, wypadł na jakiś czas za burtę.

Przerwał na chwilę, czekając na aprobatę. Zamiast tego oczy Ernesta przybrały zacięty, ironiczny wyraz.

– Rozumiem, co pan ma na myśli – rzekł Ernest. – Ja byłem cztery lata w wojsku.

– Och – rzekł pan Pritchard. – Och, naturalnie... ale... pan nie nosi odznaki demobilizacyjnej.

– Mam pracę – rzekł Ernest.

Pan Pritchard starał się zebrać rozproszone myśli. Zrobił fatalny błąd. Nie sprawdził, co to za znaczek tkwi w klapie marynarki Ernesta. Wyglądał na coś mu znanego. Powinien wiedzieć, co to jest.

– Hm, oczywiście, to są fajni chłopcy – powiedział. – Mam tylko nadzieję, że nasz rząd zaopiekuje się nimi jak należy.

– Jak po tamtej wojnie? – zapytał Ernest.

To był podwójnie silny cios i pan Pritchard zaczął się zastanawiać, czy nie pomylił się co do Hortona. Ten człowiek miał w sobie jakąś zaciętość. I taką samą pewność siebie i porywczosć jak ci wszyscy, co wyszli z wojska. Doktorzy twierdzili, że przejdzie im to po jakimś czasie, jak przyzwyczają się do normalnego życia. Wyszli z kursu. Powinno się dla nich coś zrobić.

– Jestem zawsze pierwszy, żeby stanąć w obronie naszych kombatantów – powiedział pan Pritchard. Miał tylko w Bogu nadzieję, że uda mu się zejść z tego tematu. Ernest patrzył na niego z lekko wymuszonym uśmiechem i pan Pritchard zaczął sobie zdawać sprawę, że tak zwykle uśmiechają się ci, co proszą o pracę.

– Myślałem sobie jedynie, że warto porozmawiać z kimś, kto ma pański rozmach – rzekł niepewnie pan Pritchard. – Byłoby mi bardzo miło, gdyby pan wstąpił kiedyś do mnie, jak wrócę z urlopu. Zawsze się u nas znajdzie miejsce dla człowieka z inicjatywą.

– Ja, szanowny panie – rzekł Ernest – już mam dosyć tego ciągłego kręcenia się po całym kraju. Chciałbym już wreszcie mieć własny dom i żonę, i ze dwoje dzieciaków. Tak człowiek powinien żyć. Móc wrócić wieczorem do siebie do domu i odciąć się od całego świata. Chciałbym mieć syna i córkę. To ciągle sypianie po hotelach... to nie jest życie.

– Ma pan najzupełniejszą rację – rzekł pan Pritchard, kiwając z uznaniem głową. Poczul wielką ulgę. – Ja to panu mówię, a ja coś o tym wiem. Dwadzieścia jeden lat żonaty i nie wyobrażam sobie, jak by mogło być inaczej.

– Miał pan wielkie szczęście – powiedział Ernest. – Pańska żona wygląda na dobrą i gospodarną kobietę.

– Nie tylko wygląda, ale i jest – rzekł pan Pritchard. – Najrozwważniejsza, najbardziej uważająca istota na świecie. Nie wiem, co bym bez niej począł.

– Miałem kiedyś żonę – rzekł Ernest. – Ale umarła. – Twarz mu posmutniała.

– Ach, jakże mi przykro – rzekł pan Pritchard. – I może to brzmi naiwnie, ale niech mi pan wierzy: czas leczy rany. Być może pewnego dnia... cóż, na pańskim miejscu nie traciłbym nadziei.

– Och, ja nie tracę!

– Nie chciałbym się wtrącać w pańskie sprawy – rzekł pan Pritchard – ale, wie pan, zastanawiałem się nad pana pomysłem z tymi nakładkami na

klapy, żeby z ciemnych ubrań robić smokingi. Jeśli pan się jeszcze z nikim nie związał, to sądzę, że moglibyśmy... no, że tak powiem, porozmawiać o ewentualnym zrobieniu jakiegoś małego interesu.

– No, cóż – powiedział Ernest. – Z tym jest tak, jak panu mówiłem. Wytwórcy gotowych ubrań sprzeciwią się temu stanowczo, bo to odbiera im część dochodów. Nie widzę obecnie żadnych możliwości.

– Nie pamiętam, czy mówił mi pan, że pan to już zgłosił do Urzędu Patentowego? – zapytał pan Pritchard.

– Nie. Mówiłem już przecież panu, że zarejestrowałem tylko sam pomysł.

– Co pan ma na myśli? Jak pan to zrobił?

– Sporządziłem opis i rysunki, wsadziłem to wszystko w kopertę, zaadresowałem do siebie i wysłałem listem poleconym. W ten sposób mam dowód, kiedy to zrobiłem, bo koperta jest zalakowana i ostemplowana datownikiem.

– Rozumiem – rzekł pan Pritchard, zastanawiając się, czy tego rodzaju dowód byłby ważny przed sądem. Ale nie wiedział tego. Zawsze było praktyczniej brać wynalazcę na procent. Tylko ludzie z grubą gotówką mogli sobie pozwolić na całkowite wykupienie wynalazków. Stać ich było na prowadzenie przewlekłej walki o zdobycie rynku. Wiedzieli, że to się bardziej opłaca niż dopuszczanie wynalazcy do udziału w zyskach. Cyfry wykazywały, że mieli rację. Ale firma pana Pritcharda nie mogłaby sobie na to pozwolić. Pan Pritchard zresztą osobiście uważał, że hojność się opłaca.

– Myślę, że znalazłbym sposób, żeby to puścić w ruch – powiedział. – Naturalnie trzeba by wszystko odpowiednio przygotować. Powiedzmy, że pan i ja jakoś byśmy się między sobą ułożyli. Pan rozumie, ja mówię na razie nieobowiązująco. Ja bym wziął na siebie całą organizację, a potem po potrąceniu kosztów bralibyśmy obaj procent od zysków.

– Ale tego nikt nie chce – powiedział Ernest. – Informowałem się dokładnie.

Pan Pritchard położył dłoń na kolanie Ernesta. Miał niejasne uczucie, że powinien milczeć, ale przypomniał mu się błysk ironii, jaki chwilę temu widział w oczach Ernesta, koniecznie chciał wzbudzić w nim podziw i sympatię dla siebie. Nie mógł przestać mówić.

– Przypuśćmy, że utworzymy spółkę i zastrzeżemy dla siebie ten pomysł – rzekł. – To znaczy, opatentujemy to. Potem przygotowujemy wszystko, co trzeba do produkcji, puścimy w ruch kampanię reklamową na ogólnokrajową skalę i...

– Momencik – wtrącił Ernest.

Ale pana Pritcharda już poniósł zapał.

– Teraz założmy – ciągnął dalej – że nasze rysunki i projekty wpadną przypadkiem w ręce, no, powiedzmy tak na przykład, firmy Hart, Schaffner and Marx czy im podobnych wielkich wytwórców lub nawet jakiegoś trustu. To oczywiście byłoby zupełnie przypadkowo, jak zaznaczyłem. Wtedy, być może, chcieliby nas wykupić, co? Jak pan myśli?

Ernest zaczął zdradzać zainteresowanie.

– Kupić patent? – zapytał.

– Nie tylko patent, ale całą naszą ewentualną firmę!

– Ale gdyby wykupili od nas patent, to mogliby utracić całą produkcję!

Oczy pana Pritcharda zwęziły się, źrenice błysnęły przez okulary, na ustach wykwitł nieznacznym uśmiezek. Pierwszy raz od momentu ujrzenia Camille nie myślał o niej.

– Spójrz pan trochę dalej naprzód – powiedział. – Jak sprzedamy patent i wszystko, rozwiążemy spółkę i zapłacimy tylko podatek od zysków z kapitału, a reszta będzie nasza.

– To sprytne – rzekł Ernest. – Tak, szanowny panie, bardzo sprytne. Szantaż, i to szantaż wysokiej klasy. Nikt nie mógłby się nawet do nas przyczepić.

Uśmiech znikł z twarzy pana Pritcharda.

– Co pan rozumie przez szantaż? Moglibyśmy przecież ruszyć z produkcją. Moglibyśmy nawet zamówić potrzebne maszyny.

– Tak, tak właśnie myślałem – rzekł Ernest. – Robota wysokiej klasy. Wszystko klapuje. Pan jest bardzo zdolnym człowiekiem, panie Pritchard.

– Chyba pan nie myśli, że jest w tym coś nieuczciwego – rzekł pan Pritchard. – Robię interesy od trzydziestu pięciu lat i zaszedłem wysoko: stoję teraz na czele spółki akcyjnej. Moje osiągnięcia przynoszą mi zaszczyt.

– Ależ ja pana bynajmniej nie krytykuję – powiedział Ernest. – Myślę, że to bardzo zdrowa myśl. Mnie się bardzo podoba, tylko że...

– Tylko że co? – zapytał pan Pritchard.

– Stoję bardzo kiepsko z gotówką – powiedział Ernest – a musiałbym szybko zdobyć jakieś pieniądze... lecz nie szkodzi, mógłbym sobie gdzieś pożyczyć.

– Do tego gotówki nie potrzeba. Ale, jak pan chce, mógłbym panu służyć z góry...

– Nie – rzekł Ernest. – Jakoś sobie poradzę.

– Czy ma pan jeszcze inne zastrzeżenia? – zapytał pan Pritchard.

– Tak – rzekł Ernest. – Będę musiał teraz posłać mój wynalazek do Urzędu Patentowego przez gołębia pocztowego.

– Pan chyba ani przez chwilę nie myśli, że ja...

– Ależ skąd, naturalnie, że nie – rzekł Ernest. – Ale czułbym się znacznie pewniej, gdyby ta koperta znalazła się już w Waszyngtonie.

Pan Pritchard rozsiadł się wygodnie i uśmiechnął się. Droga przed nim wiała się teraz kręto i wykopem między dwoma stokami prowadziła do następnej doliny.

– Nic się pan nie bój – rzekł pan Pritchard. – Ale nie chciałbym, żeby pan myślał, że chcę pana wyzyskać. To, czym jestem, mówi chyba samo za siebie.

– Ależ to mi nawet do głowy nie przyszło – powiedział Ernest. – Skądże?
– Spojrzał ukradkiem na pana Pritcharda. – Chodzi o to, że znam kilka pierwszorzędných damulek w Los Angeles. Źle by się stało, gdybym tam sam do nich poszedł, bo mógłbym o tym wszystkim w ogóle zapomnieć. – Pan Pritchard zareagował na to tak, jak Horton się spodziewał.

– Zatrzymam się w Hollywood na dwa dni – rzekł. – Mielibyśmy okazję jeszcze pogadać o interesach.

– Chciałby pan u tych damulek?

– Hm, człowiek musi czasem mieć jakieś odprężenie. Stanę w Beverley Wilshire. Mógłby mnie tam pan złapać.

– Zrobię to na pewno – rzekł Ernest. – Jakiego koloru dziewczynki najbardziej panu odpowiadają?

– Pan mnie, zdaje się, źle zrozumiał. Po prostu lubię sobie spokojnie posiedzieć i napić się whisky. Naprawdę nie chcę, żeby mnie pan źle rozumiał.

– Ależ ja pana doskonale rozumiem – powiedział Ernest. – Gdyby pan chciał, to może udałoby mi się sprowadzić tę blondynkę, co siedzi przed nami, co?

– Niech pan nie mówi głupstw.

Pryszcz przesiadł się do przodu. Tuż pod dolną szczęką czuł swędzące palenie. Wiedział już, że tworzy się nowy wrzód. Siedział teraz obok Mildred. Nie chciał dotykać tego swędzącego miejsca, ale nie był w stanie utrzymać rąk w spokoju. Prawa dłoń sama poszła do góry i potarł palcem powstające na twarzy zgrubienie. To będzie paskudny wrzód. Pragnął go wycisnąć, rozdrapać, wyrwać z ciała. Nie mógł tego nerwowo znieść. Zmusił się, by włożyć ręce do kieszeni kurtki. Zacisnął pięści.

Mildred patrzyła bezmyślnie przez okno.

– Chciałbym kiedyś móc pojechać do Meksyku – odezwał się Pryszcz.

Spojrzała na niego zaskoczona. Oślepiło go na chwilę światło, które wpadało przez okno i odbijało się w szklach jej okularów. Przełknął ślinę.

– Nigdy tam nie byłem – dodał ciszej.

– Ja też nie – rzekła Mildred.

– Tak, ale pani jedzie.

Skinęła potakująco głową. Wolą na niego nie patrzeć, bo nie umiała powstrzymać się od tego, żeby nie przyglądać się krostom na jego twarzy.

– Być może pojedzie pan tam wkrótce – powiedziała niepewnie.

– O, tak, na pewno pojedę – rzekł Pyszc. – Wszędzie pojedę. Lubię podróżować. Wolę to niż cokolwiek innego. Można się wiele nauczyć w ten sposób.

Znowu skinęła głową. Zdjęła okulary. Widziała go teraz mniej wyraźnie.

– Kiedyś chciałem zostać misjonarzem jak Spencer Tracy i pojechać do Chin, żeby tam ich leczyć z różnych chorób. Była pani kiedy w Chinach?

Pyszc niemal wszystkie swoje wiadomości czerpał z filmów lub z radia.

– Tam w Chinach żyją bardzo biedni ludzie – mówił dalej. – Niektórzy są tak biedni, że na oczach umierają z głodu, chyba że misjonarz zjawi się nagle na czas i im pomoże. A jak im raz człowiek pomoże, to potem są mu wierni i nie dają, żeby Japoniec przyszedł i bruździł, i zaraz zarzynają go nożami. – Skinął uroczyście głową. – Z pewnością to są tacy sami ludzie jak ja albo pani – dodał. – Spencer Tracy po prostu pojechał tam i leczył ich, i kochali go dlatego... i czy pani wie, co on zrobił? Odnalazł swoją duszę. I tam była taka dziewczyna i on nie wiedział, czy się z nią ma żenić, czy nie, bo ona miała przeszłość, proszę pani. Okazało się naturalnie, że to nie był błąd, ta przeszłość, tylko że jedna starsza dama mówiła na nią kłamstwa. – Oczy Pyszcza błyszczały współczuciem i zachwytem. – Ale Spencer Tracy nie wierzył w te kłamstwa i mieszkał w takim pałacu z sekretnymi podziemnymi przejściami, a potem – potem przyszli Japońce.

– Widziałam ten film – rzekła Mildred.

Autobus wspinał się drugim biegiem na ostatnie wzgórze. Wyłonił się na przełęczy pod szczytem i ostro skręcił w lewo. Poniżej leżała rozległa dolina, nad nią szare, ponure chmury. Wielka pętla rzeki San Ysidro

połyskiwała jak ciemna stal w gniewnym świetle. Juan włączył trzeci bieg i autobus zaczął zjeżdżać w dół.

ROZDZIAŁ 10

Rzeka San Ysidro płynie doliną San Juan krętym, pogmatwanym nurtem, aż wlewa się opieszale do zatoki Black Rock pod osłoną Bat Point. Sama dolina jest tu długa i niezbyt szeroka, rzeka niewiele ma już przed sobą drogi do przebycia, robi więc, co może, aby dystans dzielący ją od zatoki przedłużyć, kołuje i wije się od krańca do krańca doliny. Przy Bat Point wrzyna się pod skaliste zbocze, dalej rozlewa szeroko i płytko na piaszczystych mieliznach. Przez większą część roku znika pod piaskami, a jej łożysko bujnie zarasta wikliną, której korzenie sięgają głęboko, szukając podskórnej wody.

Króliki i szopy, lisy i kojoty budują swe domy w wiklinach zarastających łożysko rzeki, gdy nie ma w nim wody. San Ysidro bierze swój początek tam, gdzie od północy i wschodu góry zamykają całą płaszczyznę, i płynie zrazu wieloma wąskimi strumykami. Źródła jej wyglądają na mapie jak drzewo o krótkich, odartych z liści gałęziach. Suche kamieniste wzgórza, poźłobione wąwozami, kanionami i jarami, nie dostarczają rzece wody przez większą część roku, ale późną zimą lub na wiosnę, gdy spadają deszcze, kamieniste żleby gór cały niespożyty przez siebie jej zapas rzucają czarnymi potokami do spokojnych strumyków, które podrygując, wypływają ze skalnych załomów, łączą się w małe rzeczki i wspólnie już płyną do północnego krańca doliny.

Dlatego to późną wiosną, gdy wzgórza wchłonęły już w siebie tyle deszczowej wody, ile mogły, gwałtowna, trwająca kilka godzin ulewa może spowodować burzliwy wylew rzeki San Ysidro. Pienista żółta woda

przerzyna się wówczas przez brzegi, ziemia uprawna wielkimi kawałami obsuwa się do rzeki. Ciała krów i owiec płyną z tą żółtą powodzią, kołysząc się i wirując. Bo to jest przekorna, nieujarzmiona rzeka – raz martwa, raz sama niosąca śmierć.

W połowie doliny, na prostej linii biegnącej od Rebel Corners do San Juan de la Cruz, rzeka zatacza wielki łuk od jednego krańca płaskiego dna doliny do drugiego, uderza o zbocze gór na wschodzie, odbija się i przecina na wskroś łąki i pola uprawne. W dawnych czasach droga wiodąca do San Juan wiernie towarzyszyła rzece, wraz z nią zataczała wielką pętlę i wpełzała na stok góry, aby rzeki nie przecinać. Ale gdy nadeszły dni techniki, stali i cementu, przetrzucono przez rzekę dwa mosty – i mosty te skróciły o dwanaście mil drogę, która dotąd wiernie towarzyszyła niefrasobliwemu biegowi rzeki San Ysidro.

Były to mosty drewniane, jedynie umocnione stalą i zawieszane na stalowych linach, każdy wsparty na środku rzeki i przy obu jej brzegach betonowymi filarami. Drewno pomalowano na ciemnoczerwono, żelazo zaśniedziało do czerni. Zapory zrobione z ubitej wiklinowej plecionki zamocowanej do wbitych w dno pali rozbijały nurt rzeki, kierując go pod przęsła mostów i chroniły filary przed podmywającym i kąśliwym prądem.

Oba mosty nie były bardzo stare. Wzniesiono je w okresie, kiedy podatki były niskie i w większości wypadków nieściągalne – z powodu, jak wówczas mówiono, „ciężkich czasów”. Miejscowy inżynier musiał budować je w ramach budżetu, który pozwalał jedynie na najprostszą konstrukcję. Powinien użyć twardszego drewna, dać więcej stalowych wiązań, ale musiał zbudować most za tyle i tyle – i zrobił to. Każdego roku farmerzy ze środkowej części doliny patrzyli na rzekę cynicznie i przewidująco. Wiedzieli, że nadejdzie kiedyś czas gwałtownej i potężnej powodzi, która zniesie oba mosty. Co roku składali petycję do miejscowych władz, żądając zastąpienia drewnianych mostów stalowymi, ale nie mogli w tej wiejskiej okolicy zebrać odpowiedniej liczby podpisów ludzi

uprawnionych do głosowania, aby petycja ich nabrała mocy prawnej. W dużych miastach, gdzie mieszka wielu obywateli posiadających prawo głosu, znacznie łatwiej uzyskać rządowe inwestycje. Ludzie na ogół niechętnie osiedlają się na średnio żyznej ziemi. Dobra stacja obsługi samochodów w San Juan szacowana jest oficjalnie wyżej niż sto akrów zbożodajnej gleby w tej dolinie. A farmerzy wiedzieli, że to tylko kwestia czasu i oba mosty zostaną zerwane, a potem, powiadali, „może wreszcie te przeklęte lokalne władze pójdą po rozum do głowy”.

Przy drodze, przed pierwszym mostem, może na jakieś sto jardów w kierunku Rebel Corners był mały sklepik, gdzie wszystko można było dostać. Sprzedawano tam artykuły spożywcze, opony samochodowe, wyroby żelazne – jednym słowem to, czego potrzebuje mężczyzna, który robi zakupy w ostatniej chwili, w sobotę po południu, lub gdy nie ma czasu jechać do San Juan de la Cruz czy do San Ysidro przez góry. Był to skład towarów mieszanych Breeda. W ostatnich latach do wszystkiego, czym pan Breed handlował, doszły jeszcze akcesoria samochodowe i benzyna sprzedawana z pompy przed sklepem.

Pan i pani Breed byli nieoficjalnymi strażnikami mostu. W okresach powodzi ich telefon dzwonił nieustannie, oboje udzielali informacji na temat przyboru na rzece. Przywykli do tego. Bali się, że pewnego dnia rzeka zerwie most i że nowy mogą zbudować ćwierć mili w dół rzeki – musieliby wówczas postawić nowy sklep przy nowym moście.

Teraz połowę ich utargu stanowiły napoje chłodzące, kanapki, cukierki i benzyna – wszystko to kupowali podróżni jadący szosą. Autobus kursujący między Rebel Corners i San Juan zawsze tu przystawał. Przywoził paczki ekspresowe, pasażerowie wysiadali i pili lemoniadę lub wodę sodową. Breedowie byli starymi i dobrymi przyjaciółmi Juana Chicoya.

A teraz właśnie rzeka przybrała i nie tylko przybrała, ale – jak pan Breed powiedział żonie – „wytworzył się tam prąd przeciwny, który podmywa

zapory przed mostem i niech tylko zrobi w nich wyrwę, to masz babo placek!”. Już od świtu sześć razy chodził oglądać filary mostu. Było źle i pan Breed zdawał sobie z tego sprawę. Nieogolony, z zaciśniętymi wargami stał o ósmej rano na moście i przyglądał się kotłującej żółtej wodzie haftowanej żółtą pianą, po której pływały wyrwane przez wezbraną rzekę dębczaki i topole. I widział kilka zbitych razem krokwi, które płynąc, obracały się wolno, potem kawałek dachu z tkwiącymi w nim gontami, a potem chyboczące ciało Angusa, przysadzistego byka, który był własnością McElroya. Gdy Angus podpłynął pod most, przekręcił się na grzbiet i Breed zobaczył dzikie, rozwarte oczy i wywalony na wierzch język, ścisnęło go w dołku.

Każdy wiedział, że obora McElroya stała za blisko brzegu i że Angus kosztował go tysiąc osiemset dolarów. McElroy nie miał tyle pieniędzy, żeby je mógł tak sobie tracić. Breed nie zauważył już niczego więcej, co by należało do stada McElroya, ale sam Angus to już było dosyć. McElroy pokładał w nim wielkie nadzieje.

Breed ruszył dalej po moście. Woda płynęła teraz zaledwie trzy stopy pod drewnianym przesłem, czuł pod nogami uderzenia głębokiej, atakującej zanurzone kesony mostu fali. Potarł palcem nieogoloną brodę i poszedł z powrotem do swego sklepu. Nie wspomniał żonie nic o Angusie, czarnym byku McElroya. Tylko by ją to niepotrzebnie zmartwiło.

Gdy Juan Chicoy zadzwonił w sprawie mostu, Breed powiedział mu prawdę. Most jeszcze był na miejscu, ale jeden Bóg wie, jak długo. Woda ciągle szła wyżej. Nagie kamienne wzgórza wciąż jeszcze wlewały swoje zapasy wody do rzeki i znowu zaczęły się zbierać chmury.

O dziesiątej odległość między drewnianymi przesłami mostu a powierzchnią wody wynosiła już tylko osiemnaście cali. Jeśli woda nie przestanie przec na wiązania i konstrukcję mostu i jeśli jeszcze kilka wyrwanych drzew w niego uderzy, to już naprawdę będzie tylko kwestia

czasu. Breed wszedł do sklepu, stanął przy drzwiach i zaczął bębnić palcami w nadajnik telegraficzny.

– Dam ci śniadanie – powiedziała do niego żona. – Myślałby kto, że to twój most.

– A jakoś i mój – rzekł Breed. – Jak go woda zabierze, powiedzą, że to moja wina. Wzywałem biuro nadzorcy drogowego i biuro powiatowego inżyniera. Oba zamknięte. Jak woda podmyje filar, to będzie dobra zabawa.

– Lepiej jedz śniadanie. Zrobię ci placki.

– Dobrze – rzekł Breed. – Tylko żeby nie za grube.

– Nigdy nie robię grubych – powiedziała pani Breed. – Położyć na wierzch jajko?

– Można – rzekł Breed. – Nie wiem, czy Juan chce przejechać przez most, czy nie. Będzie tu najwcześniej za godzinę. Jezu! Jak ta woda idzie cholernie w górę.

– Nie ma po co kląć – rzekła pani Breed.

Jej mąż odwrócił się i popatrzył na nią.

– Można by rzec, że jak kląć, to właśnie teraz. Daj mi się napić.

– Przed śniadaniem?

– Przed wszystkim, co ma być. – Nic naturalnie nie wiedziała o Angusie. Podszedł do telefonu i zadzwonił do McElroya – trzy podwójne dzwonki i cisza. Dzwonił dalej do innych, aż Pindale, który mieszkał dwie mile w tę stronę co McElroy, odpowiedział mu.

– Ja też próbuję dodzwonić się do niego – mówił Pindale. – Jego linia milczy. Pojadę tam, zobaczę, czy wszystko w porządku.

– Chciałbym, żebyś jeszcze zdążył – rzekł Breed. – Dziś rano woda niosła tego byka Angusa, co to go niedawno kupił.

Pani Breed podniosła na niego wzrok pełen przestachu.

– Walter! – krzyknęła.

– Tak, tak to jest. Nie chciałem, żebyś się bała.

– Walter! Boże jedyny! – powiedziała pani Breed.

ROZDZIAŁ 11

Alice Chicoy stała w drzwiach, patrząc na odjeżdżający autobus. Nieotarte łyży schły na jej policzkach.

Kiedy autobus znikł jej z oczu, podeszła do okna, z którego widać było szosę. Autobus wjechał w słońce, błysnął i przepadł. Wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je długim westchnieniem ulgi. Miała dla siebie cały dzień! Czuła się szczęśliwa i bezpiecznie ukryta przed światem. Powolnym ruchem zaczęła wygładzać suknię wzdłuż ud, głaszcząc pośladki. Spojrzała na paznokcie. Nie, później się nimi zajmie.

Leniwym wzrokiem popatrzyła na wnętrze restauracji. W powietrzu unosiła się jeszcze woń dymu z papierosów. Miała dużo rzeczy do zrobienia, ale dzień był jej, nie potrzebowała się spieszyć. Wyjęła z szafy tekturową tablicę z wielkim napisem „Zamknięte”. Wyszła na zewnątrz i zawiesiła ją na gwoździu na drzwiach. Wróciła do środka, zatrzasnęła drzwi, zaryglowała zamek. Zamknęła na klucz drzwi wewnętrzne. Potem chodząc od okna do okna, opuszczała żaluzje, zasuważąc je szczelnie, żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka.

W restauracji zrobiło się ciemnowo, bardzo cicho i spokojnie. Alice pracowała systematycznie. Umyła i złożyła na miejsce kubki po kawie, mokrą ścierką wytarła kontuar i blaty stolików. Pozostałe ciastka schowała do bufetu. Potem przyniosła z sypialni szczotkę, zamiotła podłogę, śmiecie i niedopałki rzuciła do kubła. Kontuar błyszczał w ciemnym pokoju, blaty stolików lśniły białe i czyste.

Alice podeszła do bufetu i siadła na stołku. Cały dzień dla siebie! Wpadła w płochy i dziecinny nastrój.

– A dlaczego by nie? – powiedziała głośno. – Niedużo mam radości w życiu! Daj mi – mówiła dalej – daj mi podwójne whisky, tylko szybko! – Położyła na kontuarze ręce i przyjrzała się im. – Biedne, zniszczone pracą ręce – szepnęła. – Moje kochane rączki. – Potem krzyknęła: – Gdzie, do diabła, moje whisky? – I sama sobie odpowiedziała:

– Już się robi, proszę pani, już się nalewa, proszę pani.

– Tak to rozumiem – rzekła Alice. – Musisz wiedzieć, z kim masz do czynienia. Tylko nie gadaj za dużo! Już ja będę cię miała na oku!

– Tak jest, proszę pani – odpowiedziała sobie. Wstała i przeszła za bufet. Tuż nad podłogą, w samym jego końcu mieścił się mały schowek. Alice pochyliła się, otworzyła drzwiczki, sięgnęła na ślepo i wyciągnęła butelkę Old Grandad – burbona z Kentucky. Zdjęła z półki szklankę do wody, butelkę i szklankę postawiła na bufecie.

– Służę szanownej pani.

– Zanieś to do stolika. Czy ja wyglądam na taką, co pije przy barze?

– Nie, proszę pani.

– Podaj drugą szklankę i butelkę piwa.

– Służę pani.

Zaniosła wszystko i postawiła na stoliku przy drzwiach.

– Możesz sobie teraz iść – rzekła.

Odpowiedziała:

– Tak, proszę pani.

– Tylko nie odchodź za daleko. Mogę cię jeszcze potrzebować.

Zachichotała, nalewając piwo. Gdyby ktoś słyszał, myślałby, że zwariowałam. Może miałyby rację – pomyślała. Nalała sobie zdrowo w drugą szklankę.

– Alice – powiedziała – do biegu, gotowi, start! – Zakołysała w powietrzu szklanką i piła powoli. Nie połykała od razu. Mocna, ostra whisky gładziła

i paliła język, przesączała się wokół języka; ssała ją wolno, czując, jak gryzie podniebienie; potem zrobiło jej się gorąco w piersiach, potem w brzuchu. Trzymała jeszcze chwilę pustą szklankę przy ustach. Postawiła, wypuściła powietrze z głębokim, chrapliwym „aaach”.

To jej znowu przyniosło do ust słodki smak whisky. Sięgnęła po piwo. Skrzyżowała nogi, piła wolno, aż szklanka była pusta.

– Boże! – westchnęła.

Wydało jej się, że nigdy jeszcze nie doświadczyła, jak przyjemnie i wygodnie jest siedzieć w tej restauracji z tym światłem niepewnie zerkającym do pokoju przez szczeliny w żaluzjach. Doszedł ją odgłos ciężarówki jadącej autostradą i to ją zaniepokoiło. Gdyby tak ktoś chciał zakłócić ten dzień, który cały należał do niej? Musiałby chyba wyłamać drzwi. Nie wpuści nikogo. Nalała whisky na dwa palce do jednej szklanki i piwa na cztery do drugiej.

– Są rozmaite sposoby picia – stwierdziła i nie wypiła, ale wrzuciła w gardło whisky i natychmiast potem piwo. Tak, to dobry sposób. Inaczej smakuje. Smak tego, co się pije, zależy od sposobu, w jaki się pije. Nikt na to przedtem nie wpadł, Alice to odkryła. Ktoś tam powinien o tym napisać, o, tak na przykład: „Smak tego, co pijesz, zależy od tego, jak pijesz”. Poczowała lekki ucisk na powiece prawego oka i dziwny, ale przyjemny ból przeszedł żyłami wzdłuż ramion.

– Nikt nigdy nie ma czasu zbadać wszystkiego dokładnie – zaopiniowała.
– Nie ma czasu. – Nalała pół szklaneczki piwa i dolała whisky do pełna. – Ciekawam, czy kto kiedy tak próbował?

W metalowej ramce do serwetek stojącej na stoliku zobaczyła swoją twarz.

– Halo, mała. – Poruszyła w powietrzu szklanką, której odbicie w metalowej ramce było tak samo zniekształcone jak i jej twarz. – Napijmy się. Twoje zdrowie, mała! – Piła piwo pomieszane z whisky, jak spragniony

mężczyzna pije mleko. – Niech to diabli! – rzekła. – To nie jest złe! Nie, szanowna pani. W tym coś jest. Smakuje!

Poruszyła ramką, żeby się móc lepiej przejrzeć w jej metalowej powierzchni. Ale wygięcie ramki sprawiało, że koniec jej nosa wyglądał jak odłamany, a reszta była nabrzmiała i gruba. Wstała i poszła, okrążając bufet, do sypialni. Zabrała stamtąd okrągłe ręczne lustro, przyniosła do stolika i postawiła, opierając o cukiernicę. Rozsiadła się wygodniej w krześle, założyła nogę na nogę.

– Ty tam! Napij się ze mną jednego! – Nalała whisky w dwie szklanki. – A gdzie piwo? – zapytała. – Piwo się skończyło. Eee... znajdzie się jeszcze.

Podeszła do lodówki, wyjęła drugą butelkę piwa.

– Teraz uważaj! – powiedziała do lustra. – Najpierw trochę whisky, nie za dużo, nie za mało, i dodajemy piwa, akurat ile trzeba. To wszystko – pchnęła jedną szklankę do lustra i wypła drugą. – Niektórzy ludzie boją się pić – powiedziała – bo nie wiedzą, jak to trzeba robić. Co? Nie chcesz pić? Twoje prawo. Nie będę cię zmuszać. Ale nie dam, żeby to się zmarnowało.

Wypiła drugą szklankę. Zaczęły ją szczypać policzki, jakby kłuł je mróz. Wzięła do ręki lustro i przejrzała się w nim uważnie. Oczy jej stały się wilgotne i błyszczące. Odgarnęła kosmyk włosów, który opadł na czoło.

– Zawsze trzeba dbać o swój wygląd, nawet jak się człowiek dobrze zabawia.

Nagły, niespodziany obraz czegoś, co było dawno, stanął jej przed oczyma niby wizja. Było to nagłe jak nieoczekiwany cios. Może stało się to dlatego, że w pokoju było ciemno.

– Nie chcę o tym myśleć, nie chcę, nie chcę! – krzyczała Alice.

Ale wizja została. Ciemny pokój, białe łóżko, jej matka sparaliżowana, sztywna, nieruchoma. Oczy utkwione w sufit i tylko biała dłoń wznosząca się gestem rozpaczki, gestem wzywającym pomocy. Żeby Alice najciszej wsunęła się do pokoju – zawsze ta biała ręka wzniesie się przerażającym

gestem bezsilności i Alice musi podejść, potrzymać ją chwilę w swych dłoniach, potem łagodnie kładzie na kołdrze i wychodzi z pokoju. Za każdym razem, kiedy tam wchodziła, błagała rękę, żeby się nie podniosła, żeby była martwa jak reszta ciała.

– Nie chcę o tym myśleć – krzyczała. – Skąd to się tu wzięło? – Ręce jej drżały i butelka grzechotała o szklankę. Nalała sobie dużo, połknęła jednym haustem, zakasłała. Omal nie wymiotowała. – To ci wystarczy – powiedziała. – Chcę myśleć o czymś innym.

Wyobraziła sobie siebie z Juanem w łóżku. Ale nie umiała zatrzymać na tym myśli.

– Mogłabym mieć każdego mężczyznę, jakiego by mi się zachciało – przechwalała się. – I pewnie powinnam mieć, póki jeszcze mogę. Starzeję się... Nie, to plugawe łgarstwo! – krzyknęła. – Jestem taka jak zawsze, nawet lepsza! Kto by, do diabła, dał się wziąć na jakąś chudą sukę, która nie wie, w czym rzecz? Prawdziwy mężczyzna nie lubi tego. Gdybym tylko chciała, mogłabym sobie pójść i łapać facetów jak muchy.

W butelce została już mniej niż połowa. Nalewając do szklanki, rozlała trochę na stół i zaśmiała się do siebie.

– Zdaje się, że jestem już trochę zawiana.

Ktoś zaczął się gwałtownie dobijać do drzwi. Alice znieruchomiała i siedziała cicho. Znowu pukanie.

– Nikogo tam nie ma, a zdawało mi się, że słyszałem rozmowę – powiedział męski głos.

– Spróbuj jeszcze raz. Mogą być od tyłu – rzekł głos kobiety.

Alice wzięła ostrożnie lusterko do ręki i spojrzała w nie. Kiwnęła porozumiewawczo głową do swego odbicia, przymrużyła jedno oko. Znowu doszło ją pukanie.

– Mówię ci, że nie ma nikogo.

– Spróbuj otworzyć drzwi.

Gwałtowne łomotanie.

– Zamknięte – powiedział mężczyzna i zaraz odezwała się kobieta:

– Zamknięte od środka. Muszą tam być.

Mężczyzna się zaśmiał. Zaskrzypiał żwir na ścieżce pod jego nogami.

– Jeśli nawet tam są, to chcą być sami. Czy ty nie chcesz czasami też być sama, kocie? To znaczy tylko ze mną?

– Och, nie gadaj – powiedziała kobieta. – Chcę zjeść jakąś kanapkę czy coś.

– Musisz się trochę z tym wstrzymać.

Alice zastanawiała się, dlaczego nie słyszała przedtem silnika ani kroków na żwirze.

Widać zdrowo się już zalałam – pomyślała. Doszedł ją odgłos odjeżdżającego samochodu.

– Takim nie wystarcza, jak się im raz powie „nie” – stwierdziła na głos. – Właśnie kiedy człowiek chce sobie wypocząć cały dzień i zaczyna przychodzić do siebie, to taka chce zjeść tę swoją kanapkę!

Wzięła do ręki butelkę, spojrzała ukosem i podejrzliwie przez szkło na jej zawartość. – Niewiele zostało. – Przestraszyła się. Co zrobi, jak zabraknie, nim będzie zupełnie gotowa? Przypomniała coś sobie i uśmiechnęła się. W schowku były jeszcze dwie butelki porto. To dało jej poczucie bezpieczeństwa. Wlała resztę whisky do szklaneczki i zaczęła sączyć. Juan nie zbliżał się do kobiet, kiedy piły. Mawiał, że mają wtedy złe, fałszywe twarze. Nienawidził tego. Więc co?

Alice mu pokaże. Wypiła trochę i podniosła się ciężko.

– Zostań tu i poczekaj na mnie – zwróciła się uprzejmie do szklanki. Mijając bufet, zatoczyła się lekko i uderzyła bokiem o jego kant. – Wyskoczy siniak, najpierw czarny, potem niebieski – powiedziała, idąc przez sypialnię do łazienki.

Zmoczyła ręcznik, grubo namydliła i zaczęła nacierać twarz. Tarła mocno, wokół nosa i pomarszczoną skórę na szyi. Owinęła brzeg ręcznika wokół małego palca, wkręciła go w dziurki od nosa i w uszy. Mocno ścisnęła oczy,

splukała mydło z twarzy i przejrzała się w lustrze wiszącym nad umywalką. Twarz jej była czerwona, oczy lekko przekrwione. Długo i starannie pracowała nad twarzą. Nałożyła krem, starła go ręcznikiem. Przyjrzała się ręcznikowi, czy się zabrudził, stwierdziła, że tak. Podkreśliła brwi brązowym ołówkiem. Manewrowanie pomadką do ust sprawiało jej trudność. Karminowa plama wypadła zbyt nisko na dolnej wardze, musiała wszystko ścierać i zaczynać od nowa. Teraz wargi jej wydawały się pełne i grube, zamknęła usta i wargami wyrównała warstwę szminki. Wyszczерzyła do lustra zęby i starła z nich ręcznikiem pomadkę. Powinna była umyć zęby przed poszminkowaniem ust. Teraz puder, żeby złagodzić wypieki. Potem czesała włosy. Nie lubiła swoich włosów. Próbowała ułożyć je tak, potem inaczej, wreszcie znudziło ją to wszystko.

Poszła do sypialni, wygrzebała mały, przylegający do głowy kapelusik filcowy z czymś w rodzaju daszka. Wcisnęła włosy pod kapelusz, zagięła zawadiacko rondko.

– Teraz – rzekła – teraz zobaczymy, jak twarz kobiety staje się zła i fałszywa. Żeby tak Juan mnie teraz ujrzał! Zmieniłby zdanie!

Z szuflady toaletki wyjęła butelkę bellodgii, naperfumowała biust i koniuszki uszu, i czoło wzdłuż linii włosów. Nalała trochę perfum na palec i zwilżyła górną wargę pod nosem. – Niech mnie też pachnie! – powiedziała.

Ostrożnie mijając róg bufetu, wróciła do restauracji. Było tu teraz ciemniej, chmury na niebie gęstniały i niewiele przebijało się przez nie światła. Alice siadła przy swoim stoliku, nastawiła lusterko tak, żeby móc się w nim przeglądać.

– Ładna – stwierdziła – jesteś w swoim rodzaju ładna. Czy masz wolny wieczór? Poszłabyś potańczyć?

Wychyliła szklanę. Gdyby tak kierowca z linii Red Arrow zatrzymał się i zapukał do drzwi. Wpuściłaby go. To był nielichy naciągacz. Dałaby mu się napić raz lub dwa, pokazałaby mu coś raz czy dwa. „Red –

powiedziała mu – uważasz się za bardzo dowcipnego, a ja ci coś pokażę. Ja też umiem być dowcipna”.

Przypomniała sobie jego wąską talię i szerokie ramiona. Miał dzinsy ze wspaniałym pasem... facet był OK. Te jego dzinsy – przypomniała sobie coś: u dołu przy rozporoku miały śmieszny miedziany guziczek. Alice zrobiło się smutno, bo Bud miał taki sam miedziany guziczek na dzinsach, w tym samym miejscu. Chciała o tym nie myśleć i nie mogła, obraz sam wracał natrętnie. Bud błagał i prosił, i nalegał. W końcu poszli cztery mile, tam gdzie się zwykle chodzi na pikniki. Bud niósł lunch – jajka na twardo, kanapki z szynką, ciasto z jabłkami. Kupiła je, ale powiedziała mu, że sama upiekła. Nawet nie czekał na lunch.

Zranił ją. A potem, gdy zapytała:

„Gdzie się wybierasz?”, odpowiedział:

„Mam jeszcze robotę”.

„Powiedziałeś, że mnie kochasz”.

„Powiedziałem?”.

„Ty mnie tak nie zostawisz, Bud?”.

„Słuchaj, siostrze, położyłaś się ze mną, i to wszystko. Chyba nie podpisywałem z tobą długoterminowego kontraktu, co?”.

„Ale to było pierwszy raz, Bud”.

„Kiedyś musi być pierwszy raz”.

Alice płakała teraz nad sobą.

– Wszystko to diabła warte – szlochała do swego odbicia w lustrze. – Każdy z nich diabła wart.

Pochlipując, wypijała następne whisky, potem naląła do szklanki resztę z butelki.

Wszyscy inni też byli diabła warci. A co ona ma teraz? Brudną, śmierdzącą pracę i do tego jeszcze musi iść z facetem do łóżka, czy się jej chce czy nie, i żadnej za to wszystko zapłaty. Tak to jest. Wyszła za mąż za

śmierdzącego Meksykańca – tak to jest. Przysięgła mu! A jak daleko stąd do miasta, do kina! Musi wciąż tkwić w tej cuchnącej knajpie!

Pochyliła głowę, wtuliła ją w ramiona, płakała gorzko. I druga Alice usłyszała ten płacz. Stała za nią, przyglądała się jej. Cały czas stąpać na paluszkach, flaki z siebie wypruwać, byle on był zadowolony! Podniosła głowę i spojrzała w lusterko. Pomadka rozmazała się jej wokół ust. Miała czerwone oczy, ciekło jej z nosa. Sięgnęła po papierową serwetkę, wyszarpnęła dwie, wytarła w nie nos. Zgniotła je w kulkę i rzuciła na ziemię.

Po co właściwie tak się stara, żeby było czysto w tej norze? Kogo to obchodzi? A czy kto, do diabła, dba choć trochę o nią? Nikt! Sama może troszczyć się o siebie. Nikt jej tu nie będzie rozkazywał, nie będzie niczym popychadłem. Niechby tylko ktoś spróbował. Wypiła resztę whisky.

Wydobycie porto ze skrytki pod bufetem było nie lada zadaniem. Zachwiała się i upadła na zlew. Coś ją piekło w nosie i rozdymało nozdrza. Oddychała przez nos ze świstem. Postawiła butelkę porto na bufecie i wzięła do ręki korkociąg. Nie mogła trafić korkociągiem w korek, butelka upadła, wreszcie udało jej się, ale korek pękł przy wyciąganiu. Wcisnęła go kciukiem do butelki i powlokła się do stolika.

– Woda sodowa – oświadczyła. Nalała pełną szklankę ciemnego, czerwonego porto. – Żeby tak jeszcze było trochę whisky – powiedziała. Zaschło jej w ustach. Wypiła chciwie, od razu pół szklanki. – O, to dobre – zachichotała. – Może zawsze trzeba pić najpierw whisky, żeby wino nabrało właściwego smaku. – Przysunęła lusterko bliżej do siebie. – Jesteś stara szmata – powiedziała gorzko – stara, pijana szmata. Nic dziwnego, że nikt cię nie chce. Sama bym ciebie nie chciała.

Odbicie w lustrze miało podwójny kontur. Alice czuła, że poza zasięgiem jej wzroku cały pokój zaczyna kołysać się i chybotać.

Wypiła, co zostało w szklance, zakrztusiła się, zaplula, czerwone strużki wina pociekły jej z kącików ust. Chciała znów nalać, ale nim trafiła do

szklanki, rozlała wino na blat stolika. Serce waliło jak młotem. Mogła je słyszeć, czuła jego uderzenia w ramionach i w rękach, i w żyłach na piersi. Piła teraz dostojnie i uroczyście.

– Niech się zaleję w trupa, niech mnie szlag trafi – tak będzie, psiakrew, lepiej. Niech nie wracam do przytomności. Niech się to wszystko skończy... skończy... skończy... Pokażę tym skurwysynom, że jak nie chcę, to nie będę żyć. Pokażę im.

I wtedy zobaczyła muchę. To nie była normalna domowa mucha – to była końska mucha. Tegoroczna, mieniąca się niebieskim blaskiem. Siadła na stoliku na brzegu kałuży rozlanego porto. Zanurzyła w niej trąbkę, cofnęła się i zaczęła się czyścić.

Alice siedziała zupełnie sztywna, nabrzmiała nienawiścią. Wszystkie gorycze, wszystkie jej nieszczęścia skoncentrowały się w tej musze. Wielkim wysiłkiem woli złożyła podwójny obraz muchy w jeden.

– Ty kurwo – powiedziała cicho – myślisz, że jestem pijana? Ja ci pokażę!

Wzrok jej był czujny i ostry. Wolno, wolniutko zsunęła się z krzesła, pochyliła się, podparłszy ręką. Nie spuszczała muchy z oka. Mucha nie poruszała się. Alice, okrążając bufet, zbliżyła się do zlewu. Tam wisiała ścierka do zmywania. Wzięła ją w ręce, złożyła starannie w kilkoro. Ścierka była zbyt lekka. Zmoczyła ją pod kranem i wyżyła wodę.

– Ja ci pokażę, ty kurwo – powtórzyła i bezszelestnie jak kot przesunęła się wzdłuż bufetu. Mucha wciąż siedziała tam gdzie przedtem, błyszcząca i wspaniała.

Alice podniosła rękę, zarzucając ścierkę na ramię. Ostrożnie, krok za krokiem, podsunęła się blisko, z ręką uniesioną i odgiętą. Uderzyła. Butelka, szklanki, cukiernica i podstawka do serwetek – wszystko runęło na podłogę. Mucha bzyknęła i zaczęła krążyć w powietrzu. Alice stała nieruchomo, wodząc za nią oczyma. Mucha siadła na bufecie. Alice skoczyła naprzód i zamachnęła się, mucha wzleciała w górę, ścierka Alice przecięła powietrze.

– To nie tak trzeba – rzekła Alice do siebie. – Trzeba zacząć się na nią, zacząć się na nią. – Podłoga zakołysała się pod jej stopami, wyciągnęła rękę, oparła się o stół. Gdzie była mucha? Słyszała jej bzykanie, gniewną, słabnącą skargę jej skrzydełek. Musi wkrótce gdzieś opaść. Alice zebrało się na wymioty.

Mucha zataczała w powietrzu kółka i ósemki, potem latała niskim nurkowym lotem przez cały pokój, od ściany do ściany. Alice czekała. Na krawędziach jej pola widzenia gromadziła się ciemność. Mucha wylądowała z cichym jakby pluśnięciem na pudełku płatków owsianych na szczycie wielkiej piramidy takich pudełek ustawionej na półce za bufetem. Siadła na literze „P” słowa „PŁATKI” wypisanego na pudełku i najspokojniej przesunęła się na „Ł”. Tam się zatrzymała. Alice pociągnęła nosem.

Pokój kołysał się i wirował. Alice wyteżyła całą siłę woli – mucha i to miejsce, gdzie mucha siedziała, pozostały nieruchome. Lewa ręka Alice spoczęła na bufecie, jej palce pełżyły po kontuarze. Te palce ją wiodły, poruszała się za nimi wolno, cicho i spokojnie aż do końca bufetu. Uniosła prawą rękę – bardzo, bardzo ostrożnie. Mucha skoczyła odrobinę naprzód i znów się zatrzymała. Była gotowa do lotu, Alice to wyczuła. Wyczuła to przedtem, nim mucha się wzbiła. Zadała cios zamachem całego ciała. Mokra ścierka pacnęła w piramidę tekturowych pudełek, ale nie zatrzymała się na nich. Pudełka, cały rząd szklanek z półki, klosz pełen pomarańczy runęły na podłogę za bufetem. Alice upadła na to wszystko.

Cały pokój runął na nią, w oczach mignęły jej czerwone i niebieskie światełka. Na jej policzek posypały się płatki z rozwalonych pudełek. Spróbowała podnieść głowę, ale zaraz ją opuściła. Ogarnęła ją skłębiona ciemność.

W restauracji było mroczno i bardzo cicho. Mucha przeleciała przez pokój i siadła na białym blacie stolika na brzegu schnącej kałuży porto. Przez chwilę wietrzyła czujnie, czy jej nie grozi jakieś niebezpieczeństwo, potem

nie spiesząc się, wyciągnęła płaską trąbkę i umoczyła ją w słodkiej, lepkiej cieczy.

ROZDZIAŁ 12

Szare chmury nadpływały jedna za drugą, stawały się coraz groźniejsze i niebieskawa ciemność opadła na ziemię. W dolinie San Juan wszystko, co było ciemnozielone, stało się czarne, a jasna zieleń trawy była teraz chłodna, wilgotna i niebieska. Sweetheart toczył się ciężko drogą, jego aluminiowa karoseria nabrała ciemnego złowróżbnego połysku. Daleko na południu brzeg czarnej chmury poszarpany frędzlami deszczu tworzył wolno opadającą zasłonę.

Autobus zahamował i zatrzymał się przy pompach z benzyną przed sklepem Breeda. Mała bokserska rękawica i bucik dziecienny wiszące na przedniej szybie poruszały się jeszcze krótkimi, wahadłowymi szarpnięciami. Juan po zatrzymaniu autobusu siedział chwilę za kierownicą. Silnik pracował jeszcze. Juan zwiększył jego obroty, przez chwilę nasłuchiwał, westchnął, przekręcił kluczyk i silnik zgasł.

– Jak długo chce pan tu czekać? – zapytał Van Brunt.

– Zobaczę, jak wygląda most.

– Most jeszcze jest – rzekł Van Brunt.

– Tak jak i my – powiedział Juan. Otworzył dźwignią drzwi.

Breed wyszedł ze sklepu i zbliżył się do autobusu. Podali sobie ręce z Juanem.

– Nie spóźniłeś się aby trochę? – zapytał Breed.

– Chyba nie – rzekł Juan – o ile mój zegarek dobrze chodzi.

Pryszcz zlazł na dół i stanął przy nich. Specjalnie się pospieszył, żeby zejść pierwszy i zobaczyć z dołu, jak blondynka będzie schodziła po

stopniach.

– Jest coca-cola? – zapytał.

– Nie – rzekł Breed. – Tylko parę butelek pepsi. Nie mam coki od miesiąca. Ale to to samo. Nie można odróżnić.

– Jak most? – zapytał Juan.

Breed potrząsnął głową.

– Będziesz miał trudny orzech do zgryzienia. Zobacz sam. Mnie się nie podoba.

– Jeszcze cały? – pytał dalej Juan.

– Może pójść, ot tak – rzekł Breed i strzepnął dłonią o dłoń. – Ledwo się trzyma, płacze jak dziecko. Zresztą sam zobaczysz.

Pan Pritchard i Ernest zsunęli się po stopniach z autobusu, potem Mildred i Camille, a za nią Norma. Camille zrobiła to po mistrzowsku. Pyszczył nic nie zobaczył.

– Mają tylko pepsi – oznajmił. – Chciałaby pani?

Camille zwróciła się do Normy. Zaraz się przekona, czy Norma jej się przyda w życiu.

– Chcesz się napić? – zapytała ją.

– Owszem – odparła Norma.

Pyszczył starał się nie okazać rozczarowania. Breed i Juan poszli w stronę rzeki.

– Idziemy popatrzeć na most – rzucił Juan przez ramię.

Pani Pritchard wołała do męża ze stopnia autobusu:

– Mój drogi, czy mógłbyś mi przynieść coś zimnego do picia? Może być woda, jak nie ma nic innego. I dowiedz się, gdzie tu jest, no, wiesz już co.

– Od tyłu – powiedziała Norma.

Breed zrównał swój krok z krokiem Juana i poszli do mostu.

– Co rok nic tylko czekam, kiedy most pójdzie – powiedział Breed. – Chciałbym, żeby tu stał porządny most, żeby wreszcie mógł spokojnie spać w porze wielkich deszczów. Teraz, jak leżę w łóżku i słyszę deszcz

bijący w dach, tylko nasłuchuję, czy most się nie wali. Nawet nie wiem, co się słyszy, kiedy rzeka zrywa most.

Juan uśmiechnął się do niego.

– Wiem, jak to jest. Pamiętam w Torreon, kiedy byłem dzieciakiem. Nasłuchiwalismy w nocy strzałów. Jak były, znaczyło, że się gdzieś biją. My tam lubiliśmy, jak się gdzie bili. A mój stary zniknął wtedy na trochę. Aż raz nie wrócił. Myślę teraz, że zawsze się tego spodziewalismy.

– Co się z nim stało? – zapytał Breed.

– Nie wiem. Ktoś go pewnie trafił. Nie mógł usiedzieć w domu, jak gdzieś się bili. A wracając, zawsze przynosił mnóstwo różnych historyjek. – Juan się zaśmiał. – Lubił zwłaszcza jedną, o Pancho Villa. Jak raz biedna kobieta idzie do Pancho i mówi: „Zabiłeś mi męża, teraz ja i moje dzieci umrzemy z głodu!”. Pancho Villa miał kupę pieniędzy. Sam je drukował, miał prasę drukarską. Więc tylko powiada do swego skarbnika: „Machnij no pięć kilo dwudziestopięciusetowych papierków dla tej biednej kobiety”. Tyle miał tego, że nigdy nie liczył. Więc nadrukowali te pieniądze, powiązali drutem w paczki i dali tej kobiecie. A kiedy ona poszła, jego sierżant mówi mu: „Panie generale, to była pomyłka. Myśmy nie zabili jej męża. On się upił i myśmy go tylko zamknęli”. Wtedy powiada Pancho: „Idź i zabij go. Nie możemy rozczarować tej kobiety”.

– W tym nie ma żadnego sensu – powiedział Breed.

Juan roześmiał się.

– Właśnie dlatego lubię tę historyjkę. Boże, rzeka podmywa zapory od tyłu!

– Wiem. Próbowałem dzwonić i zawiadomić tych tam – rzekł Breed. – Ale nikogo nie złapałem.

Weszli na drewniany most. Juan od razu poczuł pod stopami ruch i wibrację wody. Most trząsał się i dygotał. Słysząc było mrukliwe skrzypienie drewna – głęboki niski ton przebijający nad szum wody. Juan spojrzał przez krawędź mostu. Woda zakryła już drewnianą konstrukcję pod

przędami, rzeka pienila się i bulgotała. Cały most drgał i sapał, z miejsc, gdzie żelazne spojenia szepiały drewniane bale, dochodziły urywane jęki wysiłku. Właśnie gdy tam byli, wielki zielony dąb przetaczał się niesiony prądem. Uderzył w most, obrócił się i cała konstrukcja jęknęła, jakby prężąc się w natężeniu. Drzewo ugrzęzło w zanurzonej dolnej części przęśła, spod mostu doszedł ostry przeciągły dźwięk i łomot. Obaj mężczyźni zeszli na brzeg.

– Jak szybko przybiera? – zapytał Juan.

– Dziesięć cali w ciągu ostatniej godziny. Naturalnie może zaraz zacząć opadać. Rzeka mogła już osiągnąć poziom maksymalny.

Juan przyglądał się uważnie wiązaniom mostu. Jego wzrok zatrzymał się na głowicy sworzni spajającego części przęśła, który znajdował się tuż nad wodą. Juan patrzył uważnie przez chwilę w ten punkt.

– Zdaje się, że mógłbym to zrobić – powiedział. – Mógłbym spróbować. Albo kazałbym pasażerom przejść pieszo, sam bym przejechał i zabrał ich po drugiej stronie. A jak jest z drugim mostem?

– Nie wiem – rzekł Breed. – Próbowałem i tam dzwonić, ale nikt nie odpowiadał. Lecz powiedzmy, że przejedziesz przez ten most – a co, jak drugi będzie zerwany i, kiedy wrócisz, tego też już nie będzie? Będziesz miał do czynienia z kupą wściekłych i rozdrażnionych pasażerów.

– Tak czy owak muszę mieć do czynienia z kupą rozdrażnionych pasażerów – odparł Juan. – Mam tu jednego... nie, dwóch, którzy o byle co robią piekło. Wiem, co mi grozi. Znasz może faceta, co nazywa się Van Brunt?

– Och, ten stary maruda! Tak, znam go. Jest mi winien trzydzieści siedem dolarów. Sprzedałem mu trochę paszy i reklamowałem, że niedobra. Nie chce płacić. Ma tu wszędzie pełno niepopłaconych rachunków. Nic mu się nie podoba, co kupuje. Nie dałbym mu nawet cukierka na kredyt. Powiedziała by, że niesłodki. Więc masz go ze sobą?

– Mam – potwierdził Juan. – I mam jeszcze faceta z Chicago. Gruba ryba z biznesu. Ten byłby wściekły, gdyby coś nie wyszło, jak sobie ułożył.

– Cóż – mruknął Breed. – Sam musisz zdecydować.

Juan popatrzył na zaciągnięte chmurami niebo.

– Myślę, że będzie porządnie lało. Jak wzgórza namokną, cała woda pójdzie w rzekę. Mógłbym nawet spokojnie przejechać, ale jaką mam szansę, że wrócę?

– Pewnie z dziesięć procent. Jak tam twoja żona?

– Nie za dobrze. Ząb ją boli.

– Zawsze się opłaca trzymać zęby w porządku – powiedział Breed. – Powinno się chodzić do dentysty raz na pół roku.

Juan zaśmiał się.

– Wiem – powiedział. – Czy znasz kogoś, kto to robi?

– Nie – rzekł Breed. Lubił Juana. Nie uważał go nawet za obcokrajowca.

– Ja też nie – rzekł Juan. – Jest tylko jeden sposób, żeby nie mieć kłopotu z pasażerami.

– Jaki?

– Niech decydują sami. Jest demokracja czy nie?

– Jeszcze się pobiją.

– Niech się biją, nie szkodzi.

– Może to i sposób – powiedział Breed. – Ale powiem ci jedno. Niezależnie od tego, co wszyscy postanowią, Van Brunt będzie przeciwny. To jest facet, co nie głosowałby nawet za powrotem Chrystusa na ziemię, gdyby wszyscy na świecie tego chcieli.

– Eee, on jest w porządku – rzekł Juan. – Tylko trzeba wiedzieć, jak sobie z nim dać radę. Kiedyś miałem konia, co był tak znarowiony, że jak ciągnąłem lewą lejcę, to szedł w prawo. Oszukiwałem go. Robiłem wszystko na odwrót, niż chciałem, i on też, i było w porządku: myślał, że jest tak, jak on chce. Możesz zmusić Van Brunta, żeby robił to, co chcesz, tylko musisz udawać, że chcesz czegoś przeciwnego.

– To ja mu zabronię oddawać mi trzydzieści siedem dolarów, które mi jest winien.

– Z nim nawet to może wyjść – powiedział Juan. – Cóż, rzeka jeszcze nie wylewa, ale woda zakryła już zupełnie ten sworzeń. Pójdę, zobaczę, co pasażerowie postanowią.

Pryszcz wszedł do sklepu. Czuł się lekko nabrany. Wrobiono go i musiał teraz kupić dwie butelki pepsi-coli – dla Camille i dla Normy. Robił, co mógł, ale nie udało mu się odciągnąć Camille od Normy. Nie z winy Normy. To Camille używała jej jako swojej osłony.

Norma promieniała radością. Nigdy w życiu nie była szczęśliwsza. Ta piękna istota była dla niej taka miła. Stały się przyjaciółkami. Choć nie przyrzekła, że będą razem mieszkały. Powiedziała, że zobaczy, jak się sprawy ułożą. Dlatego właśnie Norma miała do niej zaufanie. Ludzie nie bywali normalnie przyjemni dla Normy. Mówili „tak”, zgadzali się na coś, a potem jakoś się z tego wymigiwali. Ale ta dziewczyna, która wyglądała jak ucieleśnienie wszystkiego, czym Norma chciałaby być, powiedziała, że „zobaczy”. Norma już widziała mieszkanie, które razem wynajmą. Będzie tam pluszowa kanapka, przy niej mały stoliczek do kawy, kotary z pluszu w kolorze czerwonego wina. Będą miały oczywiście radio z adapterem i mnóstwo płyt. Nie wybiegała myślami dalej. Mogłoby to przynieść nieszczęście. Jest taki kolor „electric blue”, doskonały na pokrycie kanapki.

Uniosła szklankę z pepsi, piła słodki, kłujący napój i właśnie gdy go przełykała, zrobiło jej się nagle smutno i ciężko na sercu. To się nigdy nie zdarzy – myślała bliska łez. – To mi ucieknie! Będzie, jak było, znowu zostanę samotna. – Zacisnęła powieki, wytarła je wierzchem dłoni. Otworzyła oczy i już czuła się lepiej. – Będę oszczędzać – myślała. – Po troszeczkę urządzę sobie mieszkanie i gdyby to się nie stało, będę w każdym razie je miała. – Była teraz twarda i zacięta. – Fantastycznie, gdyby to się miało zdarzyć. Ale nie wolno mi na to liczyć, nie wolno na to czekać. Przez to właśnie mogłabym wszystko stracić.

– Mam mnóstwo planów – mówił Prysycz. – Uczę się o radarze. To jest bardzo ważna rzecz. Facet, co zna się na radarze, może się świetnie urządzić. Trzeba patrzeć naprzód, no nie? Ludzie, którzy nie patrzą w przyszłość, stoją w miejscu, no nie?

Camille uśmiechała się nieznacznie.

– Na pewno jest w tym wiele racji – powiedziała. Chciała odczepić się od tego chłopaka. Miły chłopak, ale po prostu chciała się od niego odczepić. Niemal czuła jego zapach. – Bardzo dziękuję za pepsi – powiedziała. – Pójdę się trochę odświeżyć. Pójdiesz ze mną, Norma?

Wyraz uwielbienia pojawił się na twarzy Normy.

– O tak – powiedziała. – Ja też muszę się odświeżyć. – Wszystko, co Camille mówiła, było miłe, stosowne i eleganckie. O Jezu, Jezu – żeby to się tylko stało – modliła się w duchu Norma.

Pani Pritchard sączyła lemoniadę. Przygotowanie jej zabrało trochę czasu, bo w sklepie lemoniady nie było. Ale gdy pani Pritchard zobaczyła, że są cytryny, i ofiarowała się, że sama je wycisnie – pani Breed nie mogła zrobić nic innego, jak przyrządzić lemoniadę.

– Po prostu nie mogę pić niczego, co długo jest w butelce – tłumaczyła pani Pritchard. – Lubię czysty sok owocowy. – Pani Breed musiała z niezadowoleniem ustąpić pod naporem uprzejmości i słodyczy. Bernice Pritchard popijała swoją lemoniadę i przyglądała się pocztówkom umieszczonym na specjalnym stojaku. Były tam widoki gmachu sądu w San Juan de la Cruz i hotelu w San Ysidro, który stał nad gorącym źródłem solankowym. Ładny stary hotel, do którego zjeżdżali reumatycy, aby brać mocne kąpiele solankowe. Na kartce było napisane, że to hotel spa. W sklepie było jeszcze mnóstwo innych rozmaiłości. Barwne gipsowe pieski, pistolety ze szkła napełnione kolorowymi cukierkami, jaskrawe lalki celuloidowe i różnej wielkości pudełeczka pełne kalifornijskich owoców. Były tam jeszcze lampy z abażurami, których istotna wartość uwidoczniła

się dopiero przy zapalonym świetle. Ukazywały się wówczas na nich płonące lasy lub okręty płynące pod pełnymi żaglami – zupełnie jak żywe.

Ernest Horton również stał przy kontuarze i przyglądał się rozłożonym przedmiotom z lekceważeniem.

– Czasem myślę, że powinienem otworzyć taki sklep z różnościami. Ale trzymałbym tylko ostatnie nowości – zwierzył się panu Pritchardowi. – Niektóre z tych rzeczy, co tu leżą, są już od lat na rynku i nikt tego nie kupuje. Moja firma ma na składzie tylko najbardziej chodliwy i najnowszy towar.

Pan Pritchard skinął głową.

– Jak człowiek pracuje dla firmy, o której się wie, że mocno stoi na nogach, daje mu to pewność i zaufanie – oświadczył. – Dlatego myślę, że dobrze by się pan czuł u nas. Może pan być pewny, że my zawsze, o każdej godzinie każdego dnia, mocno stoimy na nogach.

– Przepraszam pana na chwileczkę – rzekł Ernest. – Muszę przynieść moją walizkę. Mam tam coś najnowszego. Tego się jeszcze nie sprzedaje publiczności, ale kupcy już biorą jak świeże bułeczki. Na razie tylko do przedsprzedaży. Wyłącznie. Może umieszczę tu kilka sztuk.

Szybko wyszedł i przytaskał swoją walizę z próbkami. Otworzył ją i wyciągnął tekturowe pudełko. – Opakowanie nie jest efektowne. To dla większego zaskoczenia – wyjaśnił. Otworzył pudełko i wyjął z niego małą, wysoką na około dwanaście cali muszlę klozetową, bardzo dokładnie wykonaną, ze zbiorniczkiem na wodę u góry i łańcuszkiem do pociągania zakończonym mosiężnym uchwytem. Miska klozetowa była biała, mała deska sedesowa pomalowana na kolor drewna.

Pani Breed, stojąca za kontuarem, cofnęła się lekko w tył.

– Mój mąż załatwia wszystkie zakupy – powiedziała. – Będzie się pan musiał z nim zobaczyć.

– Wiem – rzekł Ernest. – Chciałem pani tylko pokazać ten model. To się po prostu samo sprzedaje.

– Po co to właściwie jest? – zapytał pan Pritchard.

– Proszę tylko uważać – rzekł Ernest. Pociągnął łańcuszek i natychmiast do miski klozetowej napłynął z bulgotem jakiś brązowy płyn. Ernest uniósł sedes i okazało się, że był to brzeżek małego kieliszka. – Zawartość jedna uncja – powiedział z triumfem. – Jak się chce podwójną porcję, żeby, powiedzmy, pić z wodą sodową, ciągnie się łańcuszek dwa razy.

– Whisky! – wykrzyknął pan Pritchard.

– Albo koniak, albo rum – dodał Ernest. – Co tylko pan chce. Nalewa pan zapas tu do zbiornika. Zbiornik gwarantowany, wykonany z plastiku. Chłodzi alkohol. Już zebrałem zamówienia na tysiąc osiemset sztuk. To dopiero uderzenie! Śmiech za każdym razem!

– Do diabła, bardzo sprytne! – powiedział pan Pritchard. – Kto wymyśla te rzeczy?

– Mamy w firmie wydział innowacji – tłumaczył Ernest. – Każdy tam zgłasza swoje wynalazki. To, co państwu pokazałem, wymyślił nasz sprzedawca w okręgu Wielkich Jezior. Dostanie dobrą gratyfikację. Nasza firma płaci dwa procent od zysku każdemu pracownikowi, który zgłasza pomysł możliwy do zrealizowania.

– Bardzo sprytne – powtórzył pan Pritchard. Oczyma duszy widział już minę Charliego Johnsona, jak mu to zaprezentuje. Charlie na pewno będzie zaraz chciał lecieć i kupić dla siebie.

– Po ile to idzie? – zapytał pan Pritchard.

– Cena detaliczna pięć dolarów. Ale jeśli pan pozwoli sobie poradzić, to mamy wspaniały model za dwadzieścia siedem pięćdziesiąt.

Pan Pritchard zagryzł wargi.

– Ale niech pan słucha, co się za to ma – ciągnął dalej Ernest. – Ten model jest z plastiku. Lepsze modele są... zaraz panu powiem: zbiornik jest zrobiony z drewna dębowego ze starych beczek od whisky, co dodaje smaku. Łańcuszek jest ze srebra, a rączka z brazylijskiego kryształu. Miska z porcelany, i to prawdziwej toaletowej porcelany w najwyższym gatunku,

a sedes ręcznie rzeźbiony z czystego mahoni. Na zbiorniku znajduje się mała srebrna plakietka. Gdyby pan chciał ofiarować to swemu klubowi lub swojej łoży, może pan na niej wyryć swoje nazwisko.

– Wygląda, że warte tej sumy – rzekł pan Pritchard. Już się zdecydował. Już wiedział, w jaki sposób zyska przewagę nad Charliem Johnsonem. Ofiaruje mu taki klozecik. A na plakietce każe wyryć: „Charliemu Johnsonowi, mistrzowi Ameryki w tym i w tym – Elliott Pritchard”. Niech wtedy Charlie chwali się, przed kim chce, i tak każdy będzie wiedział, kto pierwszy wpadł na ten pomysł.

– Czy ma pan taki za dwadzieścia siedem pięćdziesiąt ze sobą? – zapytał.

– Nie. Musiałby pan zamówić.

Pani Pritchard spokojnie zbliżyła się do nich.

– Elliott – powiedziała bardzo głośno. – Nie kupuj tego. To jest nieprzyzwoite.

– Ależ ja nie będę tego pokazywał przy paniach – rzekł pan Pritchard. – Nie bój się, mała dziewczyneczko. Wiesz, co ja chcę zrobić? Poślę to Charliemu Johnsonowi. Odegram się za tego wypchanego skunksa. Tak, panie szanowny, już ja go urządzę!

– Charlie Johnson jest przyjacielem mojego męża ze szkoły – wyjaśniła pani Pritchard. – Robią sobie nawzajem najdziksze kawały. Gdy się spotykają, zachowują się jak mali chłopcy.

– Więc – powiedział pan Pritchard z powagą – jeżelibym zamówił jedną sztukę, czy mógłby ją pan wysłać na adres, który bym panu dał? I czy mógłby pan załatwić wygrawerowanie napisu na plakietce? Dałbym panu na kartce tekst.

– Co tam chcesz napisać? – zapytała pani Pritchard.

– Niech małe dziewczynki nie wtykają nosa w sprawy dorosłych mężczyzn.

– To na pewno będzie coś okropnego!

Mildred była w dołku. Czuła się zmęczona i ociężała i nic ją nie obchodziło. Siedziała sama, z daleka od wszystkich, na wyginanym krzesełku z prętów żelaznych, jakie zwykle bywają w tego rodzaju sklepach. Z ironią obserwowała zabiegi Pryszcza, który starał się porozmawiać sam na sam z blondynką. Ta cała wycieczka dała jej się porządnie we znaki. Jakiego rodzaju dziewczyną była, jeżeli zwykły kierowca autobusu mógł ją doprowadzić do takiego stanu? Gdzie on się podział? Dlaczego nie wraca? Pohamowała gwałtowną chęć, żeby wstać i pójść go szukać. Głos Van Brunta zabrzmiał niespodziewanie tuż obok, aż się poderwała.

– Młoda damo – mówił – spódnica się pani zadarła i widać coś białego. Sądzę, że lepiej, żeby pani o tym wiedziała.

– O, na pewno. Dziękuję panu bardzo.

– Mogłaby pani tak chodzić cały dzień, myśląc, że wszystko w porządku, gdyby ktoś nie zwrócił pani na to uwagi.

– Dziękuję panu. – Wstała i przeginając się w tył, obciągała spódnice. Rzeczywiście wystawał spod niej z tyłu brzeżek halki.

– Sądzę, że lepiej, jak ktoś powie – ciągnął Van Brunt.

– Z pewnością. Zdaje się, że ramiączko się zerwało.

– Mnie to nie interesuje. Nie chcę nic wiedzieć o pani bieliźnie – powiedział zimno Van Brunt. – Moją jedyną uwagą było, że pani spódnica się zadarła. Nie życzę sobie, by pani myślała, że miałem jakiś inny powód do zrobienia tej uwagi.

– Ależ ja tak nie myślę – rzekła bezradnie Mildred.

Van Brunt mówił dalej:

– Za wiele młodych panien lubi się teraz popisywać nogami. Myślą, że każdy chce je oglądać.

Nagle Mildred zaczęła się śmiać nieopanowanie, jak w ataku hysterii.

– Cóż w tym śmiesznego? – spytał gniewnie Van Brunt.

– Nic – rzekła Mildred. – Tylko przypomniał mi się jeden dowcip. – Uświadomiła sobie, że Van Brunt nie przepuścił od rana żadnej okazji, żeby nie popatrzeć na odsłonięte nogi kobiet.

– Jeśli takie śmieszne, to może pani opowie?

– O, nie. To taki prywatny żart. Pójdę poprawić ramiączko. – Popatrzyła na niego i zaczęła mówić wolno i z naciskiem: – Widzi pan, na każdym ramieniu są dwa ramiączka. Jedno od halki, a drugie od biustonosza. A biustonosz jest po to, żeby mocno trzymać piersi. – Van Brunt zrobił się czerwony. Mówiła dalej: – Nie ma już niczego więcej pod spodem, chyba że majtki... ale ja majtek nie noszę.

Van Brunt odwrócił się i szybko odszedł. Mildred poczuła się lepiej. Od tej chwili ten stary osioł nie zazna już spokoju. Będzie go bacznie obserwować, aż go przyłapie na gorącym uczynku. Wstała, śmiejąc się do siebie. Wyszła na zewnątrz, okrążyła sklep i skierowała się do stojącej za budynkiem przybudówki z napisem „Dla pań”.

Mildred zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami. Była na nich drewniana krata, po której zaczynało się piąć w górę dzikie wino. Ze środka dochodził głos Normy, która mówiła coś do blondynki. Mildred słuchała. Może ta wycieczka byłaby bardziej interesująca, gdyby stale słuchała, co ludzie mówią między sobą. Mildred lubiła podsłuchiwać. Czasem nawet ją ta skłonność niepokoiła. A ze wszystkich możliwych miejsc najlepiej było podsłuchiwać w damskich toaletach. Nieraz zdumiewała ją swoboda, z jaką zachowywały się kobiety w miejscach, gdzie było lustro, umywalka i klozet. Napisała kiedyś na uniwersytecie pracę, którą uważano za bardzo śmiałą; udowadniała tam, że kobiety odrzucają wszelkie hamulce, z chwilą gdy podniosą spódnicę do góry.

To było albo to, myślała, albo pewność, że mężczyzna, ich wróg, nigdy nie przekroczy progu tego miejsca. Bo było to jedyne na świecie miejsce, gdzie kobiety są zupełnie pewne, że nie spotkają mężczyzny. Czują się tam

swobodnie i stają się wylewne w stosunku do innych kobiet, wobec których zwykle zachowywałyby się z rezerwą. Dużo nad tym przemyślała.

Kobiety stawały się tam czasem bardziej dla siebie przyjazne, a czasem były bardziej obłudne – ale zawsze na płaszczyźnie intymności. Dlatego że nie było mężczyzn. Bo gdzie nie ma mężczyzn, nie ma współzawodnictwa i niepotrzebne są żadne udawania i pozy.

Mildred zastanawiała się, czy podobnie było w męskich toaletach. Ale chyba nie, bo mężczyźni współzawodniczą ze sobą nie tylko o względy kobiet, podczas gdy w większości wypadków wszystkie kobiece niepewności i wahania mają coś wspólnego z mężczyznami. Jej praca uniwersytecka została zwrócona z adnotacją: „Nie dość dokładnie przemyślane”. Zamierzała jeszcze raz opracować ten temat.

Nie czuła dotąd żadnych przyjaznych uczuć w stosunku do Camille. Po prostu nie lubiła jej. Ale wiedziała, że tego „nielubienia” nie zabierze ze sobą do damskiej toalety. Czy to nie dziwne – zastanawiała się – że kobiety walczą nawet o mężczyzn, których nie pragną?

Norma i Camille wciąż ze sobą rozmawiały. Mildred położyła rękę na klamce, popchnęła i otworzyła drzwi. W małym pomieszczeniu znajdował się klozet, umywalka i nad nią kwadratowe lustro. Rolka papieru na ścianie i papierowe ręczniki koło umywalki. Automat z podpaskami wisiał koło matowego okienka. Betonową podłogę pomalowano na ciemnoczerwono, ściany na biało, grubo nakładając kilka warstw olejnej farby. Czuć było zapach perfumowanego środka dezynfekcyjnego.

Camille siedziała na sedesie, Norma stała przed lustrem. Obie spojrzały na wchodzącą Mildred.

– Chce pani tu? – zapytała Camille.

– Nie – powiedziała Mildred. – Obsuwa mi się ramiączko halki.

Camille spojrzała w dół na jej spódnice.

– Teraz jest w porządku. Nie, nie tak – zwróciła się do Normy. – Nie widzisz, jak idzie linia włosów? Podciągnij trochę brwi w górę, nie za dużo.

Zostaw, kochanie. Poczekaj chwilkę, pokażę ci, jak to ma być. – Wstała i przysunęła się do Normy. – Odwróć się, pokaż no się. Teraz tu. Spójrz do lustra. Widzisz, jak to obniża linię włosów? Masz wysokie czoło, więc musisz się starać je obniżyć. Teraz zamknij oczy. – Wzięła z rąk Normy ołówek do brwi i leciutko potarła nim jej dolną powiekę, tuż pod rzęsami, przyciemniając zewnętrzne kąciki oczu. – Nałożyłaś trochę za grubo tuszu, kochanie – mówiła. – Widzisz, jak rzęsy się zlepiają? Przemyj delikatnie wodą. Nie trzeba się spieszyć. Czekaj chwilę. – Wyjęła z torebki małe plastikowe pudełeczko z cieniem do powiek. – Trzeba z tym uważać. – Nabrała na palec odrobinę niebieskiej pasty i roztarła lekko na powiekach Normy, zostawiając nieco wyraźniejszy ślad tuż za kącikiem jej oczu. – No, zobaczmy teraz. – Przyglądała się swemu dziełu. – Słuchaj, kochanie, za szeroko otwierasz oczy, wyglądasz przez to jak królik. Staraj się trzymać powieki trochę bardziej opuszczone. O, tak jak teraz. Popatrz na siebie. Znać różnicę, co?

– Boże, ja rzeczywiście wyglądam inaczej – powiedziała Norma z przerażeniem w głosie.

– Naturalnie, zupełnie inaczej. Ale usta masz źle zrobione. Spójrz, dolną wargę masz za cienką. Tak samo jak ja. Pomaluj usta kredką tu, trochę niżej i trochę tu.

Norma stała spokojnie jak grzeczne dziecko i dawała Camille robić ze sobą, co ta chciała.

– Widzisz? Grubiej w kącikach – mówiła Camille. – Teraz dolna warga wygląda pełniej.

– Pani się bardzo dobrze na tym zna – odezwała się Mildred. – Chciałabym również skorzystać z pani rad.

– Ach, to nic takiego – odparła Camille. – To przecież zupełnie proste.

– To jest makijaż teatralny – powiedziała Mildred. – Chciałam powiedzieć, że to jest makijaż tego rodzaju, jaki stosują w teatrach.

– Wie pani, jak ktoś ma wciąż do czynienia z publicznością... pracując u dentysty, często muszę wykonywać obowiązki recepcjonistki.

– O, niech to diabli! – wykrzyknęła Mildred. – Myślałam, że to ramiączko jest za luźne, a ono się zerwało.

– Trzeba je przymocować – rzekła Camille.

– Nie mam agrafki, a igły i nici są w walizce.

Camille otworzyła torebkę, w której były przypięte do podszewki małe agrafeczki.

– Proszę – powiedziała. – Zawsze noszę to przy sobie na wszelki wypadek. – Odpięła jedną agrafkę. – Chce pani, żebym to zrobiła?

– Gdyby pani mogła. Te moje przekłete oczy. Nic nie widzę. – Camille podciągnęła opadającą halkę, podwinęła koniec zerwanego ramiączka i zapięła je.

– Będzie się jako tako trzymać i przynajmniej nic nie wylezie u dołu. Ale to jest tylko na agrafkę. Zawsze miała pani krótki wzrok?

– Nie – powiedziała Mildred. – Miałam dobre oczy, aż do czasu gdy... do czasu kiedy skończyłam czternaście lat. Pewien doktor twierdził, że to ma coś wspólnego z pokwitaniem. Podobno niektóre kobiety odzyskują dobry wzrok po pierwszym dziecku.

– To musi być przykre – powiedziała Camille.

– Diabelnie nieznośne – rzekła Mildred. – Bo wszystko jedno, jakie robią te nowe oprawki okularów, zawsze się w nich źle wygląda.

– Czy pani słyszała o takich soczewkach, co się nosi wprost na oczach?

– Myślałam i o tym, ale przeraża mnie, że trzeba mieć coś, co bezpośrednio dotyka oczu.

Norma ciągle patrzyła ze zdumieniem w lustro. Jej oczy stały się większe, usta pełne i miękkie. W niczym już nie przypominała zmokłego szczura.

– Czy to nie nadzwyczajne? – powiedziała, nie zwracając się specjalnie do nikogo. – Czy to nie jest zupełnie nadzwyczajne?

– Będzie z niej ładne dziecko, jak się nauczy paru sposobów i nabierze pewności siebie. Zajmiemy się włosami, jak będziemy na miejscu.

– To znaczy, że już się namyśliłaś? – wykrzyknęła Norma. – Czy to znaczy, że będziemy razem mieszkać? – Zawirowała w miejscu, zwróciła się twarzą do Mildred. – Będziemy miały mieszkanie – mówiła, tracąc oddech. – A w mieszkaniu kanapę i w niedzielę rano będziemy myć i układać włosy.

– Zobaczymy – przerwała Camille. – Zobaczymy, jak pójdą sprawy. Obie jesteśmy na razie bez pracy, a ona już wynajęła cały domek jednorodzinny. Weź na wstrzymanie, kochana.

– Zabawna jest ta nasza wycieczka – powiedziała Mildred. – Jedziemy do Meksyku. Wszystko idzie źle od samego początku. Mój ojciec pragnął zobaczyć te strony. Chciałby, żebyśmy tu kiedyś zamieszkali. Więc dlatego jedziemy do Los Angeles autobusem. Ojcu się zdawało, że z autobusu będzie mógł wszystko lepiej zobaczyć.

– Bo i tak jest – rzekła Camille.

– Może nawet zbyt dużo zobaczyć – powiedziała Mildred. – Czy pani kiedyś spotkała taką kolekcję typów jak niektórzy, co z nami jadą?

– Wszyscy są mniej więcej tacy sami – rzekła Camille.

– Lubię pana Chicoya – ciągnęła dalej Mildred. – Pani wie, on jest pół-Meksykaninem. Ale ten chłopak! Ma się wrażenie, że gdyby mógł, toby cały na człowieka wlaź!

– O, on jest w porządku – powiedziała Camille. – Tylko trochę jak kogut. Jak większość takich szczeniaków. Przejdzie mu to.

– Albo i nie – rzekła Mildred. – Czy pani się dobrze przyjrzała temu starszemu jegomościowi, Van Bruntowi? Jemu to nie przeszło. Wciąż w nim siedzi. Obmierzły człowiek z brudną wyobraźnią.

Camille uśmiechnęła się.

– Jest już stary – powiedziała.

Mildred weszła za przegródkę i siadła.

– Chciałam panią o coś zapytać – rzekła. – Mojemu ojcu się wydaje, że pani już gdzieś widział. On ma niezłą pamięć. Czy pani go kiedy spotkała?

Mildred ujrzała wrogi błysk w oczach Camille i jej zaciśnięte usta. Zdała sobie sprawę, że dotknęła czegoś bolesnego. W sekundę twarz Camille była znowu spokojna.

– Może wyglądam jak ktoś inny – powiedziała. – Tym razem pani ojciec myli się na pewno, chyba że widział mnie gdzieś na ulicy.

– Czy aby na pewno? – zapytała Mildred. – O nie, ja nie staram się pani podejść. Tylko sama się zastanawiam.

Nastrój przyjaźni, koleżeństwa i swobody pierzchnął z damskiej toalety. Stało się tak, jakby wtargnął tu brutalny mężczyzna. Camille spojrzała ostro na Mildred.

– Pani ojciec się pomylił – powiedziała zimno. – Może pani rozumieć to, jak pani chce.

Drzwi otworzyły się i weszła pani Pritchard.

– O, tu jesteś? – zwróciła się do Mildred. – Myślałam już, żeś sobie gdzieś poszła.

– Zerwało mi się ramiączko od halki.

– Spiesz się. Pan Chicoy już wrócił i teraz tam się wszyscy kłóca... Dziękuję, moja droga – powiedziała do Normy, która odsunęła się od umywalki, żeby zrobić jej miejsce. – Tylko zwilżę chusteczkę i zetrę trochę kurzu... Dlaczego nie piłaś lemoniady? – mówiła znów do Mildred. – Ta miła kobieta jest taka uprzejma, specjalnie ją zrobiła. Powiedziałam jej, że stałaby się sławna, gdyby nie dawała tu nic więcej, tylko czyste soki z owoców.

– Chciałabym dostać coś do zjedzenia. Zaczynam być głodna. Zjadłabym coś dobrego – odezwała się Camille.

– Tak samo i ja – powiedziała pani Pritchard.

– Zjadłabym kraba na majonezie na zimno i do tego butelkę piwa – ciągnęła Camille.

– Nigdy nie jadłam kraba w ten sposób – rzekła pani Pritchard. – Ale żeby pani spróbowała rybę usmażoną przez moją matkę! Używała do tego staromodnej żelaznej patelni. Ryba musi być bardzo świeża i bardzo dobrze oprawiona. Najpierw rzuca się na patelnię masło i okruszyny chleba (koniecznie chleba, a nie bułki), potem pełną stołową łyżkę... nie, dwie łyżki sosu worcestershire na rozbite jajko. Tak, w tym cały sekret, że dwie...

– Mamo – przerwała jej Mildred – nie zaczynaj nam tu dawać przepisów na smażoną rybę.

– To napijcie się lemoniady – rzekła pani Pritchard. – Dobrze robi na cerę, czyści skórę. Od długiej podróży skóra się łuszczy.

– Chciałabym, żebyśmy już jechali – powiedziała Mildred. – Zjemy lunch w najbliższym mieście. Jak się ono nazywa?

– San Juan de la Cruz – powiedziała Norma.

– San Juan de la Cruz – powtórzyła cicho pani Pritchard. – Hiszpańskie nazwy są takie ładne.

Zanim wyszły, Norma zdążyła jeszcze raz spojrzeć w lustro. Opuściła lekko powieki. Trzeba się będzie przyzwyczaić i pamiętać trzymać je tak lekko opuszczone. Wyglądała teraz zupełnie inaczej, podobała się sobie.

ROZDZIAŁ 13

Juan siedział na stołku i popijał pepsa z butelki. Od czasu do czasu pocierał błyszczącą blizną uciętego palca prążki swych welwetowych spodni. Wracając z podwórza, kobiety weszły do sklepu. Juan popatrzył na nie i zaczął teraz bębnić palcem o spodnie.

– Wszyscy już są? – zapytał. – Nie, kogoś brak. Gdzie jest pan Van Brunt?

– Tutaj jestem. – Stał za kontuarem, gdzie były artykuły spożywcze, zasłonięty piramidą puszek z kawą, i bezmyślnie przyglądał się towarom na półkach.

– Chciałbym wiedzieć – odezwał się pan Pritchard – kiedy ruszamy. Muszę złapać połączenie.

– Wiem – rzekł spokojnie Juan. – Właśnie chcę o tym mówić. Most nie jest bezpieczny. Pewnie mógłbym przejechać. Ale pozostaje jeszcze drugi most – może już jest zerwany, albo będzie. Nie mogliśmy się nic dowiedzieć. A jak raz będziemy po tamtej stronie rzeki, w środku jej zakrętu, i jak oba mosty będą zerwane, znajdziemy się w pułapce i nikt już żadnych połączeń komunikacyjnych nie złapie. Więc chcę, żebyście głosowali, i zrobię, co większość pasażerów zechce. Przejadę przez most na los szczęścia albo zabiorę was z powrotem i potem każdy sam sobie będzie radził. Lecz jak raz coś postanowicie, to już się tego trzymajcie.

Uniósł butelkę, łyknął trochę pepsa.

– Ja nie mam czasu – powiedział głośno pan Pritchard. – Niech pan słucha, człowieku. Od początku wojny nie brałem urlopu. Cały mój czas poświęciłem na produkcję sprzętu wojennego, przyczyniając się do

zwycięstwa. To są moje pierwsze wakacje od lat. Ja po prostu nie mam czasu na to, żeby się beztrudno błąkać po całym kraju. Muszę odpocząć. Mam tylko parę tygodni urlopu, to wszystko pochłania mój wolny czas.

– Bardzo mi przykro – rzekł Juan. – Przecież nie robię tego umyślnie, a jeśli pan razem z nami utknie w zakręcie rzeki, straci pan znacznie więcej czasu. A ja mogę stracić autobus. Most ledwo wytrzymuje napór wody i może się lada chwila załamać. Jedyna inna możliwość – to wracać.

Van Brunt wyszedł spoza góry puszek. Trzymał w ręku dwuipółfuntową puszkę brzoskwiń w plasterkach. Przeszedł przez sklep i zbliżył się do pani Breed.

– Ile za to? – zapytał.

– Czterdzieści siedem centów.

– Boże! Za puszkę brzoskwiń?

– Nic na tym nie zarabiamy – powiedziała. – Sami musimy teraz więcej płacić.

Van Brunt rzucił na ladę z rozmachem pół dolara.

– Proszę ją otworzyć – powiedział. – Czterdzieści siedem centów za marną małą puszkę brzoskwiń!

Pani Breed przytknęła puszkę do przybitej do ściany maszynki i obróciła ją. Denko puszek odchyliło się. Podała puszkę Van Bruntowi. Wypił część soku, włożył do środka palec i wyciągnął żółty plasterk brzoskwini. Trzymał go nad puszką, żeby sok ściekł do środka.

– Słuchałem, co pan tu opowiadał, panie Chicoy – zaczął mówić. – Panu się wydaje, że pan może marnować nasz czas. Ja muszę dziś po południu stawić się w sądzie. Pańską rzeczą jest dowieźć mnie tam. Pan podlega Komisji Komunikacji Drogowej, pan wypełnia obowiązek publiczny.

– Staram się to robić – rzekł Juan. – Jeden z przepisów Komisji Drogowej powiada, że nie należy zabijać pasażerów.

– Tak to się właśnie dzieje, jak ktoś nie zna kraju, w którym pracuje – mówił Van Brunt. – Powinno być ściśle przestrzegane prawo, że ten, kto

proceedzi autobus, musi dobrze znać kraj. – Zakołysał w powietrzu plasterkiem brzoskwini, wpakował go do ust, kciukiem i palcem wskazującym sięgnął do puszeki po następny. Był z siebie zadowolony. – Uważa pan, że są tylko dwie rzeczy do wyboru. A naprawdę są trzy. Bo pan nic nie wie o istnieniu starej drogi, która była tu zawsze, zanim zbudowano te przekłete, te idiotyczne mosty. Droga ta idzie po zewnętrznej stronie zakrętu rzeki. W dawnych czasach jeździły nią dylizanse.

Juan spojrział pytająco na Breeda.

– Znam ją – rzekł. – Ale nie wiem, w jakim jest stanie.

– Dylizanse używały jej przez ponad sto lat – rzekł Van Brunt.

– Pierwszych parę mil jest, zdaje się, w porządku – powiedział Breed – ale nie wiem jak dalej. Droga potem wznosi się i idzie pod górę, na wschód. Możliwe, że woda już ją gdzieś zmyła. Ostatni raz byłem tam przed porą deszczową.

– Tylko to mamy do wyboru – rzekł Van Brunt. Znowu machnął w powietrzu plasterkiem brzoskwini, wsadził go do ust i perorował dalej, przełykając: – Mówiłem panu, że będzie padać, mówiłem panu, że rzeka przybierze, a teraz, kiedy jest pan unieruchomiony, mówię panu, jak się stąd wy dostać. Czy mam też, do jasnej cholery, prowadzić za pana pański przekłety rozpieprzony autobus?

– Zamknij się pan! – krzyknął Juan. – Tu są kobiety!

Van Brunt zakołysał puszką, wypił resztę soku i wyciągał zębami pozostałe plasterki brzoskwiń. Gęsty sok ciekł mu po szyi, wytarł ją rękawem.

– Boże, co za podróż! – powiedział.

Juan odwrócił się do reszty pasażerów.

– Więc to wygląda tak: według przepisów mam prawo jeździć tylko po głównych drogach. Nie znam tej starej drogi. Nie wiem, czy będę mógł tamtędy przejechać, czy nie. Decydujcie sami, jak ma być. Jeśli gdzieś utkniemy, nie chcę, żeby to była moja wina.

– Wszystko, co się robi, należy doprowadzać do końca – rzekł pan Pritchard. – Człowieku! Ja muszę się dostać do Los Angeles. Mam bilety na samolot do Mexico City. Czy pan wie, ile one kosztują? A wszystkie miejsca w samolocie są wykupione na długo przedtem. Musimy się tam dostać. Trzeba coś zrobić. Pan myśli, że ten most nie jest bezpieczny, co?

– Wiem na pewno, że nie jest bezpieczny – rzekł Juan.

– Dobrze – ciągnął dalej pan Pritchard. – I powiada pan, że pan nie wie, czy uda się panu przejechać tą starą drogą?

– Tak, nie wiem – rzekł Juan.

– Znaczy się, że są dwie ryzykowne drogi i jedna bezpieczna, ale ta bezpieczna nie prowadzi do celu. Hmm... – rzekł pan Pritchard.

– Nad czym się zastanawiasz, mój drogi? – odezwała się pani Pritchard. – Trzeba coś zrobić. Od trzech dni nie miałam porządnej kąpeli. Koniecznie trzeba coś poradzić.

– Spróbujmy chyba tą starą drogą – odezwała się Mildred. – To może być bardzo ciekawe – zerknęła na Juana, żeby zobaczyć, jak przyjmie tego rodzaju podejście, ale on już na nią nie patrzył, przesunął wzrok na Camille.

Coś, co pozostało w Camille po niedawnym zetknięciu z Mildred, sprawiło, że powiedziała:

– Głosuję za starą drogą. Jestem już tak zmęczona i brudna, że właściwie wszystko mi jedno.

Juan dalej spoglądał kolejno na pasażerów. Nagle wyteżył wzrok. Zobaczył twarz Normy. Wyglądała jak jakaś inna dziewczyna. Norma wiedziała, że Juan zauważył zmianę.

– Ja jestem za tą starą drogą – powiedziała, tracąc oddech.

Ernest Horton znalazł sobie krzesło, którego pani Breed zwykle używała, kiedy pod wieczór puchły jej nogi. Obserwował przebieg głosowania.

– Mnie tam właściwie wszystko jedno – powiedział. – Oczywiście chciałbym się dostać do Los Angeles, ale nie robi mi to specjalnej różnicy którądy. Zgodzę się z innymi, cokolwiek ustalą.

Van Brunt z głośnym stuknięciem postawił puszkę na kontuarze.

– Będzie padał deszcz – powiedział. – Ta boczna droga może być śliska. Nie będzie można wjechać na wzgórze po wschodniej stronie. Droga tam idzie stromo i jest bardzo błotnista. Jak raz ugrzęźniemy, nie wiem, jak się będzie można wydostać.

– Ale pan przecież sam proponował, żeby tamtędy jechać – powiedziała Mildred.

– Ja tylko chcę przedstawić wszystkie istniejące trudności – rzekł Van Brunt. – Wszystkie po kolei.

– Za czym pan głosuje? – zapytał Juan.

– O, ja w ogóle nie będę głosował. Niczego tak głupiego w życiu nie słyszałem. Wydaje mi się, że decyzja należy do kierowcy, jak na statku do kapitana.

Pryszcz podszedł do rozłożonych na kontuarze słodyczy. Wybrał dwa lizaki, jeden wsadził do bocznej kieszeni, żeby poczęstować Camille, jak tylko spotka ją samą, drugi wolno odwijał z papierka. Szalona, ekscytująca myśl strzeliła mu do głowy. Gdyby tak jechali przez most – i właśnie gdy będą na środku, przeszło się załamało i autobus wpadł do rzeki? Pryszcz szczęśliwie i cało wpadłby do wody, ale blondynka zostałaby uwięziona w autobusie. I oto on nurkuje, iomalże się nie topi, lecz w ostatniej chwili wybija okno, wyciąga przez nie Camille z autobusu, płynie z nią do brzegu, składa nieprzytomną na trawie i rozciera jej nogi, żeby przywrócić obieg krwi. Albo jeszcze lepiej – obraca ją twarzą do ziemi i kładzie ręce tuż pod jej piersi, żeby zastosować sztuczne oddychanie.

A gdyby pojechali starą drogą i autobus gdzieś ugrzązł? Spędziliby razem całą noc i może rozpalono by ogień, i siedzieliby przy nim w świetle płomieni, i może by nawet otulał ich jeden koc.

– Myślę, że lepiej by było spróbować tą starą drogą – rzekł Pryszcz.

Juan spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Masz w sobie prawdziwą krew Kita Carsona, no nie, Kit?

Pryszcz wiedział, że Juan żartuje sobie z niego – ale niezłośliwie.

– Chyba już wszyscy się wypowiedzieli prócz jednego, ale ten jeden nie chce głosować – rzekł Juan i zwrócił się do Van Brunta: – O co panu właściwie idzie? Chce pan sobie zostawić wolną rękę, żeby mnie w razie czego móc skarżyć do sądu?

– Czyście wszyscy powariowali? – powiedział gwałtownie Van Brunt do innych pasażerów. – Zdajecie sobie sprawę z tego, co on robi? On się uchyla od odpowiedzialności! Jak się coś stanie, nie on będzie odpowiedzialny, bo powie, że robił to, coście mu kazali! Nie, ja nie dam się na to wziąć!

Pan Pritchard przeczyścił okulary białą płócienną chusteczką.

– To prawda – powiedział. – Nie patrzyłem na to od tej strony. W istocie, zrzekamy się naszych uprawnień.

Oczy Juana zabłyśły gniewem. Zacisnął usta.

– Wsiadajcie do autobusu – powiedział. – Wiozę was do San Ysidro i tam wyrzucam. Staram się dowieźć was na miejsce, a wy tak to bierzecie, jakbym wszystkich was chciał zamordować. Dosyć mam tego. Od wczoraj wieczór robię, co mogę, cały dom przewracam do góry nogami, żeby wam tylko było wygodnie, i już mam dosyć. Wsiadać, jedziemy z powrotem.

Pan Pritchard podszedł do niego.

– Ja nie chciałem pana urazić – powiedział. – Jestem panu wdzięczny za to, co pan dla nas zrobił. Wszyscy jesteśmy wdzięczni. Staram się jedynie jasno naświetlić wszystkie aspekty tej sytuacji. Tak samo postępuję w interesach. Niechże pan nie robi niczego, czego by pan dokładnie nie rozważył.

– Mam tego dosyć – powtórzył Juan. – Oddałem wam wczoraj nasze łóżka. Chcę was się wreszcie pozbyć.

– Niech pan pamięta, że to pański autobus się zepsuł. To nie była nasza wina – powiedział Van Brunt.

– A przede wszystkim pana chcę się pozbyć – rzekł Juan.

– Niech pan lepiej uważa – powiedział Van Brunt. – Niech pan nie zapomina, że pańskim obowiązkiem jest utrzymywanie publicznej komunikacji na tym odcinku. Dostał pan na to koncesję. Po tym, co się stało, nietrudno będzie pana pozbawić tej koncesji.

Wyraz twarzy Juana nagle się zmienił. Wybuchnął śmiechem.

– Chłopie, toż to by była ulga! Nie zawracałbym sobie głowy takimi jak pan! I wiem już, w co i komu bym tę koncesję wsadził zwiniętą w tubkę i związaną drutem kolczastym!

Camille zaśmiała się głośno, Ernest Horton chichotał z zachwytu.

– Muszę zapamiętać to powiedzenie, o, tak, koniecznie muszę – mówił Ernest. – Słuchaj pan, panie Chicoy. Zaryzykujemy. Niech pan najlepiej narysuje linię na podłodze i ci, co chcą wracać, niech staną po drugiej stronie. To będzie jasne i sprawiedliwe rozwiązanie.

– Ja chcę jechać dalej, panie Chicoy – odezwała się Mildred.

– OK – rzekł Juan. – Widzicie to pęknięcie w podłodze? Ci, co nie chcą jechać dalej boczną drogą, niech przejdą za to pęknięcie i niech staną przy kontuarze z jarzynami.

Nikt się nie ruszył. Juan popatrzył uważnie po wszystkich twarzach.

– To nie jest zgodne z prawem – rzekł Van Brunt. – Tego nie uzna żaden sąd.

– Czego nie uzna?

– Tego, co pan robi.

– Tu nie ma żadnego sądu.

– Ale może być.

– Pan i tak nie jedzie, nawet żeby pan chciał – powiedział Juan.

– Niech pan tylko spróbuje mnie nie zabrać. Mam bilet i mam prawo zająć miejsce w autobusie. Niech pan tylko spróbuje mnie wyrzucić, to pan mnie popamięta!

Juan przygarbił ramiona.

– Żeby pan mnie nie popamiętał – powiedział. – OK, ruszamy. – Zwrócił się do Breeda. – Czy mógłbyś mi pożyczyć trochę narzędzi? Oddam, wracając.

– Jakie?

– Kilof i łopatę.

– Naturalnie! Boisz się, że ugrzęzniesz?

– Aha. I czy masz liny i bloki?

– Nie najlepiej z tym. Bloki w porządku, ale lina nie bardzo. Stara półcalówka. Nie wiem, ile wytrzyma. To jest dosyć ciężki autobus.

– Zawsze to lepsze niż nic – rzekł Juan. – Nie masz na składzie jakiej nowej liny do sprzedania?

– Od początku wojny nie dostałem ani kawałka konopnej liny – rzekł Breed. – Ale proszę cię bardzo, bierz, co chcesz. Chodź ze mną. Weź wszystko, co ci się może przydać.

– Chodź ze mną, Kit, pomożesz mi, dobrze? – rzekł Juan. Wszyscy trzej poszli do składu za sklepem.

– Dobrze, że się tak stało – odezwał się Ernest do Camille. – Za nic bym nie chciał tego stracić.

– Żebym tylko nie była taka zmęczona – odparła. – Od pięciu dni jeżdżę autobusami. Chcę wreszcie zrzucić z siebie ubranie i spać choć przez parę dni.

– Czemu pani nie wzięła pociągu? Chicago, pani mówiła?

– Tak, Chicago.

– Mogła pani wziąć Super Chief i spać całą drogę do Los Angeles. To dobry pociąg.

– Oszczędzam – powiedziała Camille. – Mam trochę odłożonych miedziaków i chcę z tym przeczekać, nim zacznę pracować. A w ogóle wolę spać w podwójnym łóżku niż w koi.

– Trafie, kto pani jest?

– Nie – rzekła Camille.

– Jeden zero dla pani.

– Panie drogi, nie bawmy się w to – rzekła Camille. – Jestem diabelnie zmęczona, za bardzo, żeby grać w zgadywanki.

– Dobrze, siostrze, dobrze. Będę grał, w co pani chce.

– Więc przesiedźmy ten taniec. Szkodzi to panu?

– Wie pani? Lubię panią – rzekł Ernest. – Chciałbym panią kiedyś gdzieś zabrać, jak pani odpocznie.

– Zobaczymy, jak będzie – powiedziała Camille. Też go lubiła. Wiedział, co kiedy powiedzieć, i to była ulga.

Norma obserwowała ich. Była pełna podziwu dla Camille. Chciałaby umieć robić to tak jak ona. Nagle zorientowała się, że ma szeroko otwarte oczy – jak królik – i szybko opuściła powieki.

– Mam nadzieję, że nie rozboli mnie głowa – powiedziała pani Pritchard.

– Elliott, czy tu mają aspirynę?

Pani Breed oddała małą celofanową torebkę z proszkami od dużego kartonu reklamowego.

– Chce pani jedną? Kosztuje piątkę.

– Weźmy lepiej pół tuzina – rzekł pan Pritchard.

– To będzie dwadzieścia sześć centów wraz z podatkiem.

– Elliott, nie trzeba tak dużo. Mam w walizce słoik, pięćset sztuk.

– Lepiej być na wszystko przygotowanym – rzekł pan Pritchard. Znał dobrze te jej migreny – były straszliwe. Paraliżowały i wykrzywiały jej twarz, stawała się jednym dygocącym, spoconym, szczerzącym zęby i dyszącym ciężko kłębką bólu. Jej migreny wypełniały cały pokój, cały dom. Przenikały każdego, kto się przy niej znalazł. Pan Pritchard czuł je przez ściany pokoju, czuł je w sobie. Doktorzy mówili, że nic na to nie można poradzić. Dawali jej zastrzyki z wapnia i środki uśmierzające. Przychodziły zwykle, gdy się czymś zdenerwowała, gdy nie wszystko szło jak należy.

Jej mąż chciałby jej jakoś pomóc, uchronić ją przed tym. Mogłoby się komuś wydawać, że kierując się egoizmem, udawała ból – ale tak nie było. Nie można udać takiego cierpienia. Pan Pritchard bał się, drżał przed każdym zbliżającym się atakiem. Czasem jej migreny bywały tak straszliwe, że cały dom nabrzmiewał i wibrował grozą. A były czymś niby wyrzut sumienia dla pana Pritcharda. Bo miał niejasne wrażenie, że w jakiś sposób on sam był ich przyczyną, choć pani Pritchard nigdy nie powiedziała niczego, co by na to wskazywało. Znosiła je dzielnie. Zasłaniała usta poduszką, żeby stłumić jęk i płacz.

Pan Pritchard w małżeńskim pożyciu sprawiał jej niewiele kłopotu – bardzo rzadko ją molestował. Ale sam w jakiś sposób łączył te swoje nieczęste porywy żądz, których nie umiał opanować, z jej migrenami. Sam nawet nie wiedział jak i kiedy – ale uwierzył w to głęboko, że taka właśnie była przyczyna jej cierpień. Sumienie nie dawało mu spokoju. To jego nieopanowana żądza, jego zezwierżenie powodowało te bóle. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. I czasem dochodził do wniosku, że właściwie głęboko nienawidzi swojej żony, bo nie zaznawał z nią szczęścia. Kiedy bolała ją głowa, zostawał w biurze po skończonej pracy, czasem siedział przy biurku długie godziny, wlepiając wzrok w brązową boazerię na ścianach, i całe jego ciało pulsowało tamtym cierpieniem.

Kiedyś, podczas jednego z najgorszych ataków, chciała go oszczędzić.

– Idź do kina – jęczała. – Idź do Charliego Johnsona. Napij się whisky. Upij się. Nie zostawaj tutaj. Idź do kina.

Ale to nie było możliwe. Nie umiał ruszyć się od niej na krok.

Wsadził sześć przezroczystych torebek do kieszeni płaszcza.

– Może byś wzięła teraz dwie na wszelki wypadek? – zapytał.

– Nie – odparła. – Chyba będzie wszystko w porządku. – Uśmiechnęła się swym dzielnym, słodkim uśmiechem.

Jak tylko Mildred usłyszała pierwszą wzmiankę o aspirynie, podeszła do wiszącego na ścianie oficjalnego cennika i zaczęła go pilnie studiować.

Zacisnęła usta aż do bólu, w gardle poczuła skurcz.

– Jezu Chryste – westchnęła. – Chryste Panie, ona zaraz zacznie. – Mildred niezupełnie wierzyła w te bóle głowy. Jej nigdy nie bolała głowa, chyba że trochę w czasie okresu. Kilka razy miała też migrenę na kacu, po przepiciu, kiedy jeszcze była w szkole. Uważała, że migreny matki mają podłoże psychiczne. Ale bała ich się jeszcze bardziej niż ojciec. Kiedy była małą dziewczynką, uciekała przed nimi do piwnicy albo kryła się za szafą w odległym pokoju, gdzie stały maszyny do szycia. Wyciągano ją stamtąd i wleczono do matki, bo gdy mamę boli głowa – trzeba ją kochać i pieścić. Dla Mildred te migreny były prawdziwym przekleństwem. Nienawidziła ich. Nienawidziła matki, kiedy je miała.

Przez jakiś czas myślała, że matka udaje – teraz wiedziała już, że to był prawdziwy ból. Niemniej jednak uważała, że te migreny są bronią w jej ręku, bronią, której używa brutalnie i przebiegle. Tak, prawda – matka czuła ból, ale jej migreny panowały w całym domu, trzęsły nim, były karą dla całej rodziny. Wszyscy stawali się czujni, napięci do kresu wytrzymałości. I nigdy w domu nie robiono niczego, co mogłoby się matce nie spodobać, bo to wywołałoby jej migrenę. Gdy matka była w domu, Mildred nigdy nie odważyła się wrócić później niż o pierwszej w nocy, powodował to niemal podświadomy lęk, że gdyby wróciła później, matka na pewno dostałaby bólu głowy.

W okresach, kiedy pani Pritchard nie cierpiała na swoje migreny, zapominano, jakie są straszne i niszczące. Mildred uważała, że dobry psychiatra pomógłby matce. Ale pani Pritchard nie robiła niczego w tym kierunku. W ogóle nie chciała robić niczego, co by mogło jej pomóc. Pan Pritchard zaś od razu uciął kwestię psychiatry. Oświadczył, że nie wierzy w psychiatrów, i już. A naprawdę tak bardzo w nich wierzył, że się ich bał. Pan Pritchard stał się z czasem człowiekiem zależnym od migren swojej żony. Były w pewien sposób moralnie usprawiedliwione. Były jego karą, były spowodowane jego grzechem, były pokutą za jego grzechy. Panu

Pritchardowi potrzebne były grzechy na własny użytek. W biznesie grzechów się nie popełnia – wszelkie okrucieństwa, jakich się dopuszczano, kwalifikowano jako konieczność i obowiązek wobec akcjonariuszy. Więc panu Pritchardowi potrzebne były w życiu jego własne prywatne grzechy i własna prywatna za nie pokuta. Dlatego tak stanowczo odrzucał myśl o psychiatrze.

Mildred zmusiła się, żeby odwrócić głowę od cennika.

– Czujesz się dobrze, mamo?

– Tak – odpowiedziała dzielnie pani Pritchard.

– Żadnych bólów głowy?

Pani Pritchard zaczęła się usprawiedliwiać:

– Poczułam tylko nagłe rwanie, i to mnie trochę przestraszyło. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym nagle dostała tych okropnych bólów i zepsuła papie jego wycieczkę.

Mildred przeszedł dreszcz przerażenia, strach przed tą kobietą, która była jej matką – strach przed jej potęgą i bezwzględnością. Na pewno robiła to podświadomie. Mildred przecież widziała i słyszała wszystko, była przytomna i obecna podczas całego mozolnego przygotowywania wycieczki do Meksyku. Ojciec nie chciał jechać. Najbardziej by wolał zostać w czasie wakacji w domu i nie chodzić do biura – w praktyce chodziłby tam każdego dnia, ale nieregularnie, o różnych porach, i wracałby nie o zwykłej godzinie, ale kiedy by mu przyszła ochota. Miałby potem wrażenie, że doskonale wypoczął.

Lecz pomysł wycieczki do Meksyku został jakoś zaszczepiony. Kiedy i jak? Mildred nie wiedziała i jej ojciec też nie wiedział. Ale stopniowo pan Pritchard doszedł do przekonania, że to nie tylko był jego własny pomysł, ale że to on narzucił go całej rodzinie. Dawało mu to poczucie, że jest panem we własnym domu. Ślepo przechodził przez szereg zamykających się za nim kolejno drzwi labiryntu. Jest taka pułapka dla kur. Kura znajduje otwór, zagląda, widzi trochę ziarna, przechodzi przez drzwiczki, drzwiczki

się za nią zamykają. Znajduje gniazdo. Jest tak spokojnie i ciemno. Dlaczego by nie złożyć tu jajka?

Jej ojciec niemal zapomniał, że nie chciał początkowo jechać do Meksyku. Oboje państwo Pritchard robili to więc dla Mildred. Tak było naprawdę najbezpieczniej. Studiowała na uniwersytecie język hiszpański, którego nie mogła się nauczyć – tak samo zresztą jak i jej wykładowcy. W Meksyku nabrałaby wprawy. Matka twierdziła, że najlepiej człowiek uczy się jakiegoś języka, kiedy musi się nim posługiwać.

Patrząc na pełną słodyczy, spokojną twarz matki, Mildred nie mogła wprost uwierzyć, że ta kobieta była zdolna zniweczyć wszystko, do czego z takim staraniem doprowadziła. Czemu to czyniła? Ale ona mogła to zrobić. Już zaszczepiła w nich lęk. Będzie miała ból głowy – to pewne. Jak to, że istnieje piekło. Wyczeka, aż będą odcięci od wszelkiej lekarskiej pomocy, aż jej ból będzie mógł wyrzucić na wszystkich możliwie największe wrażenie. Trudno było w to uwierzyć. Mildred nie sądziła, żeby jej matka dobrze zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Poczwała przykry, kładący się jej na piersi ciężar, czuła go już w żołądku. Nadciągała migrena. Nieuchronnie – wiedziała to.

Zazdrościła Camille. Była wolna i swobodna jak tramp. Dla trampa wszystko było proste. Nie istniało sumienie ani żal, gdy się coś traci – nic, tylko wspaniałe leniwe odprężenie przeciągającego się kota, troska tylko o samego siebie. Camille mogła sobie pójść do łóżka, z kim jej się podobało, i nigdy go potem nie spotkać. I obce jej było uczucie, że coś przez to traci w życiu, że nie ma się o co oprzeć. Tak to, według Mildred, było z Camille. Chciałaby też tak móc, ale wiedziała, że to niemożliwe. Z winy matki. I nagła nieproszona myśl – gdyby matka umarła, jej życie stałoby się o tyle, tyle prostsze! Znalazłaby gdzieś swoje własne ukryte miejsce na świecie, tam by żyła. Odsunęła tę myśl niemal z gniewem.

Nie powinno się myśleć o takich strasznych rzeczach – powiedziała do siebie uroczyście. Ale to było marzenie, które często wracało.

Wyjrzała przez okno. Prysacz pomagał ładować do autobusu liny i bloki, konopna lina była natłuszczona – tłuste plamy widniały na jego czekoladowych spodniach. Starał się wytrzeć je chustką. Biedny dzieciak – pomyślała. – To pewnie jego jedyne ubranie. Już chciała pójść i powiedzieć mu, żeby tego nie robił, gdy zobaczyła, że podszedł do pompy z benzyną, nalał trochę benzyny na chustkę i zaczął fachowo czyścić tłuste plamy.

A Juan wołał już:

– Spieszcie się tam! Wsiadać!

ROZDZIAŁ 14

Nikt już nie pamiętał, kiedy powstała ta boczna droga idąca wzdłuż łuku rzeki San Ysidro, mówiono jedynie, że jest bardzo, bardzo stara. Prawdą było, że używały jej niegdyś dyliżanse i konni jeźdźcy. W porze suszy pędzono tą drogą bydło do rzeki – krowy mogły leżeć tam spokojnie wśród wiklin, pijąc wodę z dziur wygrzebanych w wyschłym łożysku. Stara droga była po prostu skrawkiem tej ziemi, wstęgą nigdy nieuprawianego gruntu, znaczoną koleinami kół, ubitą uderzeniami końskich kopyt. Latem, gdy ciężki kryty wóz jechał tą drogą, wzbijał się z niej gęsty tuman kurzu, zimą ciastowate błoto przyskało koniom spod nóg. Z czasem droga tak się wżłobiła w teren, że szła niżej niż otaczające ją pola, zimą przypominając jakieś niezwykle długie i wąskie jezioro stojącej wody, miejscami bardzo głębokie. Później przyszli ludzie z pługami i wyorali rowy po każdej jej stronie, sypiąc na nią ziemię. Zaczęto uprawiać leżące przy drodze pola, bydło stawało się coraz cenniejsze i ci, do których należały przydrożne grunty, wznosili płoty, by trzymać za nimi własne stada, a stada należące do innych – z dala od własnych.

Klecono te płoty z rozłupanych pni drzewa wkopanych w ziemię, słupy takie łączono deskami, jeden na sześć cala, przybitymi w połowie wysokości. Od słupa do słupa przeciągano staromodny drut kolczasty skręcany z różnorakiego drutu, najeżony wyostrzonymi szpikulcami. Płoty niszczały od słońca i deszczu, deski i słupy stawały się jasnoszare i szarzielone, deski grzybiały, słupy porastały mchem od zacienionej strony.

Wędrowni kaznodzieje, ludzie pałający bożym posłannictwem, przechodzili tędy, malując niezdarnie na łatach płotów swe wezwania: *Ukorz się – Królestwo Niebieskie nadchodzi!*, *Grzeszniku, pojednaj się z Bogiem!*, *Nigdy nie jest zbyt późno!*, *Zbliź się do Chrystusa, oddaj Mu swą duszę*. Potem przyszli inni i malowali inne napisy na płotach, przykładając do nich szablon: *Pigułki Jaysa*, *Cyrus Noble*, *Doctors' Whisky*, *Skład Rowerów w San Ysidro*. Wszystkie te napisy są teraz spelzłe i zatarte od słońca i deszczu.

Już coraz mniej pól przeznaczano na wypas bydła, a więcej pod uprawę żyta, owsa i jęczmienia; farmerzy oczyszczali grunty, pielili chwasty – polną rzepę, dziko rosnącą gorczycę, maki, osty, mlecze – i wszyscy ci roślinni wygnańcy z pól schronili się do rowów przydrożnych, gdzie żyło się im jak w niebie. Późną wiosną gorczyca wyrastała tam do wysokości siedmiu stóp, także czerwonoskrzydłe kosy mogły więc gniazdka wśród jej żółtych kwiatów.

Głębokie rowy biegnące wzdłuż drogi zarosły bujnie i stały się schronieniem łasic i jaskrawo znaczonych węży wodnych. Wieczorem ptaki zlatywały się, by w porośłym rzeżuchą podmokłym dnie rowów zaspokoić pragnienie. Strunelle przylatywały z łąk i całymi wiosennymi rankami przesiadywały na płotach, pogwizdując swą jodłującą piosenkę. Z zapadnięciem zmroku pojawiały się dzikie gołębie, siadając ramię przy ramieniu całymi milami na kolczastych drutach i całymi milami ciągnęło się ich przytłumione nawoływanie. Wieczorem lelki kozodoje kursowały nad rowami w pogoni za żerem, a gdy zapadła ciemność, przylatywały ze stodół sowy dybiące na króliki. Gdy zachorowała gdzieś krowa, wielkie wstrętne sępy siadały na płotach, czekając na śmierć.

Teraz droga była prawie całkiem opuszczona. Używali jej tylko ludzie z kilku farm, do których nie można się było inaczej dostać. Kiedyś było tu wiele małych zagród. Człowiek żył przy swojej ziemi, to, co uprawiał, rosło pod jego oknami. Dziś ciągnęły się od drogi ziemie niczyje; tylko małe,

stare i opuszczone chaty i stodoły tkwiły samotnie wśród pól – odrapane i bez szyb.

Z nadejściem południa zaczęły się zbierać chmury nabiegające z południowego zachodu. Wiadomo, że im dłużej chmury się zbierają, tym dłużej pada deszcz. Ale nie wszystko na razie było do ulewy gotowe. Jeszcze prześwitywały na niebie łaty błękitu, jeszcze tu i ówdzie oślepiający błysk słońca uderzał w ziemię. Wysoko idąca chmura pocięła te smugi słońca w długie proste pasma.

Juan musiał zawrócić trochę główną drogą – w kierunku, z którego przybyli – żeby dojechać do miejsca, gdzie zaczynał się stary trakt. Nim skręcił, zatrzymał autobus, wysiadł i poszedł trochę naprzód. Czuł pod stopami grząskie, tłuste jak smar błoto. Było mu lekko na duszy. Starł się przecież, jak mógł, zmusić ten swój cały ładunek bydląt do logicznego myślenia we własnym ich interesie – wszystko na próżno. Teraz już niewiele go wszyscy oni razem obchodzili. Niemalże czuł złośliwą radość. Wybrali tę drogę – i niech im będzie. Niech mają, czego chcieli. Ciekawe, co zrobią, jak autobus ugrzęźnie. Pogrzebał nosem buta w błocie zmieszonym ze żwirem i zawrócił. Co tam Alice robi? Dobrze wiedział, psiakrew, co robi. Ale jak Alice rozwali cały dom, to niech jej będzie, ale on odejdzie – i więcej go ona nie zobaczy. Czuł się swobodny i wesoły, jak na wakacjach. I wesołość biła mu z twarzy, gdy wdrapywał się do autobusu.

– Nie wiem, czy przejadę czy nie – oświadczył radośnie. Ten jego nagły wybuch zaniepokoił lekko pasażerów, którzy siedzieli blisko siebie, skupieni na przednich miejscach. Każdy rozumiał, że Juan był teraz ich jedynym łącznikiem ze światem. Struchleliby, gdyby znali jego myśli. A Juanowi było wesoło. Zamknął drzwi autobusu i dwukrotnie nacisnął gaz, żeby rozgrzać na szybkich obrotach silnik, zanim włączy sprzęgło. Wjechał pierwszym biegiem w tę błotnistą polną drogę.

Chmury już prawie były gotowe do pierwszego uderzenia deszczem. Juan zdawał sobie z tego sprawę. Dostrzegł na wschodniej stronie nieba chmurę

rozcapierzoną ku dołowi. Tam się już zaczynało, potem chmura przesunie się nad dolinę i runie w nią nową wiosenną ulewą. Światło stało się metaliczne i miało w sobie tę przejrzystość dalekiego widzenia, która nieuchronnie zapowiada gwałtowny deszcz.

– Nadchodzi deszcz – odezwał się Van Brunt z nutką triumfu w głosie.

– Tak wygląda – rzekł Juan i skręcił w starą drogę. Chociaż bieżniki na oponach nie były jeszcze starte, poczuł poślizg gumy po tłustym błocie, gdy zjechał z twardej nawierzchni. Tył autobusu zakołysał się lekko. Ale pod błotem był twardy podkład i autobus ciężko potoczył się starą boczną drogą. Juan włączył drugi bieg. Pewnie cały czas będzie musiał jechać na drugim biegu.

– Długi jest ten objazd? – Głos pana Pritcharda przebił się przez warkot silnika.

– Nie wiem – odparł Juan. – Nigdy tędy nie jechałem. Powiadają trzynaście czy piętnaście mil, będzie chyba coś około tego. – Pochylił się nad kierownicą, podniósł wzrok z drogi przed sobą, zerknął na Matkę Boską z Guadalupe w jej maleńkiej świątyni na tablicy rozdzielczej.

Juan nie był człowiekiem specjalnie religijnym. Wierzył w potęgę Madonny z Guadalupe, tak jak małe dzieci wierzą w moc i potęgę swych wujków. Była laleczką i boginką, i maskotką, i kimś bliskim.

Jego matka – kobieta pochodząca z katolickiej Irlandii – weszła do rodziny, dla której ta Matka Boska była kimś najbliższym, i uznała Ją tak samo za kogoś sobie najbliższego, jak uznała matkę czy babkę swego męża. Madonna z Guadalupe stała się jej siostrą i matką, i boginią jednocześnie.

Gdy Juan był dzieckiem i gdy dorastał, zawsze i wszędzie stała przy nim ta Pani odziana w szerokie spódnice, oparta stopami o sierp księżyca: nad łóżkiem – by pilnować jego snów, w kuchni – by czuwać nad gotowaniem posiłków, u wejścia – by sprawdzać, kiedy wychodzi i wraca, i na drzwiach mieszkania – aby nasłuchiwać przez nie, gdy bawił się na ulicy. Była w swej własnej pięknej kaplicy w kościele i była w szkole, i w klasie –

i jakby tej Jej wszechobecności nie było jeszcze dość, miał Ją zawsze przy sobie, na złotym medaliku, którego złoty łańcuszek okalał mu szyję. Mógł wykraść się spod oka matki lub ojca, lub starszych braci – ale tej ciemnej Paniencie nie mógł się wymknąć. Innych krewnych można było oszukać i okłamać, zwodzić ich i wykpiwać się im – ale z Madonną była inna sprawa, Ona i tak o wszystkim wiedziała. Wszystko Jej też wyznawał, co było oczywiście tylko czczą formalnością wobec Jej wszechwiedzy. Celem tych wyznań było raczej wytłumaczenie motywów swego postępowania, wyjaśnienie, dlaczego coś się zrobiło, a nie wyjawienie, że coś się zrobiło. Ale to też nie miało wielkiego sensu, bo Ona przecież dobrze znała wszystkie motywy i powody. Dlatego zapewne miała zawsze twarz zastygłą w półuśmiechu, jakby wstrzymywała śmiech. Ona nie tylko wszystko rozumiała – Ją to jednocześnie bardzo bawiło. Straszliwe zbrodnie dzieciństwa nie zasługują na piekło, zdawał się mówić Jej uśmiech.

Juan kochał Ją głęboko i ufał Jej, kiedy był jeszcze dzieckiem. Ojciec powiedział mu, że Jej to powierzono specjalnie opiekę nad Meksykanami. I gdy Juan spotykał na ulicy amerykańskie czy niemieckie dzieci, wiedział, że jego Panienska z Guadalupe nie troszczy się o nie ni trochę, bo to nie były Jej, meksykańskie dzieci.

Jeśli do tego wszystkiego dodać fakt, że Juan nie wierzył w Nią już teraz rozumem, ale wierzył wszystkimi zmysłami – będziemy mieli pełny obraz jego stosunku do Najświętszej Panny z Guadalupe.

Autobus posuwał się wolno naprzód po błotnistej drodze, zostawiając za sobą głęboko wryte ślady kół. Juan znów zerknął w stronę Madonny i zaczął mówić do Niej w myślach:

Ty jedna wiesz, że nie byłem dotychczas szczęśliwy. Ty jedna wiesz, że to tylko przez poczucie obowiązku dałem się złapać w sidła, które na mnie zastawiono. Teraz wszystko w Twoich rękach. Tobie oddaję decyzję. Bo ja nie mogę przecież wziąć na siebie całej odpowiedzialności za to, że ucieknę od mojej żony, że rzucę dom i pracę. Gdybym był młodszy, nie

potrzebowałbym Twojej pomocy – ale teraz, teraz jestem chwiejny i niestały w swoich postanowieniach. Więc składam to w Twoje ręce. Nie z własnej woli jadę tą drogą. Zmusili mnie do tego ci ludzie, wola tych ludzi, których ja nic nie obchodzę, którzy nie troszczą się o moje bezpieczeństwo ani o moje szczęście. Obchodzą ich tylko ich własne sprawy i korzyści. Oni mnie nawet nie zauważają, jestem dla nich maszyną, która ma ich zawieźć tam, dokąd chcą. Sama przecież słyszałaś, że chciałem ich zabrać z powrotem. Więc wszystko zostawiam Tobie i chcę, żebyś dała mi znak, jaka jest Twoja wola; jeśli autobus ugrzęźnie, ale będzie go można wyciągnąć normalnym sposobem – wyciągnę go i dowiozę ich. Jeśli zwykłe środki ostrożności wystarczą, żeby przeprowadzić autobus tą drogą – zastosuję te środki. Ale jeśli Ty, w całej swej mądrości, będziesz chciała dać mi znak w ten sposób, że autobus zakopie się w błocie po osie albo wpadnie do rowu i nic nie będę mógł poradzić – to będę wiedział, że pochwalasz to, co chcę uczynić. Wtedy odejdę. I niech się oni wszyscy martwią o siebie. Odejdę i zniknę. Nigdy już nie wrócę do Alice. Całe to moje dotychczasowe życie zrzucę z siebie jak znoszoną bieliznę. Więc decyduj.

Skinął Madonnie głowę, uśmiechnął się do Niej i Ona odpowiedziała mu uśmiechem. Doskonale wiedziała, co się stanie, ale oczywiście nie było żadnego sposobu, żeby to od Niej wyciągnąć. Jedno było pewne: on nie może ot tak sobie uciec, bez Jej aprobaty. Musi mieć Jej zgodę. Ona ma zadecydować. Jeśli uważa stanowczo, że powinien wrócić do Alice – dobrze, niech wygładzi drogę, niech przeprowadzi przez nią autobus. Juan będzie wtedy raz na zawsze wiedział, że wszystko ma zostać, jak było.

Oddychał szybko w podnieceniu. Oczy mu błyszczały. Mildred widziała jego twarz w lusterku nad kierownicą. Co go tak cieszyło, jaka to okrutna radość rozświetla mu twarz? To jest mężczyzna – myślała. – Mężczyzna rzeczywiście męski. Mężczyzna, jakiego prawdziwa kobieta chce mieć, bo taki nigdy nie będzie się starał wczuć w nią, stać się jej częścią. Wystarczy

mu jego własna płeć. Nigdy nie będzie usiłował zrozumieć kobiety i dlatego właśnie da jej ukojenie. Bierze od kobiet, co chce, i już. Nie myślała już o sobie z obrzydzeniem, było jej znowu dobrze.

Jej matka pisała w imaginacji jeszcze jeden list z podróży: „Jedziemy oto po błotnistej drodze, z dala od jakiegokolwiek znanej miejscowości. Nawet nasz szofer nie zna tej drogi. Wszystko tu może się zdarzyć. Wszystko. Nie widać nigdzie żadnego domu. Zaczyna padać deszcz”.

Zaczynał padać deszcz. Nie tak gwałtowny i zacinający jak ten, co padał rano, ale jednak ciężki i gęsty, bębniący i świadom tego, co robi; deszcz, który wylewa tyle i tyle galonów wody na dany obszar w określonym czasie. Nie było wiatru; padał jednostajnie i uparcie na ziemię. Autobus syczał i bryzgał po płaskiej błotnistej drodze. Juan czuł poślizg tylnych kół przy najmniejszym ruchu kierownicą.

– Ma pan łańcuchy na koła? – zapytał Van Brunt.

– Nie – rzekł beztrąsko Juan. – Nie mogę dostać nigdzie łańcuchów. Od przedwojny.

– Moim zdaniem nie będziemy mogli przejechać tą drogą – mówił dalej Van Brunt. – Wszystko jeszcze dobrze po płaskim, ale zaraz będzie pod górę. – Wskazał ręką wzgórze na wschodzie, ku którym brnęli przez błoto. – Rzeka podchodzi tam pod urwisko – zwrócił się głośniejszym głosem do reszty pasażerów. – Droga idzie nad tym urwiskiem. Moim zdaniem nie da się tam przejechać.

Dla Pryszczyna był to ranek pełen wewnętrznych konfliktów i daremnych wysiłków. Niewiele zaznał w życiu chwil spokoju i ukojenia – ale ten dzień był szczególnie szarpiący. Całe jego ciało płonęło z podniecenia. Był naładowany burzącymi się sokami pożądliwości wieku dojrzwania. We śnie i na jawie dążył do jednego. Ale ten stale podsycany płciowy popęd wywoływał w nim rozmaite uczucia i nastroje. Był jak zapalczywy szczeniak, który chce dorwać się do kości, to znów pograżał się w gęstej chmurze idealizujących, ckliwych sentymentów, to wył wewnątrz,

potępiając samego siebie. Czuł się samotny i w tym osamotnieniu uważał się za jednego z największych grzeszników na świecie. Z uwielbieniem i podziwem patrzył na zawsze opanowanego Juana.

Odkąd ujrzał Camille, pragnął jej całym ciałem i wszystkimi zmysłami. Widział siebie i ją w nabrzmiałych żądzą marzeniach lub jako szczęśliwą i spokojnie żyjącą parę małżeńską. Przyszedł moment, gdy uważał, że już dość się do niej przybliżył, że już ma jej prawo otwarcie powiedzieć – i nagłe jej spojrzenie wprawilo go w drżące zakłopotanie.

Znowu usiłował zdobyć w autobusie miejsce, z którego mógłby bezpiecznie obserwować Camille, i znowu mu się nie powiodło. Miał przed sobą tył jej głowy i profil Normy. Teraz dopiero zauważył zmianę, jaka zaszła w Normie, i aż się zachłysnął ze zdumienia. To była inna dziewczyna. Wiedział, że to wszystko sztuczne, bo nawet ze swego miejsca mógł dostrzec tusz na jej brwiach i szminkę na ustach, i nie to sprawiło, że krew nabiegła mu do żył. Ona sama się zmieniła. Znać było, że jest teraz świadoma swej dziewczęcości, czego nigdy w niej przedtem nie było. Znowu zagrały w Prysztu nieopanowane żądze.

Jeśli nie uda mu się osiąść Camille – a w głębi serca nie miał co do tego złudzeń – może mógłby mieć Normę. Nie bał jej się tak, jak bał się swej bogini, Camille. Zaczął podświadomie planować, jak usidli Normę, jak ją poskromi. Tuż pod jego lewym uchem zaczął się tworzyć nowy wrzód. Automatycznie rozdrapał go i brudna krew pociekła z chorej skóry na policzek. Spojrzał ukradkiem na paznokiec, którym rozdrapał wrzód, potarł nim po kieszeni, żeby go wytrzeć. Policzek krwawił. Wyjął chustkę i przyłożył do twarzy.

Pana Pritcharda niepokoiło, czy uda im się przejechać i czy zdąży złapać połączenie. Poza tym gryzło go coś jeszcze – nie mógł sobie dać rady, nie mógł odzyskać równowagi. Próbował to uczucie zlekceważyć. Starał się zastosować wszystkie znane mu sposoby odsuwania nieprzyjemnych myśli, ale żaden nie działał.

Ernest Horton oświadczył, że przedstawiony przez pana Pritcharda sposób wyzyskania pomysłu z nakładkami na ubrania jest szantażem. Do tego jeszcze Horton sugerował, że on, Elliott Pritchard, mógłby ten wynalazek ukraść. To bardzo dotknęło pana Pritcharda, człowieka cieszącego się nieposzlakowaną opinią i piastującego wysokie stanowisko. Ale potem zaczął się zastanawiać: Tak – myślał – mam znakomitą reputację i wysokie stanowisko w moim własnym kraju, w moim własnym środowisku. Ale tu nie mam nic. Tu jestem sam. Ten człowiek bierze mnie za oszusta i nie mogę go nawet posłać do Charliego Johnsona, żeby go przekonał, jak bardzo się myli.

Mało tego. Ernest mylił się jeszcze bardziej. Zdradził się, że ma pana Pritcharda za takiego człowieka, który chadza z blondynkami do umeblowanych pokoi, wynajmowanych na godziny! Pan Pritchard musi dowieść Ernestowi Hortonowi, że jest w błędzie. Ale jak to zrobić?

Przewiesił ramię przez tylne oparcie swego fotela. Ernest siedział sam, zaraz za panem Pritchardem. Pracujący na drugim biegu silnik głośno warczał, kadłub starego autobusu trzeszczał i wibrował. Pan Pritchard mógł zrobić tylko jedno: zaproponować Hortonowi jakiś naprawdę uczciwy interes – i w ten sposób udowodnić, że nie jest oszustem.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, jeszcze niezupełnie jasny – powiedział, odwracając się do Ernesta. – Zaciekawilo mnie to, co pan opowiadał, jak pańska firma postępuje ze zgłaszanymi wynalazkami.

Horton popatrzył na niego trochę rozbawiony. Ten facet coś od niego chce. Pewnie chciałby staruszek, żeby go zabrać na dziewczynki. Szef Ernesta był taki sam. Zwoływał ważne konferencje późnym wieczorem, co kończyło się zawsze w jakimś domu publicznym, i zawsze dziwił się, jak się tam znalazł.

– W naszej firmie są bardzo przyjemne stosunki – rzekł Ernest.

– Mam znacznie lepszy pomysł niż ten z nakładkami smokingowymi – przerwał mu pan Pritchard. – Przyszło mi to tak jakoś nagle do głowy.

Może pan to wykorzystać, jeśli pan zechce.

Ernest milczał wyczekująco.

– Chodzi o spinki do mankietów – mówił dalej pan Pritchard. – Ja zawsze noszę koszule z mankietami zapinanymi na spinki. Pan wie, że jak się raz założy takie spinki, to trzeba je potem wyjmować, kiedy się chce zdjąć koszulę. A jak się chce, powiedzmy, umyć ręce i zadrzeć rękawy, też trzeba wyjmować spinki. Łatwo jest zapiąć spinki przed włożeniem koszuli, ale ciężko jest przepchać ręce przez już zapięte mankiety. A jak najpierw włożyć koszulę, nie zapinając mankietów, to znowu jest bardzo trudno zapiąć je potem. Rozumie pan, o co chodzi?

– Robią już teraz takie zatrzaskiwane spinki – wtrącił Ernest.

– Tak, ale to się nie przyjęło. Zawsze się gubi jedną połowę, i wszystko na nic.

Autobus zatrzymał się na moment. Juan włączył pierwszy bieg, puścił silnik na szybkie obroty. Jeden gwałtowny wstrząs i przednie koła przeszły przez dziurę w drodze, potem drugi wstrząs i autobus sunął dalej naprzód. Deszcz bębnił po dachu. Wycieraczka skrzypiała na szkle przedniej szyby.

Pan Pritchard przechylił się bardziej do tyłu i podciągnął rękawy marynarki, żeby widać było złote spinki w mankietach jego koszuli.

– Przypuśćmy więc – mówił dalej – że zamiast tego łańcuszka, który je łączy, mamy sprężynkę. Jak się chce włożyć w mankiet rękę, sprężynka rozciąga się, potem znowu się ściąga. – Spojrzał uważnie na Hortona.

Ernest przymknął oczy w zamyśleniu.

– Ale jak to będzie wyglądać? Przecież sprężynka musi być stalowa, bo inaczej łatwo się złamie lub rozluźni.

– Pomyślałem i o tym – powiedział z zapalem pan Pritchard. – Trzeba by wypuścić dwa rodzaje spinek. W tańszych sprężynka byłaby tylko pozłacana lub posrebrzana. Ale przy droższych, z platyny albo ze złota, sprężynkę można by umieścić w maleńkiej złotej rurce, w której kryłaby się cała, kiedy mankiet jest już założony.

Ernest kiwał głową z namysłem.

– Tak – powiedział – tak, szanowny panie. To ma sens.

– Może pan to sobie wykorzystywać – rzekł pan Pritchard. – Ofiarowuję panu ten pomysł. Może pan robić sobie z tym, co pan chce.

– Moja firma specjalizuje się raczej w nowościach innego rodzaju – rzekł Ernest – ale być może... być może uda się ich namówić. Rzeczy, które najlepiej się sprzedaje, myślę o męskiej klienteli, to maszynki i przybory do golenia, wieczne pióra, ołówki automatyczne oraz wszelkiego rodzaju osobista biżuteria. Gość, który nie pisuje więcej jak dwa zdania na rok, może co dzień kupować nowe wymyślne wieczne pióro po piętnaście dolarów sztuka. A biżuteria męska? Tak, szanowny panie, to może pójść. Co by pan chciał z tego mieć, jeśli u nas przyjęli pański pomysł?

– Nic – rzekł pan Pritchard. – Absolutnie nic. To należy do pana. Chciałbym pomóc takiemu młodemu, wyrabiającemu się człowiekowi jak pan.

Powiedział to i poczuł się lepiej. Ale co, gdyby naprawdę coś z tego wyszło, gdyby to chwyciło? Gdyby tak przyniosło miliony dolarów? Gdyby tak... Ale słowo się rzekło, a na jego słowie można polegać. Jego słowo jest święte. A jeśli Ernest chciał wyrazić jakoś swą wdzięczność – to jego tylko sprawa.

– Nie, nie chcę absolutnie nic – powtórzył pan Pritchard.

– To niezwykle szlachetnie z pańskiej strony – rzekł Ernest.

Wyciągnął z kieszeni notes, napisał w nim coś i oderwał kartkę.

– Oczywiście, jak zwykle w tego rodzaju sprawach, muszę mieć cesję pańskiego wynalazku na piśmie. Gdyby pan miał chwilę czasu, jak pan będzie w Hollywood, może by pan wpadł lub zadzwonił do mnie. Pogadalibyśmy o interesach. Chybaby się dało zrobić niejedną dobrą firmę. – Przymrużył znacząco lewe oko, potem przez ułamek sekundy musnął wzrokiem panią Pritchard. Wręczył wyrwaną kartkę panu Pritchardowi, mówiąc: – Aloha Arms, Hempstead 3255, apartament 12B.

Pan Pritchard zarumienił się lekko i schował kartkę głęboko w portfelu. Nie była mu potrzebna. Mógł wyrzucić ją przy okazji – miał doskonałą pamięć. Będzie pamiętał przez długie lata ten numer telefonu. Jego system pamięciowy zadźwięczał w głowie jak kasa automatyczna. Trzy plus dwa i dwukrotnie powtórzyć sumę. Hempstead. Hemp – nazwa narkotyku. Już nie zapomni. Znał mnóstwo tego rodzaju sposobów zapamiętywania. Aż go ręce swędziały, żeby wyrzucić ten papierek. Zwłaszcza że żona czasem zaglądała do jego portfela, szukając drobnych. Sam powiedział jej kiedyś, że może to robić. Poczul wtedy jednak ściskanie w dołku – jakby ktoś go nazwał złodziejem.

– Czy moja mała dziewczynka czuje się dobrze? – zwrócił się do niej.

– Tak – powiedziała pani Pritchard. – Wiesz, zwalczyłam to jakoś. Powiedziałam sobie: „Nie wolno mi zepsuć wakacji mego najdroższego męża”.

– Cieszę się – rzekł pan Pritchard.

– Mój kochany, powiedz mi, jak wam, mężczyznom, przychodzą takie pomysły do głowy – jak ten z tymi spinkami?

– Och, tak jakoś się biorą – rzekł pan Pritchard. – W mankietach mojej koszuli są bardzo małe dziurki. Parę dni temu ręce mi ugrzęzły w rękawach, jak ją zdejmowałem, i już chciałem cię wołać na pomoc.

Uśmiechnęła się.

– Postąpiłeś bardzo ładnie – powiedziała.

Położył rękę na jej kolanie, ściskając je lekko. Uderzyła go po wierzchu dłoni delikatnie i żartobliwie. Szybko cofnął rękę.

Norma przysunęła się do Camille i szeptała jej coś cichutko do ucha. Wiedziała, że Prysycz stara się podsłuchać, co mówi. Czowała, że ciągle na nią patrzy, i była mu za to wdzięczna. Nigdy w życiu nie była tak pewna siebie jak teraz.

– Tak naprawdę, to ja nie mam żadnej rodziny, nikogo bliskiego – mówiła. Obnażała się przed Camille. Odsłaniała przed nią całe swoje życie.

Chciała, żeby Camille dowiedziała się o niej wszystkiego: o tym, jak to było aż do dzisiejszego ranka i jaka w niej dziś rano właśnie nastąpiła zmiana. Chciała przez to uczynić z Camille kogoś bliskiego sobie, jak z rodziny, związać w ten sposób ze sobą tę piękną istotę, która dawała jej oparcie w życiu. – Jak się jest samotnym, robi się czasem różne śmieszne rzeczy – mówiła. – Często kłamałam. A czasem tak się zachowywałam, jakby to, co sama wymyśliłam, było naprawdę. Wiesz, co ja kiedyś zrobiłam? Wyobraziłam sobie, że pewien gwiazdor filmowy jest... jakby był moim mężem. – Wypsnęło jej się jakoś. Nie chciała pójść tak daleko w zwierzeniach. Zaczerwieniła się. Nie powinna była tego mówić. Jakby trochę zdradziła pana Gable'a. Zastanowiło ją coś. Nie było już tak jak przedtem. Nie czuła w stosunku do pana Gable'a tego co poprzednio. Jej uczucia przeniosły się na Camille. Zdumiało ją, gdy zdała sobie z tego sprawę. Pomyślała, czy to czasem nie świadczy źle o stałości jej uczuć. – To tak jest, jak się nie ma rodziny ani przyjaciół – wyjaśniała. – Jak się ich nie ma, to trzeba sobie wymyślić. Ale teraz, jak będziemy razem mieszkały, nigdy już nie będę musiała wymyślać nic takiego.

Camille odwróciła twarz, nie chcąc patrzeć na bezbrzeżną szczerłość w oczach Normy, na jej całkowitą bezbronność.

Rany boskie – myślała – w co ja się wpakowałam? Zupełnie jakbym miała dziecko, jakbym się dała złapać. Jak do tego doszło? Mam się nią zajmować, żyć jej życiem. Wkrótce wsadzę w to za dużo z siebie, zabrnę tak, że już się z tego nie wygrzebię. Gdyby Loraine urwała się teraz temu swojemu agentowi od ogłoszeń i przyszła do mnie, to co wtedy, co mam zrobić z tą całą historią? Jak to się zaczęło? Jak, do diabła, dałam się w to wciągnąć?

Zwróciła się do Normy.

– Słuchaj, kochanie – rzekła nieco oschlej – nie powiedziałam, że to będzie tak, jak sobie wyobrażasz. Powiedziałam tylko, że zobaczę, jak się uda. Jest mnóstwo rzeczy tyjących mnie, o których nie masz pojęcia.

Na przykład, że jestem zaręczona i mój chłopiec chce, żebyśmy się niedługo pobrali. Zrozum: jak on będzie chciał, żeby to zaraz zrobić po moim powrocie, to nie będę mogła mieszkać z tobą.

Ujrzała rozpacz w oczach Normy, nagły zimny strach, ujrzała, jak jej policzki się nagle zapadły, zwiędły usta, obwisły ramiona, zwiotczały mięśnie. Camille myślała gorączkowo: Mogę wynająć pokój gdzieś pod miastem, skryć się tam, póki jej nie zgubię. Mogę od niej uciec. Mogę... O Boże, jak ja się dałam złapać? Jestem bardzo zmęczona. Muszę wziąć gorącą kąpiel.

– Nie przejmuj się tym tak bardzo – powiedziała głośno. – Może on nie będzie mógł tak szybko. Może... och, słuchaj, kochanie, może się wszystko da urządzić. Może się uda. Naprawdę. Zobaczymy, jak pójdzie.

Norma ściągnęła ciasno usta, głowa jej podskakiwała w wibrujący rytm autobusu. Camille nie mogła na nią patrzeć. Ale po chwili Norma się opanowała. Mówiła już spokojnie:

– Pewnie wstydzisz się mnie. Nie mogę mieć o to żalu. Teraz jestem tylko kelnerką, ale z twoją pomocą mogłabym się uczyć i też zostać asystentką u dentysty. W dzień pracowałabym jako kelnerka, a nocami bym się uczyła. I zostałabym asystentką dentysty i już nie potrzebowałabyś się mnie wstydzić. To nie byłoby takie trudne, gdybyś mi tylko pomogła.

Camille zbierało się aż na wymioty od tego wszystkiego. Boże Wszechmocny! – myślała. – Teraz to już wpadłam na całego. Co mam jej powiedzieć? Jeszcze jakieś kłamstwo? A może powiedzieć szczerze tej dziewczynie, w jaki sposób zarabiam na życie? Czy nie za mocna dawka? Ale byłby to dla niej potężny szok i dałaby mi spokój. Może istotnie to najlepsze wyjście? Nie, lepiej będzie, jak ją zgubię po prostu gdzieś w tłumie.

– Chciałabym mieć taki zawód, który wzbudza szacunek, jak twój – mówiła Norma.

– Słuchaj, kochanie, jestem straszliwie zmęczona – powiedziała Camille w desperacji. – Podróżuję już bardzo długo. Jestem zbyt wyczerpana, nie mogę zebrać myśli. Zostawmy to wszystko, jak było. Potem zobaczymy.

– Przepraszam cię – rzekła Norma. – Tak mnie to wszystko podnieciło, że zapomniałam. Zobaczymy, jak będzie, co?

– Tak, zobaczymy, jak będzie – rzekła Camille.

Autobus szarpnął gwałtownie i zatrzymał się. Dojeżdżali do stóp wzgórza. Falująca po ziemi zieleń była ledwo widoczna w przyćmionym deszczem świetle. Juan uniósł się do połowy z siedzenia, popatrzył na drogę przed sobą. W drodze była wyrwa, dziura pełna wody, nie wiadomo jak głęboka. Kto wie, może i cały autobus by się w niej zmieścił. Rzucił szybkie spojrzenie na Madonnę.

– Mam spróbować? – mruknął pod nosem.

Przednie koła zatrzymały się na krawędzi wyrwy. Juan uśmiechnął się. Włączył wsteczny bieg i cofnął autobus o dwadzieścia stóp.

– Chce pan próbować? – zapytał Van Brunt. – Ugrzęźnie pan.

Usta Juana poruszyły się bezdźwięcznie. Gdybyś ty tylko wiedział, mój człowieczku, gdybyście wy wszyscy wiedzieli!

Włączył pierwszy bieg i wjechał w dziurę. Woda bryzgała spod kół, sycząc i bulgocąc. Autobus zataczał się i ślizgał. Tylne koła kręciły się w miejscu, silnik wył, obracające się szybko koła powoli przeniosły kołyszący się kadłub autobusu na drugą stronę wyrwy. Juan włączył drugi bieg i autobus włókł się dalej.

– Musiało być na dnie trochę żwiru zmieszanego z błotem – rzucił przez ramię Van Bruntowi.

– Niech pan czeka, aż będzie pod górę – rzekł Van Brunt z naciskiem.

– Wie pan co? Jak na takiego, co chciał tędy jechać, to pan za dużo teraz wynajduje trudności – powiedział Juan.

Droga zaczynała piąć się pod górę. Woda deszczowa nie była tu już wodą stojącą. Rowy wzdłuż drogi stały się strumieniami o szybkim prądzie.

Tylne, napędowe koła autobusu ślizgały się w koleinach, ubijając jak masło błoto pod sobą. Nagle Juan uświadomił sobie dokładnie i precyzyjnie, co robi, jak autobus utknie. Dotąd niezupełnie wiedział. Myślał przedtem, że dostanie się do Los Angeles i tam znajdzie pracę na ciężarówkach, ale nie, to nie tak będzie. Ma w kieszeni pięćdziesiąt dolarów. Zawsze miał tyle przy sobie na wszelki wypadek. To mu starczy. Odbije się od nich, ale niespecjalnie daleko. Ukryje się, przeczeka deszcz. Może się nawet gdzie prześpi. Weźmie ze sobą trochę tych ciastek, żeby mieć co jeść. Jak trochę wypocznie, wyjdzie na autostradę, złapie kogoś, kto go podwiezie do najbliższej stacji obsługi, i tam poczeka na dalszą okazję. Dostanie się autostopem aż do San Diego, potem przez granicę do Tijuana. Tam przyjemnie, poleży na plaży ze dwa, trzy dni. Z przejściem granicy mały kłopot. Tu będzie Amerykaninem, tam – Meksykaninem. Potem, jak mu się uda, opuści miasto, może go ktoś znowu podwiezie, a jak nie, to pójdzie sobie po prostu górami, przez górskie strumienie aż do Santo Tomás i tam poczeka na ambulans pocztowy. W Santo Tomás kupi wina, winem zapłaci kierowcy ambulansu. Potem cały półwysep, przez San Quintin i wzdłuż zatoki Ballenas. Potrwa ze dwa tygodnie ta wędrówka przez skały i ciernistą pustynię; a później do La Paz. Będzie uważał, żeby mu pieniędzy starczyło. W La Paz złapie statek idący przez zatokę do Guaymas albo Mazatlán, a może, jak się uda, do Acapulco. Wszystko jedno – wszędzie tam są turyści. Chociaż więcej w Acapulco niż w Guaymas czy w Mazatlán. A gdzie się włączą turyści, można sobie dać radę, jak się zna hiszpański i angielski. Tam będzie Juanowi OK. Po troszku zarobi na podróż do Mexico City, gdzie już pełno prawdziwych, bogatych turystów. Będzie oprowadzał wycieczki. W Mexico City jest mnóstwo sposobów zarabiania pieniędzy. Zresztą niewiele mu trzeba.

Zaśmiał się pod nosem. Po co, na Boga, tkwił tak długo w tym, co było? Był wolny. Mógł robić, co chciał. Niech go szukają. Może nawet przeczyta kiedyś wiadomość o tym w jakimś piśmie z Los Angeles. Pomyślał, że nie

żyje, zaczął szukać jego ciała. Alice będzie robiła piekło przez jakiś czas, poruszy niebo i ziemię. To jej da poczucie ważności. W Meksyku każdy umie gotować groch. Może się urządzi przy którejś z tych bogatych Amerykanek, co to żyją w Mexico City, żeby nie płacić amerykańskich podatków. W eleganckim garniturze dobrze się przecież prezentuje. Dlaczego, do diabła, wcześniej o tym nie pomyślał?

Zapachniał mu Meksyk. Nie mógł pojąć, dlaczego już dawno tego nie zrobił. Pasażerowie? Niech się troszczą o siebie. Nie odjechali daleko. Tak się przyzwyczaili zwałać swe kłopoty na drugich, że zapomnieli, jak to jest, kiedy trzeba sobie samemu radzić. Dobrze im to zrobi. Juan umie sam sobie radzić i będzie sobie sam radził. Wiódł dotąd idiotyczne życie, wożąc ludzi z miasta do miasta. To się już skończyło raz na zawsze.

Spojrzał skrycie na Madonnę z Guadalupe.

– Och, w porządku, dotrzymam słowa – szepnął. – Jak chcesz, to ich wyciągnę stąd. Ale jeśli nawet, to i tak odejdę.

Pogrążył się w marzeniach o prażonych słońcem wzgórzach Dolnej Kalifornii, o gryzącym gorącu Sonory, o chłodzie poranków na meksykańskiej wyżynie, o zapachu sosnowych sęków w chatkach, woni żytnich placuszków podpalanych na ogniu. Opadła go nostalgia za własnym krajem – słodka i podniecająca. Za smakiem zerwanej z drzewa pomarańczy, za gorącem, za chłodem. Co on tu robi w tym kraju? On tu nie należy.

Odchyliła się zasłona minionych lat i na tej błotnistej drodze zapachniał Meksyk. Ujrzał i usłyszał Meksyk, gwar głosów na rynku, skrzeczenie papug w ogrodach, świnie kłócące się w uliczkach, zobaczył kwiaty i ryby, i wstydlive ciemne dziewczęta w niebieskich *rebozos*. Dziwne, że zapomniał na tak długo. Tęsknił za Południem. Jaka to siła, jakie to szaleństwo trzymało go tutaj? Stał się nagle niecierpliwy. Musi zrobić to jak najprędzej. Dlaczego nie miałyby natychmiast szarpnąć za hamulce,

otworzyć drzwi i pójść przez deszcz? Jakby już widział patrzące za nim zdumione, ogłupiałe twarze, jakby słyszał ich wzburzone głosy.

Znów zerknął na Madonnę.

– Dotrzymam słowa – szepnął – zrobię, co będę mógł. – Poczł poślizg kół po błocie i uśmiechnął się do Panienci z Guadalupe.

Rzeka podchodziła tu pod wzgórze, a wraz z nią cały jej szuwarowy brzeg. Droga umykała w bok, oddalając się od nadbrzeżnych zarośli. Deszcz rzedniał i można było teraz zobaczyć z drogi żółtą rozkołysaną wodę w szerokiej rzece i rozwleczone po niej smugi brudnej, skłębionej piany. Droga szła na szczyt wzgórza, pod żółtą skałą piaskowca, na której widniało wypisane wielkimi czarnymi literami *Okaż skruchę*. Jakiś opętaniec boży musiał długo w wielkim trudzie i niebezpieczeństwie wypisywać te słowa, teraz już niemal zupełnie zatarte.

W kruchym piaskowcu wiatr wyrzeźbił, a zwierzęta wygrzebały jamy i jaskinie podobne do czarnych oczodołów patrzących z żółtego tła skały.

W tym miejscu przydrożne płoty jeszcze się jako tako trzymały na pokrytych trawą stokach wzgórza. Na stokach pasły się czerwone, ciemne od deszczu krowy, niektóre z urodzonymi tej wiosny cielętami. Krowy wolno obracały głowy i patrzyły na brnący w błocie autobus. Jedna stara i ogłupiała wpadła w panikę, zaczęła wierzgać i biegać dokoła, jakby od tego autobus miał zniknąć.

Zmienił się podkład drogi. Teraz żwir dawał kołom lepsze oparcie. Kadłub autobusu trząsł się i podskakiwał na wybitych deszczem kamykach leżących na drodze, ale koła już się nie ślizgały. Juan spojrział podejrzliwie na Madonnę. Czy zamierza go oszukać? Może chce go przeprowadzić przez tę drogę i zmusić w ten sposób do powzięcia decyzji na własną odpowiedzialność? To byłby paskudny kawał. Zostawiony sam sobie, bez żadnego znaku z nieba, nie wiedziałaby, co robić. Droga szła zakosem wokół starej opuszczonej farmy, potem ostro pod górę.

Juan znowu włączył pierwszy bieg. Smużka pary z przegrzanej chłodnicy zawirowała nad maską silnika. Najostrzejsze wzniesienie było przed nimi, tam gdzie ta skała z jaskiniami. Gniewnie dodał gazu. Koła odrzuciły żwir. Przez drogę przepływał szeroki strumień mulistej wody wylewającej się z zablokowanego darnią rowu. Juan wjechał w ciemną plamę wody. Przednie koła przeszły, tylne zakręciły w miejscu po oślizłym mule. Autobus zarzucił, koła zawirowały, tył ciężko osiadł w rowie.

Twarz Juana wykrzywił okrutny uśmiech. Dodał gazu i koła ryły głębiej i głębiej. Włączył tylny bieg, przyspieszył jeszcze obroty kół, opony wygrzebały sobie głębokie dziury i zapadły się w nie, podwozie wryło się w ziemię. Juan włączył silnik na wolny bieg. Ujrzał w lusterku twarz Pryszcza patrzącą na niego ze zdumieniem.

Zapomniał o Pryszczu. Zapomniał, że Pryszcza się zna. Pryszcza otworzył szeroko usta. Juan powinien wiedzieć lepiej. Jak się wjeżdża w miękkie, nie wolno, żeby koła szły w miejscu. Widział zapytanie w oczach Pryszcza. Dlaczego Juan to zrobił? Juan wiedział, co trzeba. Uchwycił w lustrze ten pytający wzrok i nie wiedząc, co zrobić, mrugnął porozumiewawczo. Na twarzy Pryszcza odmalowała się ulga. Jeśli to zamierzone – to OK. Jeśli coś się za tym kryło, to w porządku, to dla Pryszcza wystarczy. Ale nagła straszna myśl przyszła mu do głowy. Może chodzi o Camille? Nie miał szans w konkurencji z Juanem.

Autobus sterczał pod ostrym kątem. Tylne koła wgrzebały się w ziemię, front tkwił nad drogą. Sweetheart wyglądał jak okaleczony robak. Teraz twarz Van Brunta zasłoniła odbicie Pryszcza w lusterku. Van Brunt był czerwony ze złości. Wymachiwał kościstym palcem tuż przed nosem Juana.

– No i wpakował pan nas! – krzyczał. – Wiedziałem, że tak się skończy. Bóg mi świadkiem, wiedziałem! Jak ja się teraz dostanę do sądu? Jak pan nas chce stąd wyciągnąć?

– Weź pan ten palec! – powiedział ostro Juan. – Mam pana dość. Wracaj pan na swoje miejsce!

W gniewnych oczach Van Brunta odbiło się wahanie. Nagle zrozumiał, że ten człowiek wymyka się spod kontroli. Nie boi się Komisji Transportu Drogowego ani niczego. Van Brunt cofnął się i tyłem przesunął na swoje miejsce.

Juan przekręcił klucz i silnik zgasł. Deszcz bębnił w dach autobusu. Juan uderzał płaską dłonią koło kierownicy. Odwrócił się bokiem do pasażerów i spojrzał na nich.

– Trudno – powiedział. – Stało się.

Patrzyli na niego wstrząśnięci. Pan Pritchard zapytał cicho:

– Będzie pan nas mógł z tego wyciągnąć?

– Jeszcze nie widziałem, jak tam wygląda – rzekł Juan.

– Wydaje się, że ugrzęźliśmy dość głęboko. Co pan chce zrobić?

– Nie wiem – rzekł Juan.

Pragnął zobaczyć twarz Ernesta Hortona, chciał wiedzieć, czy domyśla się, że zrobił to celowo – ale Norma go zasłaniała. Camille siedziała nieporuszona. Było już tego za dużo, żeby się denerwowała.

– Siedźcie spokojnie – rzekł Juan. Uniósł się, przegięty do przodu, by utrzymać równowagę w przechylonym autobusie, i pociągnął dźwignię drzwi. Zamek skrzypnął, ale drzwi się nie otworzyły. Zacięły się. Juan wstał i kopnął je, wtedy ustąpiły. Słychać było szmer deszczu padającego na drogę. Juan wyskoczył na deszcz i poszedł zobaczyć, jak wygląda tył autobusu. Czuł uderzenia skośnie padających kropli.

Dobra robota. Tylko wóz pomocy drogowej albo traktor mogłyby wyciągnąć ten autobus. Pochylił się i zajrzał pod podwozie, żeby sprawdzić to, co z góry wiedział. Osie i dyferencjał spoczywały na ziemi. Pasażerowie patrzyli przez szyby, po których spływała woda. Mieli wykrzywione, rozmazane po szkle twarze. Juan wyprostował się i wszedł do autobusu.

– Słuchajcie no – powiedział – będziecie musieli trochę poczekać. No, cóż, sami wybraliście tę drogę... teraz macie.

– Nie ja – rzekł Van Brunt.

Juan gwałtownie obrócił się twarzą do niego.

– Siedź pan cicho, do diabła, bo dostanę szału! Krew człowieka zalewa!

Van Brunt zrozumiał, że nie ma żartów. Spuścił wzrok, zaczął nerwowo skubać skórę na palcach i trzeć dłonią o dłoni.

Juan siedział bokiem do pasażerów. Łypnął okiem na Madonnę. Wiem, wiem – szepnął do niej w myślach – no, cóż? Trochę oszukałem. Więc nie mam do Ciebie żalu, że mi teraz wszystko robisz na przekór.

– Pójdę zadzwonić po wóz z wyciągarką – rzekł głośno. – Powiem, żeby przysłali taksówkę po was wszystkich. To nie potrwa długo.

– W obrębie czterech mil nie ma nic – odezwał się Van Brunt spokojnym i opanowanym głosem. – O milę stąd jest stara farma Hawkinsów, ale stoi pusta, odkąd przejął ją Narodowy Bank Amerykański. Trzeba iść do głównej drogi, stąd dobre cztery mile.

– Cóż, jak trzeba, to trzeba – rzekł Juan. – Nic się nie stanie oprócz tego, że zmoknę.

Pryszcz poczuł nagły przypływ przyjaźni dla Juana.

– Ja pójdę – powiedział. – Niech pan zostanie i da mi półść.

– Nie – rzekł Juan – masz dziś przecież wolny dzień. – Zaśmiał się. – Korzystaj z niego, Kit.

Sięgnął ręką do schowka nad tablicą rozdzielczą i otworzył go.

– Macie tu butelkę whisky na wszelki wypadek – powiedział.

Zawahał się. Czy ma wziąć ze sobą rewolwer – Smith and Wesson 45, broń jak się patrzy? Szkoda byłoby zostawić. Ale jak weźmie, to tylko kłopot. Może się w coś wplątać i rewolwer będzie świadczył przeciw niemu. Zostawi go. Ma zostawić żonę, to może zostawić i rewolwer.

– Macie tu rewolwer, na wypadek gdyby was obkoczyły tygrysy – powiedział beztrasko.

– Jestem głodna – rzekła Camille.

Juan uśmiechnął się do niej.

– Tu są klucze, otwórzcie sobie bagażnik, tam znajdziecie ciastka, dużo tego. – Mrugnął okiem do Pryszcza. – Tylko nie zjedz, bracie, wszystkich. Możecie sobie siedzieć w autobusie albo wyciągnąć płótno namiotowe i rozłożyć w którejś z tych jaskiń. Jakbyście znaleźli gdzie suche gałęzie, rozpalcie ogień. Postaram się, żeby przysłali po was samochód możliwie szybko.

– Może bym jednak ja poszedł? – zapytał Pryszcza.

– Nie, zostań i pilnuj, żeby wszystko było w porządku – powiedział Juan i zobaczył błysk radości w oczach Pryszcza.

Zapiął ciasno wiatrówkę pod szyją.

– Zostań i uważaj na wszystko – powtórzył i wysiadł z autobusu.

Pryszcza zsunął się ze stopni za Juanem. Szedł parę kroków za nim, aż Juan zatrzymał się, odwrócił i czekał, co będzie.

– Panie Chicoy – rzekł cicho Pryszcza – co pan chce zrobić?

– Co chcę zrobić?

– Taa. Pan wie... Pan zarył te koła.

Juan położył rękę na ramieniu Pryszcza.

– Słuchaj, Kit – rzekł – powiem ci kiedyś. Tymczasem zastąp mnie tu, dobrze?

– Tak, tak, panie Chicoy. Tylko chciałem wiedzieć...

– Powiem ci, jak przyjdzie czas. Pilnuj, żeby ci tutaj nie pomordowali się nawzajem, przynajmniej nie od razu.

– Dobra. Tak. Dobra – rzekł niespokojnie Pryszcza. – Ale kiedy pan wróci?

– Nie wiem – rzekł Juan niecierpliwie. – Skąd ja mogę wiedzieć? Rób, co ci powiedziałem.

– Tak. Dobra – powtórzył Pryszcza.

– Możesz zjeść tyle ciastek, ile chcesz – dorzucił Juan.

– Ale czy trzeba będzie za nie płacić, panie Chicoy?

– Pewnie – rzekł Juan i ruszył przed siebie w deszcz. Wiedział, że Pryszcza coś zwąchał i że patrzy teraz za nim. Pryszcza domyślał się, że on ucieka.

Juan nie czuł się z tym dobrze. Nie poszło tak jak powinno, jak sądził, że się uda. Nie było mu ani tak swobodnie, ani tak beztrudnie, ani tak dobrze, jak sądził, że będzie. Staął i obejrzał się. Pruszcz wchodził do autobusu.

Droga mijala skałę z wyżłobionymi jamami. Juan wszedł na chwilę do jednej z jaskiń. Pieczara wraz z nawisłymi nad nią skałami była znacznie głębsza, niż można było przypuszczać, patrząc na nią z zewnątrz. Było w niej prawie sucho. Przed wejściem do największej z jaskiń leżały trzy duże osmolone ogniem kamienie i zgnieciona puszka po konserwach. Juan wyszedł z powrotem na drogę i ruszył przed siebie.

Deszcz rzedniał. W dole na prawo widać było cały wielki łuk rzeki, widać było, jak rzeka zakręca i płynie znów z powrotem od wzgórz poprzez namokłe zielone pola. Wszystko wokół przesiąkło wilgocią. W powietrzu czuć było odór butwienia, woń fermentujących, nabrzmiałych wodą pędów roślin. Droga przed Juanem była splukana deszczem, poryta strumieniami wody, a nie kołami pojazdów. Dawno już nikt tędy nie jechał.

Juan pochylił głowę, jakby wbijał ją w deszcz, i ruszył przed siebie. Nie było mu tak dobrze, jak przypuszczał. Próbował przypomnieć sobie ostrą słoneczną jasność Meksyku, dziewczęta w niebieskich *rebozos* i woń gotującego się grochu – zamiast tego stanęła przed nim Alice. Alice wyglądająca przez zasłonę w drzwiach. Potem sypialnia z kotarami w kwiaty. Alice lubiła, żeby w domu było czysto i przyjemnie. I lubiła, żeby było ładnie. Na ich łóżku leżała ogromna narzuta, którą sama wyszydełkowała w małe różnobarwne kwadraciki, każdy w innym odcieniu, tak że nie było dwóch takich samych. Twierdziła, że gdyby chciała sprzedać tę narzutę, dostałaby więcej niż sto dolarów. Wszystko, każdy kwadracik, sama własnoręcznie zrobiła.

Pomyślał o tych wielkich drzewach przy domu i o tym, jak przyjemnie było leżeć w wannie pełnej gorącej wody, w pierwszej prawdziwej łazience, jaką znał poza łazienkami hotelowymi. Zawsze był tam kawałek słodko pachnącego mydła.

– To wszystko głupie nawyki – mruknął do siebie – przekłeta pułapka! Człowiek się przyzwyczaja, a myśli, że to lubi. Przejdzie mi, przejdzie jak katar. Pewnie, że to będzie bolesne. Będę się martwił o Alice. Będzie mi żal. Będę się czuł winny, nie zasnę spokojnie. Ale to przejdzie. Po jakimś czasie w ogóle o tym zapomnę. Przekłeta pułapka – wszystko to razem!

I ujrzał przed sobą twarz Pryszcza ufną i przyjazną. Powiem ci później, powiem ci wszystko o tym, Kit Carson. Niewielu ludzi tak ufało Juanowi jak on.

Próbował myśleć o jeziorze w Chapala, o jego gładkiej bladej wodzie – zamiast tego stanął mu przed oczami Sweetheart zaryty w mule.

We wgłębieniu na stoku wzgórza stał dom, stodoła i wiatrak ze zwisającymi połamanymi skrzydłami. To powinna być stara farma Hawkinsów. Miejsce, jakiego potrzebował. Schroni się tam na razie, ale nie w domu, lepiej w stodole. W opuszczonych stodołach bywa zwykle czystiej niż w opuszczonych domach. Znajdzie tam na pewno wiązkę słomy. Zagrzebie się w słomę i prześpi. Będzie spał do jutra, może nawet do tej pory, co teraz, potem pójdzie na główną drogę i złapie kogoś, kto go podwiezie. Co go obchodzą pasażerowie autobusu? Mogą pogłodować, nie zaszkodzi. Dobrze im tak. Zresztą nie mój interes.

Przyspieszył kroku, schodząc w dół do starej farmy Hawkinsów. Tak, będą go szukać. Alice wezwie szeryfa, myśląc, że go ktoś zabił. Nikomu nie wpadnie do głowy, że zrobił to, co zrobił. On im wszystkim pokaże! Dostanie się do San Diego, przejdzie granicę, złapie ambulans pocztowy do La Paz. Alice może sobie posyłać za nim całą policję.

Zatrzymał się i spojrzał za siebie. Ślady jego stóp były widoczne, ale deszcz je pewnie szybko zmyje. Gdyby mu się chciało, mógłby wrócić i zatrzeć je. Ruszył dalej do opuszczonej farmy.

Stary opuszczony dom niszczeje szybko. Jacyś włóczący się chłopcy powybijali okna, rozkradli ołowiane rynny, wykręcili i wyciągnęli rury i krany. Drzwi zostawione sobie trzaskały skrzydłem o skrzydło, aż

wyrwały się z zawiasów. Stare ciemne tapety, na które padał niesiony wiatrem deszcz, poodklejały się od ścian, odsłaniając podkład ze starych gazet z komiksami – *Sprytny dziadunio*, *Mały Nemo*, *Buster Brown*. Znać było ślady wizyty trampów, którzy zostawili śmiecie i niedopalony kawałek wyrwanej framugi drzwi w starym czarnym kominku. Czuć było kwaśną woń opuszczenia i wilgoci. Juan zajrzał do środka, przeszedł przez cały dom i owionął go charakterystyczny zapach opuszczenia. Szybko wyszedł tylnymi drzwiami.

Ogrodzenie stodoły leżało zwalone na ziemi, wierzeje wyrwane, w środku za to powietrze było czyste. Stodoła służyła kiedyś również i za stajnię. Deski przegród były wygładzone w niektórych miejscach, gdzie ocierały się o nie końskie zady. W kątach wisiały pajęczyny. Między wgłębieniami na nawóz leżały pudła po świecach, w nich wyliniałe szczotki i zardzewiałe zgrzebła. Stare chomąto, orczyki i wędzidła zwisały z półki przy wejściu. Spod rozdartej skóry chomąta wyzierały kłaki pakuł.

Stodoła nie miała stryszka. Dawniej w całej głównej, środkowej części składano siano. Juan przeszedł całą jej długość, aż do ostatniej przegrody. Było tu ciemnawo, światło dzienne przezierało jedynie przez połamane gonty dachu. Klepisko pokryte było krótką, poczerniałą ze starości słomą, od której zalaływało pleśnią. Juan przez chwilę stał cicho bez ruchu. Usłyszał mysie piski i chrobot, poczuł mysi zapach, całe ich kolonie musiały żyć w stodole. Z krokwi pod dachem popatrzyły na niego dwie jasnożółte sowy – i znowu zamknęły oczy.

Deszcz osłabł i już tylko cichutko postukiwał na dachu. Juan wybrał sobie miejsce w kącie stodoły i odgarnął nogą wierzchnią warstwę brudnej, zakurzonej słomy. Usiadł, po chwili wyciągnął się na plecach, podkładając ręce pod głowę. Stodoła żyła, pełna cichych, tajemniczych szmerów. Juan był bardzo zmęczony. Niemal czuł koniuszki nerwów pod skórą. Było mu nieswojo i źle. Może jak się prześpi, będzie mu lepiej.

Tam, w autobusie, kiedy myślał o tym, jak to będzie, o tej chwili, którą teraz przeżywa – szarpnął nim gwałtowny wybuch, spazm radości, że odzyska wolność. Ale to nie było tak. Bolały go ramiona, leżał rozciągnięty na słomie i nie mógł zasnąć. Zastanawiał się: Czy nigdy nie będę szczęśliwy? Co mam zrobić, żeby być? Chciał sobie przypomnieć, czy kiedyś w życiu odczuwał prawdziwą radość. Stały mu przed oczami zapomniane fragmenty przeszłości: bardzo wczesny chłodny poranek, słońce wstaje zza gór, po błotnistej drodze skaczą małe szare ptaszki. Nie miał wtedy żadnego specjalnego powodu do radości, ale ją czuł.

Albo to: Wieczór, koń o lśniącej sierści ociera swą piękną szyję o płot, słyhać nawoływanie przepiórek, gdzieś, skądś kapie woda. Aż zaczął szybciej oddychać w podnieceniu, kiedy sobie to przypomniał.

I jeszcze: Jedzie starym wozem drabiniastym ze swoją kuzynką. Była starsza od niego, nie pamięta, jak wyglądała. Koń spłoszył się i szarpnął, ona upadła na niego i podnosząc się, oparła rękę na jego nodze. Ogarnęła go rozkosz, czuł ją w brzuchu, uderzyła mu do głowy, aż do mózgu, aż do bólu.

I to: Jest o północy w wielkiej ciemnej katedrze, ostry zapach żywicy gwałtownie kręci mu w nosie. Trzyma w ręku małą świeczkę przewiazaną białą jedwabną kokardą. Senny szmer odprawianej przed wielkim ołtarzem mszy nadpływa z oddali i usypia go słodko.

Mięśnie Juana rozluźniły się. Zasypiał na słomie w opuszczonej stodole. Nieśmiałe myszy wyczuły, że śpi, wyszły spod słomy, zaczęły się bawić i krzątać, a deszcz poszeptywał cicho na dachu.

ROZDZIAŁ 15

Pasażerowie patrzyli za oddalającym się Juanem, aż znikł za grzbietem wzgórza. Nikt się nie odzywał, milczeli, kiedy Prysycz wsiadł do autobusu i zajmował miejsce za kierownicą. Siedzenia w autobusie były przechylone, każdy starał się usadowić, jak mógł najwygodniej.

Pan Pritchard pierwszy przerwał ciszę, rzucając w powietrze:

– Jak długo to może potrwać, zanim on przyśle samochód?

Van Brunt potarł nerwowo dłonie.

– Co najmniej trzy godziny – powiedział. – Musi iść cztery mile pieszo. Nawet jak uda mu się znaleźć jakiś samochód, to nim go tu wyślą, upłynie z godzina, a druga – nim dojedzie. To wszystko w wypadku, gdyby w ogóle ktoś chciał jechać, bo nie wiem, kto się zgodzi tu, tą drogą. Powinniśmy pójść razem z nim i starać się złapać coś na głównej szosie.

– To niemożliwe – rzekł pan Pritchard. – Mamy przecież bagaże.

– Nie chciałam nic mówić, Elliott, kiedy ci ten szaleńczy pomysł przyszedł do głowy – odezwała się pani Pritchard. – To są przede wszystkim twoje wakacje, możesz robić, co chcesz. – Chciała wyjaśnić innym pasażerom, jak doszło do tego, że ludzie o tak wybitnej pozycji społecznej znaleźli się tutaj, w tym autobusie, w tego rodzaju sytuacji. To musi ich dziwić – myślała.

– Jechaliśmy pociągiem City of San Francisco – powiedziała głośno. – Bardzo przyjemny i wygodny specjalny pociąg za specjalną dopłatą. I nagle mojemu mężowi strzeliła do głowy szalona myśl, żeby część drogi odbyć autobusem! Uważał, że w ten sposób można lepiej poznać kraj!

– I poznajemy go dobrze, moja mała dziewczynko – wtrącił pan Pritchard z goryczą.

– Mój mąż – ciągnęła dalej – uważa, że stracił kontakt ze zwykłymi, prawdziwymi ludźmi. Chciał się z nimi zetknąć, przyjrzeć im z bliska, posłuchać, co mówią. – W jej głosie zaczęła pobrzmiwać, zrazu nieznacznie, nutka złości. – Od razu wiedziałam, że to niemądry pomysł... ale to jego wakacje. Mój mąż jest jednym z tych, co nie oszczędzili sił w ogólnym wysiłku podczas wojny. O, żony takich ludzi nie miały żadnych kłopotów, prawda? Tyle tylko, że musiały jakoś wiązać koniec z końcem w okresie racjonowania żywności, kiedy nic nie było w sklepach. Powiem tylko, że kiedyś przez całe dwa miesiące nie spróbowałyśmy nawet wołowiny! Nic, tylko kurczęta i kurczęta!

Pan Pritchard spojrział ze zdziwieniem na żonę. Rzadko mówiła tego rodzaju tonem – i wywołało to w nim niezwykle uczucie. Zdał sobie nagle sprawę, że staje się zły, że ogarnia go dzika, nieopanowana wściekłość.

– Wolałbym, żebyśmy nigdy nigdzie nie jechali! – powiedział. – Ja, w każdym razie, nie chciałem! Znacznie lepiej bym wypoczął, gdybym mógł sobie pograć trochę w golfa i spać we własnym łóżku! Nigdy nie chciałem jechać!

Pasażerowie śledzili z zainteresowaniem ich rozmowę. Nudzili się. To zapowiadało się ciekawie. Kłótnia tych dwojga wypełniła autobus.

– Mamo, tato, dajcie spokój – odezwała się Mildred.

– Nie wtrącaj się! – rzekł pan Pritchard. – Nie chciałem wyjeżdżać! Nigdzie! Nienawidzę obcych krajów, zwłaszcza brudnych!

Pani Pritchard zacisnęła usta, aż jej wargi pobieląły. Patrzyła na męża chłodnym wzrokiem.

– Wybrałaś sobie bardzo właściwy moment, żeby mi to powiedzieć! – stwierdziła. – A kto przygotował cały plan podróży? Kto kupował bilety? Kto nas wpakował w ten autobus, co tu utknął, w połowie drogi, która prowadzi donikąd? Kto to wszystko zrobił? Może ja?

– Mamo! – krzyknęła Mildred. Jeszcze nigdy nie słyszała matki mówiącej w ten sposób.

– I może to dziwne – głos pani Pritchard załamał się – ale to ja się tak starałam, żeby wszystko było dobrze! Ta cała wycieczka, jak obliczyć, będzie nas kosztować trzy albo cztery tysiące dolarów! Gdybyś się nie upierał jechać, mogłabym za te pieniądze założyć hodowlę orchidei w naszym ogródku. Od tak dawna marzyłam, żeby zbudować małą cieplarnię i hodować w niej orchidee! Niczego więcej nie chciałam. Ale ty twierdziłeś, że to niemożliwe w czasie wojny, że to byłby zły przykład dla innych. Wojna się skończyła i oto jesteśmy na tej wycieczce, a ty teraz mówisz, że nie chciałeś na nią jechać! Zepsułeś ją także i mnie! Wszystko zepsułeś.

Mildred podniosła się.

– Mamo, przestań, przestań natychmiast!

Pani Pritchard tylko jęknęła.

– Jak nie przestaniesz, to wysiądę i pójdę stąd! – powiedziała Mildred.

– Och, idź – rzekła pani Pritchard – idź sobie. Ty nic nie rozumiesz!

Twarz Mildred znieruchomiała. W milczeniu włożyła na siebie gabardynowy płaszcz.

– Pójdę do głównej drogi – powiedziała.

– Cztery mile – rzekł Van Brunt – zniszczy pani pantofelki.

– Żaden problem – powiedziała Mildred. Czowała, że musi wyjść na powietrze. Rosnąca nienawiść do matki przyprawiła ją o mdłości.

Pani Pritchard rozpostarła chustkę do nosa i w autobusie zapachniało lawendą.

– Opanuj się – rzekła Mildred zduszonym głosem. – Wiem, do czego to prowadzi. Zaraz cię głowa rozboli! Żeby nas wszystkich ukarać! Znam te twoje robione bóle głowy – dorzuciła zjadliwie. – Nie chcę na to patrzeć.

Pryszcz obserwował tę scenę zafascynowany. Otworzył usta. Pani Pritchard spojrzała z przerażeniem na córkę.

- Boże! Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz?
- Zaczynam wierzyć! – powiedziała Mildred. – Dziwne, że te bóle głowy przychodzą niespodziewanie, właśnie kiedy trzeba!
- Mildred, daj spokój! – rzekł pan Pritchard.
- Nie chcę!
- Zabraniam ci!
- Zabraniaj sobie! – parsknęła. Zaczęła zapinać guziki płaszcza.
- Pan Pritchard wyciągnął do niej rękę.
- Mildred, proszę cię, kochanie!
- Mam tego dosyć – powiedziała. – Chcę się przejść. – Wyszła z autobusu i szybko ruszyła naprzód.
- Elliott! – krzyknęła pani Pritchard. – Elliott, zatrzymaj ją! Nie pozwól jej pójść!
- Pogłaskał ją po ramieniu.
- Nie martw się, mała dziewczynko, nic jej się nie stanie. Wszyscy jesteśmy trochę rozdrażnieni.
- Ach, Elliott – zajęczała pani Pritchard – żebym tylko mogła się położyć! Żebym tylko mogła trochę wypocząć! Ona myśli, że ja udaję. Zabiję się, jeśli ona naprawdę tak myśli. Słyszysz, Elliott? Och, żebym tylko mogła się wyciągnąć!
- Proszę pani – odezwał się Prysycz – w bagażniku mamy płótno namiotowe, żeby przykryć, kiedy coś wieziemy na dachu. Gdyby pani mąż chciał, może wyjąć jedną plandekę i rozłożyć w którejś z tych tam jaskiń. Mogłaby pani się na tym położyć.
- To doskonała myśl – rzekł pan Pritchard.
- Leżeć na mokrej ziemi? – oburzyła się jego żona. – Nie!
- Nie na ziemi, ale na płótnie. Mógłbym ślicznie pościelić łóżeczko dla ślicznej małej dziewczynki.
- Bo ja wiem – wahała się pani Pritchard.

– Słuchaj, kochanie – rzekł jej mąż. – Podłóż sobie pod głowę mój płaszcz, zaraz ci go zwinę. O, tak. Za chwilę zaniosę cię do twojego własnego łóżeczka. – Zaszlochała tylko. – Połóż głowę na poduszce i zamknij oczy.

– Pan Chicoy powiedział mi, że gdyby kto był głodny, może jeść ciastka. Zaraz wyjmę. Są cztery rodzaje, wszystkie pyszne. Sam bym zaraz zjadł – wtrącił Prysycz.

– Ale najpierw wyciągnijmy plandekę – rzekł pan Pritchard. – Moja żona jest strasznie zmęczona. U kresu sił. Pomożesz mi urządzić dla niej posłanie, dobrze?

– OK – rzekł Prysycz. Uważał, że doskonale zastępuje Juana. Był zadowolony z siebie i skory do pomocy. Cała jego postać wyrażała ten nastrój. Wyprostował ramiona, jego blade wilcze oczy stały się żywsze, biła z nich pewność siebie. Miał tylko jeden kłopot. Żałował, że nie zabrał ze sobą w drogę zapasowej pary starych butów. Te białobłękitne porządnie się zabłocą, będzie musiał długo je potem czyścić szczoteczką do zębów. Nie wolno mu nawet pokazać po sobie, że dba o buty, bo jeszcze Camille gotowa pomyśleć, że nie jest taki, co to wszystko ma gdzieś, za jakiego chciał w jej oczach uchodzić. Czy mógł na niej wyrzucić wrażenie mężczyzny, który dba o swoje buty, nawet gdyby były białobłękitne?

– Pójdę zobaczyć te jaskinie – rzekł Ernest Horton. Wstał i zaczął się przesuwać do wyjścia. Van Brunt mruknął coś i ruszył za nim.

Pani Pritchard oparła głowę na zwiniętym płaszczu męża i zamknęła oczy. Ogarnęło ją przerażenie. Jak mogła publicznie kłócić się, walczyć z własnym mężem? Dotąd to się nigdy nie zdarzyło. Dotychczas – ilekroć zanosilo się między nimi na sprzeczkę – zawsze tak to urządziła, że odbywała się ona bez świadków. Nawet Mildred nigdy nie słyszała kłótni rodziców. Pani Pritchard uważała, że to wulgarnie kłócić się przy ludziach. Burzyło to całą budowaną przez nią od lat iluzję, że tylko dzięki słodyczy i łagodności jej charakteru tworzyli tak idealną parę. Wszyscy znajomi

wierzyli w to święcie. Sama nawet w to wierzyła. Tyle dołożyła starań, żeby tak pięknie kwitło ich małżeństwo, a teraz popełniła błąd. Pokłóciła się z nim. I to o hodowlę orchidei! Parę lat temu bardzo chciała mieć taką małą cieplarnię. Odkąd przeczytała w „Harper’s Bazaar” o niejkiej pani MacKenzie, która miała specjalną cieplarnię z orchideami. Ślicznie to wyglądało na ilustracji. Wszyscy by mówili, że pani Pritchard ma najrozkoszniejszą w świecie, maleńką cieplarenkę. To byłoby coś naprawdę wartościowego. Coś więcej niż biżuteria czy futra. Nawet nieznanymi ludziom wiedzieliby o tym. W tajemnicy przed wszystkimi badała kwestie związane z założeniem cieplarni, studiowała plany i projekty. Wiedziała, ile by kosztowało przeprowadzenie ogrzewania i systemu nawilżania. Wiedziała, gdzie można nabyć potrzebne instalacje. Czytała specjalne książki na temat hodowli i rozwoju tych roślin. Wszystko to w wielkiej tajemnicy, bo przewidywała, że w momencie, kiedy już będzie miała osiągnąć swój cel, pan Pritchard zbada na własną rękę kwestie związane z budową cieplarni i będzie chciał wszystko to sam jej objaśnić. To była jedyna droga. To był po prostu jej sposób postępowania w życiu, jedyny sposób zapewniający powodzenie ich małżeństwa. Jej, naturalnie, szalenie zaimponuje, że on tyle wie o tym, i będzie go prosić o rady i wskazówki. Martwiło ją, że się uniosła i sprawę cieplarni poruszyła w gniewie, w kłótni. Taki błąd może opóźnić wszystko o dobre sześć miesięcy – albo i więcej. Ułożyła już sobie, jak ma pokierować sprawami, żeby on sam zaproponował jej budowę cieplarni. Bardzo ostrożnie opierałaby się temu pomysłowi, przez to właśnie podniecając w nim chęć przełamania jej oporu. Ale teraz wszystko na nic, dała mu sama broń do ręki. Będzie musiała w przyszłości bardzo oględnie manewrować, inaczej on sam nigdy nie wróci do tej sprawy.

To, co zrobiła, było bardzo głupie i wulgarne.

Słyszała za sobą ciche głosy Normy i Camille. Miała zamknięte oczy, wyglądała na bezbroną i chorą, nie mogły przypuszczać, że podsłuchuje.

– Chciałabym, żebyś nauczyła mnie jednego, żebyś pokazała mi, jak postępujesz z... no, z facetami...

Camille zaśmiała się krótko.

– O co ci idzie? – zapytała.

– Taki Prysycz na przykład. Widziałam, jak on... jak on leciał na ciebie i nic nie wskórał, a tyś go spławiła tak, że nikt by nie poznał. Albo ten drugi, ten agent handlowy. To sprytny facet. Załatwiłaś go jak nic.

Camille słuchała z zadowoleniem. Wprawdzie ta naiwna dziewczyna zaczynała jej nieznośnie ciążyć, ale przyjemnie było słuchać słów zachwyty na swój temat. Teraz właśnie powinna wyjawic Normie, że nie jest asystentką dentysty, powiedzieć jej wszystko o tych wielkich kielichach wina i o zabawach tylko dla panów – ale nie potrafiła się na to zdobyć. Nie chciała szokować Normy. Chciała być przez nią podziwiana.

– Podoba mi się, że ty nigdy nie robisz nic, co mogłoby ich dotknąć, a mimo to żaden nawet cię palcem nie ruszy – mówiła dalej Norma.

– Sama nie wiem, jak to jest – rzekła Camille. – Chyba po prostu coś jak instynkt. Mam przyjaciółkę, która świetnie sobie radzi z mężczyznami. Bez krzyku i hałasu, ale ostro i stanowczo. Tak, Loraine... ma na imię Loraine... była... była niby zaręczona z pewnym gościem, który dobrze zarabiał, tak że nie mieli żadnych kłopotów. Loraine zachciało się futra. Miała naturalnie krótki żakiet z wilków i ze dwa futra z białych lisów, no, bo Loraine jest bardzo lubianą w towarzystwie dziewczyną. Ładna, drobna – i zabawna. Jak nie ma mężczyzn, tylko same dziewczyny, to cały czas się śmiejemy, taki z niej komik. No i ona chciała mieć nurki, nie takie trzyćwierciove, ale porządne, całe futro. To kosztuje coś trzy albo cztery tysiące dolarów.

Norma gwizdnęła przez zęby.

– Jezus Maria! – westchnęła.

– Aż któregoś dnia Loraine mówi: „Wiesz, zdaje się, będę miała futro”. To ja powiadam: „Nie bujaj”. „Myślisz, że bujam? Eddie mi kupi”. „Kiedy

ci to obiecał?” – pytam. A ona tylko się śmieje: „Nic mi nie obiecał. On nawet sam nie wie”. „Co? – mówię. – Chyba zwariowałaś”. „Założysz się?” – pyta Loraine. Zawsze się o wszystko zakładała. Ale ja nie lubię zakładów. Więc pytam tylko: „Jak ty to urządzisz?”. „Zaraz ci powiem, ale trzymaj to przy sobie – powiada Loraine. – Widzisz, to jest proste. Znam dobrze Eddiego. Zaczę mu wiercić dziurę w brzuchu, aż go szlag trafi. Będę go męczyć tak długo, że nie wytrzyma i mnie czymś stuknie. Będę się pewnie musiała nadstawić, bo jak Eddie się zaleje, to łatwo chybia. Potem niech się martwi, niech się skręca. Znam go. Będzie mu przykro, będzie żałował. No, zakładasz się? – zapytała. – Ja tylko spokojnie poczekam. Założę się, że do jutra wieczór będę miała to futro”. Ja się nie lubię zakładać, ale mówię: „Dwa do jednego, że nie”.

Norma, słuchając tej opowieści, aż otworzyła usta z podziwu. Pod opuszczonymi rzęsami pani Pritchard zamigotał odbity błysk światła.

– No i dostała je? – zapytała Norma.

– Poszłam do niej w niedzielę rano. Loraine miała siniaka pod okiem, cały niebieski i lśniący, na nim kompres, i przeciętą wargę.

– A czy dostała futro?

– Naturalnie, dostała – powiedziała Camille. Zamyśliła się, zmarszczyła brwi, jej twarz przybrała wyraz zagadkowy. – Dostała futro. Coś pięknego. Potem zdjęła z siebie wszystko. Byłyśmy tylko we dwie. Przewróciła futro na lewą stronę i włożyła włosem do ciała. I zaczęła przytulać do siebie i tłamsić swoje futro, i śmiać się, i chichotać jak wariatka.

Norma wstrzymała oddech.

– Boże – wyjąkała. – Po co to robiła?

– Nie wiem – powiedziała Camille. – Ona już taka jest... no, już jest taka, trochę zwariowana.

Pani Pritchard słuchała z pałającą twarzą. Oddychała szybko i gwałtownie, czuła łaskotanie na całym ciele, świerzbiący ból w nogach

i brzuchu. Rosło w niej podniecenie, jakiego w życiu raz jeden tylko doznała, jadąc konno, wiele lat temu.

– To mi się nie podoba – rzekła Norma z rezerwą. – Jeśli naprawdę kochała Eddiego i on miał się z nią żenić, to bardzo brzydko postąpiła.

– Ja też tak myślę – rzekła Camille. – To mnie właśnie niepokoiło w Loraine, że taka była. Ale kiedy jej to wytknęłam, ona tak odpowiedziała: „No co, inne dziewczyny robią to samo, tylko dłużej. Ja chciałam mieć to futro jak najszybciej. W końcu na jedno wychodzi. Jeśli nie ja, to ktoś inny by obskubał Eddiego prędzej czy później”.

– A czy wyszła za niego?

– Nie. Nie wyszła.

– Założę się, że go nigdy nie kochała – rzekła Norma z oburzeniem w głosie – założę się, że tylko chciała go naciągnąć.

– Może – powiedziała Camille. – W każdym razie była przez lata moją przyjaciółką i jak czegoś potrzebowałam, zawsze mogłam na nią liczyć. Raz miałam zapalenie płuc i Loraine siedziała przy mnie trzy dni i trzy noce; zapłaciła doktora, bo ja byłam bez grosza.

– Nie chcesz pewnie źle o niej mówić – rzekła Norma.

– Nie, nie chcę – powiedziała Camille. – Ale pytałaś mnie sama, jak postępować z mężczyznami.

Pani Pritchard robiła sobie gorzkie wyrzuty. Przeraziła ją własna reakcja na opowiadanie Camille. Mówiła do siebie w myśli, nawet szeptała niektóre słowa:

– Co za ohydna, ordynarna historia. Co za zwierzęta z tych dziewczyn. Tak wygląda to, co Elliott nazywa „zetknięciem się z ludźmi”. Och, to okropne! Zapomnieliśmy już, jacy ludzie są naprawdę, jacy mogą być wstrętni.

„Droga Ellen – zaczęła gorączkowo pisać w myślach list, podczas gdy czuła wciąż jeszcze podniecające łaskotanie w nogach. – Droga Ellen, podróż z San Ysidro do San Juan de la Cruz jest okropna. Nasz autobus

wjechał do rowu, od paru godzin siedzimy tu i czekamy. Elliott jest dobry i miły dla mnie i przygotował mi posłanie w takiej dziwacznej jaskini. Pamiętasz, jak mówiłaś, że ja zawsze mam przygody. No i rzeczywiście mam. Jadą z nami autobusem dwie wulgarne, proste dziewczyny, jedna z nich jest kelnerką, a druga nawet przystojna. Ona była... domyślasz się czym. Odpoczywałam sobie i one pewnie myślały, że spałam, i zaczęły rozmawiać ze sobą. Nie mogę ci nawet napisać, co mówiły. Dotąd jestem cała czerwona ze wstydu. Ludzie z naszej sfery nie zdają sobie nawet sprawy, jak się takie dziewczyny prowadzą. To nie do wiary. Zawsze mi się zdawało, że to ciemnota. Może gdybyśmy mieli lepsze szkoły i gdybyśmy – jeśli już chcesz wiedzieć prawdę – gdybyśmy my same, które powinnyśmy być wzorem, dawały im jeszcze lepszy przykład, to pewna jestem, że wówczas cały obraz by się stopniowo, ale gruntownie zmienił”.

Ellen czytałaby jej list wiele razy różnym znajomym. „Właśnie dostałam list od Bernice – mówiłaby. – Ma szalenie ciekawe przygody. Ona zawsze ma przygody, przecież wiesz. Chcesz posłuchać, co pisze? W życiu nie znałam nikogo, kto tak jak Bernice zawsze by się starał dostrzec dobre strony w ludziach. Słuchaj tylko...”.

– Jak ja bym kogo lubiła, to nigdy bym mu nie zrobiła takiej rzeczy – mówiła Norma. – Zawsze bym wołała, żeby sam z siebie dał mi prezent.

– Ja też tak uważam – rzekła Camille. – I dlatego nie mam futra, nawet na kołnierz. A Loraine ma trzy.

– Wydaje mi się, że bardzo brzydko postąpiła – mówiła Norma. – Wydaje mi się, że nie mogłabym lubić Loraine.

Boże drogi – pomyślała Camille. – Tobie się wydaje, że nie lubiłabyś Loraine? A co Loraine pomyślałaby o tobie? Chociaż nie – zastanawiała się dalej – to nieprawda. Loraine pewnie by wzięła się za tę dziewczynę, gdzieś by ją wpakowała i pomogła. Cokolwiek by się mówiło o Loraine, każdy wie, że to fajna dziewczyna.

ROZDZIAŁ 16

Mildred pochyliła głowę, żeby deszcz nie zalewał jej szkieł. Dobrze było mieć pod nogami żwir drogi, rozruszać się trochę, wciągnąć głębiej powietrze. Dzień już ciemniał. Nie mogło być chyba bardzo późno, ale już wkradało się wieczorne światło, rozjaśniając lub przyciemniając zarysy przedmiotów. W świetle wieczoru kawałki kwarcu i wapienia w skałach wydawały się jaśniejsze, a słupy przydrożnych płotów – niemal czarne.

Mildred szła szybko, miękki grunt ugiął się pod jej stopami, obcasy wrzynały się w żwir. Starła się wymazać z pamięci sprzeczkę rodziców. Nigdy dotąd nie widziała ich kłócących się, walczących ze sobą. To, czego była przed chwilą świadkiem, sprawiało wrażenie często granej sceny, miało w sobie cechy długiej praktyki, co wskazywało, że nie było rzadkim i niezwykłym zdarzeniem. Najwidoczniej matka zwykle umiała wmanewrować wiszącą w powietrzu kłótnię do sypialni, skąd przez zamknięte drzwi nie było nic słyhać. Przecież sama stworzyła i rozpowszechniała mit o ich doskonałym małżeństwie! Ale tym razem napięcie między rodzicami doszło do punktu wrzenia i nie było sypialni, do której można by się skryć. Ta zaprawiona żółcią i jadem kłótnia wzburzyła Mildred do głębi. To nie był szczery i otwarty gniew, ale rozmyślnie i przebiegle wsączana trucizna, skryta, skradająca się złość, która nagle cięła cienkim ostrzem, cofnęła je szybko i skryła.

Czekała ją długa, bardzo długa podróż do Meksyku. A gdyby tak nie wrócić? A gdyby tak pójść dalej, złapać kogoś, kto by ją podwiózł, i zniknąć? Wynająć pokój gdzieś nad morzem, wylegiwać się na plaży czy

wśród nadbrzeżnych skał? To byłoby bardzo przyjemne. Sama by sobie gotowała, mogłaby poznać innych ludzi. Śmieszne. Nie miała przecież pieniędzy. Ojciec był bardzo hojny, ale nie dawał jej pieniędzy do ręki. Płacił za jej stroje, mogła podpisywać rachunki w restauracjach, ale nigdy nie miała większych sum przy sobie. Ojciec był hojny, ale chciał wiedzieć. Chciał wiedzieć, co sobie kupowała i w jakich bywała lokalach – dowiadywał się tego, płacąc jej miesięczne rachunki. Naturalnie mogłaby pracować. Niedługo pewnie zacznie, ale jeszcze nie zaraz. Nie, będzie musiała stawić temu czoło, będzie musiała odcierpieć tę okropną wycieczkę do Meksyku, która mogłaby być wspaniała, gdyby pojechała sama, bez rodziców. Potem wróci na studia. I niedługo już zacznie pracować i zarabiać, co ojciec by w pełni aprobował. Już widziała, jak opowiada Charliemu Johnsonowi: „Ja mogę jej dać wszystko, co trzeba, ale nie, szanowny panie, jej się tak nie utrzyma, ona tak nie usiedzi. Zarabia już sama na siebie!”. Mówiłby to z dumą, jakby było w tym trochę i jego zasługi. Nigdy by się nie domyślił, że pracuje tylko po to, żeby stworzyć sobie własne, prywatne życie, żeby mieć swoje mieszkanie i pieniądze i wydawać je bez jego wiedzy. W domu na przykład mogła niby swobodnie korzystać z alkoholi trzymanyh w specjalnej szafce, ale wiedziała, że ojciec pamięta dokładnie wysokość poziomu w każdej butelce i jeśli by wypić trzy kieliszki – natychmiast by o tym wiedział. Zawsze chciał wszystko wiedzieć.

Zdjęła okulary, wytarła o podszewkę płaszcz i założyła z powrotem. Na drodze widać było ślady długich kroków Juana. Czasem ślady te ześlizgiwały się ze skały, jakby się potykał, a w miejscach, gdzie drogę pokrywał muł, stawały się bardzo wyraźne, widoczne były nawet wgłębienia, gdzie odbijał się palcami nóg od ziemi. Mildred próbowała iść po tych śladach, ale krok Juana był zbyt długi, po jakimś czasie zaboląły ją mięśnie w udach.

To dziwny i zastanawiający człowiek – pomyślała o nim. Cieszyło ją, że już wyzbyła się wszystkiego, co jeszcze w niej zostało po tym szalonym porannym przeżyciu. To nie miało żadnego sensu. Podrażnienie i działanie gruczołów – znała się na tym. Wiedziała, że jest bardzo pobudliwa seksualnie. Niedługo już będzie musiała albo wyjść za mąż, albo z kimś się na stałe związać. Miała coraz częstsze okresy niepokoju i głodu seksualnego. Pomyślała o ciemnej twarzy i błyszczących oczach Juana, ale to przypomnienie nie wywarło na niej żadnego wrażenia. Miał w sobie ciepło i otwartość – to wszystko. Lubiła go... Gdy doszła do szczytu wzgórza, zobaczyła leżącą poniżej farmę. Zafrapował ją ten widok, odczuła nastrój smutku i opuszczenia przenikający to miejsce. Musi tam zajrzeć, nie może przejść obojętnie. Przyspieszyła kroku. Zapomniała o wszystkim innym. „Bank cofnął dzierżawę – przypomniało się jej, co o tej farmie mówił Van Brunt – i cała rodzina musiała się wyprowadzić. Bank nie interesował się starym domem. Szło im o ziemię”.

Teraz jej kroki były prawie tak długie jak Juana. Zeszła w dół do błotnistej drogi prowadzącej na farmę i nagle stanęła. Ślady Juana też skręcały do farmy. Poszła nieco dalej, sprawdzić, czy nie było ich po drugiej stronie. Ale nie. Nie było żadnych innych śladów.

– Musi tu jeszcze być – szepnęła do siebie. – Ale dlaczego? Miał przecież pójść do głównej drogi. Tu na pewno nie ma telefonu.

Zdała sobie sprawę, że niewiele wie o tym człowieku i o wszystkim, co go dotyczy. Stała się ostrożna i czujna. Wolno przeszła przez bramę i skręciła z drogi na trawę, bo kroki jej skrzypiały na żwirze.

W każdym opuszczonym domu czai się niebezpieczeństwo. Przypomniała sobie czytane kiedyś w gazetach opisy morderstw, które popełniano w takich właśnie miejscach. Strach ścisnął ją za gardło.

Cóż – pocieszała się – mogę w każdej chwili pójść stąd. Nikt mnie nie zatrzymuje. Nikt mnie nie wpycha do środka. Ale wiem, że muszę tam

wejść, że nie odejdę stąd. Może te wszystkie zamordowane dziewczyny też mogły odejść. Może same o to prosiły.

Już widziała siebie, jak leży uduszona czy zasztyletowana na podłodze w jednym z pokoiów tego domu – ale w tej wizji było coś, co ją rozśmieszyło: cały czas miała na nosie okulary. Co wiedziała o Juanie? Że miał żonę i autobus. Przypomniła się jej nagłówek z gazety: „Ojciec trojga dzieci popełnia sadystyczny mord. Pastor zabija śpiewaczkę z chóru”. Dlaczego tak często mordują organistów i śpiewaków z chórów kościelnych – zastanawiała się. – Ze śpiewaniem w chórze związane jest duże ryzyko zawodowe. Zawsze gdzieś znajdują jakąś uduszoną chórzystkę ukrytą za organami. Roześmiała się. Postanowiła, że wejdzie do środka. Czy ma to zrobić gwałtownie, czy ukradkiem? Może przyłapie na czymś Juana Chicoya? A może właśnie poszedł do klozetu?

Postawiła ostrożnie nogę na schodku i znieruchomiła, gdy deska skrzypnęła pod jej ciężarem. Potem weszła do domu i spenetrowała wszystkie pokoje, otwierając szafy i kredensy. Znalazła w kuchni przewróconą puszkę po pieprzu, a w sypialni stary wieszak. Przechyliła głowę w bok, żeby popatrzeć na komiks drukowany w starej gazecie wyzierającej spod odlepionej tapety. Obejrzała historyjkę o wesołym chuliganie. Mulica imieniem Maud zadarła zad i wierzgnęła, wesoły chuligan Cy wyleciał w powietrze, a na jego majtkach widniało odbicie kopyt.

Podniosła głowę. Dlaczego nie pomyślała dotąd o stodole? Wróciła na palcach do sieni i uważnie przyjrzała się deskom podłogi. Można było rozpoznać na nich mokre ślady butów Juana. Poszła za nimi do saloniku, tam je zgubiła. Podeszła do otwartych drzwi od tyłu i wyjrzała przez nie. Głupia była, że tak się skradała na palcach po tym domu. Na ziemi widać było ślady zmierzające w kierunku stodoły.

Zeszła po kilku połamanych schodkach i ruszyła po śladach przez podwórze, minęła wiatrak i zatrzymała się u wejścia do stodoły. Zupełna

cisza. Chciała głośno zawołać, ale nie zrobiła tego. Wolno i ostrożnie wsunęła się do środka, szła w głąb wzdłuż przegród dla koni. Dopiero po jakimś czasie wzrok jej przyzwyczaił się do panującego mroku. Zatrzymała się przy ostatniej przegrodzie. Dalej było już puste miejsce, gdzie składano słomę. Harcujące myszy w mgnieniu oka znikły gdzieś w zakamarkach. Ujrzała Juana leżącego na wznak z rękami podłożonymi pod głowę. Miał zamknięte oczy, oddychał równo.

Mogę przecież odejść – mówiła do siebie. – Nikt mnie tu nie trzyma. To będzie tylko moja wina. Moja wina – muszę o tym pamiętać. On jest sam. Sam ze sobą. Och, co za bzdura!

Zdjęła okulary, wsadziła je do kieszeni. Kontur postaci Juana był teraz mglisty i zamazany. Zmniejszyła się ostrość jej wzroku, ale mogła go widzieć. Szła wolno, ostrożnie przez pokryte słomą klepisko i gdy była już przy nim, zatrzymała się – i siadła na skrzyżowanych nogach. Na wardze Juana bielała blizna, oddychał równo i swobodnie. Jest po prostu zmęczony – pomyślała. – Położył się na chwilę, żeby odpocząć, i zasnął. Nie powinnam go budzić.

Przypomniała sobie pasażerów autobusu. Co się stanie, jeśli ona i Juan nie wrócą? Co tamci zrobią? Matka zemdleje. Ojciec zadesperuje do gubernatora stanu – do dwóch lub trzech gubernatorów, dwóch lub trzech stanów. Poruszy całe Federalne Biuro Śledcze. Kosztowałoby to piekielnie drogo. Ale co by im zrobili? Ma dwadzieścia jeden lat. Jak ją złapią, może powiedzieć: Mam dwadzieścia jeden lat i robię, co mi się podoba. Nikt się nie ma prawa wtrącać. A gdyby pojechała z Juanem do Meksyku? To byłaby całkiem inna historia, coś zupełnie innego.

Teraz ogarnęły ją wątpliwości. Jeśli jest Indianinem, jeśli ma indiańską krew w sobie, to powinien być czujny – więc dlaczego tak łatwo było podkraść się do niego? Przytknęła palce do kącików oczu, ściągnęła skórę na skroniach do tyłu, co poprawiło jej ostrość widzenia. Przypatrywała mu się. Poryta wysuszona twarz, widać w niej dobroć. Wargi pełne,

znamionujące poczucie humoru, ale dobre i łagodne. Kiedy jest z kobietą, musi być delikatny. Może niedługo z nią być, ale kiedy jest – jest dla niej miły. A prawda, ma tę żonę, tę okropną żonę. Bóg wie, jak już długo przy niej tkwi. Pewnie była ładna, kiedy się z nią żenił, dopiero potem zbrzydła. Jak to się stało? W jaki sposób ta straszna kobieta utrzymała go przy sobie? Może był jak każdy inny mężczyzna, jak jej ojciec. Może siła przyzwyczajenia i strach trzymały go w cuglach. Mężczyźni w miarę starzenia coraz bardziej się boją z coraz błahszych powodów. Jej ojciec bał się nowych łóżek, języków obcych i partii politycznej, do której nie należał. Szczerze wierzył, że Partia Demokratyczna jest organizacją wywrotową, która dąży do zniszczenia Stanów Zjednoczonych i oddania kraju w ręce komunistów. Bał się swoich przyjaciół, a oni bali się jego. Rasa szczurów – pomyślała Mildred.

Przesunęła wzrokiem po ciele Juana, żyłastym, twardym jak rzemień. Juan będzie się starzeć i jego ciało stanie się jeszcze twardsze, jeszcze bardziej żyłaste. Zmoczony deszczem spodnie przylegały mu do nóg. Był czysty, tą czystością mechanika, który się właśnie porządnie umył. Patrzyła na jego płaski brzuch, szeroką klatkę piersiową. Nie zauważyła żadnej zmiany w rytmie jego oddechu – oczy miał teraz otwarte i patrzył na nią. Nie były lepkie od snu, były jasne i przytomne.

Mildred poderwała się. Może w ogóle nie spał. Może obserwował ją, jak wchodziła do stodoły. Niemal bezwiednie zaczęła mu tłumaczyć:

– Chciałam się trochę rozruszać. Tak długo już siedziałam w autobusie! Pomyślałam sobie, że może pójdę na drogę i złapię jakiś samochód. I potem zobaczyłam tę starą farmę. Lubię takie miejsca...

Drętwiały jej nogi. Podparła się ręką o ziemię i uniosła trochę, wyciągnęła ostrożnie nogi w bok i nakryła kolana spódnicą. Czuła w nogach pulsowanie i gorąco powracającej do żył krwi. Juan milczał. Patrzył nieruchomo w jej twarz. Leniwie przekręcił się na bok i podparł głowę ręką. Jego oczy nabrały ciemnego blasku, kąciki ust zagięły się lekko

w górę. Ma surową twarz – pomyślała. – Te oczy bronią dostępu do niego. A droga prowadzi tylko przez te oczy. Albo wyrażają wszystko, albo nie dopuszczają do tego, co w nim siedzi.

– Co pan tu robi? – zapytała.

Jego wargi rozchyliły się nieco:

– Co pani tu robi?

– Mówiłam już. Chciałam się rozruszać. Mówiłam już panu...

– Tak, mówiła już pani.

– Ale co pan tu robi?

Chyba się jeszcze niezupełnie obudził.

– Ja? Usiadłem, żeby trochę odpocząć. I zasnąłem. Nie spałem ostatniej nocy.

– Tak, pamiętam – powiedziała. Musi mówić. Nie może przestać. – Myślałam dużo o panu. Że to nie pasuje do pana. Ten autobus i wszystko. Pana miejsce jest gdzie indziej.

– Na przykład gdzie? – zapytał, jakby przekomarzając się. Opuścił wzrok. Patrzył teraz tam, gdzie schodziły się klapy jej płaszcza.

Poruszyła się niespokojnie.

– Naszły mnie dziwne myśli po drodze. Myślałam, że może pan nie wróci. Że może pójdzie pan sobie aż do Meksyku. Pomyślałam, że sama bym to zrobiła na pańskim miejscu.

Błysnęły białka jego oczu, spojrzał na nią z ukosa.

– Zwariowała pani. Skąd się to pani wzięło?

– Tak jakoś przyszło mi do głowy. Pańskie całe obecne życie, ten autobus. To wszystko chyba wydaje się panu nudne po... po... po Meksyku?

– Była pani kiedy w Meksyku?

– Nie!

– Nie wie pani, jak tam jest nudno?

– Nie wiem.

Uniósł głowę, rozprostował rękę i znowu oparł na niej głowę.

– A jak pani myśli, co by się stało z tymi ludźmi tam w autobusie?

– Och, oni jakoś by sobie poradzili – powiedziała. – Nie odjechali daleko. Nie umarliby z głodu.

– A jak pani myśli, co by się stało z moją żoną?

– Nie wiem... – speszyła się. – Nie myślałam o tym.

– Myślała pani – rzekł Juan. – Pani jej nie lubi. Powiem pani coś: Nikt jej nie lubi, tylko ja. Dlatego ją lubię, że nikt jej nie lubi. – Uśmiechnął się. Ale łgarz – pomyślał.

– I jeszcze przyszło mi do głowy coś szalonego – mówiła Mildred. – Chciałam także uciec. Chciałam zniknąć i zacząć żyć sama... żeby nigdy nikogo nie spotkać... nikogo, kogo znałam. – Uniosła się na kolanach i usiadła, znowu zmieniając pozycję.

Juan patrzył w jej kolana. Wyciągnął rękę i naciągnął na nie spódnicę. Drgnęła, kiedy jego ręka szła ku niej, potem się pomału odprężyła.

– Nie chcę, żeby pan myślał, że szłam tu za panem – powiedziała.

– Pani nie chce, żebym tak myślał, ale pani to zrobiła – rzekł Juan.

– A co, jeśli tak?

Znowu wyciągnął rękę i położył na jej ukrytym pod spódnicą kolanie. Zrobiło jej się gorąco.

– To nie pan – powiedziała. Gardło miała suche. – Nie chcę, żeby pan myślał, że to pan. To ja! Wiem, czego chcę. Nawet pana nie lubię. Śmierdzi pan kozłem. – Głos jej się załamał. – Nie wie pan, jak wygląda moje życie. Jestem sama. Trudno powiedzieć, jak to jest.

Jego oczy stały się gorące i świetliste, skąpały ją w swym gorącu.

– Może jestem inna niż wszyscy – mówiła dalej. – Skąd mogę wiedzieć? Ale to nie pan. Nawet pana nie lubię.

– Pani musi się sama cholernie przekonywać przedtem, co? – rzekł Juan.

– Co pan chce zrobić z autobusem? – zapytała gwałtownie. – Czy pójdzie pan na główną drogę?

Ręka, którą oparł na jej kolanie, stała się na sekundę luźna. Cofnął ją.

- Wrócę, wyciągnę autobus i przewiozę tych ludzi – powiedział.
- Więc po co pan tu przyszedł?
- Coś się pokręciło – rzekł. – Coś, co postanowiłem, poszło inaczej.
- Kiedy pan wraca do autobusu?
- Już niedługo.

Spojrzała na jego rękę leżącą spokojnie na słomie przy jej nogach, ciemną, lśniąca i pobrużdżoną.

- Nie przytuli mnie pan? – zapytała.

Juan uśmiechnął się. Był to dobry, szczery uśmiech.

– Tak, chyba tak. Kiedy już pani skończy sama się przekonywać. Teraz jeszcze nie jest pani pewna. Może już niedługo pani zdecyduje tak czy nie i wtedy przyjdzie moja kolej.

- Czy pan... czy pan mnie nie chce?

– Tak – rzekł Juan. – Na pewno chcę.

– Czy może dlatego, że pan i tak wie, że będzie mnie pan miał... czy może dlatego nie chce się panu chociaż trochę postarać?

– Niech mnie pani nie wciąga w swoje wewnętrzne spory – rzekł Juan. – Jestem znacznie starszy niż pani. Ja bardzo to lubię. Tak bardzo, że mogę poczekać. Czasem nawet wolę powstrzymać się od tego przez jakiś czas.

– Mogłabym pana znienawidzić – powiedziała. – Odbiera mi pan moją dumę. Nie bierze mnie pan siłą... a wolałabym potem myśleć, że pan wziął mnie siłą.

– Zdawało mi się, że pani ma tyle w sobie dumy, że sama pani decyduje w tych sprawach.

- Nie, nie mam.

– I mnie się tak zdaje – powiedział. – Kobiety w moim kraju są takie same. Trzeba je błagać albo brać siłą. Wtedy dopiero jest im dobrze.

- Zawsze jest pan taki?

– Nie – rzekł Juan. – Tylko z panią. Pani tu po coś przysła. Sama pani powiedziała, że to nie ma nic wspólnego ze mną.

Spuściła oczy.

– Zabawne – powiedziała. – Jestem, jak by pan to nazwał, myślącą dziewczyną, intelektualistką, czytam książki. Nie jestem dziewicą. Znam tysiące historii na ten temat, tysiące przykładów, ale nie umiem zacząć sama! – Uśmiechnęła się do niego szybko i gorąco. – Nie mógłby pan mnie choć trochę zmusić?

Otworzył ramiona i upadła na słomę tuż przy nim.

– Nie będziesz mnie pospieszał?

– Mamy cały dzień – mruknął.

– Nie będziesz mnie potępiał i wyśmiewał?

– To takie ważne?

– Tak, ważne. Czy chcę, czy nie, ale ważne.

– Za dużo mówisz – mruknął. – Po prostu za dużo mówisz.

– Wiesz, nie umiem inaczej, muszę cały czas. Weźmiesz mnie ze sobą?

Do Meksyku?

– Nie – rzekł Juan. – Zobaczymy, czy umiesz choć przez chwilę milczeć.

ROZDZIAŁ 17

Pryszcz wyjął kluczyk ze stacyjki na desce rozdzielczej i poszedł na tył autobusu. Otworzył kłódkę bagażnika, odemknął wieko. Uderzył go w nos słodki zapach ciastek. Pan Pritchard spojrział przez jego ramię na złożone w bagażniku walizki.

– Będę musiał wszystko wyjąć, żeby wydobyć plandekę – powiedział Pryszcz. Próbował wyciągnąć ciasno, jedna na drugiej ułożone walizki.

Pan Pritchard stanął na zderzaku, pochylił się i z wysiłkiem uniósł spodnią walizkę, na której leżały inne, a Pryszcz szarpnął brzeg ciężkiego zwoju brezentu. Ciągnął i szarpał na przemian w jedną, to w drugą stronę i po trochu wydobył spod walizek całą plandekę.

– Może byśmy zjedli parę ciastek – zaproponował. – Są różnego rodzaju: z kremem malinowym i z cytrynowym, z rodzynkami i z karmelem. Zjadłbym taki z karmelem.

– Później – rzekł pan Pritchard. – Najpierw przygotujemy posłanie dla mojej żony.

Uniósł jeden brzeg zwiniętej plandeki, Pryszcz chwycił za drugi i dźwigając ją między sobą, posuwali się w kierunku skały i jaskiń.

Zbocza z wydrążonymi w nich jaskiniami były dosyć często spotykaną w tych stronach formacją geologiczną. Kiedyś, dawno temu, stok wzgórza osunął się nieco, obnażając gładką powierzchnię wapienia. Stopniowo wiatr i deszcz żłobiły coraz głębiej skałę – tylko górna jej część pozostała nienaruszona, gdyż wzmacniały ją korzenie roślin i darnina. I tak, przez setki lat, trwały te jamy pod skalnym nawisem. Tu kojoty rodziły swe małe,

tu nieraz, w zamierzchłych czasach, niedźwiedź szary układał się do snu. W wyżej położonych jamach sowy przeczekiwały dzień.

Trzy głębokie ciemne jaskinie powstały na dole i kilka mniejszych nad nimi. Od góry nawis skalny tworzył rodzaj dachu, dając osłonę przed deszczem. Jaskinie te nie były tylko tworem natury. Polujący na antylopy Indianie nieraz tu zakładali swe obozowiska i stąd ruszali do walki w dawno zapomnianych bitwach. W późniejszych czasach biali przemierzający konno te strony wypoczywali w jaskiniach i przystosowując je nieco do swoich potrzeb, układali z kamieni paleniska pod osłoną skalnego nawisu.

Ściany jaskiń były osmolone dymem starych i niedawno rozpalanych ognisk. Ziemia była w nich stosunkowo sucha, bo na to osobno stojące wzgórze nie spływała woda z wyższych wzniesień. Na ścianach widniało kilka inicjałów wyrytych w kruchej skale, dziś już zatartych i nieczytelnych. Jedynie zostały się wielkie litery *Okaz skruczę*, widoczne z daleka. Wędrowny kaznodzieja, który je czarną farbą wypisał, musiał opuścić się na linie, żeby tego dokonać. Poszedł potem dalej, szczęśliwy, że w taki oto sposób rozpowszechnia Słowo Boże na tym grzesznym świecie.

Pan Pritchard dźwigający z Pyszcem zwiniętą plandekę spojrział na ten napis.

– Ktoś zadał sobie niemało trudu – oświadczył. – Niemało trudu.

I zaczął się zastanawiać, kto mógł finansować tego rodzaju akcję. Pewnie jacyś misjonarze – doszedł do wniosku.

Złożyli plandekę na ziemi i zaczęli badać wnętrza jaskiń. Były to dosyć płytkie jamy, wysokie na około pięć stóp, szerokie na osiem lub dziesięć, głębokie na około dwanaście. Pan Pritchard wybrał jaskinię położoną najdalej na prawo, bo wydawała się najsuchsza i była ciemniejsza niż inne. Ciemność dobrze zrobi na grożącą jego żonie migrenę. Pyszc pomógł mu rozłożyć plandekę na ziemi.

– Dobrze by było podłożyć trawę albo trochę gałęzi sosnowych – powiedział pan Pritchard.

– Trawa jest za mokra – rzekł Prysycz – a sosny nie znajdzie pan tu nigdzie.

Pan Pritchard potarł dłonią plandekę, chcąc sprawdzić, czy jest czysta.

– Podścielę jej mój płaszcz – postanowił. – Przykryć może się futrem.

Zjawili się Ernest i Van Brunt, którzy chcieli przyjrzeć się z bliska jaskiniom.

– Moglibyśmy tu siedzieć całymi tygodniami, gdybyśmy mieli dosyć jedzenia – zauważył Ernest.

– W każdym razie będziemy musieli tu spędzić jakiś czas – rzekł Van Brunt. – Ten facet nie wróci do jutra rana. Ja tu się też przeniosę. Ach! Już mam tego wszystkiego dosyć!

– Jak chcecie, to wyciągnę parę ciastek – rzekł Prysycz.

– To niezła myśl – powiedział Ernest.

– Jakie pan lubi?

– Och, każde.

– Dobre są z kremem karmelowym. Krem i ciasto biszkoptowe, bardzo dobre.

– O, doskonale – rzekł Ernest.

Pan Pritchard wrócił do autobusu po żonę. Wstyd mu było, że się niedawno tak uniósł. Ciężko mu to – aż czuł w brzuchu uwierający ból, jakby tkwił tam węzeł gruby jak pięść. Zawsze miał taki ból, gdy nie wszystko szło jak należy. Charlie Johnson mówił, że to pewnie wrzód. Charlie Johnson nie traktował tego serio. Mawiał, że ludzie zarabiający mniej niż 25 tysięcy dolarów rocznie nie mogą sobie pozwolić na wrzody żołądka. Była to według Charliego dolegliwość związana z rachunkiem w banku. Panu Pritchardowi schlebiało więc trochę, że miewa te bóle.

Wdrapał się po stopniach do autobusu. Pani Pritchard siedziała z zamkniętymi oczami.

– Twoje łóżeczko jest już gotowe – powiedział.
Otworzyła oczy i spojrzała nieprzytomnie dokoła.
– Och!
– Spałaś? – zapytał. – Nie powinienem cię budzić, przepraszam.
– Nie, kochanie. Już dobrze. Zdrzemnęłam się trochę.
Pomógł jej wstać.
– Ułożę cię na moim płaszczu, przykryję futrem.
Uśmiechnęła się, słysząc troskę w jego głosie.
Pomógł jej przy schodzeniu ze stopni.
– Tak mi przykro, że byłem niegrzeczny, moja mała dziewczynko – powiedział.
– To nic. To zmęczenie. Wiem, że nie myślałeś tego, co mówiłeś.
– Wyprawię ci na przeprosiny wspaniały obiad w Hollywood u Romanoffa. Z szampanem. Chciałabyś?
– Tobie nie można dać pieniędzy do ręki – powiedziała żartobliwie. – Już ci wszystko zapomniałam. Byłeś po prostu zmęczony. – „Droga Ellen – pisała w myślach list – zjedliśmy wspaniały obiad u Romanoffa i nigdy byś nie zgadła, kto siedział przy sąsiednim stole”. – Już prawie nie pada – rzekła głośno.
– Nie pada – powtórzył pan Pritchard. – Chcę, żeby moja mała dziewczynka trochę się przespała, żeby poczuła się lepiej i odzyskała siły.
– Czy jesteś pewny, że tam jest sucho i nie ma węzów?
– Nie ma. Obejrzeliliśmy wszystko dokoła.
– Ani pajaków?
– Nie widzieliśmy nawet żadnej pajęczyny.
– A te wielkie tarantule? One nie robią pajęczyn.
– Jeszcze raz wszystko obejrzymy – powiedział. – Ściany tych jaskiń są gładkie. Nie miałyby się gdzie ukryć.
Zaprowadził ją do jaskini.

– Widzisz, jak tu ładnie? Połóżysz głowę w tę stronę, żebyś mogła przyglądać się wszystkiemu, jak będziesz chciała.

Rozłożył płaszcz, na którym pani Pritchard usiadła.

– Teraz się połóż, a ja cię przykryję futrem.

Była bardzo uległa.

– Jak główka mojej dziewczynki?

– Nie jest tak źle, jak się obawiałam.

– To świetnie – powiedział. – Teraz się prześpij. Wygodnie ci? – Wydała tylko pomruk zadowolenia. – Gdybyś czego potrzebowała, zawołaj mnie. Będę tu blisko.

U wejścia do jaskini pojawił się Prysycz. Usta miał pełne, trzymał w ręku puszkę z ciastkami.

– Chciałaby pani ciastko? – zapytał.

Pani Pritchard uniosła głowę, potrząsnęła przecząco i opuściła z powrotem.

– Nie, dziękuję – powiedziała. – To ładnie, że się o mnie pamięta, ale nie mogłabym tego przełknąć. – „Elliott traktuje mnie jak królową. Ile żon może to powiedzieć po dwudziestu trzech latach małżeństwa? Byłam z nim cały czas szczęśliwa” – komponowała dalej list. Pan Pritchard spoglądał na nią. Miała zamknięte oczy, usta lekko uśmiechnięte. Poczuł nagle żal, smutek osamotnienia – uczucie, które często go nawiedzało. Pamiętał, dokładnie pamiętał, kiedy pierwszy raz go doświadczył. Miał wtedy pięć lat; przysłała na świat jego siostra – i nagle wszystkie drzwi były przed nim zamknięte; nie mógł pójść do dziecinnego pokoju, nie wolno mu było dotknąć nowo narodzonego dziecka. Pomyślał sobie wtedy, że zawsze jest trochę brudny i hałaśliwy, i nic niewart – i że mama nigdy nie ma dla niego czasu. I poczuł pierwszy raz zimny chłód samotności, tak jak teraz go czuje. Ten uśmiezek na ustach żony oznacza, że oddala się od niego i od całego zewnętrznego świata, że zamyka za sobą drzwi pokoju, do którego jemu nie wolno za nią wejść.

Wyjął mały złoty pilniczek i zaczął czyścić paznokcie, schował go i odszedł. Natknął się na Ernesta Hortona, który siedział na rozłożonych na ziemi gazetach, opierając się o skałę. Gdy zobaczył zbliżającego się pana Pritcharda, wyciągnął jedną, żeby mu dać.

– Gazety to najpożyteczniejsza rzecz na świecie – oświadczył. – Nadają się do wszystkiego, tylko nie do czytania.

Pan Pritchard zaśmiał się, wziął gazetę i usiadł na niej.

– „Jeśliś przeczytał o tym w gazecie, to znaczy, że to nieprawda” – zacytował powiedzonko Charliego Johnsona. – Ładna historia! Dwa dni temu zajmowaliśmy apartament w Oakland Hotel, teraz mieszkamy w jaskiniach. To właśnie dowodzi, że niczego nie można przewidzieć z góry.

Spojrzał w stronę autobusu. Przez okno zobaczył Prysacza i obie dziewczyny, jedli ciastka. Poczul gwałtowną chęć dołączenia się do nich. Też chętnie zjadłby ciastko.

– Zawsze coś czegoś dowodzi – rzekł Ernest. – Czasem to aż chce mi się śmiać. Pan wie, my podobno jesteśmy narodem posiadającym zmysł do mechaniki. Każdy w tym kraju umie prowadzić samochód, każdy ma lodówkę i radio w domu. Ludzie naprawdę wierzą, że mają zmysł do mechaniki, ale niech się cokolwiek stanie, niech na przykład gaźnik trochę się zapcha, i już auto odstawia się do garażu, póki nie przyjdzie zawodowy mechanik i go nie przeczyści. Niech no tylko światło zgaśnie, zaraz woła się elektryka, żeby naprawił korki. A jak winda się zepsuje, to wybucha po prostu panika!

– Bo ja wiem, czy tak jest? – rzekł pan Pritchard. – Amerykanie chyba mają na ogół zmysł do mechaniki. Nasi przodkowie coś tam jednak zdziałali w tej dziedzinie, jakoś tam sobie radzili.

– Na pewno. I my wszyscy moglibyśmy, gdybyśmy musieli. Umie pan wyregulować zapłon w swoim samochodzie?

– No, ja...

– Albo przypuśćmy – ciągnął Ernest – przypuśćmy, że musiałyby pan zostać tu przez dwa tygodnie. Umiałyby pan zrobić coś, żeby nie umrzeć z głodu? Czy może dostałyby pan zapalenia płuc i umarł?

– Pan wie przecież – rzekł pan Pritchard – ludzie teraz coraz bardziej się specjalizują.

– Umiałyby pan zabić krowę? – nalegał Ernest. – Umiałyby pan poćwiartować ją i upiec?

Pan Pritchard czuł, że ten młody człowiek zaczyna go irytować.

– Za dużo zaczyna być w naszym kraju cynizmu – powiedział ostro. – Wydaje mi się, że nasza młodzież przestała wierzyć w Amerykę. Nasi przodkowie mieli wiarę...

– Martwili się, czy mają co jeść – rzekł Ernest – nie mieli czasu na wiarę. Teraz ludzie nie pracują tak ciężko jak oni. Dlatego mają czas na wiarę.

– Ale nie mają wiary – wybuchnął pan Pritchard. – Dlaczego? Co im się stało?

– Nieraz się nad tym zastanawiałem – rzekł Ernest. – Próbowałem to jakoś sobie wyobrazić. Mój ojciec wierzył w dwie rzeczy. Jedna – że uczciwość zawsze popłaca, że jeśli człowiek jest uczciwy, to zawsze sobie jakoś w życiu poradzi. I wierzył, że jeśli ktoś ciężko pracuje i oszczędza, to może odłożyć trochę grosza, żeby zabezpieczyć sobie przyszłość. Teapot Dome⁴ i mnóstwo podobnych rzeczy oduczyły go wiary w uczciwość, lata trzydzieste – wiary w oszczędność. Odkrył, że najbardziej podziwiani przez wszystkich ludzie nie są wcale uczciwi. Aż umarł, wciąż się dziwiąc, straszliwie zdumiony, że te dwie rzeczy, w które całe życie wierzył, uczciwość i oszczędność – na nic mu się w życiu nie zdały. Że też nikt nie wymyśli czegoś nowego!

To było coś, co gnębiło również pana Pritcharda.

– Nic nie można teraz zaoszczędzić – powiedział. – Przez te podatki! Były czasy, kiedy człowiek mógł się dorobić majątku, ale teraz nie. Wszystko idzie na podatki! Po prostu pracuje się na rząd! Mówię panu, to

bije po głowie wszelką inicjatywę i przedsiębiorczość. Nikt już nie ma żadnych ambicji!

– Co to za różnica, dla kogo się pracuje, jeśli się wierzy w to, co się robi – rzekł Ernest. – To może być rząd, a może być ktoś inny.

Pan Pritchard przerwał mu.

– Ci wracający żołnierze – powiedział – o nich się martwię. Nie chcą się ustabilizować, zabrać do pracy. Wydaje im się, że rząd ma ich do końca życia utrzymywać, a my nie możemy sobie na to pozwolić!

Na czole Ernesta pojawiły się kropelki potu, białe kreski wystąpiły wokół ust, oczy straciły blask jak u osoby chorej.

– Ja byłem w tym – rzekł cicho. – Nie, nie, niech pan się nie obawia. Nie będę o tym opowiadał. Nie mógłbym. Nie chcę.

– Oczywiście mam jak największe uznanie dla naszych żołnierzy – mówił pan Pritchard – i według mnie powinno ich się dopuścić do głosu.

Ernest przesunął palcami po marynarce, dotknął znaczka, który nosił w klapie.

– Z pewnością – powiedział – z pewnością. Ja wiem... – Mówił, jakby zwracał się do dziecka: – Czytałem w gazetach o najlepszych ludziach, jakich mamy. Oni muszą być najlepsi z nas, bo zajmują najwyższe stanowiska w kraju. Czytałem o tym, co mówią i co robią, i, wie pan, mam wielu przyjaciół, o których powiedziałyby pan zapewne, że są już na szmelc. Strasznie mała różnica jest między tymi a tamtymi. Słyszałem czasem tych właśnie moich przyjaciół, jak mówili rzeczy, które brzmiały znacznie lepiej niż wypowiedzi sekretarza stanu... Och, co do diabła? – Roześmiał się. – Wymyśliłem taki gumowy bęben, w który bije się gąbką. To specjalnie dla pijaków, co chcą grać jazz na perkusji. Idę się przejść.

– Pan jest nerwowy – rzekł pan Pritchard.

– Tak, jestem nerwowy – powiedział Ernest. – Każdy jest nerwowy. I powiem panu coś: Jak trzeba się jeszcze będzie z kim bić, to wie pan, co w tym najgorszego? Że znowu pójdę. To jest właśnie straszne.

Wstał i odszedł w kierunku, z którego przyjechali. Pochylił głowę, ręce wsadził w kieszenie, bił mocno stopami w żwir, zacisnął usta – szedł i szedł, i nie mógł się zatrzymać.

– Jestem nerwowy – mówił do siebie – jestem po prostu nerwowy. Nerwowy i nic więcej.

Pan Pritchard popatrzył za nim, potem opuścił wzrok na swoje ręce, znowu wyjął pilniczek i zaczął czyścić paznokcie. Pan Pritchard był wstrząśnięty i nie wiedział dlaczego. Przy całym swoim pesymizmie co do możliwości wpływania przez rząd na świat biznesu, pielęgnował w głębi duszy jedną wielką nadzieję. Gdzieś tam zawsze czeka taki człowiek, jakim był Coolidge albo Hoover⁵, który zjawi się w odpowiednim momencie, odbierze ster z rąk tych głupców z obecnej administracji i wszystko znów będzie dobrze. Skończą się strajki, każdy będzie mógł robić pieniądze i żyć szczęśliwie. To już jest tuż-tuż. Pan Pritchard w to wierzył. Nie miał pojęcia, nie zauważył, że świat się zmienił. Popelniono tylko kilka błędów, ale przyjdzie właściwy człowiek, powiedzmy Bob Taft⁶, wszystko się znowu naprostuje i skończą się wreszcie te przeklęte eksperymenty.

Ale ten młody człowiek niepokoił go – pomimo że był zdolny i pełen rozmachu, nie widział nadziei. I chociaż Ernest Horton nic na ten temat nie mówił, pan Pritchard wiedział, że Horton nie będzie głosował na Boba Tafta, nawet gdyby Bob Taft znowu kandydował w następnych wyborach prezydenckich. Pan Pritchard jak większość ludzi, z którymi miał do czynienia, wierzył w cuda; teraz jednak był głęboko wstrząśnięty. Horton nie zaatakował go wprost, chyba że w sprawie tego gaźnika. Pan Pritchard zaczął sobie powoli przypominać, jak wygląda gaźnik. Czy umiałby go rozłożyć na części? Wiedział coś mgliście, że w gaźniku są jakieś tam rozpylacze i pływak z iglicą, i zastanawiał się, czy te rozpylacze są takie jak do perfum.

Ale, doszedł do wniosku, musi myśleć o ważniejszych sprawach. Horton mówił: „Gdyby światło zgasło...” – i pan Pritchard zaczął się zastanawiać,

gdzie są w jego domu skrzynki z korkami. Nie wiedział. Horton go atakował. Horton go nie lubi. A jeśli oni tu naprawdę zostaną odcięci od wszystkiego? Pan Pritchard zamknął oczy. Oto stoi w autobusie, oto przemawia do pasażerów: „Nie martwcie się, ja zajmę się wszystkim. Stworzyłem wielką firmę handlową. Nie mógłbym tego dokonać, gdybym nie posiadał pewnych zdolności organizacyjnych. Zastanówmy się nad sytuacją. Potrzebujemy przede wszystkim żywności. Tam, na tym polu, pasą się krowy”...

Horton powiedział, że on by nie umiał zabić krowy. Dobrze, pokaże mu. Horton prawdopodobnie nie wie, że w autobusie, w schowku nad deską rozdzielczą, jest pistolet. A pan Pritchard wie o tym.

Oto bierze pistolet. Wychodzi z autobusu, idzie tam, na to pole z krowami, które minęli, przełazi przez płot. Trzyma w ręku wielki czarny pistolet. Pan Pritchard widział w życiu wiele filmów. Podświadomie stosuje filmowy skrót. Przepuszcza fragment, jak zabija krowę i jak ćwiartuje jej mięso. I od razu widzi siebie: Oto już wraca do jaskini, niosąc ogromny płat czerwonego mięsa. „Przyniosłem wam żywność – mówi. – Rozpalmy ognisko”. Znowu skrót i gotowy już ogień bucha w górę, a nad nim wisi na tyczce wielki kawał mięsiwa i piecze się w żarze. Camille mówi: „Biedne zwierzę. Ono pewnie do kogoś należało?”. A pan Pritchard odpowiada: „W wypadkach nagłych zwykle prawo nie obowiązuje. Pierwsze jest prawo utrzymania się przy życiu. Nie pozwolę ludziom umierać z głodu!”.

I znowu skrót i inny obraz. Pan Pritchard potrząsnął głową, otworzył oczy.

– Zostaw to – szepnął do siebie. – Trzymaj się z dala od tego.

Gdzie on ją już spotkał? Gdyby tylko mógł z nią trochę porozmawiać, przypominałby sobie. Był pewien, że się nie pomylił, bo ilekroć widział lub przypominał sobie jej twarz, miał to samo niepokojące uczucie. Nie tylko, że ją już gdzieś widział, ale jemu samemu coś się przy tym zdarzyło. Spojrzał na autobus. Pryszcz i obie dziewczyny wciąż siedzieli w środku.

Wstał, otrzepał tył spodni, bo może rozłożona gazeta nie uchroniła ich od brudu. Deszcz mżył jeszcze trochę, na zachodniej stronie nieba ukazały się niebieskie prześwity. Wszystko będzie dobrze. Podszedł do autobusu, wdrapał się po stopniach do środka. Z tyłu, na ostatniej ławce zajmującej całą szerokość wozu, leżał wyciągnięty Van Brunt. Chyba spał. Pryszc i dziewczyny rozmawiali półgłosem, żeby go nie zbudzić.

– Co ja chcę, to to, żeby żona była wierna i uczciwa – mówił Pryszc.

– A ty? – zapytała Camille. – Chcesz także być wierny?

– Pewnie – rzekł Pryszc. – Jak będzie dobrą żoną, to będę.

– A przypuścimy, że nie będzie?

– O, tobym jej pokazał! Pokazałbym jej, że każdy tak może, jak to zrobił Cary Grant na filmie.

Pusta puszka po ciastkach i druga, w której było już tylko jedno ciastko, leżały na ławce po przeciwnej stronie. Dziewczyny siedziały razem, Pryszc przed nimi, zwrócony bokiem, z ręką przewieszoną przez oparcie.

Spojrzeli na pana Pritcharda, jak wchodził do autobusu.

– Mogę tu trochę posiedzieć? – zapytał.

– Pewnie, niech pan siada – rzekł Pryszc. – Może ciasteczko? Tu jest jeszcze. – Podał je panu Pritchardowi i odsunął puszkę, robiąc dla niego miejsce.

– Masz jakąś dziewczynę? – pytała dalej Camille Pryszcza.

– Tak, coś w tym rodzaju... Ale ona jest... tego... ona jest głupia.

– Ale jest ci wierna?

– Pewnie – rzekł Pryszc.

– Skąd wiesz?

– No bo, nikt by... to jest... no, wiem na pewno.

– Pewnie się niedługo ożenisz – powiedział pan Pritchard żartobliwym tonem – i założysz własny biznes.

– Nie, jeszcze nie zaraz – rzekł Pryszc. – Teraz to ja studiuję. Zaocznie. W radarze jest wielka przyszłość. Można zarabiać siedemdziesiąt pięć

dolarów tygodniowo cały okrągły rok.

– Nie może być?

– Jest taki facet, co skończył ten kurs i napisał do nich, i powiada, że tyle się wyciąga – rzekł Prysycz. – A drugi został już po roku dyrektorem na cały dystrykt.

– Dyrektorem czego?

– No, dyrektorem. Tak pisze w swoim liście. I ten list jest wydrukowany w ogłoszeniu.

Pan Pritchard poczuł się lepiej. Ten chłopak ma ambicję. Nie wszyscy jednak są cyniczni.

– Jak myślisz, kiedy się ożenisz? – odezwała się znowu Camille.

– O, nie tak zaraz – rzekł Prysycz. – Według mnie gość powinien zobaczyć trochę świata, zanim co. Powinien się trochę poruszać. Może dostanę się na statek. Jak się coś wie o radarze, to zna się radio też. Może dostanę się na statek i będę radiooperatorem przez jakiś czas.

– A kiedy skończysz ten twój kurs zaoczny? – spytał pan Pritchard.

– Lekcje zaczną się już bardzo niedługo. Już wypełniłem deklarację, tylko jeszcze czekam, żeby zaoszczędzić trochę, bo płaci się z góry. Przeszedłem taki ich test i powiadają, że jestem bardzo zdolny. Pisali już do mnie kilka razy.

Camille miała zmęczone oczy. Pan Pritchard patrzył na jej twarz. Mógł to zrobić bezpiecznie, oczy miał ukryte za okularami. Pomyślał, że jej twarz, jak przyrzuć się z bliska, jest bardzo przyjemna. Świeża i pełna, przyjazne usta – tylko oczy zmęczone. Z Chicago cały czas autobusem – pomyślał. – Nie wygląda, żeby miała na to dość sił.

Wyczuwało się krągłość jej piersi pod pomiętą w podróży bluzką. Mankieciki rękawów odwróciła na lewą stronę, żeby wyglądały czysto. Pan Pritchard spostrzegł to. Znaczy, że jest schludna. Pan Pritchard zawsze zwracał uwagę na drobiazgi. Wchłaniał tę dziewczynę jak zapach perfum. Czuł podniecenie i głód seksualny. To dlatego, że nieczęsto się widuje taką

ładną i pociągającą kobietę – przekonywał siebie. I nie zdając nawet sobie z tego sprawy, zaczął do niej mówić. Po prostu usłyszał swój głos:

– Panno Oaks, myślałem właśnie, czy nie chciałaby pani omówić ze mną pewnej sprawy. Nie wiem, czy pani wie, że jestem prezesem wielkiej spółki akcyjnej i właściwie przyszło mi do głowy... hm, sądzę, że pani młodzi towarzysze wybaczą, jeśli ich na chwilę zostawimy. Chciałbym pani bliżej wyjaśnić, o co mi idzie. Jeśliby pani zechciała, to może byśmy poszli tam, gdzie te jaskinie. Mam gazety, na których moglibyśmy się zobaczyć. – Zdumiało go samego to, co mówił.

O Jezu! – pomyślała Camille – zaczyna się!

Pan Pritchard zszedł pierwszy ze stopni i szarmancko pomógł zejść Camille. Podał jej ramię, gdy przechodzili rów, i poprowadził ją delikatnie do miejsca, gdzie leżały jeszcze rozpostarte gazety. Wskazał na nie ręką, proponując gestem, by siadła.

– Bo ja wiem, czy warto – rzekła Camille – tak długo siedziałam w autobusie.

– Może zmiana pozycji zrobi pani dobrze – powiedział pan Pritchard. – Wie pani, kiedy pracuję długo przy biurku, mniej więcej co godzinę zmieniam wysokość mojego podnoszonego fotela, i to bardzo mi dobrze robi. Zawsze czuję się świeży.

Pomógł jej usiąść na gazetach. Oparła piersi o kolana, obciągając spódnice.

Pan Pritchard siadł obok niej. Zdjął okulary.

– Właśnie myślałem... – zaczął. – Pani wie, człowiek na moim stanowisku zawsze patrzy w przyszłość i planuje. Teraz, teoretycznie, jestem na wakacjach. – Uśmiechnął się. – Wakacje, hm... ciekaw jestem, jak wyglądają prawdziwe wakacje.

Camille też się uśmiechnęła. Było jej twardo tak siedzieć. Zastanawiała się, jak długo to potrwa.

– Zasadniczym surowcem w każdej dobrze rozwijającej się spółce akcyjnej są ludzie, istoty ludzkie – zaczął pan Pritchard – zawsze szukam tego surowca. Można mieć łatwo w każdej chwili stal czy gumę, ale dobry umysł, talent, piękno i ambicja są trudne do znalezienia.

– Słuchaj pan – rzekła Camille – ja jestem strasznie zmęczona.

– Wiem, moja droga, i zaraz powiem, o co mi chodzi. Krótko i węzłowato: chcę panią zatrudnić.

– Jako co?

– Jako sekretarkę. Do przyjmowania interesantów. Zajęcie niewymagające specjalnych kwalifikacji. To na początek, a potem... hm... mogłaby pani zostać nawet moją osobistą sekretarką...

To było mocno zagrane. Camille spojrzała w stronę wejścia do jaskini, w której leżała pani Pritchard. Nie, nie mogła nic zobaczyć.

– A co pana żona powie?

– Co to ma z nią wspólnego? Nie prowadzi mojego biznesu.

– Panie, mówiłam już, że jestem zmęczona. Co tu dużo gadać? Ja chcę wyjść za mąż. Mogłabym być dobrą żoną i mając dobrą posadę, miałabym spokój przez jakiś czas. Cóż, mogłabym się nawet przydać mężczyźnie.

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza – rzekł pan Pritchard.

– Dobrze pan wie – stwierdziła Camille. – Panu się nie podoba, że ja nie chcę grać pańskiej gry. Pan by chciał, żeby to trwało całe miesiące, zanim co, żeby pan mógł długo węszyć wokół tego i chciałby pan mnie potem nagle zaskoczyć, kiedy już będę miała wszystkiego dość. Powiada pan, że pańska żona nie prowadzi pańskiego biznesu? A ja mówię, że ona to robi. Kieruje panem i pańskim biznesem, i wszystkim, co pana dotyczy. Chciałabym być miłą dla pana, ale jestem zmęczona. Ona na pewno wybiera panu sekretarki, a pan nawet o tym nie wie. To jest twarda kobieta.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi...

– Rozumie pan – rzekła Camille. – Kto kupuje panu krawaty?

– Tak, ale...

– Natychmiast by się o mnie dowiedziała. Na pewno. Niech pan pozwoli, że coś jeszcze powiem. Pan nie umie do dziewczyny wprost, pan musi okrężną drogą. I albo się pan zakocha, albo chce dać jej posadę. Gdyby pan powiedział: „To będzie tak: tyle na mieszkanie, tyle na stroje” – to czemu nie, mogłabym to przemyśleć i może dałoby się zrobić. Ale nie, nie lubię takiego podszczypywania, nudzi mnie to śmiertelnie. I naprawdę pan myśli, że mnie pan czymś tam będzie mógł zaskoczyć, jak już spędzę u pana za biurkiem dwa lub trzy miesiące? Jestem za stara na taką zabawę!

Pan Pritchard wysunął zaczepnie brodę.

– Moja żona nie prowadzi mojego biznesu – powiedział. – Nie wiem, skąd pani to przyszło do głowy.

– O, daj pan spokój – rzekła Camille. – Ale wolałabym mieć do czynienia z całym gniazdem żmij niż z pańską żoną, gdybym się jej naraziła.

– Dziwi mnie nieco pani stanowisko – rzekł pan Pritchard. – Nie myślałem o niczym podobnym. Po prostu chciałem pani zaproponować posadę. Może pani ją przyjąć lub nie.

– O rany! – westchnęła Camille. – Jeśli pan rzeczywiście umie tak się załgać, żeby samemu w to wierzyć, to niech Bóg strzeże każdą dziewczynę, która wpadnie w pańskie ręce. Nigdy nie będzie wiedziała, na jakim świecie żyje.

Pan Pritchard uśmiechnął się do niej.

– Pani jest po prostu zmęczona – powiedział. – Może jak pani odpocznie, to pani wszystko przemyśli.

Jego głos już nie zdradzał zbyt dużego entuzjazmu i Camille odetchnęła. Może zrobiła błąd, bo łatwo by się dawał wodzić za nos. Łatwo by się dawał naciągać. Loraine w jeden dzień ściągnęłaby z niego ostatnią koszulę.

Pan Pritchard inaczej teraz widział jej twarz. Była w niej zawziętość i wyzwanie i gdy patrzył na nią z tak bliska, widział dokładnie makijaż. Poczul się nagle jak obnażony przy tej dziewczynie. Niepokoiło go, że

w taki sposób do niego mówiła. Myślał, że gdyby wszystko poszło dobrze... to może... no, cóż... Ale kłopot w tym, że ona zgadła. Bo on nigdy by tak otwarcie... W takich sprawach kobieta powinna umieć zachować godność.

Był zbity z tropu – i to właśnie spowodowało, że znowu wzbierała w nim złość. Rzadko mu się zdarzało wpadać w złość dwa razy w ciągu jednego dnia. Ale już szyja robiła mu się czerwona. Musiał to jakoś wyrównać. Musiał ze względu na samego siebie.

– Po prostu zaofiarowałem pani pracę – rzekł sucho. – Pani jej nie chce. W porządku. Nie ma powodu, żeby pani była wulgarna. Trzeba umieć zachować godność.

– Słuchaj pan, panie starszy – powiedziała, jej głos stał się ostry i wysoki – ja też mogę pokazać, co umiem. Ten numer z godnością nie przejdzie. I jeszcze jedno. Mówił pan, że mnie pan gdzieś już widział? A należy pan do jakiegoś klubu, na przykład do „Międzynarodowego ośmiokątu” albo „Wędrujących ptaków”, albo „250 tysięcy”?

– Jestem członkiem „Ośmiokątu” – rzekł sztywno pan Pritchard.

– Pamięta pan tę dziewczynę, która siada goła na kielichu wina? Ja wiem, jak wy wszyscy wtedy wyglądacie, kiedy patrzycie na to. Nie wiem, co wam z tego przychodzi, i nie chcę wiedzieć. Ale wiedz pan, nie jesteście wtedy śliczni. I boję się, że pan nawet nie rozumie, co to jest godność kobiety. Nie umiałby pan tego poznać. – Głos jej zaczął się załamywać, była znużona, na skraju hysterii. Zerwała się na równe nogi. – Pójdę się przejść, panie starszy. Niech pan mi już da spokój. Znam pana, pańską żonę także.

Odeszła szybko. Pan Pritchard patrzył, jak odchodziła. Oczy miał szeroko otwarte, czuł w sercu nieznośny ciężar, był przegrany i przerażony aż do bólu. Patrzył na jej zgrabną figurę, jak kołysała się lekko w biodrach, patrzył na jej kształtne nogi i w myśli rozebrał ją, i ujrzał, jak stoi przy

ogromnym kielichu wina, wino spływa czerwonym strumieniem po jej brzuchu, udach i pośladkach.

Otworzył usta, poczerwieniał mu kark. Przestał na nią patrzeć i zaczął studiować swoje dłonie. Wyciągnął pilniczek do paznokci, wsadził go z powrotem do kieszeni. Był jak odurzony. Wstał niepewnie i poszedł do jaskini, w której leżała pani Pritchard.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się, kiedy wszedł. Pan Pritchard szybko położył się przy niej. Uniósł futro, którym była przykryta, i wsunął się pod nie.

– Kochanie, aleś ty zmęczony – powiedziała. – Elliott! Co ty robisz? Elliott!

– Cicho! – powiedział. – Słyszysz? Cicho bądź! Jesteś moją żoną, może nie? Czy mężczyzna nie ma prawa do własnej żony?

– Elliott, zwariowałeś! Ktoś może... może cię zobaczyć! – Wpadła w panikę, walczyła z nim. – Nie poznaję cię – mówiła. – Elliott, drzesz mi suknię...

– Kupiłem ją, może nie? Już mam dosyć tego traktowania mnie jak chorego kota!

Pani Pritchard płakała cicho w strachu i przerażeniu.

Płakała jeszcze, kiedy odchodził, zostawiając ją z twarzą wtuloną w futro. Stopniowo płacz jej ustał, siadła i wyjrzała na zewnątrz przez wejście do jaskini. Oczy miała dzikie i okrutne. Podniosła rękę i wbiła paznokcie w policzek. Pociągnęła je w dół, raz, jakby na próbę, potem ugryzła się w dolną wargę i rozdrapała ją paznokciami. Czuła krew sączącą się z zadrapań. Wzięła grudkę ziemi i zaczęła wcierać brud i kurz w krwawiący policzek. Brudna krew ciekła po szyi za wycięcie stanika.

[4](#) Teapot Dome – głośna w latach dwudziestych XX wieku afery korupcyjna w związku z dzierżawą terenów naftowych Teapot Dome w stanie Wyoming.

[5](#) Coolidge, Hoover – prezydenci Stanów Zjednoczonych. Coolidge – w latach 1923–29, Hoover – w latach 1929–33 (przyp. tłum.).

[6](#) Robert Taft – republikanin, senator, trzy razy bezskutecznie kandydował na prezydenta (1940, 1948, 1952), przeciwnik udzielenia Związkowi Radzieckiemu pożyczki wojennej, współautor antyrobotniczej ustawy Tafta–Hartleya z 1947 r.

ROZDZIAŁ 18

Mildred i Juan wyszli ze stodoły.

– Spójrz, deszcz ustał – rzekła Mildred. – Spójrz na słońce nad górami. Będzie ładnie. – Juan uśmiechnął się. – Wiesz, czuję się świetnie – mówiła.

– Pewnie – rzekł Juan.

– Też czujesz się tak dobrze? Mógłbyś mi potrzymać lusterko? – Wyjęła z torebki małe kwadratowe lusterko. – Tak. Nie, trochę wyżej.

Szybkimi ruchami przyczesła włosy, przypudrowała policzki, ukarminowała usta. Przeglądała się w lusterku, patrząc w nie z bardzo bliska. Bez okularów mogła widzieć tylko na bardzo małą odległość.

– Czy myślisz, że za dużo gadam jak na zgwałconą?

– Nie szkodzi – rzekł. – Lubię cię.

– Tylko tyle? Nic więcej?

– Chcesz, żebym kłamał?

Zaśmiała się.

– Może trochę. Ale lepiej nie. Nie weźmiesz mnie do Meksyku?

– Nie.

– Więc to koniec? Nic więcej?

– Skąd mogę wiedzieć? – zapytał Juan.

Schowała do torebki lusterko i szminkę, roztarła karmin na ustach wargą o wargę.

– Czy mógłbyś strzepać mi słomę z płaszcza? – Odwróciła się do niego tyłem, Juan czyścił jej płaszcz ręką. – Bo widzisz – mówiła dalej – mój ojciec i matka nie mają o tym pojęcia. Pewna jestem, że byłam niepokalanie

poczęta. Matka pewnie zasadziła mnie przed nadejściem śniegów jak cebulkę kwiatu; przykryła mnie ziemią, nawozem i piaskiem. – Było jej wesoło. – Nie można do Meksyku? Więc co zrobimy?

– Wrócimy do autobusu, wyciągniemy go i pojedziemy do San Juan.

Ruszył w kierunku bramy.

– Czy mogę cię wziąć za rękę?

Spojrzał na swoją dłoń z obciętym palcem. Chciał przesunąć się, żeby znaleźć się po drugiej stronie Mildred i podać jej drugą, nieokaleczoną dłoń.

– Nie – powiedziała – właśnie wolę tę.

Wzięła jego dłoń w swoją i pogłaskała gładki i świecący naskórek amputowanego palca.

– Nie rób tego – rzekł. – Ciarki mnie przechodzą.

Mocno ścisnęła jego dłoń.

– Obejdę się teraz bez okularów – rzekła.

Na wschodzie wzgórze płonęły w złotym odblasku zachodzącego słońca. Juan i Mildred skręcili w prawo i zaczęli iść pod górę w kierunku autobusu.

– Czy powiesz mi coś? – zapytała Mildred. – Jak powiesz prawdę, policzę ci to jako zapłatę, że się z tobą puściłam.

Juan roześmiał się.

– Co chcesz wiedzieć?

– Dlaczegoś tam poszedł? Czy spodziewałeś się, że przyjdę?

– Wolisz prawdę czy zabawę w udawanie? – zapytał.

– I to, i to. Ale nie... no... najpierw niech będzie prawda.

– Dobrze. Chciałem zwać – rzekł Juan. – Chciałem zwać, wrócić do Meksyku, zniknąć i niech pasażerowie martwią się o siebie.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Nie wiem – powiedział. – Nie wyszło. Madonna z Guadalupe opuściła mnie. Myśli, że Ją nabrałem. Nie lubi, jak się Ją nabiera. Odebrała temu cały sens.

– Nie wierzysz w to, co mówisz – powiedziała poważnie. – Ja też w to nie wierzę. Jaki był prawdziwy powód?

Juan siedł obok niej. Twarz jego przełamał szeroki uśmiech. Blizna na wardze skrzywiła ten uśmiech. Spojrzał na nią, jego czarne oczy były ciepłe.

– Poszedłem tam, bo spodziewałem się, że może pójdziesz się trochę przejść, i myślałem, że może... może będę mógł mieć ciebie.

Splotła swoje ramię z jego ramieniem i mocno przytuliła policzek do rękawa jego kurtki.

– Chciałabym, żeby to mogło trwać dłużej – powiedziała – ale to niemożliwe. Żegnaj, Juanie.

– Żegnaj – rzekł.

Szli wolno w kierunku autobusu.

ROZDZIAŁ 19

Van Brunt leżał wyciągnięty na tylnej ławce. Oczy miał zamknięte, ale nie spał. Głowę oparł na prawym ramieniu, co sprawiło, że krew przestała krążyć w prawej ręce.

Po odejściu Camille i pana Pritcharda Pryszcz i Norma siedzieli chwilę w milczeniu.

Van Brunt słuchał, jak starość wpełza mu do żył. Czuł niemal dotykalnie krew szeleszczącą w papierowych arteriach, słyszał uderzenia serca, którym towarzyszył cichy, skrzekliwy świst. Jego prawa ręka drętwiała, ale to lewa od dawna sprawiała mu kłopot. Nie miał w niej prawie czucia. Skóra zupełnie straciła wrażliwość, jakby ta ręka była zrobiona z gumy. Rozcierał ją i masował, kiedy nikt nie widział, żeby przywrócić obieg krwi. Wiedział dobrze, co to znaczy, ale nie chciał tego nawet przed sobą otwarcie wyznać.

Kilka miesięcy temu zasłabł, doktor zmierzył mu ciśnienie i powiedział, żeby się tym nie przejmował, że wszystko jest w porządku. Ale parę tygodni temu zdarzyło się coś innego. Jakby nagłe wyładowanie elektryczne w głowie, w głębi oczu – oślepiający niebieskobiały błysk i potem nie mógł już czytać. Nie, że nie mógł widzieć. Widział wszystko dobrze, ale słowa na czytanej stronicy zbiegały się i tłoczyły, skręcały i wiły jak węże – i nie mógł zrozumieć, co te słowa znaczą. Wiedział, że miał już dwa lekkie ataki apopleksji, ukrywał to przed żoną, żona ukrywała przed nim, a doktor – przed obojgiem.

Teraz czekał i czekał na następny atak, aż porazi mu mózg i ciało, i jeśli nie zabije na miejscu – pozbawi czucia, sparaliżuje. Ta świadomość

powodowała, że czuł złość, złość do wszystkich. Fizyczna nienawiść do ludzi zatykała mu gardło.

Próbował stosować rozmaite szkła do okularów. Przy czytaniu gazet używał szkieł powiększających, bo sam podświadomie starał się ukryć przed sobą prawdę. Nie umiał już opanować wybuchów złości, przerażało go, że czasem płakał i nie mógł płaczu powstrzymać. Parę dni temu obudził się wcześniej rano, pytając siebie: „Po co na to czekać?”.

Jego ojciec umarł na to samo. Ale nim umarł, leżał jak szary bezwładny robak w łóżku, przez jedenaście miesięcy, i wszystkie pieniądze, jakie zaoszczędził na spokojną starość, poszły na rachunki doktorów. Van Brunt wiedział, że jeśli to samo stanie się z nim, straci osiem tysięcy dolarów, które miał w banku, i jego starej żonie nie zostanie nic, kiedy go już pogrzebie. Więc po co czekać?

Wcześniej, jak tylko otworzono sklepy, poszedł do swego przyjaciela Milтона Bostona, właściciela składu aptecznego „Boston”.

– Muszę u siebie wytruć wiewiórki – powiedział. – Dasz mi trochę cyjanku, dobrze?

– To diabelnie niebezpieczna trucizna – rzekł Milton. – Wolę tego nie sprzedawać. Weź strychninę. Działa tak samo.

– Nie – rzekł Van Brunt. – Mam biuletyn rządowy z nowymi przepisami tępienia szkodników, i tam mówią o cyjanku.

– No więc dobrze – zgodził się Milton. – Będziesz musiał naturalnie podpisać się w rejestrze środków trujących. Ale uważaj, Van. Uważaj z tym. Nie zostawiaj tego nigdzie.

Przyjaźnili się od lat. Razem wstąpili do Błękitnej Łoży, razem przeszli przez Obrzęd Krzesel. W następnych latach razem zostali Mistrzami Kultu Łoży San Ysidro, po czym Milton przyjął Ryt Szkocki i przeniósł się do Łuku Królewskiego, a Van Brunt nigdy nie zaszedł wyżej niż trzeci stopień wtajemniczenia. Ale nadal pozostali przyjaciółmi.

– Ile ci tego potrzeba?

– Chyba jedna uncja starczy.

– To strasznie dużo, Van.

– Odniosę, co zostanie.

Milton był dalej niespokojny.

– Nie dotykaj tego palcami, dobrze?

– Wiem, jak się z tym obchodzić – rzekł Van Brunt.

Wrócił do kantorka, który mieścił się w piwnicy jego domu. Ostрым scyzorykiem zaciął się w rękę. Gdy ukazała się krew, otworzył fiolkę z kryształkami. I zatrzymał się. Nie był w stanie tego zrobić. Nie mógł zmusić się, by zanurzyć te kryształki w krwawiącym nacięciu.

W godzinę później zaniósł fiolkę do banku, włożył do swojej skrytki depozytowej, gdzie została razem z testamentem i polisami ubezpieczeniowymi. Myślał, że może kupić kiedyś specjalną ampułkę, żeby nosić ją zawsze przy sobie na szyi. Gdy zdarzy się atak, wsadzi ją do ust i zgryzie – jak to robili ci ludzie w Europie. Ale nie mógł tego zrobić teraz.

Może nie będzie miał już ataku?

Był zgorzkniały, był gniewny. Złościł go ci, których nie czekała rychła śmierć. Męczyło go jeszcze coś innego: atak apopleksji wyzwolił w nim dawno przygasłe żądze. Nagle odzyskał potężny pociąg płciowy. Pożądliwość ciągnęła go do młodych kobiet, nawet do małych dziewczynek. Nie mógł o nich nie myśleć. Musiał na nie patrzeć. Często wybuchał płaczem, gdy nachodziły go te niezdrowe porywy. Bał się tego – jak dziecko, które się boi obcego, nieznanego miejsca.

Był już za stary, żeby móc się przystosować do zmian, jakie zaszły w jego osobowości po ataku apopleksji, do tej swojej nowej natury. Nigdy specjalnie dużo nie czytał, ale teraz, kiedy czytać nie mógł, łaknął książek. Stawał się coraz gwałtowniejszy, coraz bardziej opryskliwy – i ludzie, których znał od lat, zaczęli go unikać.

Słuchał, jak mijający czas przepływa mu przez żyły, chciał, żeby przyszła śmierć, i bał się jej. Półzamkniętymi oczyma patrzył na złote światło

zachodu, które weszło do autobusu. Jego wargi poruszyły się nieznacznie. Powtarzał: „Wieczór, wieczór, wieczór”. To bardzo piękne słowo. Mógł słyszeć świszczący szmer tętniącej w sercu krwi. Wypełniła go tkliwość, czuł ją w piersiach, chwytła go za gardło, pulsowała w skroniach. Znowu chciało mu się płakać. Próbował zacisnąć prawą dłoń, lecz zdrętwiała i nie był w stanie tego zrobić. Zesztywniał z wysiłku i napięcia. Jakby całe jego ciało rozciągnęło się niby gumowa rękawiczka. W autobusie opalizowało światło zachodu. W głębi głowy, gdzieś z tyłu oczu Van Brunta oślepił nagle straszny błysk. Czuł, jak stacza się i leci w szarość i ciemność, i czerń, czerń...

Słońce musnęło już zachodni łańcuch wzgórz, przypłaszczyło się, światło stało się żółte i przezroczyste. Cała dolina lśniła równym, spokojnym odbłaskiem. Powietrze było czyste, wymyte i rześkie. Na polach prostowały się pochylone deszczem łodygi zbóż i dziko rosnącego owsa, maki lekko rozpląszczały zmięte płatki złotych kwiatów. Żółta rzeka wrzała i kłębiła się, i biła z uporem w brzeg. Na tylnej ławce autobusu dyszał chrapliwie Van Brunt. Jego czoło było wilgotne. Usta miał otwarte, oczy także.

ROZDZIAŁ 20

Pryszcz przesiadł się na miejsce obok Normy, która przesunęła się nieco do okna, starannie przyglądając suknię.

– Jak myślisz, co ten stary dziad od niej chce? – zapytał Pryszcz.

– Nie wiem – rzekła Norma. – Ale powiem ci jedno: da sobie z nim radę. To świetna dziewczyna.

– O, bo ja wiem? Znam inne świetne dziewczyny.

Norma zawrzała.

– Jak na przykład kto? – zapytała szyderczo.

– Jak na przykład ty – powiedział Pryszcz.

– Och!

Tego się nie spodziewała. Spuściła wzrok, splotła palce. Starła się odzyskać równowagę.

– Czemu rzucasz pracę i jedziesz? – pytał Pryszcz.

– Pani Chicoy nie była dla mnie specjalnie miła.

– Wiem. Ona dla nikogo nie jest miła. Szkoda, że jedziesz. Moglibyśmy pokombinować ze sobą.

Norma nie odpowiedziała.

– Powiedz jedno słowo, a już wyciągam ciastka... Zostały jeszcze całkiem niezłe. Z rodzynkami.

– Nie. Dziękuję. Nie mogłabym nic przełknąć.

– Niedobrze ci?

– Nie, w porządku.

– Bo gdybyś wróciła pracować w Rebel Corners, to może moglibyśmy jeździć co sobota wieczór do San Ysidro na tańce, i w ogóle.

– Jakoś ci to przedtem do głowy nie przychodziło – powiedziała.

– Myślałam, że mnie nie lubisz.

Poczuła się bardziej pewna siebie. To była przyjemna gra.

– A dlaczego teraz ci się wydaje, że cię lubię? – zapytała.

– Jesteś w ogóle inna. Jakoś się zmieniłaś. Podoba mi się, jak się teraz czujesz.

– A, o to chodzi! – powiedziała. – A po co bym miała wracać do tej restauracji? Żeby zakopać się tam na zawsze? Kto by tam na mnie zwrócił uwagę?

– Ja – rzekł szarmancko Prysycz. – Wracaj! Przyjmą cię z powrotem. Gwarantuję.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie. Jak odchodzę, to już na dobre. Nigdy się nie cofam. Poza tym idzie o przyszłość. Trzeba robić plany na przyszłość.

– Co za plany?

Norma zawahała się, czy ma mu powiedzieć. To może wszystko zapeszyć, ale nie dała rady się powstrzymać.

– Będziemy miały małe mieszkanie z taką ładną otomanką i radio. I będzie lodówka, i piecyk elektryczny, i ja będę się uczyć na asystentkę dentysty. – Oczy jej zabłyśły.

– Kto?

– Ja i panna Camille Oaks. Jak już zostanę asystentką dentysty, będę mogła się ładnie ubierać i będziemy chodzić na rewie do teatru, i nawet wydawać skromne przyjęcia...

– Bujda – rzekł Prysycz. – Nigdy do tego nie dojdiesz.

– Dlaczego tak mówisz?

– Po prostu nie. Czemu nie wrócić do Corners? Ja studiuje radar. Będziemy sobie chodzić tu i tam i – nigdy nic nie wiadomo – moglibyśmy

może być ze sobą. Weź każdą dziewczynę: każda chce wyjść za mąż. Ja jestem młody facet. A... a... młody facet potrzebuje... tego... żony. To zaspokaja jego... ambicje.

Norma patrzyła mu prosto w twarz badawczym wzrokiem, chcąc się przekonać, czy z niej nie kpi. A spojrzenie jej było tak przenikliwe, że Prysacz źle je pojął i odwrócił z zakłopotaniem oczy.

– Ja wiem – powiedział z goryczą. – Ty nie chcesz faceta, co ma to. Robiłem wszystko, co mogłem. Wydałem więcej niż sto dolarów na doktorów i na lekarstwa. Wszystko na nic. Jeden doktor powiada, że to przejdzie. W ciągu paru lat. Ale nie wiem, czy to prawda. Rób sobie, co chcesz – rzekł ze złością. – Wynajmij sobie to przekłete mieszkanie. Jeszcze znajdę sposób, jeszcze sobie użyję! Co ty tam wiesz! Nie potrzebuję niczyjej łaski! – W jego głosie słychać było skargę i przygnębienie. Spuścił wzrok.

Norma przyglądała mu się zdumiona. Nie знаła nikogo, kto by nosił w sobie tak poniżający ból. Nikogo prócz siebie. I nikt nigdy nie żądał od niej współczucia i pociechy. Ogarnęło ją ciepłe uczucie do niego i poczuła coś jakby wdzięczność.

– Nie myśl tak – powiedziała. – Nie trzeba. Bo jak się jakiej dziewczynie spodobaś, ona nie będzie na to zwracać uwagi. Ten doktor wiedział, co mówi. Sama znałam trzech takich chłopców, którym to zeszło po jakimś czasie.

Prysacz siedział z opuszczoną głową. Ciągle jeszcze był biedny i zgnębiony, a jednocześnie zaczęło go coś kusić. Czuł, że zyskuje przewagę, i chciał ją wykorzystać. Było to dla niego nowe doświadczenie, nowe odkrycie. Nigdy mu nie wychodziło z dziewczynami, zawsze musiał zebrać jak o łaskę. Ten sposób był łatwiejszy. Podstępna pokusa zaczynała działać.

– Jak weźmie człowieka żal, nie można dać sobie rady – powiedział. – Czasem to mam ochotę się zabić! – Wymusił z siebie coś jak szloch.

– Nie mów tak – rzekła Norma. To była dla niej też nowa rola, ale czuła się w niej wyjątkowo dobrze.

– Nikt mnie nie lubi – mówił Pyszc. – Nikt nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

– Nie mów tak – powtórzyła Norma. – To nieprawda. Ja zawsze cię lubiłam.

– Nie, nigdy!

– Mówię ci, że tak.

Położyła mu rękę na ramieniu, żeby go pocieszyć. Nie patrząc, wyciągnął rękę i przytrzymał jej dłoń. Splótł swoje palce z jej palcami i ścisnął – a ona bezwiednie zrobiła to samo. Obrócił się do niej, objął ją ramionami i przywarł twarzą do jej twarzy.

– Nie – krzyknęła. – Nie chcę!

Przycisnął ją mocniej.

– Przestań – mówiła – przestań! Ten stary jest tam!

– Nie słyszysz, jak skurwysyn chrapie? – szeptał Pyszc. – Bębenki pękają. No, chodź, chodź!

Wbiła mu łokcie w pierś, żeby go odepchnąć. Próbował ściągnąć z niej spódnice.

– Przestań – szeptała. – Natychmiast przestań! – Wiedziała już, że dała się podejść. – Przestań! Puść mnie!

– Chodź, chodź! – powtarzał w zapamiętaniu. – Proszę cię, chodź!

Oczy mu błyszczały, szarpał na niej ubranie.

– Przestań, proszę cię, przestań! Camille... Camille może przyjść. Może zobaczyć, co ty...

Oczy Pyszcza zabłyśły. Spojrzał na nią złośliwie.

– A niech przyjdzie. Martwisz się, że ta przeklęta dziwka zobaczy?

Normie opadła szczęka, mięśnie twarzy rozluźniły się. Patrzyła na niego, nie wierzyła własnym uszom. Patrzyła na niego, jakby nie dosłyszała, co powiedział. Jej gniew był zimny i morderczy. Naprężyła mięśnie, jej rysy

stwardniały. Wyrwała mu rękę i uderzyła go w twarz. Skoczyła na równe nogi, rzuciła się na niego z zaciśniętymi pięściami. Nie spodziewał się tego, w ostatniej chwili zasłonił się rękami.

Pluła na niego jak kot.

– Ty szujo – mówiła. – Ty podła, nikczemna szujo!

Kopała go i szarpała nim, aż wypchnęła go na przejście między ławkami, wtedy rzuciła się pędem do wyjścia i wypadła z autobusu. Nogi Pryszcz zaplątały się między podpory ławek, upadł i leżąc, usiłował się wygrzebać.

Normę ogarnęły mdłości i osłabienie. Drżały jej usta, z oczu lały się łzy.

– Podła szuja – płakała – brudna, podła szuja!

Przeskoczyła rów i padła na trawę, kryjąc głowę w ramionach. Pryszcz wreszcie stanął na nogach. Wyjrzał przez okno. Nie miał zielonego pojęcia, co robić.

Camille, nie spiesząc się, wracała właśnie drogą. Zobaczyła Normę leżącą twarzą do ziemi. Przeszła rów i pochyliła się nad nią.

– Co się stało? Upadłaś? Co ci się stało?

Norma uniosła zalaną łzami twarz.

– Nic mi nie jest – powiedziała.

– Wstań – rzekła krótko Camille. – Wstań, trawa jest mokra.

Pochyliła się, podniosła Normę, zaprowadziła pod skałę i posadziła na rozłożonych gazetach.

– Powiedz teraz, co, do diabła, się stało?

Norma otarła rękawem łzy, zmazując przy tym z ust resztę pomadki.

– Nie chcę o tym mówić.

– Nie mów, jak nie chcesz – powiedziała Camille.

– To Pryszcz. Rzucił się na mnie.

– Nie umiesz sobie inaczej poradzić? Koniecznie musisz nurkować nosem w ziemię?

– Ja wcale nie dlatego.

– Więc dlaczego?

W gruncie rzeczy niewiele to Camille obchodziło. Miała własne kłopoty. Norma otarła zaczerwienione oczy.

– Uderzyłam go – powiedziała – uderzyłam go, bo powiedział, że ty jesteś dziwka.

Camille szybko odwróciła wzrok. Patrzyła na dolinę i na góry, za którymi kryły się resztki słońca. Potarła dłonią policzek. Oczy miała martwe, bez wyrazu. Zmusiła je, żeby znowu nabrały życia, żeby zabłyśły uśmiechem, i uśmiech ten przekazała Normie.

– Słuchaj, dziecko – odezwała się. – Musisz po prostu myśleć, że tak jest, dopóki sama nie dojdiesz prawdy. Widzisz, każdej kobiecie może się zdarzyć, że była lub będzie dziwką. Każdej. Ale najgorszymi dziwkami są te, co nazywają to inaczej.

– Ale ty nie jesteś!

– Zostaw to – rzekła Camille. – Po prostu zostaw to. Słuchaj, trzeba coś zrobić z twoją twarzą. Nowa szminka nie zastąpi kąpieli, ale lepsze to niż nic.

Otworzyła torebkę, poszperała w niej i wyciągnęła grzebień.

ROZDZIAŁ 21

Juan szedł coraz prędzej, Mildred z trudem dotrzymywała mu kroku.

– Musimy tak pędzić? – zapytała.

– Znacznie łatwiej będzie wyciągać autobus, kiedy jasno, niż grzebać się po ciemku.

Drobnymi kroczkami biegła obok niego.

– Myślisz, że uda się wyciągnąć?

– Tak.

– To czemu nie zrobiłeś tego od razu, tylko poszedłeś sobie gdzieś?

Na sekundę zwolnił kroku.

– Mówiłem ci już – powiedział – mówiłem dwa razy.

– Mówiłeś. Więc to była prawda?

– Zawsze mówię prawdę.

Gdy zbliżali się do autobusu, słońce ześlizgiwało się już poza łańcuch gór. Ale wysoko idące chmury były jeszcze różowo oświetlone i odrzucały przezroczystą różowość na dolinę i wzgórza.

Pryszcz właśnie ukradkiem wyglądał spoza autobusu, gdy nadszedł Juan. W zachowaniu Pryszcza była schlebająca służalczość i wrogość zarazem.

– Kiedy przyjadą po nas? – zapytał.

– Nie mogłem dostać nikogo – rzekł krótko Juan. – Sami musimy sobie radzić. Każdy będzie musiał pomóc. Gdzie się wszyscy podziali, do diabła?

– Porozłazili się – rzekł Pryszcz.

– Wyciągaj plandeki.

– Pani Pritchard na nich leży.

– Niech wstaje. Trzeba nam kamieni lub odłamków skał, jak gdzie znajdziesz. Potrzebne będą deski albo belki. Rozwalimy płot. Ale drut kolczasty trzeba zostawić, żeby bydło nie uciekło. I słuchaj, Pyszc...

Pyszczowi opadła szczęka.

– Pan powiedział...

– Zbierz wszystkich mężczyzn. Potrzebna mi będzie pomoc. Ruszaj. Ja tymczasem wyciągnę lewar spod tylnej ławki.

Juan wdrapał się do autobusu. W środku było już ciemnowo. Zobaczył Van Brunta leżącego na tylnej ławce.

– Będzie się pan musiał ruszyć stąd. Muszę wyciągnąć lewar – powiedział.

Nagłym ruchem pochylił się nad nim. Stary człowiek miał wytrzeszczone oczy, ciężki chrapliwy oddech z trudem wydobywał się z jego piersi, w kącikach ust zebrała się ślina. Juan obrócił go na plecy. Język zapadł się w gardło, tamując oddech. Juan włożył mu rękę w usta, wziął w palce język i zaczął nim poruszać. Wołał:

– Pyszcz! Pyszcz! – stukając w szybę palcem wolnej ręki, na którym nosił złotą obrączkę.

Pyszcz wlaź do autobusu.

– Ten facet jest chory. Niech to szlag trafi! Wołaj po pomoc. Daj sygnał klaksonem.

Pan Pritchard pierwszy przejął od Juana opiekę nad chorym. Nie znosił takich rzeczy, ale musiał to zrobić. Juan szybko uciął dwa małe patyczki i pokazał mu, jak przycisnąć język Van Brunta do dolnej szczęki patyczkiem opartym o górne podniebienie. Pan Pritchard wzdrygał się wewnętrznie, budził w nim wstręt sam widok tego człowieka w takim stanie, mdlił go kwaśny odór wydobywający się z jego ciężko pracujących płuc. Ale musiał to robić. Nie chciał o niczym myśleć. Raz za razem ciarki przebiegały mu po krzyżu. Jego żona weszła do autobusu i usiadła tuż przy

wejściu, jak najdalej od niego. Ale nawet w mrocznym świetle zmierzchu dostrzegł zadrapania na jej twarzy i ślady krwi na kołnierzyku bluzki.

Chyba oszalałem – powiedział bezgłośnie. – Nie wiem, jak mogłem to uczynić. Kochanie, czy nie mogłabyś po prostu pomyśleć, że czułem się źle, że straciłem głowę? – mówił do niej w myślach.

Dałby jej ten mały domek na orchidee; nie, nie mały! Duży. Postawiłby jej najładniejszą cieplarnię, jaką można dostać za pieniądze. Ale teraz długo jeszcze nie będzie śmiał o tym wspomnieć. Ta cała wycieczka do Meksyku – będą musieli przez to przebrnąć. To będzie straszne, ale będą musieli przez to przebrnąć. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim zniknie z jej oczu ten wyraz doznanej krzywdy, wyrzutu, oskarżenia? Wiedział, że nie odezwie się do niego przez wiele dni, a jeśli się odezwie, to z uprzedzającą grzecznością: krótkie odpowiedzi, słodki głos i unikanie wzroku. O Boże! – pomyślał – po co ja się w to wplątałem? Wolałbym, żebym to ja tu leżał i umierał zamiast tego człowieka. Jego już nic podobnego nie spotka.

Doszły go głosy pracujących pod autobusem. Słyszał uderzenia łopaty i młaśnięcia odrywanej błotnistej ziemi, słyszał, jak rzucono kamienie pod koła. Jego żona siedziała sztywno, usta ułożyła w wyrozumiały uśmiech. Nie wiedział, jak ona postąpi, co zadecyduje w tej sytuacji, ale niebawem coś postanowi, to pewne.

Była smutna. Nie wolno mi myśleć o tym w złości – rozważała. – Fakt, że Elliott zniżył się do grubiaństwa, nie może sprawić, żebym straciła wyrozumiałość i piękno ducha. – Gdzieś w głębi niej zamigotała iskierka triumfu. – Zwyciężyłam złość. Zwyciężyłam obrzydzenie. Mogę mu wybaczyć, wiem, że mogę. Ale nie wolno tego robić zbyt wcześnie... dla jego własnego dobra. Będzie musiał poczekać. – Twarz jej przybrała wyraz pełen godności.

Pryszcz dokonywał cudów siły i sprawności. Jego brązowo-białe półbuty były zabłocone, kompletnie zmarnowane. Jakby umyślnie nurzał je w błocie. Błoto pokrywało jego czekoladowe spodnie. Zaciekle niszczył

swoje piękne ubranie. Wbijał łopatę w ziemię, wykopywał błoto wokół kół, wygarniał i odrzucał spod autobusu. Klęknął w błocie i odgarniał je rękami. Jego wilcze oczy błyszcząły z wysiłku, po czole spływał pot. Kątem oka patrzył na Juana. Na Juana, który zapomniał właśnie wtedy, gdy Prysycz tak bardzo tego potrzebował. Prysycz wbił łopatę w ziemię z nowym porywem energii.

Ernest Horton wziął kilof i przeszedł na drugą stronę rowu. Wyrąbywał i zdzierał nim darń, korzenie i wierzchnie pokłady ziemi, aż znalazł to, czego szukał: kamienie ukryte pod ziemią od zamierzchłych czasów, kiedy stok wzgórza się osunął. Wyciągał je i układał na trawie przy dziurze, którą wygrzebał.

Camille podeszła do niego.

– Pomogę panu zanieść je do autobusu – powiedziała.

– Zabrudzi się pani cała.

– Myśli pan, że mogę być jeszcze brudniejsza? – zapytała.

Wbił kilof w ziemię.

– Nie dałaby mi pani swego numeru telefonu? Zabrałbym panią gdzieś.

– Mówiłam panu prawdę – rzekła Camille. – Nie mam numeru telefonu.

Nie mam jeszcze mieszkania.

– Jak pani chce – powiedział Ernest.

– Naprawdę tak jest. Gdzie pan się zatrzyma?

– Hollywood Plaza – rzekł Ernest.

– Gdyby pan był w holu na dole pojutrze koło siódmej, to może bym tam zajrzała.

– Zrobione – rzekł Ernest. – Zabiorę panią do Musso-Franck na kolację.

– Nie mówiłam, że na pewno będę – rzekła Camille – powiedziałam, że może. Nie wiem, jak się będę czuła. Jak się nie zjawię, niech pan nie rozwali zegarka ze złości. Teraz czuję się tak wykończona, że trudno mi powiedzieć na pewno.

– Jasne – rzekł Ernest. – Będę tam tkwił do wpół do ósmej.

– Fajny facet z pana – rzekła Camille.

– Po prostu naciągacz jak inni – powiedział Ernest. – Niech pani nie dźwiga tych dużych kamieni. Ja je zaniosę. Proszę brać małe.

Wzięła do każdej ręki kamień i odeszła w kierunku autobusu.

Juan podszedł do starego, zniszczonego płotu i zaczął wyrywać z ziemi wspierające go słupki. Wyciągał co drugi, żeby na pozostałych mógł się utrzymać kolczasty drut. Wyciągnął osiem słupków, zaniósł je do autobusu i wrócił po więcej.

Różowa poświata zachodu bladła już i ciemniejący zmierzch opadał na dolinę. Juan oparł lewar na położonym na ziemi słupku wyjętym z płotu i podstawił go pod koło, tak że uchwycił wystający brzeg felgi. Nacisnął lewar i jedna strona autobusu uniosła się trochę. Prysacz pakował w dziurę pod unoszącą się oponą kamienie i odłupane kawałki skał.

Juan jeszcze raz nacisnął z całej siły lewar i stopniowo jedna strona autobusu wyszła z błota. Juan przeniósł lewar na drugą stronę i w ten sam sposób podniósł równoległe koło.

Ernest wygrzebywał kamienie spod darni, Camille i Norma nosiły je do autobusu, Prysacz wtykał w dziury pod kołami.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytała Mildred.

– Proszę mocno trzymać ten słupek, żeby się nie ruszał pod lewarem, kiedy go naciskam – powiedział Juan. Pracował szybko, gorączkowo, żeby zdążyć przed zapadnięciem zmroku. Czoło mu błyszczało od potu. Prysacz, klęcząc, pakował kawałki skały pod koła. Druga strona autobusu wydostała się z błota.

– Unieśmy go jeszcze wyżej – rzekł Juan – żeby nie trzeba było potem robić wszystkiego na nowo. Najlepiej będzie, jak podłożymy te wszystkie słupki pod koła.

Kiedy skończyli, było już prawie zupełnie ciemno.

– Wszyscy muszą pchać, kiedy ruszę. Uda się przejechać ze trzy stopy, to będzie już dobrze.

– Jak tam droga przed nami? – zapytał Prysycz.

– Wygląda w porządku. Boże! Zniszczyłeś ubranie.

Twarz Prysicza zszarzała z przygnębienia.

– To nic – rzekł. – Co warte ubranie?

Powiedział to tak smętnym głosem, że Juan spojrział na niego uważnie w zapadającej ciemności. Ściągnął usta w uśmiech.

– Będziesz musiał objąć komendę, Kit, kiedy będę ruszał. Niech wszyscy z całej siły podpierają tył. Wiesz przecież jak. Obejmiesz tu komendę, Kit.

Prysycz odrzucił łopatę.

– Wszyscy do mnie! – krzyknął. – Chodźcie no, bierzemy się za to! Ja będę podpierał z prawej strony. Dziewczyny także. Każdy musi pchać! – rzucał rozkazy swoim podkomendnym, którzy zgromadzili się za autobusem. Popatrzył przez chwilę na panią Pritchard siedzącą w środku, jakby i ją chciał zapędzić do roboty. Tylko by przeszkadzała – doszedł jednak do wniosku.

Juan wdrapał się do autobusu.

– Niech pan idzie popychać – rzekł do pana Pritcharda.

Z uruchomieniem silnika nie było problemów. Juan dał mu przez chwilę pracować swobodnie, potem zwolnił obroty, dwa razy stuknął w ścianę autobusu i Prysycz mu odpowiedział dwukrotnym uderzeniem w tylną szybę. Przyspieszył nieco obroty i nacisnął sprzęgło. Koła chwyciły, ześliznęły się, jęcząc, ale znów chwyciły, Sweetheart chwiał się jak pijany po podłożonych kamieniach, gramoląc się na drogę. Juan zatrzymał go już za błotnistym odcinkiem, nacisnął ręczny hamulec, wstał i wyjrzał przez przednie drzwi.

– Złóżcie wszystkie narzędzia na podłodze – powiedział. – Wsiadać, ruszamy.

Włączył światła i przednie lampy rzuciły jasny snop na zwirowaną nawierzchnię drogi – daleko, aż po grzbiet wzgórza.

ROZDZIAŁ 22

Juan wolno przeprowadził autobus przez grzbiet wzgórza, potem w dół mokrą po deszczu drogą, mijając stary opuszczony dom na stoku. Na zakręcie drogi snop światła chwycił bezoki dom, wiatrak ze złamanymi skrzydłami i stodołę.

Noc była czarna, lekki wietrzyk przywiał zapach trawy i aromat łąbinu. Reflektory cięły noc wzdłuż drogi tunelem światła, przelatująca sowa mignęła i znikła. Daleko przed autobusem królik przebiegający drogę spojrział prosto w reflektory, aż mu oczy zapłonęły czerwono, i odskoczył w bok do rowu.

Juan cały czas jechał na drugim biegu, starając się ominąć rozmiękle bruzdy kolein. Wewnątrz autobusu było ciemno, tylko nad deską rozdzielczą błyszczało światełko. Zerknął na Madonnę. Proszę Cię tylko o jedno – mówił bezgłośnie. – Wiesz, że wyrzekłem się tej dziewczyny, zrób teraz coś, żeby Alice była trzeźwa, jak wrócę. To byłoby bardzo ładnie z Twojej strony.

Pani Pritchard już nie siedziała sztywno i nieruchomo jak przedtem. Głowa jej kołysała się w rytm jazdy, spała i śniła. Jest ubrana w... co właściwie ma na sobie? Coś bardzo zwiewnego. Coś białego. Pokazuje Ellen swój maleńki domek z orchideami. „Dziwisz się, że hoduję purpurowe orchidee? – mówi do Ellen. – Każdy ma krewnych, którzy lubią purpurowe. Nawet ty, Ellen, nawet ty masz takich krewnych. Spójrz tam. Właśnie wschodzą nowe: sama zieleń i brąz. Elliott sprowadza je dla mnie z Brazylii. Z miejsc położonych tysiąc mil w górę Amazonki”.

Łopata i kilof leżące na podłodze szczękały o siebie.

Pryszcz nachylił się i mówił Juanowi prosto w ucho:

– Panie Chicoy, pan mi da poprowadzić. Pan jest zmęczony.

– Nie, dziękuję, Kit, dość się narobiłeś.

– Ale nie jestem zmęczony.

– W porządku, nie martw się, Kit – rzekł Juan.

Mildred widziała profil Juana odcinający się od tła oświetlonej drogi.

Chciałabym, żeby ten dzień trwał jak najdłużej. Żeby się ciągnął jak guma do żucia. Chcę dobrze zapamiętać ten dzień, aż zdarzy się inny, podobny dzisiejszemu.

Pan Pritchard starał się dosłyszeć oddech Van Brunta poprzez huk silnika i trzeszczenie karoserii. Ledwo widział jego twarz. Nie cierpiał tego człowieka za to, że umierał. Zdumiało go, gdy odkrył w sobie uczucie nienawiści. Czuł, że łatwo mógłby go zadusić – byłoby po wszystkim. Co się ze mną dzieje? – zastanawiał się. – Skąd mi takie straszne rzeczy przychodzą do głowy? Chyba oszalałem? Może za ciężko pracuję? Może to załamanie nerwowe?

Pochylił się, żeby sprawdzić, czy oddech chorego nie został znowu wstrzymany. Będzie miał pokaleczone podniebienie – tam gdzie tkwi teraz patyk. Usłyszał szmer, Ernest Horton przyszedł i siadł obok niego.

– Chce pan, żebym ja się teraz nim zajął?

– Nie – rzekł pan Pritchard. – Zdaje się, że wszystko w porządku. Jak pan myśli, co to jest?

– Atak apopleksji – rzekł Ernest. – Ja nie chciałem pana urazić tam wtedy. Byłem trochę zdenerwowany.

– To taki pechowy dzień – rzekł pan Pritchard. – Jak czasem coś idzie źle, moja żona zwykle powiada: „Będziemy się potem z tego śmiali”.

– Tak, dobrze, jak ktoś umie patrzeć na wszystko w ten sposób – rzekł Ernest. – Zatrzymam się w Hollywood Plaza, gdyby pan chciał zadzwonić.

Albo niech pan spróbuje dzwonić wieczorem do tego mieszkania... numer panu dałem.

– Obawiam się, że w Hollywood będę bardzo zajęty – rzekł pan Pritchard.

– Ale chciałbym, żeby pan kiedyś obejrzał nasze zakłady. Moglibyśmy ubić jakiś interes.

– Moglibyśmy, czemu nie – rzekł Ernest.

Norma siedziała teraz przy oknie, Camille obok niej. Norma oparła łokieć o framugę, patrzyła w kłębiącą się ciemność. Gdzieś w górze, pod brzegiem wielkiej czarnej chmury niebo pojaśniało, chmura przesunęła się nieco i wyblęśla spod niej gwiazda – jasna, czysta i nieruchoma.

– Pierwsza gwiazdo, świeć mi jasno, spełń, ach, spełń życzenie me! Niech się spełni w całej pełni to, co chcę, to, co chcę...

Camille sennym ruchem pochyliła ku niej głowę.

– Co mówisz?

Norma przez chwilę milczała. Potem zapytała cichutko:

– Zobaczymy, jak nam pójdzie, prawda?

– Taa, zobaczymy, jak nam pójdzie – rzekła Camille.

Daleko przed nimi, trochę na lewo od drogi, zabłyśły odległe światełka – maleńkie, migocące w oddali, zgubione i samotne w pustce nocy, odległe, zimne, migotliwe, jak nanizane koraliki.

Juan dojrzał je i zawołał:

– San Juan przed nami!

Spis treści

[ROZDZIAŁ 1](#)
[ROZDZIAŁ 2](#)
[ROZDZIAŁ 3](#)
[ROZDZIAŁ 4](#)
[ROZDZIAŁ 5](#)
[ROZDZIAŁ 6](#)
[ROZDZIAŁ 7](#)
[ROZDZIAŁ 8](#)
[ROZDZIAŁ 9](#)
[ROZDZIAŁ 10](#)
[ROZDZIAŁ 11](#)
[ROZDZIAŁ 12](#)
[ROZDZIAŁ 13](#)
[ROZDZIAŁ 14](#)
[ROZDZIAŁ 15](#)
[ROZDZIAŁ 16](#)
[ROZDZIAŁ 17](#)
[ROZDZIAŁ 18](#)
[ROZDZIAŁ 19](#)
[ROZDZIAŁ 20](#)
[ROZDZIAŁ 21](#)
[ROZDZIAŁ 22](#)